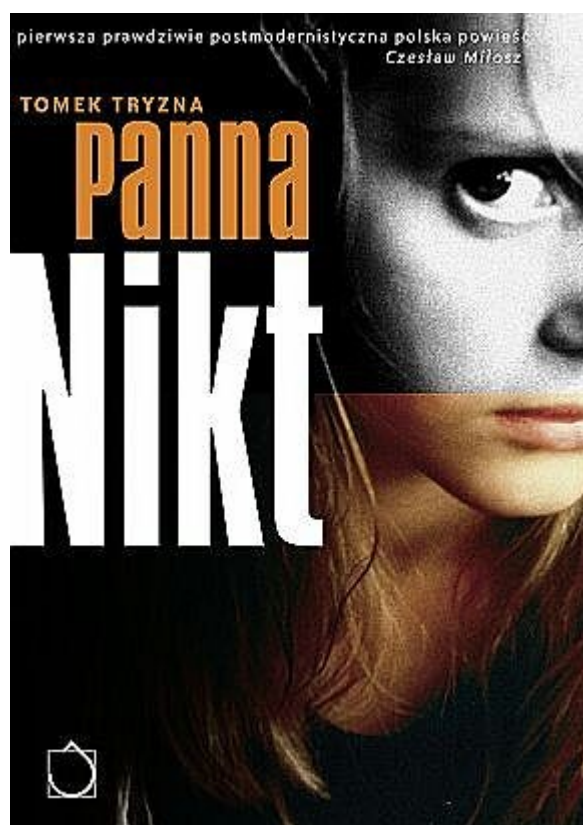


Tomek Tryzna

Panna Nikt



*"Spójrz Ojczy:
Ścigana przez zło, na ziemi,
Z dala od twego tchnienia błądzi na próżno,
Sztuka ucieczki przed gorzkim chaosem
i nie wie, jak go pokonać..."*
Hipolit

KSIĘGA PIERWSZA

I

Idę za mamusią i zasypuję motyką dołki z połówkami kartofli. Mamusia jest dobra. Nigdy mi nic nie powie, jak źle zasypię, tylko spojrzy i ja od razu wiem, że trzeba poprawić. Ziemia jest miękka. To tata ją spulchnił łopatą. Teraz robi przy ogrodzeniu, a za nim łązi Tadziu. To mój młodszy brat, ma dziesięć lat. Jest fajnym, wesołym chłopcem. Ciągłe chce się ze mną brać na rękę, ale ja go zawsze kładę. Potem się drze, że oszukuję, a ja właśnie nie oszukuję i dlatego się drze. Może kiedyś powinnam mu się poddać, ale cóż, nie wolno oszukiwać. Bardzo go lubię. Opiekowałam się nim, gdy był jeszcze całkiem mały. Zmieniałam mu pieluchy i karmiłam smoczką. Teraz opiekuję się Zenusiem. Zenuś ciągle śpi, a jak nie śpi, to płacze, albo się śmieje. Pachnie słodko. Jest wiosna. Cały dzień słońeczko ślicznie pali. W tej chwili już nie tak mocno, bo jest nisko. Nasz kawałeczek pola przylega do lasu. Las jest ciemnozielony, a pole całe ciemnoszare. Jak wyrosną kartofle, też będzie tu zielono. A ja od rana jakbym coś miała w brzuchu. Wczoraj też, ale mniej. Ktoś piszczy. Patrzę, to Zosia. Ucieka, a Tadziu ją goni. Zosia to moja siostra. Jest jeszcze Krysia. Są bliźniaczkami, mają po pięć lat. Ciągłe skaczą przez gumę. Ja też kiedyś skakałam przez gumę, ale teraz nie skaczę, bo nie wypada. A to co? Tadziu podchodzi do wózka Zenusia i macha nad nim glizdą. Niedaleko stoi Zosia. Słyszę stąd, jak mówi:

- Ty, daj mu. Zobaczymy, czy zje.

- Jeszcze za mały, żeby mięso zryć - mówi Tadziu. Ojej, zapatrzyłam się, zasłuchałam, a mamusia już tak daleko. To ja za nią, dołki szybko zasypuję. Ciach ciach i następny. Ciach ciach, ciach ciach. Koło mnie przebiega Tadziu. Wrzeszcząc: - Gol! Gol! - przeskakuje przez drut ogrodzenia i biegnie na pagórek. Patrzę za nim, a brzuch tak strasznie zaczyna mnie boleć, że aż nie wiem, co mam zrobić. Może to skręt kiszek? I naraz mi przechodzi. Dzięki Bogu. Po niebie lata ptak. Niebo jest niebieskie, ptak biały. Tadziu mierzy do niego z kijka, strzela. Pif, paf! A ptak lata i lata. Piękna jest przyroda, gdy świeci słońce. Pod warunkiem, że nie świeci w oczy. I znów się zapatrzyłam, i znów mamusia daleko. To ja za motykę, doganiam ją, a tu mamusia stoi wyprostowana i mówi do mnie:

- Marysia, słyszysz?

- Co?

- A to.

Rzeczywiście. Zenuś cicho popłakuje. Na pewno się złał. Kładę motykę i idę do wózka, który stoi przy lesie, w cieniu drzew. Ale Zenuś śpi. Wkładam rękę pod pieluchę. Sucho. Może zakwilił przez sen, może mu się coś przyśniło? No nic, już mam wracać, a tu mi nagle w brzuchu jakby się coś skręciło i zaraz rozkręciło. Aż usiadłam. Siedzę i kulę się, bo boli. Coś bardzo dziwnego w tym moim brzuchu się robi. Może połknęłam razem z wodą kijankę i teraz zrobiła się żaba? Może jest głodna i gryzie mnie w żołądek? Uderzam się ręką po brzuchu, może to ją odstraszy. Pogryzła sobie jeszcze trochę i przestała. Już mnie nie boli. Siedzę na trawie, wokół stokrotki. Trochę bym nazrywała, byłby wianek, ale trzeba iść, dołki zasypywać. Już mam wstać, gdy słyszę krzyk. Odwracam się, patrzę, może to Zosia, a może Krysia, ale nie, skaczą przez gumę przy drzewku. To krzyczy ktoś w głębi lasu. Jakby dziewczyna, bo cienki krzyk. Wstaję i podchodzę do drzew. Trochę się boję, a

trochę jestem ciekawa.

Jestem w lesie. Drzewa rosną gęsto, jest ciemno, słońce tu nie dochodzi. Brzęk jakiś słyszę, daleko. Co to może być? Przedzieram się przez krzaki, jestem już na wąskiej ścieżce. Słyszę jakby kwik, jakby rzenie. Tupot jakiś. Patrę, karetę wielką, całą czarną, w srebrne gwiazdki, w cztery czarne konie zaprzężoną. Prosto na mnie jedzie. Koniom z pysków piana bucha. Uskakuję, przyklejam się do drzewa. W oknie karety widzę śliczną buzię dziewczynki. Ma chyba tyle samo lat, co ja, złotą suknię i diadem na główce szczerozłoty, wysadzany diamentami. Zauważyła mnie, krzyknąć coś chce, a tu nagle ręka czarna, strasza się wyłania, spada na usteczka różane. I przejechała karetą. Z tyłu dwie małpy ohydne, włochate siedziały w smokingach, zębiska szczyrzyły, łapska do mnie wyciągały, ale ja skuliłam się i nie dosięgły. Już ich nie ma. Cicho jest. Na ścieżce coś błyszczący. Przykucam. Diament tu leży, z diadem dziewczynki chyba wypadł. A może z pierścionka? Może mi go rzuciła, żebym miała na pamiątkę, żebym nie zapomniała. Jaki piękny. Jakby się całe słońce do niego schowało i błyszczowało. Kładę go na dłoni i podziwiam. Ktoś jęczy. Jęk dobiega z tej strony, skąd karetą przyjechała. Idę ścieżką, diament w ręce ściskam i coraz bardziej się boję, co też tam zobaczę, bo jęk coraz głośniejszy słychać. Wreszcie dochodzę do tego miejsca, skąd jęk. Leży tu i jęczy młody jakiś kawaler. W brzuch ma wbity dzidę. Nie może wstać, bo dzida go do ziemi przyszpila. Wokół jego buzi rozsypane złote loki pięknie ufryzowane. Ma na sobie czerwony kaftan wyszywany złotem i żółte rajtuzki i piękne, czerwone buty. Obok leży szpada złamana i kapelusz z piórami. Och, jak go musi strasznie boleć. Trzymając się dzidy, wygina ciało, jakby chciał się po tej dzi... wspiąć. Zobaczył mnie. Prosi żałośnie:

- Dziewczynko, pomóż mi. Wyrwij to ze mnie, sam nie dam rady. Proszę cię, wyrwij...

Chciałabym mu pomóc, ale nie mogę. Nie wiem dlaczego, nie mogę się ruszyć. No nie mogę się ruszyć. Tak mi wstyd, bo on może myśli, że nie chcę mu pomóc, że jestem zła. Ale jak mam pomóc, jak nie mogę się ruszyć? Chcę mu to powiedzieć, ale i ustami nie mogę poruszać. A on coraz boleśniej:

- Dziewczynko, błagam, wyrwij to ze mnie, złap i wyrwij! Złap i wyrwij! Złap i wyrwij! Dziewczynko, złap i wyrwij!

A ja nic nie mogę, nic, dosłownie nic, nic a nic, tylko zamknąć oczy mogę, chociaż to mogę zrobić. Otwieram je, gdy jest już cicho. Widzę, jak kawaler wspina się po drzewcu, cały w łuk wygięty. Dzida przechyla się i kawaler upada na bok. Z ziemi wyskakuje błyszczące ostrze. Już nie jęczy kawaler, nie żyje. Spod niego, wolniutko, wypływa czerwona strużka. Płyne ścieżką, do moich bosych stóp dopływa. Stoję w kałuży krwi i nie mogę się ruszyć. Czerwone strumyczki jak żmijki wspinają się po moich nogach, do góry. Jakaś śmieszna dziewczynka stoi w lesie i krzyczy rozpaczliwie. To ja jestem tą dziewczynką. Krzyczę:

- Mamusiu!

Odpływa szosa. Tadzium gonął za nami, ale się zmęczył. Mamusia pedałuje, a ja siedzę w przyczepce, na workach po sadzeniakach. O, jedzie samochód. Jest coraz bliżej. W środku pan i pani. Popatrzyli na mnie i przejechali. Słońce świeci z mojej lewej strony, nisko. A z prawej mojej strony, na szosie, widać cienie roweru, przyczepki, mamusi i mój. Głowa mamusi miga po pniach drzew na drodze. To czereśnie.

Leżę w łóżku, w majtkach mam pełno waty i wcale nie chce mi się spać. Aż do dzisiaj byłam małą dziewczynką. Może właśnie dlatego jestem taka wysoka, najwyższa z całej rodziny. Mam sto sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu. Po mnie idzie tata, metr pięćdziesiąt pięć. Za nim mamusia, równo półtora metra. Potem Tadzium i dziewczynki. No i na końcu Zenuś. Tata jest chudy, ale

silny, silniejszy od mamusi, chociaż waży o połowę mniej. Mamusia jest bardzo tłusta, tata gada, że jak beczka od piwa. Mamusia mówi, że jak narodzę tyle dzieci co ona, to też taka będę. A nasz sąsiad z baraku, pan Krzysiek, ma około stu dziewięćdziesięciu centymetrów i jak stoją z tatą przy płocie i popijają piwo, to mamusia śmieje się i mówi: - Zobacz Marysiu, ale się parka dobrała do chłania, nie ma co.

Pan Krzysiek lubi sobie wypić. Tata też, ale mówi, że w robocie nie pije, bo jakby pił, to już by dawno z dachu spadł. Bo tata układa dachówki na dachach. Dawniej to układał przez cały dzień, ale teraz, gdzieś tak od trzech lat, robi w kopalni węgla kamiennego w Wałbrzychu, a dachówki układa tylko po południu, jak wyjdzie z kopalni. To właśnie dzięki kopalni dostaliśmy nowe mieszkanie w Wałbrzychu, na osiedlu Piaskowa Góra. Jeszcze w nim nie byłam. Za to mamusia była i opowiadała, że jest bardzo ładne, że są tam aż trzy pokoje. Jeden duży i dwa malutkie. I kuchnia, i łazienka, i osobno ubikacja, z czego mamusia bardzo się cieszy, bo jak ktoś będzie chciał się załatwić, to nie będzie przeszkadzał temu, kto akurat będzie się mył. U nas w baraku jest niby to samo, bo budka z serduszkami jest koło porzeczek, a pompa po drugiej stronie, przy komórkach. Tacie najbardziej żal zostawiać króliki. Mamusi też. Ale jeśli chodzi o mnie, to ja bardzo się cieszę, że na nowym mieszkaniu nie będziemy trzymać królików. Już nie będzie tata ich zabijać. Mruczka też nie weźmiemy z sobą, bo koty przyzwyczajają się do miejsca, a zresztą mamusia mówi, że i tak by go nie zabrała, boby jeszcze jej nasikał w nowym mieszkaniu. Pani Kamińska będzie go karmić. No i zupełnie jeszcze nie wiadomo, co będzie ze szkołą. Do końca podstawówki mam niecałe trzy miesiące. Tadek tyle samo, ale do końca trzeciej klasy. Do tej pory chodziliśmy do szkoły w Krzeszowie, to tylko trzy kilometry, ale teraz... Co będzie teraz? Od nas do Wałbrzycha jest dwadzieścia kilometrów i nie ma bezpośredniego połączenia. Tata jeździ do kopalni rowerem, ale jest dorosły. Inna sprawa, że i tak nie mamy więcej rowerów, tylko ten taty. To tata powiedział, żebyśmy się przeprowadzili do Wałbrzycha dopiero na wakacje, ale mamusia powiedziała, że musimy natychmiast, bo jeszcze jacyś dzicy lokatorzy wywalą nam siekierą drzwi do nowego mieszkania i się włamią. My przyjeżdżamy, a oni już tam mieszkają, i nie chcą nas wypuścić. Wtedy tata zaproponował, że zamieszka tam na razie sam, a reszta rodziny doszłusuje, jak się skończy rok szkolny. Ale mamusia wie swoje. Zaraz by się koleżki taty zwiedzieli i by sobie urządzili melinę do popijania i do urzędowania z chorymi wenerycznie kobietami.

Tak więc stanęło na tym, że w poniedziałek po robocie tata pójdzie do szkoły w Wałbrzychu i nas zapisze. Żeby tylko nas przyjęli. Może nas nie zechcą na koniec roku? Ale chyba tata im wytłumaczy i powie o tych dzikich lokatorach? Już tam stoją nasze nowe meble. Mebłościanka i wersalka. Jeszcze ich nie widziałam, bo były w komórcy, zapakowane w tektury i folię. Przedwczoraj tata z panem Krzyśkiem zawiózł je do Wałbrzycha ciężarówką. Bardzo jestem ciekawa, jak to mieszkanie wygląda. W jednym pokoju będę mieszkać ja z dziewczynkami, w drugim tata z Tadekiem, a mamusia z Zenusiem w trzecim. Albo dziewczynki w jednym, ja z Tadekiem w drugim, a w trzecim mamusia, Zenuś i tata. Jeszcze się mamusia nie zdecydowała. Raz mówi tak, raz inaczej, a innym razem zupełnie inaczej. Tata się wtedy śmieje i mówi: - Osiołkowi w żłoby dano. - No bo rzeczywiście. Tutaj się mieścimy w pokoju z kuchenką, to tam nie mielibyśmy się pomieścić w aż trzech pokojach z kuchnią i przedpokojem? Ale będzie dużo miejsca do latania.

Tak sobie leżę, nagle patrzę: znów mam palec w ustach. Faj. Jak się tylko zapomnę, to wsadzam do buzi palec, kciuk prawej ręki, i go ssę, jakby to był smoczek. Wszyscy się ze mnie śmieją, że taka duża dziewczynka, a ssie palec. Ciągle sobie postanawiam, że już

nigdy, aż tu patrzę, znów mam go w buzi. Zosia i Krysia, takie małe, a nie ssą palców. Tata mówi, że mi go posmaruje kocim gównem, to się kiedyś przejadę. Mamusia każe mi co rano pokazywać palec i jak jest biały i czysty, to krzyczy, że cysiałam. To ja zawsze mocno myję wszystkie palce wieczorem, żeby rano nie można było poznać różnicy, ale i tak zawsze widać, że ten wyssany.

Ojej.

Słoneczko już zaszło, a moich jeszcze nie ma. Tak dużo było tych kartofli do sadzenia, a ja się wyleguję i nic nie pomagam. Na pewno zamiast mnie dołki zasypuje Tadius. Żeby tylko dobrze zasypywał. - O, tutaj źle zasypałeś! I tu! - Że też mamusia tego nie widzi. - Oj, bo ją zaraz zawołam i pokażę, jak ty zasypałeś! - A Tadius tylko się śmieje i pokazuje mi język. Przyjeżdżamy na jesień, żeby zebrać, a tu ani jednego kartofla. Bo były źle zasypane. No nie, te, które ja zasypywałam, to są. - Zobacz Tadius - mówię - tak się zasypuje. - Biorę motykę i pokazuję mu. Patrzę, a Tadius stoi już na pagórku i strzela do nas z patyka. Tratatata! Leżę zabita na łące, a koło mnie siedzi ptak. Jest biały i niewyraźny. Pytam go: - Co chciałeś? - Coś ma w dziobku. Wypluwa to i odlatuje. To coś się świeci. Wyciągam rękę. Światelko ucieka, zagrzebuje się w ziemię. To ja za nim. Na czworakach pełnę krecim korytarzem. Coraz głębiej w ciemność, pod ziemię. O, znów widzę światelko. Ktoś strasznie chrapie. To tutaj, w pokoiku rodziny kretów, chrapie na leżance tata kret. Mamusia kret myje sobie nad miską futerko. A tam dziewczynka kret ssie przez sen łapkę. Stoją przy niej dwa malutkie kreciątko i rozmawiają cichutko.

- Coś mi mówi, że ona niedługo umrze.

- Coś ty, po co miałyby umierać?

- Babcia umarła i co? Po nic.

- Była stara.

- A Marysię wąż ugryzł.

- Ale Tadius go nie znalazł.

- Bo ugryzł i uciekł.

Głuptaski. Nic nie wiedzą, że ich starsza siostrzyczka stała się właśnie kobietą. Jestem teraz jak mamusia. To Pan Bóg tak urządził z kobietami, żeby mogły rodzić dzieci, żeby ludzkość nie umarła. Ja też kiedyś urodzę dzieci. Chłopca i dziewczynkę. Chłopczyk będzie miał na imię Pawełek a dziewczynka Zuzanna.

Jest poniedziałek, godzina siódma dwadzieścia siedem. Nie, to niemożliwe, przecież jest środa, to tylko zegarek tak pokazuje. Dostałam go w tamtym roku na imieniny od ojca chrzestnego. Już któryś raz pokazuje nie ten dzień, co trzeba. Ale jeśli chodzi o godziny i minuty, to jeszcze nigdy się nie pomylił. Stoję na przystanku i czekam na autobus numer osiem. Wokół pełno ludzi. Też czekają. Niektórzy mają parasole, bo pada deszcz. Ja mam na sobie płaszcz z przezroczystej folii z kapturkiem. Jest dosyć ciepło i przyjemnie, tylko w nogi trochę mokro. To była pierwsza noc spędzona przez nas w nowym mieszkaniu. Mamusia powiedziała wieczorem, żeby zapamiętać, co się komu przyśni, bo sny na nowym miejscu zawsze się sprawdzają. Jej śniło się, że się kłóciła z panią Kamińską z naszego starego baraku w Jawiszowie, co jest bardzo dziwne, bo przecież już nigdy tam nie wrócimy. Zosi śniła się kura, a Krysi, że jadła kaszę na mleku z cukrem i malinami. Tadiusowi nic się nie śniło, ale jemu nigdy nic się nie śni. A mnie coś się śniło, coś bardzo pięknego, tylko że teraz to już nie wiem, co to było, bo jak się obudziłam, to chciałam jeszcze pospać, żeby mi się to jeszcze trochę pośniło, ale gdy się znów obudziłam, to okazało się, że już nic z tamtego snu nie pamiętam. Coś, że... nie, nie pamiętam. Szkoda, bo to było coś naprawdę pięknego...

A co śniło się tacie, to nie wiadomo, bo wyszedł do roboty, jak wszyscy jeszcze spali. Już za piętnaście ósma. Jadę autobusem i strasznie się denerwuję, bo się boję, że się spóźnię do szkoły.

- Przepraszam bardzo - mówię. - Jadę na ulicę Marii Konopnickiej. To gdzie mam wysiąść?

- Nie wiem - odpowiada pani. Moje pytanie usłyszała inna pani i mówi tak: - Na następnym przystanku, zaraz po tym, co będzie teraz.

- Dziękuję pani bardzo - mówię. Uśmiecham się do niej i dygam. Pani też się do mnie uśmiecha. Autobus zatrzymuje się. Jedni ludzie wysiadają, inni wsiadają. Drzwi zamykają się z sykiem. Podchodzę do nich bliżej. Znowu jedziemy. Coś na mnie chlapnęło. To na pewno z czyjegoś parasola. Jeszcze trzy sekundy i za dwanaście ósma. Nie wiem, może zdążę. Wszystko dlatego, że nie chodzę do tej samej szkoły co Tadziu, który dostał się do szkoły na naszym osiedlu. Ale tam w ósmych klasach jest przeładowanie dzieci, więc dla mnie sztygar taty, który jest w komitecie rodzicielskim, załatwił miejsce w szkole numer trzy w śródmieściu. Mówił tacie, że to najlepsza podstawówka w całym Wałbrzychu. Od dzisiaj będę uczęszczać do klasy Ósmej A. Jestem bardzo ciekawa nowych koleżanek i nowych kolegów. Jak chodziłam do szkoły w Krzeszowie, to nie miałam żadnej bliskiej koleżanki. Tylko raz miałam, w piątej klasie, ale ona wyjechała z rodzicami do Kanady i nigdy mi nie przysłała pocztówki, chociaż obiecała. Autobus zwalnia, staje. Drzwi otwierają się, wyskakują. Prosto w kałużę. Tylko ja tutaj wysiadłam. Ulicą idzie jakaś pani.

- Przepraszam bardzo - mówię - gdzie jest ulica Marii Konopnickiej?

Pani pokazuje palcem na drugą stronę jezdni. Lecę na drugą stronę i dopiero jak jestem na chodniku, przypominam sobie, że zapomniałam podziękować. O, jest ulica Marii Konopnickiej. Idą chłopcy z teczkami. Biegnę za nimi.

- Przepraszam - mówię zdyszana - czy idziecie do szkoły numer trzy?

Jeden z nich śmieje się i mówi: - Co ty, chora? My idziemy na wagary.

- To gdzie jest szkoła numer trzy?

Chłopaki pokazują tam, skąd przybiegłam. Więc mówię:

- Ale to przecież tu jest ulica Marii Konopnickiej.

- Tam też jest Konopnickiej - mówią. - Trzy kilometry i będziesz w szkole.

To ja biegiem z powrotem. Za sześć ósma, nie zdążę. Przebiegam przez jezdnię, rozglądam się... nie ma ulicy Konopnickiej. Tylko plac rozkopany cały w kałużach. Na pewno dalszy ciąg ulicy jest za placem. Idę, wszędzie błoto. Żeby się tylko nie przewrócić. Nie przejdę, chyba trzeba naokoło. Ulicą idą akurat dziewczynki z tornistrami i parasolkami. Krzyczę:

- Dziewczynki! Nie wiecie, gdzie jest szkoła numer trzy?

- My idziemy do szkoły numer trzy!

Idą i wcale się nie spieszą. Wycofuję się z tego błota i dołączam do nich. Razem przechodzimy przez jezdnię i idziemy właśnie w tym kierunku, gdzie poszli tamci chłopcy, co mówili, że idą na wagary.

- Do której klasy chodzicie? - pytam dziewczynkę.

- Do trzeciej - mówią.

- To tak, jak mój brat - mówię.

- A ja chodzę do czwartej - mówi jedna z nich.

- Dobrze się uczycie? - pytam.

- Ja się uczę najlepiej - mówi ta z czerwonymi kokardkami i z czerwoną parasolką. - Mam odznakę wzorowej uczennicy.

- Ja też mam odznakę - mówi druga.

- Ale dostałaś wczoraj czwórkę - mówi ta z kokardkami. Dochodzimy do gmachu szkoły. Jest bardzo duży i pełno na nim wyrzeźbionych figur. Dziewczynki pobiegły, została przy mnie jedna.

- Ja miałam odznakę wzorowej uczennicy w tamtym roku - mówi. - A w tym roku umarł mój tatuś i już nie dostałam.

Wchodzimy do środka. Jaka duża ta szkoła, o, i jest nawet szatnia,

ale ja nie wiem co i jak, więc kucam w kącie, wyjmuję kaptcie, zakładam na nogi, a ubłocone buciki zawijam w płaszczyk z folii i chowam do teczek. Dzwoni dzwonek. Podbiegam do pani, która krzyczy na dzieci, żeby szybciej się związały.

- Dzień dobry - mówię. - Gdzie jest klasa ósma A?

- A ty skąd się urwałaś? - dziwi się pani.

- Ja chodziłam do szkoły w Krzeszowie, ale teraz dostaliśmy mieszkanie we Wałbrzychu...

- Leć na drugie piętro - mówi pani. To lecę. To już tu. Tyle tu korytarzy. Tam lecieć, czy tam? A może tam?

Siedzę w ostatniej ławce, w rzędzie pod ścianą. Nie wiem, jakie zeszyty wyjąć, bo nie wiem, jaka to lekcja. Mam gorące policzki i sucho w ustach.

Jak wpadłam do klasy, to zderzyłam się z jakimś chłopakiem.

Przewróciliśmy się, on i ja. Wstaję, biorę teczkę, on siedzi na podłodze i maca się po zębach. To ja mówię: - Bardzo cię przepraszam. - A on: - Spierdalaj! - I wszyscy w śmiech. To idę do pustej ławki i siadam.

A ktoś mówi: - Mała, ty się chyba pomyliłaś. - Podnoszę głowę, stoi nade mną jakaś dziewczynka. - Tu siedzi Bogusia - mówi. - Nie ma cię. - Wstaję, ona siada. Stoję, rozglądam się. Mówię: - Czy jest tu gdzieś jakieś wolne miejsce? - Tu jest wolne - słyszę.

Patrzę, to powiedział taki gruby, czerwony na twarzy. Pokazuje miejsce obok siebie. To siadam obok niego. A ten chłopak, z którym się zderzyłam, wstaje z podłogi, podchodzi do mnie, pac mnie dłonią w czoło i mówi: - Chwileczka, ja tu siedzę. - Wstaję, on siada. - Co ty, gruby - mówi - na podryw cię zebrało? - Gruby się śmieje, inni też. Jakaś dziewczynka mówi: - Zobaczcie, jakie ma modne rajstopy. W ciapki!

Patrzę na moje nogi, rajstopy całe zachlapane. To wtedy, jak wpadłam w kałużę. Stoję i nie wiem, co mam zrobić. Wszyscy na mnie patrzą. - Słuchaj - ktoś mówi - tam na końcu jest wolna ławka.

Poszłam tam i usiadłam.

No i siedzę. Jest już nauczyciel, całkiem młody pan. Coś czyta i ziewa. W klasie jest dosyć cicho. Jedna z dziewczynek podnosi do góry palec... Chrząka. Pan unosi głowę i patrzy na nią.

- Co - mówi - tak od razu do ubikacji?

- Nie - mówi ona - tylko że tu siedzi jakaś obca dziewczynka. - I pokazuje palcem na mnie. To ja wstaję.

- Co tu robisz? - pyta pan.

- Ja tu jestem zapisana.

- Nic o tym nie wiem.

- Tata mnie zapisał - mówię. - Powiedział, że mam iść do szkoły numer trzy przy ulicy Marii Konopnickiej. Do klasy ósmej A.

- Co mówisz? - pyta pan, zwiija dłoń i przystawia ją sobie do ucha.

- Głośniej!

Wszyscy się śmieją. Mam tak sucho w ustach, że już nic nie mogę powiedzieć.

- Chodź bliżej - mówi pan - siadaj koło Klaudivii!

Biorę teczkę i rozglądam się, gdzie mam usiąść. Naraz wstaje ta dziewczynka, co mnie wcześniej wygoniła ze swojej ławki, i mówi: -

Ale proszę pana, koło mnie siedzi Bogusia!

- To czemu ja jej tu nie widzę?

- A bo jest w szpitalu.

- Odpowiedz mi Klaudivia na takie pytanie - mówi pan. - Jak ktoś, kto leży w szpitalu, może jednocześnie siedzieć koło ciebie?

- Ale to jest jej miejsce - mówi Klaudivia.

- To było jej miejsce - mówi pan. - Było! Teraz jej miejsce jest w szpitalu. Kapewu?

Pan spogląda na mnie i mówi: - A ty siadaj koło Klaudivii i nie zwracajcie mi więcej głowy, jak nie chcecie leżeć razem z Bogusią w szpitalu. No co, na co czekasz?

Podchodzę i siadam na miejscu Bogusi. Klaudivia odsuwa się do

ściany. - Przepraszam - mówię do niej szeptem. - Jaka jest teraz lekcja? - Nie odpowiada. Rozglądam się, bo może gdzieś na ławkach leżą książki albo zeszyty, to bym się zorientowała, ale nigdzie nie leży. Pan otworzył dziennik i przewraca kartki. Siedząca przede mną dziewczynka odwraca się, spogląda na mnie. Ma duże, czarne oczy i czarne, lśniące, krótko ostrzyżone włosy. Jest bardzo ładna. Mówi cicho do Klaudii:

- Nie przedstawiś mnie swojej nowej koleżance?

Klaudia wzrusza ramionami, prychna, nie odpowiada. Czarna dziewczynka uśmiecha się do mnie i mówi:

- Mam na imię Ewa. A ty?

- Marysia - mówię i też się uśmiecham.

- Śliczne imię - mówi Ewa. - Skąd przyjechałaś? Na pewno z Paryża. Zgadłam?

- Nie - mówię. - Ja mieszkałam dwadzieścia kilometrów stąd, a teraz dostaliśmy nowe mieszkanie we Wałbrzychu... No i... - Nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

- We Wałbrzychu - Ewa powtarza powoli moje słowa i ma taką minę, jakby właśnie jadła coś smacznego. - Hm, bo wiesz, masz tak śliczną sukienkę, że byłam pewna, że prosto z Paryża.

Wyciąga rękę i bierze w palce materiał mojego rękawa. To prawda. Mam bardzo ładną sukienkę. Pani Kamińska dostała ją w paczce, sprzedała mojej mamusi, a pani Marysia, żona pana Krzyśka, mi ją zwęziła. Uśmiecham się do Ewy i mówię:

- Możliwe, że z Paryża, bo to z paczki.

A tu buch! Pan walnął ręką w stół. Patrzy na nas i mówi: - A to co? Lekcja czy ploteczki?

- Jak na razie ploteczki - odpowiada Ewa. - Właśnie mieliśmy na tapecie naszą słynną pocztę polską. Bo tu nowa koleżanka dostała sukienkę w paczce z Paryża. Tylko że ta paczka, sądząc po fasonie, musiała przeleżeć na poczcie co najmniej dziesięć lat.

Dziewczynki chichoczą. Pan podnosi palec.

- Tu się nie ma z czego śmiać - mówi. - Dziwne rzeczy dzieją się w tym kraju, rzeczy, o jakich nie śniło się filozofom i innym filomatom. Wyobraźcie sobie... a zresztą tu nie ma nic do wyobrażania, to są fakty. Otóż zeszłego roku dostałem od kuzyna z Australii paczkę. Rozpakowałem, w środku różne tam różności, wiadomo. Między innymi jakiś malutki, super elegancki słoiczek z elegancką pokryweczką w kolorową kratkę. Co to może być? Żona po angielsku perfekt, mówi, że dżem malinowy. No, kurde, myślę sobie, chociaż raz w życiu najem się dżemu malinowego z Australii, chociaż nawet nie wiadomo, czy tam maliny rosną... Odkręcam pokrywkę, zaglądam, a dżem do połowy wyjedzony i jeszcze ślady paluchów widać.

Pan śmieje się, klasa mu wtóruje.

- A mojemu tacie - mówi jakiś chłopak - też przysłali paczkę, z Ameryki. W liście było napisane, że przysłał dwanaście par slipów męskich, a w paczce nie było ani jednej pary.

- A to się tata zdziwił - mówi pan. - Też bym się zdziwił.

- A myśmy z Erefenu dostali paczkę na święta miesiąc po świętach i wszystko było zgnite!

- To tak, jak my!

- A nam wujek z Kanady przysłał paczkę z odzieżą, ale w środku nie było żadnej odzieży, tylko stare palto i to polskie, bo na metce pisało Mińsk Mazowiecki.

- Cicho już, cicho - mówi pan. - Jakby tak wszyscy zaczęli wyliczać, kto czego nie dostał, albo kto co dostał, to do śmierci byśmy się nie wyrobili.

Pan przeciąga się, ziewa. Spogląda w stronę okna i mówi: - A to się rozpadało. No i co tu chłopaki robić?

Patrzy teraz na mnie, kiwa palcem.

- Chodź nowa do tablicy, będziemy cię spowiadać.

Wstaje i podchodzi do tablicy. Biorę krede. Klasa w śmiech. Pan

też.

- Masz zamiar coś rysować? - pyta.

- Mogę narysować - mówię cicho. Znow się śmieją, ciągle się ze mnie śmieją.

- Cicho - mówi pan. I do mnie: - Co będziesz rysować? Wzruszam ramionami. Skąd mam wiedzieć, co? Nie wiem.

- Jak nie chcesz - mówi pan - to nie rysuj. Nikt ci nie każe rysować. Tylko po co ci ta kreda?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Kładę kredę z powrotem na listewce pod tablicą.

- Lepiej nam powiedz, jak się nazywasz - mówi pan.

- Nazywam się Maria Kawczak.

- Ale jaja - mówi ktoś i klasa w śmiech. - To nas Kawczak zrobił w balona - mówi ktoś inny - to przecież jego siostra.

- To wcale nie moja siostra - mówi ten chłopak, na którego wpadłam. - Ja jej w ogóle nie znam. Mało to Kawczaków na świecie?

- A najwięcej w Sru Lance - piszczy ktoś cienko. Znow się wszyscy śmieją. Buch, pan walnął ręką w stolik. Robi się cicho.

- Przypominam obywatelom i obywatelkom, że to szkoła, a nie cyrk - mówi pan, i do mnie: - Ile miałś na sześćdziesiąt?

Nic nie mówię. Nie wiem, o co się pyta.

- Do jakiej szkoły chodziłaś? - pyta pan.

- Do szkoły podstawowej w Krzeszowie - mówię.

- To co, nie biegało się u was?

- Biegało.

- Czasu nikt nie mierzył?

- Nie wiem.

W klasie cicho. Pan też nic nie mówi. Wszyscy patrzą na mnie. Stoję i tylko w głowie zaczyna mi coś szumieć. I coraz głośniejszumi. Pan kiwa głową.

- No tak - mówi. - A wżwyż skakałaś?

- Skakałam - mówię.

- Ile skoczyłaś?

- Nie pamiętam.

- To pokaż ręką - mówi pan. Podnosi rękę i zatrzymuje ją na wysokości mojej głowy. - Tyle?

- Tyle nie - mówię.

- To może tyle? - Pan wychyla się zza stolika i dotyka palcami podłogi. Wszędzie chichoty. Stoję, o niczym nie umiem pomyśleć.

Coś mi ktoś, coś mi coś do ucha jakby mówi, jakby brzęczy, ale kto, ale co... skąd mam wiedzieć, jak tak szumi i brzęczy.

- No pokaż ręką - mówi pan. - Nie umiesz ręki wyciągnąć?

Pewno, że umiem. Wyciągam. Na stoliku u pana długa linijka leży, zaraz mnie nią po łapie walnie, zaraz weźmie i walnie. Jejku, zaraz mnie walnie. Lepiej, żeby nie wstawał, nie wypada, żeby pan do mnie podchodził, sama powinnam podejść. Podchodzę, dłoń wierzchem do dołu, spodem do góry obracam. Czemu wszyscy się śmieją, czemu pan linijki nie bierze, chociaż czekam i czekam, i tylko ręka trochę mi drży...

Słyszę płacz, ktoś się w klasie rozplakał. To nie ja, pan odwraca się ode mnie, gdzie indziej patrzy. Wszyscy patrzą tam, gdzie pan patrzy. To ja też tam patrzę. W ławce, w środkowym rzędzie, jakaś dziewczynka okropnie szlocha.

- Co się stało? - pyta pan. Nikt nie wie. - Kasiu, co ci się stało? - pyta pan głośniejsz.

Dziewczynka szlocha z twarzą w dłoniach schowaną. I tylko jej włosy widać. Jaśniutkie, poskręcane w loki. Długie, pełno ich wszędzie wokół niej. Nagle dziewczynka wstaje. Upada z traskiem krzesło. Ona bierze torbę, do nas idzie, do pana i do mnie. Mija nas, ciągle płacząc. Mignęły jej oczy, na mnie popatrzyły. Jakby znajome, kiedyś je widziałam? Ale chyba nie naprawdę, chyba na obrazku... A może mi się kiedyś śniły?

Ona do drzwi idzie szybko, spódnicę ma do samej podłogi, szeroką,

kolorową jak u Cyganki, jak u wróżki. Włosami, chustą czarną w żółte kwiaty w powietrzu powiewa. Ramiona otula nią, drzwi trach, już jej nie ma.

Nikt się długo nie odzywa. Dopiero pan, do mnie:

- A ty co tu stoisz? Siadaj.

Idę do ławki, siadam.

- Co to jej się mogło stać? - mówi pan.

- Wiadomo - mówi ta czarna dziewczynka, co siedzi przede mną, Ewa.

I puka się palcem w czoło. Pan wzdycha.

- No dobra - mówi - koniec wygłupów, czas na lekcję. Wstawać!

Wszyscy wstają, ja też.

- Stanąc obok ławek - mówi pan - i uwaga... przysiad, ręce do góry, wyprost, ręce w dół. Zaczynamy.

A teraz jest fizyka, ostatnia lekcja w tym dniu. Dostałam dwójkę, nic nie umiałam, wszystko z głowy wyleciało, pani wpisała mi uwagę do dzienniczka ucznia. W Krzeszowie z tego przedmiotu miałam piątkę.

To najstraszniejszy dzień w moim życiu. Na przerwach nikt się do mnie nie odzywa. Schodzę na pierwsze piętro i stoję przy oknie, a koło mnie latają dzieciaki z pierwszych klas. Nie wiem, co ze mną będzie w tej szkole. Klaudia odsuwa się ode mnie na koniec ławki. Słyszałam, jak mówiła do Magdy, że ktoś tu ma pchły. To na pewno o mnie. Co ja im zrobiłam? Widzą mnie przecież po raz pierwszy w życiu. Czy to wszystko dlatego, że na samym początku przewróciłam Kawczaka? Czy to dlatego, że tak brzydko do mnie powiedział? Po co ja się tak spieszyłam? No bo nie chciałam się spóźnić. Od jutra będę z domu wychodziła wcześniej, o siódmej. Skąd miałam wiedzieć że ten autobus tak długo nie będzie przyjeżdżał?

Rozmawiałam z panią wychowawczynią. Jest ładna i młoda. O wszystko mnie wypytywała. Dziwiła się, że zmieniłam szkołę na dwa miesiące przed końcem podstawówki. Powiedziałam, że to przez nowe mieszkanie i przez to, że mamusia boi się dzikich lokatorów. Wtedy pani się zaśmiała, pogłaskała mnie po głowie i poszła. Ona jest dobra. Gdyby uczyła fizyki, na pewno nie dostałabym tej dwójki. Pani od fizyki jest niecierpliwa i jak się jej szybko nie odpowie, to zaraz krzyczy, a jak ktoś na mnie krzyczy, to ja się zaraz zacinam. Pani od fizyki nazywa się Zelenow. A wychowawczyni uczy biologii i nazywa się pani Turska.

Wiem już też, jak ma na nazwisko dziewczynka, która siedzi przede mną, ta czarna, o imieniu Ewa. Nazywa się Bogdaj. A ten gruby, co mówi przez nos i siedzi w jednej ławce z Kawczakiem, nazywa się Ziębiński. A w pierwszej ławce od okna siedzi dziewczynka, która jest grubsza i wyższa nawet od Ziębińskiego. Ma piersi jak balony i ciągle goni na przerwach za jednym chłopcem, który ma na imię Zenek. Tak, jak nasz Zenuś. Gdy go złapie, wykręca mu ręce i znęca się nad nim. On się wrywa, próbuje ją kopnąć, ale ona jakoś zawsze uskoczy. Wszyscy nazywają ją Szkapa, ale ona się nie obraża, tylko ciągle goni Zenka. On jest niższy od niej o dwie głowy. Ma piskliwy głosik i krzyczy: - Odwal się Szkapa, bo tak cię kopnę, że pożałujesz! - Spróbuj - mówi ona i łapie go za szyję od tyłu.

W klasie jest dużo ładnych dziewczynek. Ładnie się też ubierają. Najczęściej noszą czarne rajstopy i wąskie spódniczki z dzinsu. Niektóre noszą krótkie, a niektóre długie, do pół łydki, z rozcięciem z tyłu.

Jednak najładniejszą dziewczynką jest Ewa Bogdaj.

Też nosi krótką, dzinsową spódniczkę i czarne rajstopy. I czarny, luźny sweter w duże oka. Jest pięknie opalona. Siedzi przede mną, więc ciągle na nią patrzę. Z tyłu też ładnie wygląda. Ciągle się kręci. Czasem widzę jej twarz z boku. Często gryzie dolną wargę. Lubię sobie przypominać, jak się do mnie uśmiechnęła, wtedy, na pierwszej lekcji. Ma piękny uśmiech.

Jest jakby nerwowa, ale gdy coś do kogoś mówi, to się zaraz

uspokaja. Cała nieruchomieje, tylko usta jej się ruszają. Lubi zakładać rękę za szyję. Gładzi się ciągle z tyłu, w miejscu, gdzie kończą się włosy. Jej paznokcie są długie i lśnią, jakby były pomalowane przezroczystą farbą. Na najmniejszym paznokciu ma naklejoną śliczną, złotą gwiazdkę. Nigdy nie widziałam takiej pięknej dziewczynki, chyba że w telewizji na jakimś filmie, albo na wyborach miss.

Od czasu, gdy pochwaliła moją sukienkę, już więcej się do mnie nie odezwała. Niekiedy się odwraca i szepcze o czymś z Klaudią. Klaudia jest wysoka i chuda. Ma długie, proste włosy i ciągle się garbi. Chodzi w dzinsach. Jak coś pisze, wysuwa z ust koniuszek języka. Ma bardzo ładny charakter pisma. Stąd widzę też, jak pisze Ewa Bogdaj. Szybko, ale niewyraźnie. Dziewczynka, która siedzi obok niej, ma na imię Magda. Ładna, pulchna buzia, dołeczki w policzkach i popielate włosy do ramion. Ona i Klaudia na przerwach chodzą wszędzie z Ewą. Ewa coś opowiada, a one się śmieją. Ewa chodzi tak, jakby tańczyła, jak baletnice w telewizji. Jest bardzo zgrabna, wcale nie wygląda na dziewczynkę, która chodzi jeszcze do szkoły podstawowej.

A ta dziewczynka, co się popłakała na pierwszej lekcji i już nie wróciła do klasy, nazywa się Bogdańska. Kasia Bogdańska. Zawsze przy sprawdzaniu obecności jako pierwsza wyczytywana jest Ewa Bogdaj, a zaraz po niej Bogdańska. I zawsze przy Bogdańskiej ktoś mówił, że nieobecna. A jak sprawdzała obecność wychowawczynie, to wstała Magda i powiedziała, że Kaśka uciekła z pierwszej lekcji. Pani powiedziała: - Znowu - i westchnęła. Wtedy Magda spojrzała na Ewę, a Ewa na Magdę i się uśmiechnęły.

Interferencja światła?

To Marlena Pyzik jąka się przy tablicy, chyba zaraz dostanie dwóję. Coś trąbi za oknem, to klakson samochodu. Cichnie, i znów trąbi. Pani Zelenow robi dziwną minę. - Bardzo ładnie - mówi do Marleny. - Siadaj.

Marlena wraca do ławki, a pani wstaje, bierze dziennik i mówi:

- Posiedźcie teraz cicho, zaraz będzie dzwonek.

Wychodzi. Zostaliśmy sami. Robi się coraz głośniejsze, wszyscy pakują książki i zeszyty, bo to przecież ostatnia lekcja. Jakis chłopak, chyba się nazywa Krempicki, woła od okna:

- Chłopaki, szybko, jej kochanek!

Po chwili prawie cała klasa tłoczy się przy oknach. Ktoś mówi:

- Kurwa, ale łysy.

Ewa wstaje, zarzuca torbę na plecy.

- Chodźcie - mówi do Magdy i Klaudii - co będziemy czekać.

Wychodzą. Cały rząd ławek pod ścianą został pusty. Tylko ja tu siedzę. Pod oknami zamieszanie. Chłopaki siłują się. Wyciągam z kieszeni lusterko, poprawiam włosy i chowam lusterko.

Zrobiło się ciepło, bo wyszło słończko. Wyschły wszystkie ulice.

Wieje mocny wiatr, ale ciepły. Już po drugiej. Chodzę sobie i zwiedzam Wałbrzych. Domy są zabytkowe, pełno na nich różnych wyrzeźbionych figur. A co piętro, to inne okna. Ulice są albo z góry, albo pod górę. I jest tu ogromny kościół. Byłam w środku zmówiłam po trzy razy Ojcze Nasz i Zdrowaś Mario, łaskiś pełna. Teraz jestem w rynku. Na samym środku stoi fontanna. Tryskająca woda błyszczy w słońcu.

Nagle, patrzę...

Na ławce, niedaleko fontanny, siedzi dziewczynka z mojej klasy, ta, co się popłakała, Kasia Bogdańska. Tak, to ona. Siedzi tyłem do mnie, ale poznaję ją po czarnej chustce w żółte kwiaty narzuconej na plecy i po włosach, które błyszczą w słońcu tak samo jak fontanna. Głowę ma pochyloną nad kolanami, chyba znów płacze. Podchodzę bliżej. Zatrzymuję się. Może to nie ona? Nie, to na pewno ona. Siądę koło niej, może jej ktoś z rodziny umarł. Mnie też umarła babcia, to wiem, jak to jest, gdy ktoś umrze. Też płakałam cały dzień. A może nie chce, żeby ktoś widział, że

placze? Ale przecież człowiekowi robi się źlej, gdy ma się komu wyzalić. Podejdę. A jak mnie nie pozna? To trudno, to odejdę.

Podchodzę, patrzę, ona wcale nie płacze. Jest pochylona, bo zapisuje coś w zeszytiku, leżącym na jej kolanach. Ale się wygłupiłam. Na szczęście nie widziała, że podchodzę. Już mam odejść, gdy ona podnosi głowę i spogląda na mnie. Robi mi się głupio, nie wiem, co powiedzieć.

- Ale masz minę - mówi ona i uśmiecha się. I nie śmieje się ze mnie, tylko się do mnie uśmiecha. Ach, jak cudnie się uśmiecha. I w tym momencie, nie wiadomo dlaczego, odczuwam wielką radość i już wcale nie jest mi głupio.

- Siadaj - mówi ona i pokazuje ręką miejsce obok siebie. Siadam, uciekam spojrzeniem na fontannę, w której, na moich oczach, gaśnie nagle słońce. Przelamuję się i spoglądam na Kasię. Ona jeszcze się uśmiecha i nagle cała ta radość, która jest we mnie, wybucha jak balon, gdy go ktoś nakłuje szpilką. Zaczynam się śmiać, całkiem bez powodu. Śmiejemy się teraz obie. Głośno, coraz głośniej. Śmiejemy się i śmiejemy, przestajemy, i znów się śmiejemy. Śmiejemy się, i już nie możemy przestać się śmiać. No, już się nie śmiejemy, tylko oddychamy głośno, zmęczone tym śmiechem.

- A tak właściwie, to z czego się śmiałaś? pyta Kasia.

- Nie mam pojęcia - mówię - zapomniałam.

I znów obie w śmiech. Trzymając się za brzuchy, skręcamy się i nie możemy złapać tchu. Nagle bum!... Coś mnie w głowę walnęło. Patrzę do góry, z nieba lecą twarde kulki.

- Uciekamy! - krzyczy Kasia, łapie mnie za rękę i w nogi. Wbiegamy do bramy. W rynku popłoch, wszyscy uciekają, chowają się po bramach. Cały chodnik zasłany podrygującymi, chrzęszczącymi, lodowymi kulkami. Schylam się i jedną z nich podnoszę. Kładę ją na dłoni. Z bliska wygląda jak jajeczko małego ptaszka. Razem z Kasią patrzymy, jak się topi powoli. Już tylko trochę wody z niej zostało. Wycieram rękę o sukienkę.

Już się cały grad wypadał.

W rynku znów chodzą ludzie. Wszędzie białe od lodowych kulek, które robią się coraz mniejsze i mniejsze. Kasia ciągnie mnie gdzieś, wchodzimy w jakieś drzwi. To szatnia.

- Daj teczkę - mówi Kasia. Podaję jej moją teczkę, a ona ją razem ze swoją torbą podaje pani za ladą. Patrzę, to kawiarnia, jesteśmy w kawiarni. Nigdy nie byłam w kawiarni.

- Coś ty - mówię przestraszona, ale już jesteśmy w środku.

- Weź numerek - mówi Kasia i mnie zostawia. Siada przy stoliku pod oknem. Wracam. Pani daje mi trójkącik z blachy, na nim cyfra: 42.

Idę do stolika, gdzie Kasia. Wszędzie siedzą ludzie, sami dorośli. Siadam. Za szybą okna, za firanką, widać rynek. Ktoś nagle mówi: - Słucham?

Przy naszym stoliku stoi pani w małym, białym fartuszku i spogląda to na Kasię, to na mnie. A Kasia mówi tak:

- Dwie duże porcje lodów z bakaliami, sok pomarańczowy i dwie szklanki.

- Sok tylko zagraniczny, w puszcze - mówi pani.

- Innego nie pijam - odpowiada Kasia. Pani odchodzi.

- Ale ja mam tylko dwadzieścia złotych - mówię szybko, żeby Kasia zdążyła odwołać to, co dla mnie zamówiła.

- Ja cię zaprosiłam, więc się nie martw - mówi na to Kasia i odczesuje palcami do tyłu swoje włosy. Są śliczne. Trochę złote, a trochę różowe. I tak ich dużo, że można by nimi obdzielić ze cztery dziewczynki, a może nawet pięć. Kasia obejmuje kolano splecionymi dłońmi i garbiąc się lekko, spogląda na mnie.

- Wiesz - mówi - robisz tak śmieszne i słodkie minki, że chyba będę cię nazywała Minką. Chcesz, Minko?

- No.

- A ja mam na imię Katarzyna.

- Wiem - mówię. - Katarzyna Bogdańska.

- Skąd wiesz?

- Bo jak cię wyczytywali na sprawdzaniu obecności... to się domyśliłam, że to ty, bo nikogo innego nie brakowało.

Kasia uśmiecha się i już ma coś powiedzieć, ale w tym samym momencie przychodzi pani, stawia na stoliku soki i lody i odchodzi.

- Smacznego - mówi Kasia i zabiera się do swojej porcji lodów. To ja też zabieram się do swojej. Jaka śmieszna, malutka łyżeczka. Lody są bardzo dobre. Najpierw znajduję w bitej śmietanie rodzynki. Potem wisienkę. Potem wyławiam kawałek czekolady i na końcu taki żółty krążek z dziurką. Pyszny, nie wiem, co to jest. Już zjadłam. Nic w pucharku nie zostało.

I dopiero teraz sobie przypominam, że jestem w kawiarni. Podnoszę oczy. Kasia grzebie w swoich lodach, nawet połowy jeszcze nie zjadła. Rozglądam się. To nic strasznego siedzieć w kawiarni. Wszyscy ze sobą rozmawiają, nikt na mnie nie zwraca uwagi. A gdyby weszła tu jakaś pani ze szkoły? Czyby miała do nas pretensję, że tu siedzimy? Nie wiadomo. Patrzę znów na Kasię. Ona wcale nie je, tylko myśli o czymś, chyba o czymś smutnym, bo jest smutna. Nabiera lody na łyżeczkę, przechyla ją i patrzy, jak spływają powoli. A ja bym się teraz napiła soku pomarańczowego, ale jakoś mi głupio wyciągnąć rękę po szklanę.

- Nie krępuj się - mówi Kasia, i, nie patrząc na mnie, podsuwa mi moją szklanę, a sama dalej grzebie w swoich lodach. Boże, przecież ja nic nie powiedziałam. To skąd ona wiedziała, co pomyślałam? Kasia podnosi głowę i mówi cicho:

- Nie przejmuj się, taka już jestem.

Na jej twarzy pojawia się dziwny uśmiech. Skądś znam ten uśmiech, ale skąd? Ktoś się już tak do mnie uśmiechał. Ale kto, i kiedy? A może mi się śniło...?

Boże, czy to wszystko tylko mi się śni?

Kasia podnosi swoją szklaneczkę, upija łyżeczkę. Ja swojego soku wypijam z rozpędu połowę.

Dzyń dzyń...!

To Kasia uderzyła łyżeczką o szkło. Jeszcze drży w powietrzu dźwięk.

- A pamiętasz, jak się śmiałaś? - pyta Kasia.

- Pewno - mówię i szybko odstawiam szklanę, bo znów zaczyna mi się zbierać na śmiech. I dzieje się ze mną to samo, co na ławce, zanim nie spadł grad. Śmieję się i nie mogę przestać się śmiać, choć wiem, że wszyscy na mnie patrzą. - Coś smutnego! - woła przez śmiech Kasia, bo i ona głośno się śmieje. A ja nic smutnego nie mogę sobie przypomnieć. Patrzę na Kasię, ona chyba też nic smutnego nie może sobie przypomnieć, bo aż się kuli od śmiechu. Zatykam sobie usta, nic nie pomaga, chyba zaraz umrę. Staje przy nas pani w fartuszkach, ha ha ha, w takim malutkim fartuszkach!

- Nie za głośno, panienki? - mówi, a Kasia parska śmiechem jeszcze głośniejsze i woła:

- Rachunek!

Pani wyciąga z malutkiej kieszonki swojego malutkiego fartuszka malutki rachuneczek, kładzie go na stoliku i mówi:

- Trzy tysiące siedemset osiemdziesiąt.

Ojej, tyle pieniędzy. Skąd Kasia weźmie tyle pieniędzy? Mogłam chociaż nie pić swojego soku to bym mogła oddać i byłoby mniej do zapłacenia. Z jednej strony się martwię a z drugiej chichram się już na całego. Kasia rzuca na stół pełno pomiętych banknotów. - Reszty nie trzeba - wykrztusza przez śmiech, zrywa się z krzeselka, łapie mnie za rękę i uciekamy do szatni. Z szatni wyskakujemy do bramy. Nikogo tu nie ma, można się spokojnie wyśmiać.

Już cicho w bramie. Trzymam się za brzuch. To cud, że jeszcze żyjemy. Okazuje się, że i od śmiechu można umrzeć.

- Nasze torby - mówi Kasia. - Masz numererek?
- O Jezus, zostawiłam na stoliku - mówię i robi mi się gorąco. Jak ja tam teraz wrócę? Taki wstyd.
- Nie przejmuj się, ja pójdę - mówi Kasia i wraca do kawiarni. Och, jaka ona jest odważna. I jaka wesoła. To czemu wtedy, w szkole, płakała?... Na pewno musiała mieć jakiś powód. Ale przecież teraz jest wesoła. Inna sprawa, że jak się zamyśli, to zaraz robi się smutna. Dlaczego? Bardzo bym chciała wiedzieć, ale przecież nie zapytam. Może mi sama powie? Tyle pieniędzy zapłaciła, a ja wypilałam tylko pół soku. A ona jeszcze mniej i lodów nie zjadła do końca. Dobrze, że chociaż ja zdążyłam zjeść swoje, mniej się zmarnowało.
- Minka! - woła ktoś. - Minka! - To ktoś z kawiarni woła. - Minka! To głos Kasi. Zaglądam do szatni, a Kasia stoi przy ladzie i macha na mnie. Racja, Minka to przecież ja. Wchodzę.
- Masz te dwadzieścia złotych? - pyta Kasia.

- Mam.
Wyciągam z kieszonki sukienki cały mój majątek.
- To zapłać pani za szatnię - mówi Kasia - bo ja wydałam wszystko, co miałam.
Daję pani za ladą dwadzieścia złotych, Kasia bierze swoją torbę, ja swoją teczkę, i wychodzimy.
Znów jesteśmy w rynku. O, słoneczko wyszło.
Po gradzie ani śladu, suche ulice. Stoimy i patrzymy na dzieci, które gonią się wokół fontanny.
Idziemy sobie powoli, mijamy Dom Książki.
- Wstąpimy? - pyta Kasia.
- Możemy - mówię. Wchodzimy. Ja zatrzymuję się przy drzwiach i oglądam książki leżące pod szybą. Kasia w głębi księgarni grzebie w tych wyłożonych na ladę. Kiwa na mnie palcem. Podchodzę. Pokazuje mi duży album i mówi:
- Ja się zabiję.
- Co się stało? - pytam. Kasia otwiera album. W środku kolorowe obrazki.
- Popatrz - mówi Kasia z zachwytem.
- Bardzo ładne - mówię.
- Genialne - mówi Kasia. - Szkoda, że już nie mam forsy przy sobie. Cholera, szkoda.
Kładzie album z powrotem na ladę. Patrę na cenę. Trzy i pół tysiąca złotych.
Ojej - mówię z żalem - po co myśmy jadły te lody i piły te soki... Akurat by ci starczyło.
- Głupstwo - mówi Kasia. - Wiesz co, idź do tej dziewczyny i zapytaj, czy jest książka pod tytułem "Przeminęło z wiadrem"?
- Dobrze - mówię, podchodzę do pani sprzedawczynie i pytam: - Przepraszam, czy jest książka pod tytułem "Przeminęło z wiadrem"? Co? - pyta pani.
- "Przeminęło z wiadrem", czy jest?
Pani śmieje się. Podchodzi do uchylonych drzwi na zaplecze i woła przez śmiech: - Zocha, tu jakaś dziewczynka pyta, czy jest "Przeminęło z wiadrem"!
Zza drzwi dolatuje śmiech tamtej drugiej, niewidocznej pani. I słychać głos: - Powiedz jej, że było, ale przeminęło z wiatrem!
Pani sprzedawczynie odchodzi od drzwi, rozkłada ręce i mówi do mnie: - Przeminęło z wiatrem.
- To nie ma?
- Nie ma - mówi pani i śmieje się.
- Dziękuję - mówię i wracam do Kasi. Ale Kasi nigdzie nie ma. Wychodzę z księgarni. Na ulicy też jej nie ma. Poszła sobie? Dlaczego? Nie, jest. Stoi w bramie obok. Podchodzę. Ojej, ona ogląda ten album. Robi mi się gorąco ze strachu. Wzięła album i nie zapłaciła.

Zaraz zadzwonią na milicję i ją złapią. A mnie razem z nią. Boże, to wszystko przez te lody i soki. Ale to nie ja ukradłam album, to ona. Ja go nie mam, ja nic nie wiedziałam.

Rozglądam się.

Jeszcze nikt z księgarni za nami nie wybiegł. Kaśka ogląda album, nie widzi mnie. Szybko odchodzę.

Idę ulicą.

Zaraz ktoś za mną krzyknie.

Nie wytrzymuję i skręcam w najbliższą bramę. Chowam się między drzwiami a ścianą. Wsuwam się jak najgłębiej. Ciemno tu.

A jak będą przeszukiwać najbliższe bramy?

Boże, Boże, co ja im powiem? Wsadzą nas do poprawczaka. Opiszą w gazecie. Co ja powiem mamie? Muszę stąd wyjść i uciec. Ale jak będę uciekała, to na pewno mnie złapią. Zawsze goni się tego, kto ucieka. A może już tam stoją i czekają, aż wyjdę?

I po co ja do Kaśki podchodziłam? Żeby wiedziała, że nie płacze, to bym nie podeszła. Skąd miałam wiedzieć, że jest elementem z marginesu społecznego?

Mogłam się domyślić. Tak się przecież nie ubierają normalne dziewczynki. Wszystkie dziewczynki w klasie były ubrane normalnie, tylko ona inaczej, jak jakaś Cyganka. No tak, Cyganki tak się ubierają. Ona jest Cyganką, to wszystko wyjaśnia. Mamusi raz Cyganka ukradła sweter ze sznurka. A ja się dziwiłam w kawiarni, skąd wzięła tyle pieniędzy. Po prostu je ukradła. Ale przecież Cyganki nie są blondynkami. No tak, ale mogła się ufarbować. A może ją Cyganie porwali, jak była malutka? Myślałam że będę miała przyjaciółkę, tak się cieszyłam, a okazało się, że to złodziejka. Na ulicy cicho, nikt nie krzyczy. Może nie zauważyli? Dzięki Bogu. Oczekam jeszcze trochę i wyjdę jakby nigdy nic.

Ona już na pewno sobie poszła. Jak to dobrze, że nikt ze szkoły nie widział mnie z nią. Byłyśmy razem tylko w kawiarni i w Domu Książki. A co zrobię, jak podejdziesz do mnie w szkole i zaczniesz rozmawiać?... A tam, odpowiem coś i udam, że się spieszę. A jeżeli już ją złapali i ona powiedziała, że to ja pomagałam jej kraść?

Cóż, nie pozostanie mi nic innego, tylko samobójstwo. A to przecież grzech śmiertelny. Mamusia nie przeżyje pogrzebu bez księdza. I nie pójdę do nieba, będę musiała smażyć się w piekle. Ojciec nasz któryś jest w niebie święć się imię Twoje przyjdź królestwo Twoje bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi chleba naszego powszedniego daj nam Panie i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom i nie wódz nas na pokuszenie ale nas zbaw od wszystkiego złego...

Ktoś wszedł do bramy.

Na pewno milicja. Przekładam teczkę do lewej ręki, żegnam się szybko i zamykam oczy. Amen. W tym momencie z ręki wypada mi teczka, bo w tych nerwach za słabo ją złapałam. Tracę równowagę, opieram się o drzwi. Otwierają się, skrzypiąc.

W bramie, kilka kroków ode mnie, stoi ona. Jest poważna, całkiem inna, niż do tej pory. Nie odzywa się, tylko patrzy na mnie i wydyma usta.

Schylam się po teczkę. Jest mi strasznie smutno. Jeszcze tak niedawno śmiałyśmy się razem... a teraz...

- Co tu robisz? - pyta.

- Nic - mówię.

- Szukałam cię wszędzie - mówi ona. - Byłam w księgarni, chodziłam po rynku... Czemu się schowałaś?

Nic nie mówię, bo co mam powiedzieć. Na pewno kłamie, że szukała mnie w księgarni. Ale skąd wiedziała, że się tu ukryłam?

Podchodzi do mnie.

- Ubrudziłaś się - mówi. Spoglądam po sobie. Cały rękaw sukienki biały od ściany. Zaczynam go czyścić. Ona patrzy, milcząc. Trąc rękaw, mówię:

- Cześć, muszę już iść.

- To sobie idź - mówi ona. Już jestem przy progu, gdy słyszę za sobą: - Poczekaj! - Podbiega, bierze mnie za ramię. To ja mówię: - Naprawdę muszę iść. Mamusia kazała mi przyjść zaraz po szkole.

- Całą sukienkę na plecach masz białą.
Zaczynam się czyścić z tyłu, tam przynajmniej, gdzie mogę dosięgnąć.

- Nie, nie - mówi ona - to nic nie pomoże, tak cię nie puszcze.
Chodź do mnie, dam ci szczotkę.

- Gdzie? - pytam.

- Do mnie - mówi i ciągnie mnie w głąb bramy. Czego ona ode mnie chce?

- Dlaczego tu? - pytam.

- Bo tu mieszkam - mówi ona. Tutaj mieszka? Idę z nią, coraz tu ciemniej. Zatrzymuję się przed schodami.

- Tutaj mieszkasz? - pytam z niedowierzaniem. Ona uśmiecha się.

- Schowałaś się do mojej bramy - mówi, łapiąc mnie za rękę. - No chodź, bo stracę cierpliwość. Dzień dobroci dla zwierząt nie trwa wiecznie.

Ciągnie mnie za sobą na górę. Na klatce schodowej drugiego piętra zatrzymuje się. Odwraca się do mnie. Promyk słońca ze świetlika pada akurat na nią. Jej włosy wyglądają tak, jakby płonęły. Uśmiecha się dziwnie i błyszczą jej oczy. Przyciąga do siebie moją rękę. Drętwięję ze strachu. Nie wiem, co mam zrobić. Jak wyrwę rękę i ucieknę, to i tak mnie złapie, rzuci się na mnie od tyłu. A ona zmienionym, chrapliwym głosem mówi:

- Powróżyć paniusi?

Więc jednak miałam rację. To Cyganka. Ona odwraca moją dłoń spodem do góry i podsuwa do swoich oczu.

- Ooo, jaka piękna linia życia - chrypi. - Tylko czemu tak nagle się urywa?

- Ale ja nie mam pieniędzy - mówię drżącym głosem. - Naprawdę.

- Może panusia jajeczkiem zapłacić - mówi ona.

- Nie mam jajek.

- To co panusia ma?

- Nic nie mam - mówię w rozpacz. Ona świdruje mnie płonącym wzrokiem. Dyszy ciężko, ochryple.

- Niedobrze - mówi. - Taka elegancka panusia, a nic nie ma. To może chociaż duszę panusia ma?

Czuję, jak wali mi serce. Och, żeby już się tak obudzić. Ale to przecież nie sen.

Ona nagle puszcza moją rękę. Robi się malutka. Ach nie, po prostu kucnęła, grzebie w swojej torbie. Odchodzi, znika w ciemności. Nie mogę się ruszyć, nie mogę uciec. Zapala się światło, to ona zapaliła. Teraz podchodzi do dużych drzwi i wkłada klucz do zamka. Patrę, na drzwiach tabliczka: "LEKARZ CHOROÓB WEWNĘTRZNYCH".

- No chodźże - mówi ona. Podchodzę.

- Tu jakiś lekarz mieszka - mówię.

- Nie jakiś, ale jakaś - mówi ona. - I nie jakaś, a moja mama.

Rzeczywiście. U dołu tabliczki napis: "Dr Karolina Bogdańska".

Drzwi otwierają się, wchodzimy do środka. Tu, w wielkim pokoju, na ścianach z desek wiszą piękne obrazy. Wokół stolika wielkie, jasne fotele. Z wysokiego sufitu zwiesza się żyrandol. Cały się skrzy jakby tysiącem brylantów. Tu drzwi i tam drzwi... ani jednego okna. Taki piękny przedpokój?

Ona otwiera szafę, gdzie wiszą ubrania. Podaje mi szczotkę.

- Tam jest łazienka - mówi, pokazując drzwi w końcu przedpokoju. - Trafisz sama, czy mam cię zaprowadzić?

- Trafie - mówię cicho. Podchodzę do tych drzwi, dotykam klamki, jest okrągła i lśni, jakby była ze złota. Oglądam się, Kasi już nie ma, zniknęła gdzieś. Przekręcam klamkę, w łazience ciemno. Cofam się. O, tu jest kontakt. Naciskam, zapala się światło. Wchodzę, zamykam drzwi za sobą.

Jak tu pięknie. Ta łazienka jest trzy razy większa od mojego

pokoju w nowym mieszkaniu. Podłoga z białych kafelków, ściany też z kafelków, ale z brązowych. I wszędzie lustra. Przysiadam na brzegu wanny. Jaka ja byłam głupia. Myślałam, że Kasia to jakaś Cyganka, a to normalna, bogata dziewczynka, w dodatku córka pani doktor.

Na półeczkach z kafelków stoją różne piękne butelki z zagranicznymi napisami. Przy drzwiach pralka, chyba automatyczna i jeszcze jakieś inne, dziwne urządzenia. A tutaj, na błyszczących rurkach, wiszą ręczniki. Pomarańczowy, różowy i biały. Patrzę w bok i widzę siebie. Za mną siedzi jakaś dziewczynka.

Odwracam się. Tu też za mną siedzi dziewczynka. A za tą dziewczynką jeszcze jedna dziewczynka, i jeszcze jedna. Cały szereg dziewczynek. To my tam siedzimy, to znaczy ja, ale odbita w lustrze, co odbija lustro. Podnoszę rękę. Wszystkie dziewczynki robią to samo, aż do końca. Tak nas tam dużo, że chyba nie ma końca.

Sukienka z tyłu cała biała. Odpinam guziczki i ją zdejmuję. Siadam na białym stołeczku z plastiku, kładę sukienkę na kolanach i trę ją szczotką.

Chyba jestem nienormalna.

Myślałam, że Kasia chce mi coś zrobić, że chce mnie okraść, czy co... a to ja mogłabym ją okraść. Wpuściła mnie do łazienki, gdzie stoi tyle pięknych, drogich rzeczy i wcale się nie boi, że coś ukradnę. Ale dlaczego wzięła z księgarni ten album?

Bo się bała, że ktoś inny go kupi. Przyjdzie jej mama albo tata, to weźmie od nich pieniądze, pójdzie i zapłaci. Jak ja mogłam tak głupio pomyśleć, że jest złodziejka. To wielki grzech rzucić na kogoś niesłuszne posądzenie. Będę musiała iść do spowiedzi. Pójdę jutro, zaraz po szkole. Do tego kościoła przy rynku. Tylko że nie wiem, o której są tutaj spowiedzi.

Sukienka nie chce się wyczyścić na sucho, trzeba polać wodą. Odkręcam kran w umywalce, podstawiam szczotkę pod strumień. No, teraz ściana schodzi. Może ksiądz mnie rozgrzeszy, ale ja sobie nigdy tego nie wybaczę. Kasia była dla mnie taka dobra. Nigdy nie umiałam z nikim rozmawiać, a z nią bym umiała. Tak coś czuję, że z nią bym umiała. Może nawet bym jej powiedziała, że jeszcze cysiam palec i że nie mogę się odzwyczaić. Jest taka mądra, może by mi doradziła, co zrobić, żeby nie cysiać. Nagle słyszę, że gra muzyka. Dobiega z daleka.

Piękna, jak w kościele, tylko trochę inna.

To chyba Kasia nastawiła radio. A może ma magnetofon i go włączyła? Bardzo lubię w kościele słuchać muzyki. Czasem w radiu też ładnie gra. Tak, jak teraz. Jakby niebem leciały anioły.

No tak... Zasłuchałam się, a woda przez ten czas spłynęła ze szczotki na sukienkę i zrobiła się wielka, mokra plama. Nic, wyjdę na ulicę, postoję trochę tyłem do słońca, to mi wyschnie.

Wstaję i wkładam sukienkę. Ale mokro. Zapinam guziczki, patrząc na siebie w lustrze. Już mi się ta sukienka wcale nie podoba. Te tasiemki tak głupio błyszczą. I pomyśleć, że to z zagranicy. Ewa Bogdaj mówiła, że z Paryża. A przecież Paryż jest stolicą światowej mody, to i sukienka powinna być ładna. Czy to możliwe, żeby paczka leżała na poczcie całe dziesięć lat? Dziesięć lat temu była inna moda i teraz jest inna. Teraz dziewczynki chodzą w króciutkich i wąskich spódniczkach. Ale Kasia w takich nie chodzi. Może ona swoją spódnicę też ma z paczki, która długo szła?

Podciągam dół sukienki wysoko nad kolana. I jeszcze trochę wyżej. Zbieram fałdy i przytrzymuję je z tyłu, żeby było wąsko. Teraz to co innego. Wyglądam jak inne dziewczynki w klasie. Jakbym jeszcze ufarbowała rajstopy... Mamusia ma na pewno czarną farbę.

Patrzę na siebie, patrzę, i nie mogę się napatrzeć.

U nas w domu nie ma takich wielkich luster. Jest jedno w szafie, ale widać mnie w nim tylko od głowy do pasa. Gdybym miała taką łazienkę, chyba nigdy bym z niej nie wyszła. Ojej, nie wypada tak

długo przebywać w cudzej łazience. Co sobie Kasia pomyśli. Patrę na siebie jeszcze sekundę i puszczam sukienkę, która znów opada mi za kolana. Odwracam się od lustra nad wanną, widzę siebie w tym nad umywalką. Trzeba wyjść. Przyczesuję włosy, biorę teczkę i wychodzę. Zapomniałam szczotki. Wracam, biorę szczotkę, spoglądam ostatni raz na całą łazienkę i zamykam drzwi, i gaszę światło. Przechodzę cicho przez przedpokój, kładę szczotkę na szafce przy drzwiach. Stąd muzykę słycać dużo głośniej. Wydostaje się z tego pokoju, gdzie uchylone drzwi, ale nic w środku nie widać, bo zaraz za drzwiami kotara wisi, w kolorze miodu. Kasia jest na pewno tam. Siedzi sobie i słucha muzyki. Jak ja mogłam tak źle o niej pomyśleć?

Czemu taka jestem?

Nigdy w życiu o nikim źle nie pomyślałam, więc dlaczego właśnie o niej musiałam tak pomyśleć? Cóż, widocznie nie zasłużyłam sobie na znajomość z taką miłą i dobrą dziewczynką.

- Żegnaj Kasiu - mówię cichutko i już naciskam klamkę, gdy dochodzę do wniosku, że przecież nie mogę zostawić otwartych drzwi, to znaczy nie zamkniętych na klucz, bo może przyjść jakiś złodziej i okraść mieszkanie. Pełno teraz złodziei wszędzie. Muszę wejść do pokoju za kotarę i powiedzieć, że wychodzę. Jak ja teraz na nią spojrzę... Chyba umrę ze wstydu. Trudno, muszę.

Podchodzę do kotary. Odsuwam ją i wchodzę do środka. Uderza we mnie głośna muzyka i prawie nic nie widzę, tak tu ciemno. Okna są zasłonięte i tylko wąziutka szparka wpuszcza troszeczkę światła. Widzę pasmo oświetlonego dywanu i nic więcej. A muzyka gra stąd, i stąd.

- Kasiu, jesteś tu? - pytam, nie słysząc własnych słów, bo muzyka.

Muzyka cichnie nagle. Słyszę w ciszy głos Kasi:

- Jak ci ciemno, odsłoń kotarę w oknie.

- Dobrze - mówię. Idę do okna po pasemku światła. Muzyka znów gra. Podnoszę rękę i szarpnię kotarę. Rozsuwa się trochę.

- Coś się zacięło - mówię, ale Kasia chyba mnie nie słyszy, bo znów muzyka. Patrę... to Kasia gra. Siedzi przy pianinie i gra. Dziwne. Ona siedzi tu, a muzykę słycać stamtąd i stamtąd. To na pewno z głośników. A to, na czym Kasia gra, to wcale nie pianino, to coś takiego elektrycznego, coś, na czym grają zespoły w telewizji. I jeszcze ktoś w bęben uderza. Rozglądam się... nikogo oprócz Kasi tu nie ma, a przecież Kasia w bęben nie uderza, tylko na klawiszach gra. Jedną rękę teraz odrywa, kręci jakąś gałką i słycać wiatr. Wiatr jęczy, zawodzi i cichnie powoli. Cichutko jest. Kasia patrzy na mnie z uśmiechem, a mnie robi się smutno, bo zaraz trzeba będzie stąd pójść.

- Już wyczyściłam - mówię. - Dziękuję za szczotkę.

- Cała przyjemność po stronie szczotki - odpowiada Kasia wesoło i pyta: - Chcesz, żebym ci jeszcze pograła?

Kiwam głową, że tak, że chcę.

- To czemu stoisz? Siadaj. Najlepiej słycać stamtąd. - Kasia pokazuje stojący w kącie bujany fotel. Idę tam i siadam ostrożnie.

Coś zaczyna głośno buczeć.

- Zaraz - mówi Kasia. - Muszę tylko coś zrobić z tym dziadostwem.

Wychodzi zza pianina, klęka i wyciąga spod spodu jakiś kabelek. Ogląda go długo. Potem wstaje. Rozgląda się po pokoju, marszczy brwi. Stoi i myśli. I nagle wybiega z pokoju. Zostaję sama. Siedzę w ciszy.

Jejku, jaka to ogromna komnata.

Na ścianach wiszą kotary, i wielkie, czarne biurko stoi niedaleko okna, a na nim pełno książek i papierów. Po drugiej stronie czarna szafa rzeźbiona w jakieś twarze i rośliny. Na niej walizki leżą i pudła do samego sufitu. A sufit cały wyłożony takimi wklęsłymi tekturkami, w jakich sprzedaje się jajka. Oj, jakie dziwne łóżko. Jak jakiś zabytek, jak na jakimś filmie. Wiem, jak się to nazywa. To się nazywa baldachim.

Na środku pokoju czarna kanapa stoi, oparciem do drzwi odwrócona. Czarna skóra na niej aż błyszczy. Koło niej czarna skrzynka, biały kabelek z niej wychodzi i pod pianino się ciągnie. Tam, w kącie przy oknie, pełno różnych błyszczących urządzeń. Jeszcze jedno pianino elektryczne i jakby stół z wielką ilością światełek i gałek.

Wszędzie po dywanie walają się kartki i stoją stosy książek, niektóre porozwalane. Okropny tu bałagan. Ja to bym zaraz zrobiła tu śliczny porządek. Dużo przecież nie trzeba. Wystarczy równiutko poukładać kartki i do szuflad pochować. Kanapę przysunąć oparciem do ściany, no bo jak tu siedzieć plecami do drzwi. I segment by się przydał, taki sam, jaki jest w pokoju mamusi i tatusia w nowym mieszkaniu. Na półkach by się ustawiło książki i by się nie kurzyły za szybami.

Dziwna ta Kasia, strasznie nieporządna..I tak mnie na tych schodach nastraszyła. Czemu? Myślałam, że umrę, tak się bałam. Ale potem zaprosiła mnie do domu, dała mi szczotkę i w ogóle. No i zaraz będzie dla mnie grać, jak tylko przestroi to dziadostwo. Coś jej długo nie ma.

Patrę na mój zegareczek. Już prawie szesnasta. Co ja powiem mamusi? Tyle w domu roboty, a ja tu bujam się na fotelu i nic nie robię. Nagle wchodzi Kasia...

Aż drgnęłam.

- Nigdzie go nie ma - mówi ze złością. - Jak nie trzeba, to cała banda śrubokrętów tu się kręci!...

- A to? - pytam i pokazuję palcem na śrubokręt w jej ręce. - To nie śrubokręt?

- Śrubokręt - odpowiada - ale za duży. Malutki jest mi potrzebny. Zamyśla się. Długo stoi, nic nie mówi, oczy ma zamknięte. Naraz robi zdziwioną minę, zaczyna coś nucić. Śpiewa cieniutko: - Choć nie jestem do pisania, ani też do rysowania, leżę sobie dumnie, przyjemnie w tej trumnie...!

Otwiera oczy, spogląda na mnie, wzrusza ramionami.

- Zapytałam go - mówi - gdzie jesteś, mały śrubokręciku, a on zaśpiewał mi ten wierszyk. Co to może znaczyć? Umarł, czy co?

Chodzi po pokoju, wszędzie zagląda. Zrzuca z biurka kilka zeszytów. - Ooo - mówi i odwraca się do mnie. - Chodź tu, szybko. Podbiegam, patrzę. Na biurku, w otwartym piórniku, leżą długopisy i ołówki, a między nimi mały śrubokręt z niebieską rączką.

- A ja się zastanawiałam, dlaczego śpiewał na melodię krakowiaka - mówi Kasia. - Patrz, to dlatego.

Wyjmuje śrubokręt i zamyka wieczko piórnika. Na nim malunek chłopczyka w krakowskim stroju. Kasia całuje śrubokręt i mówi pieszczotliwie: - Jesteś prawdziwym poetą, mój ty Krakowiaczku z Częstochowy. Czy pomożesz mi rozkręcić wtyczkę?

Przysuwa go do ucha i nasłuchuje przez chwilę.

- Powiedział, że tak - mówi do mnie. Włazi na czworakach pod swoje elektryczne pianino. Przykucam przy niej i patrzę, jak rozkręca wtyczkę, taką małą tubkę.

- Jak się czegoś szuka - mówi - to najlepiej zamknąć oczy, wyobrazić sobie to coś, i bardzo uprzejmie zapytać o miejsce pobytu. Polecam ci ten sposób na przyszłość.

- A moja mamusia - mówię - to się modli do świętego Antoniego, jak coś zgubi.

- Też dobry sposób. Jedyny minus z tym Antonim to to, że jest monopolistą i ma kupę roboty. Więc trzeba czekać w kolejce.

- To prawda - mówię. - Raz mamusia zgubiła tysiąc złotych, pomodliła się do świętego Antoniego i nic. Dopiero po dwóch miesiącach znalazła, jak żeśmy z tatą przestawiali szafę.

Kasia śmieje się.

- Na pewno była wyjątkowo długa kolejka - mówi. Przygląda się rozkręconej wtyczce. - Muszę w końcu nauczyć się lutować, bo już niedługo nie będę miała na czym grać. - Owija drucik wokół blaszki

i skręca wtyczkę. Wkłada ją do otworka wśród innych wtyczek w plątaninie kolorowych kabli. Wylazi spod pianina i wskazuje mi miejsce na bujanym fotelu.

Sama siada na kręconym stołeczku za pianinem.

- Zagram państwu moją najnowszą kompozycję - oznajmia uroczyście.

- Kompozycja nosi tytuł: "Gospodarstwo Netofatyków". Z przyczyn ode mnie niezależnych nie usłyszą państwo chórów dziękczynnych finału.

Podnosi ręce i, rozcapierzając palce, trzyma je długą chwilę nieruchomo. Opuszcza je, czegoś tam dotyka i rozlega się muzyka. Muzyka, ale nie muzyka. Jakby wrzeszczały ptaki. Nagle przestają wrzeszczeć.

Coś piszczy cicho.

Teraz już głośno, aż uszy bołą. Skądś, z daleka, dobiega coś innego, prawdziwa muzyka. Bardzo cicha, jakby za oknem płynęła.

Już coraz głośniej przez pisk się przebija, już do pokoju wpływa, falami. Już wszędzie jej pełno. Och, jak pięknie teraz gra.

Aż tego piękna nie mogę wytrzymać. Cała zdrętwiała zaciskam powieki. Och, co to się ze mną dzieje? Ach, gdzie ja jestem, jeśli tu mnie nie ma?

I nie mam jak oddychać, wszędzie muzyka, zaraz się utopię w tych falach, w tej napływającej i napływającej na mnie muzyce. Ile jeszcze wytrzymam bez oddechu? Łapię powietrze, ale zamiast powietrza w moje ciało wnika świecąca się jasność.

Świecę się cała jak ogromna żarówka.

Stoję na wysokiej górze i we mgle błękitnej świecę się. Nic nie widzę, własną tylko jasność. Tak mi tu jasno, kryształowo, słodko.

Żeby tak było zawsze, żeby już nie wracać.

Ale dokąd? Nic już nie pamiętam, tylko to jedno, że od zawsze tu byłam. I jestem.

Jestem.

Boże mój, jestem.

Szast prast, coś mnie porwało. Tęczowym bąbelkiem lecę przez powietrze. Och, jakie ono słodkie. Nie wiem sama, czy bardziej słodkie ono, czy bardziej przezroczyste. Gwiazdeczki moje, iskiereczki. Perełki najdroższe, koraliczki! Tu jestem! Ratujcie mnie, złapcie mnie, bo spadam. Spadam szklista cała.

Spadam, spadam...

Wzniosłam się jeszcze, ale już znów spadam, do ziemi spadam. Na ziemię.

Spadłam. Na łące siedzę. Tyle kwiatów wokół. Stokrotki i niezapominajki i bławatki, ale, nie wiedzieć czemu, wstrętniejsze one dla mnie od glist i pajaków.

Zgubiona, w ciszy strasznej i pustej. Coś tam gra jeszcze.

Patrzę... chmury grają, gwiazdy grają... ale mnie już tam nie ma, tu jestem.

Ktoś płacze, jakaś dziewczynka płacze, coraz głośniej płacze. I słyszę głos jakiś bardzo blisko, głos jakiś...

- Minka, co ci jest? Minka, Marysiu...!

Czuję dotyk, ktoś mnie po głowie głaszcze. Otwieram oczy, patrzę, a to Kasia mnie głaszcze, klęcząc przy mnie. A ja? Ja kulę się na podłodze i płaczę.

- Czemu płaczesz?

Skąd mam wiedzieć, czemu płaczę? Nie moja wina, że płaczę. To nie ja płaczę, to coś we mnie płacze. Ale to przecież ja płaczę i nie mogę przestać.

Wreszcie mi przechodzi.

Siedzę na brzegu łóżka, nade mną baldachim, i wycieram oczy i twarz chusteczką Kasi, bo moja całkiem mokra, że tylko ją wyżymać.

Głupio mi.

Dostałam czkawki. Obok siedzi Kasia, patrzy na mnie.

- Dlaczego się popłakałaś? - pyta.

- Nie wiem - mówię.
- Przypomniałaś sobie o czymś?
- Nie.
- To co?

Czкам. Naprawdę nie wiem, co mam jej odpowiedzieć. - Coś mnie zabolalo - mówię.

- Co cię zabolalo? Noga, ręka, brzuch?

- Nie - mówię - to ta muzyka. Taka była piękna. - I znów zbiera mi się na płacz, znów czuję na policzkach nowe łzy.

- I dlatego się popłakałaś? - pyta Kasia. Kiwam głową. Ona mnie obejmuje, przytula do siebie. - Śliczności moje, naprawdę?

- Tak.

- Jesteś cudowna, uwielbiam cię - mowi. Nie wytrzymuję i zaczynam beczec na całego. Siedzimy długo. Ja płaczę, a Kasia kołysze mnie leciutko w objęciach, tak jak ja Zenusia.

- Minka, kochanie moje - mówi Kasia. - Czy chcesz być moją siostrzyczką?

- Chcę - mówię przez łzy.

- Moja najdroższa siostrzyczka - mówi i przytula mnie jeszcze mocniej. To ja też ją obejmuję i przytulam.

- "Powiedz siostrzyczko" - szepcze mi do ucha.

- Siostrzyczko - szepczę. Boże mój, Boże, jak mam Ci dziękować.

Mam przyjaciółkę i mówię do niej siostrzyczko. Nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa.

- Kocham cię - mówi Kasia i mi łezki wyciera. - A ty?

- Tak - mówię. - Kocham.

I nagle czkam. Kasia śmieje się. Ja też. Śmiejemy się obie, ale nie tak, jak wtedy na ławce a potem w kawiarni, tylko inaczej, cichutko, w słodkim szczęściu.

Wyszłam od Kasi o siedemnastej trzydzieści, czyli że idę już od czterdziestu pięciu minut. To tyle, ile trwa jedna lekcja.

Mogłabym jechać autobusem, ale przecież te dwadzieścia złotych, które miałam na bilet, wydałam na szatnię. Wałbrzych to duże miasto. Idę i idę, a do domu chyba jeszcze daleko. Jak tylko kogoś spotkam, pytam się o drogę. Dobrze chociaż, że deszcz nie pada, albo grad. Wieje tylko wiatr, trochę mi zimno.

Kasia Bogdańska jest najcudowniejszą osobą na świecie.

Siedziałyśmy sobie, piłyśmy herbatę i jadłyśmy herbatniki, ale nie na łóżku, tylko na czarnej kanapie. Jest bardzo wygodna, w ogóle nie czuje się, że się siedzi, gdy się na niej siedzi. Gadałyśmy i gadałyśmy. Ona mówiła do mnie "Minko" albo "Mineczko", a ja do niej "Katarzyno", bo ona nienawidzi, jak się zdrabnia jej imię.

Wprost dostaje szału, gdy ktoś powie do niej "Kasieńko". Dobrze, że się nie wyrwałam, zanim nie powiedziała, że tego nie lubi. Bo w myślach mówię do niej: Kasiu, Kasieńko. Katarzyna to bardzo ładne imię, tylko że trochę za długie.

Pokazywała mi swoje zeszyty z nutami. Pełno ich ma. Wszystko sama wymyśliła i zapisała. Jest prawdziwą kompozytorką. Nigdy do tej pory nie myślałam, że można być kompozytorem w wieku piętnastu lat. I proszę, okazuje się, że można.

Powiedziała, że nauczy mnie grać, że to bardzo łatwe. A to by się mamusia zdziwiła, jakbym jej zagrała. Tylko na czym bym mamusi zagrała? My nie mamy nic do grania. Za to Kasia ma aż dwa takie pianina, które nazywają się synte...zatory. Na jednym napisane jest srebrnymi literami "KORG", a na drugim złotymi: "YAMAHA". Ma też pełno różnych urządzeń i nawet komputer. I taki stół z gałkami, na którym miesza się muzykę jak zupę, żeby się nie przypaliła. Tak Kasia powiedziała. Że miesza tu zupę.

A jeszcze do tego ma prawdziwy fortepian, ale nie gra na nim, mówi, że fortepian jest nudny, jeśli się nie jest takim na przykład Kitem Dżaretem.

Jest czarny i stoi na białym dywanie w pokoju jej mamusi, w którym jest czyściutko i ślicznie, jak na zdjęciach w kolorowych

gazetach. A ten fortepian jest ogromny, w moim pokoiku by się nie zmieścił. Jak pójdę do pracy i wyjdę za mąż, to może też kupię sobie fortepian. Postawię go w dużym pokoju obok telewizora, bo telewizor też sobie kupię, kolorowy. Zaproszę mamusię z całą rodziną i jej zagram. Ona się zdziwi i zapyta: - A skąd ty umiesz tak ładnie grać? - A ja powiem: - Nauczyłam się.

Będę miała dużo nut. Bo Kasia to gra z pamięci. Najpierw zapisuje nuty, a potem wcale w nie nie patrzy. Mówi, że słowa to zapomina w pięć minut, a nut nigdy. Ja odwrotnie. Pamiętam każde słowo, które powiem albo które ktoś powie, i długo nie mogę zapomnieć, nawet wtedy, jak chcę zapomnieć. Żyję na świecie od piętnastu lat, to ile tych słów muszę mieć w głowie.

Chyba, że się zdenerwuję. Wtedy w głowie mam nic, a czasem to nawet i nic nie mam, tylko mi tam coś szumi i brzęczy, jak w tej wielkiej muszli mamusi. Bo moja mamusia ma muszlę, w której bardzo ładnie szumi. Dostała ją od swojego narzeczonego. To było jeszcze wtedy, gdy tatusia nie znała. Potem ten naręczony ożenił się z inną dziewczyną, a moja mamusia wyszła za tatusia. Miała szczęście z tym naręczonym, że za niego nie wyszła, bo on się potem zabił na motorze i zostawił wdowę i dwie sieroty. A nasz tatuś, jaki jest, taki jest, ale jest.

Mamusia kiedyś była bardzo chudziutka, chudsza nawet od tatusia. Zaczęła tyć dopiero po tym, jak mnie urodziła. Ale wcale się tym nie przejmuję i mówi, że chude kobiety są złe, a tłuste mają dobre serca. To może być prawdą, bo pani Kamińska jest chuda. Jak byłam mała, zbiła mnie patykiem za to, że jej grządkę podeptałam. A ja tej grządki nie podeptałam specjalnie, Kaziu Kamiński mnie pchnął. Teraz jest w wojsku. Pani Kamińska jest z tego bardzo zadowolona, mówi, że tam oduczą go chuliganić. Po wojsku chce go pchnąć na zawodowego, albo na milicjanta, to będzie miał w życiu dobrze. No bo mieszkanie, pieniądze, mundur i poważanie u ludzi.

Raz Kaziu przyjechał na przepustkę i popił z panem Krzyśkiem i moim tatą. Najpierw było bardzo wesoło, bo siedzieli na ławeczce przy siatce i śpiewali piosenki o wojsku, ale potem Kaziu zaczął rozrabiać i podskakiwać do pana Krzyśka. Pan Krzysiek złapał go za frak, podniósł do góry i mówi: - Do mnie synu fikasza?

I pchnął go na komórkę, komórka się rozwalila, a to była nasza komórka i zdusiło jednego królika. To tata mówi do pana Krzyśka: - No, bracie, czeka cię wydatek, królika musisz mi odkupić. - A pan Krzysiek na to: - Gówno ci odkupię, a nie królika! - I zaczął tatę bić, ale tata, choć malutki, nie dał sobie w kaszę dmuchać i walnął pana Krzyśka głową w brzuch. Kaziu Kamiński mu pomógł i nie wiem, co by to było, gdyby nie wyleciała moja mamusia i pani Marysia, która ma na imię tak samo jak ja i jest żoną pana Krzyśka. Tylko pani Kamińska nic nie wiedziała, bo oglądała telewizor.

Na drugi dzień tata z panem Krzyśkiem pogodzili się. Tylko że potem tacie ruszał się ząb przez dwa tygodnie. No i mieliśmy na obiad królika. I jeszcze by zostało na drugi dzień, ale w nocy Tadiusz podkraść się i wszystko obzarł do kości. Dostał od mamusi ścierką po buzi, jak się wydało, że to on. By się nie wydało, ale jedną kość wziął do obgryzania do łóżka i zasnął, a rano, jak mamusia stała łóżko, to ją znalazła i cała pościel była tłusta. Później na obiad jedliśmy pierogi, tylko Tadiusz siedział i płakał, bo na talerzu przed nim mamusia położyła obgryzione do czysta kości po króliku.

- Przepraszam bardzo - mówię - daleko jeszcze do osiedla Piaskowa Góra?

Pani w niebieskim płaszczu zatrzymuje się.

- Co mówiłaś?

- Do Piaskowej Góry... czy dobrze idę?

- Źle - mówi pani i odchodzi. Po chwili odwraca się i woła: - Chodź ze mną! Ja też na Piaskową!

Biegnę za nią. Idziemy teraz obok siebie. Pani jest zamyślona, ja się rozglądam. Jak to dobrze, że się zapytałam. Był szła i szła i nie wiadomo gdzie bym doszła.

Puk puk, puk puk...

To stukają obcasy tej pani. Ja to bym nie umiała chodzić na takich wysokich obcasach, chyba zaraz bym się przewróciła. Pani bardzo szybko rusza nogami. Ja robię jeden krok, a ona w tym czasie prawie dwa. Zaczynam iść tak, jak ona.

Jakoś głupio, ale jak się idzie na palcach to lepiej. O, jaki śmieszny piesek leci...

Nagle pani zaczyna biec. To ja biegnę za nią. Piesek leci za nami, szczerkając piskliwie. Pani dobiega do jezdni i zaczyna machać ręką. Koło niej zatrzymuje się taksówka. Jest niebieska. Pani otwiera drzwi, schyla się i wchodzi do środka. Zawracam, a pani za mną: - Ej, ty, wsiadaj!

Ale ja nie mam pieniędzy - mówię.

- Wsiadaj - mówi pani. - Nikt cię o forszę nie pyta.

To wsiadam do tyłu. Pani siedzi obok pana kierowcy.

- Na Piaskową - mówi pani.

Jedziemy.

O, tędy niedawno szłam. Teraz skręcamy. A ja nie skręciłam, tylko poszłam prosto. Jak to dobrze, że tę panią spotkałam.

- Pani mnie nie pamięta? - pyta pan kierowca. Pani spogląda na niego i mówi: - Nie. A co?

- A to kiedyś pani słyszała?

Pan kierowca zaczyna gwizdać. Znam tę piosenkę, jest bardzo ładna.

- Słyszałam - mówi pani. - A co?

- Raz panią wiozłem, a pani całą drogę to gwizdała.

Pani śmieje się.

- To chyba byłam pijana.

- Tego nie wiem - mówi pan kierowca. - W balonik mi pani nie dmuchała.

I znów zaczyna gwizdać tę piosenkę. Pani też zaczyna gwizdać. I ja też cichutko gwizdzę. Jedziemy i gwizdzemy.

- Była noc - mówi pan kierowca. - Tylko pani i ja, pani Jadwigo.

- Skąd pan wie, jak mam na imię?

- Naprawdę pani nie pamięta?

Pan kierowca nachyla się do ucha pani, coś jej mówi. Pani spogląda na niego. - Naprawdę? - pyta. Pan kierowca kiwa głową i śmieje się. Śmieją się teraz oboje. A ja patrzę, jedziemy między blokami.

To już chyba tu? Mówię cienko:

- Czy to już Piaskowa Góra?

Pani odwraca się do mnie.

- Zupełnie o tobie zapomniałam - mówi. - Jaką chcesz ulicę?

- T. Rabiegi - mówię.

- Który numer? - pyta pan kierowca.

- Dwadzieścia siedem.

Jedziemy jeszcze trochę i taksówka się zatrzymuje.

- Bardzo dziękuję - mówię i szukam klamki. Nigdzie nie mogę jej znaleźć. Pan kierowca odwraca się, wyciąga rękę, coś naciska i drzwi otwarte. Wychodzę.

- Do widzenia - mówię, ale pani już na mnie nie patrzy. Taksówka odjeżdża, chowa się za bloki. A któryś z tych bloków to na pewno nasz. Dwadzieścia siedem, to ten. Zadzieram głowę, patrzę do góry na dziewiąte piętro. Które to mogą być nasze okna? Po tej stronie nie ma balkonów, więc gdzieś tutaj jest okno mojego pokoju.

Obchodzę blok naokoło. Przy trzepaku pełno dziewczynek. Po chodniku jeżdżą chłopcy na wrotkach. Nasza brama to ta druga, o... za szybą twarz mojego braciszka. Nie widzi mnie, gdzie indziej patrzy.

Wchodzę i pytam: - Co tak stoisz, czemu się nie bawisz?

Nie odpowiada.

- Wiesz - mówię - a ja przyjechałam taksówką. Byś zobaczył, ale

się zatrzymała z tamtej strony.

- Odwal się.

- Czemu tak brzydsko do mnie mówisz?

Milczy, odwraca się ode mnie. Pod nosem ma brudno.

- Ojej - mówię - tobie krew z nosa leci. Chodź szybko do domu, umyjesz się.

Odpycha mnie.

- Sama sobie idź!

- Co ci się stało? - pytam. - Biłeś się, czy co?

- Uważaj, żebyś cię też nie gwizdnął.

- To idziesz ze mną, czy nie?

Nic nie mówi. Trudno, niech tu sobie stoi, jak chce. Wchodzę po schodkach i naciskam guzik od windy. Zapala się na czerwono, gdzieś wysoko coś brzęknęło. Przykładam ucho do drzwi. Jedzie. Nagle w okienku robi się jasno. Wchodzę do środka i naciskam guziczek z cyfrą 9.

Jadę. Jadę do góry, coraz wyżej i wyżej. Przyjemnie jeździć windą.

Jak to dobrze, że nasze mieszkanie nie jest na parterze. A z drugiej strony szkoda, bo ci, co mieszkają na parterze, mają pod oknami własne, malutkie ogródki.

Jakaś dziewczynka zagląda do mnie przez szybkę. I już jej nie ma, już zniknęła w dole. Jak to dobrze, że nie czekaliśmy z przeprowadzką do końca roku szkolnego. Gdybyśmy czekali, nigdy bym nie poznała Kasi.

Zatrzymało się. Wychodzę z windy i idę długim korytarzem. Wszędzie drzwi. Jedne z nich są nasze. Żeby nie numer, to bym nie wiedziała które. Stukam cichutko paznokciem, bo może Zenuś śpi. Stukam troszeczkę głośniej. Nikt nie otwiera. Przecież nie będę dzwonić, bo Zenuś. A może nikogo nie ma? Ale że Tadziu nic mi nie powiedział? Tak na wszelki wypadek naciskam klamkę. Drzwi otwierają się. Wchodzę, wszędzie cicho.

Pachnie farbą.

Zaglądam do pokoiku Zosi i Krysi. Śpią. Jeszcze jasno na dworze, a one śpią, w sukienkach, przykryte kocym. W dużym pokoju, na nowej wersalce, leży mamusia. Śpi i chrapie. Nawet się nie przykryła. W łóżecku leży Zenuś i też śpi. Coś takiego, wszyscy śpią. A drzwi nie zamknięte, dobrze, że nas ktoś nie okradł.

Wychodzę z pokoju na palcach. Idę do mojego. Jest tak samo malutki, jak pokoiu Zosi i Krysi. Mamy tu tylko stary tapczan, na którym w Jawiszowie spali mamusia z tatusiem, oraz stół i dwa krzesła do odrabiania lekcji. By się nam przydała jakaś szafeczka i półka na przybory szkolne, ale na razie jest dobrze jak jest.

Jeszcze przedwczoraj mieliśmy pokój z kuchnią na całą rodzinę i nikt nie narzekał, to czemu teraz miałby ktoś narzekać. Oczywiście pierwszego wieczoru pokłóciliśmy się z Tadzkiem o to, kto będzie spać od ściany. No bo ja chciałam spać od ściany i Tadzkiem chciał spać od ściany. W końcu ustaliliśmy, że przez jeden tydzień on będzie spał od ściany, przez drugi ja... i tak na okrągło. Raz on, raz ja. Najważniejsze, że każde z nas ma własną pierzynę. Nie będziemy jej sobie wyrywać przez sen.

Trzeba będzie nakupić doniczek i posadzić różnych kwiatków. Trochę ze sobą przywieźliśmy, ale za mało. Tam mieliśmy własny ogródek i kawałek pola, za to tu jest tyle pokoi, i winda, i łazienka i ubikacja w domu. Jak nam mamusia kupi matę nad tapczan, taką słomianą, to powycinam różne kolorowe obrazki z gazet, które mi dała pani Marysia i poprzyczepiam je szpileczkami.

Mam też trochę ładnych pocztówek, wszystkie ze Szczecinem. Ściany pomalowane są dosyć ładnie. W moim pokoiku na zielono i na to żółty wałek. Jakby na łące rosły kwiatki. Tak samo jest u dziewczynki, a w pokoju z telewizorem na niebiesko i też żółty wałek. A na ścianie, gdzie wersalka, jest piękny napis nad szlaczkiem: "JEZUSIE KRYSZUSIE ZMIŁUJ SIĘ NAD NAMI". Kolega taty, co to malował, trochę się pomylił, bo powinno być "Chrystusie",

ale mamusi wcale to nie przeszkadza, mówi, że napis bardzo pasuje do obrazu z panem Jezusem i apostołami, który wisi trochę niżej. To naprawdę piękny obraz i bardzo stary, jeszcze sprzed wojny. Pan Jezus i apostołowie są tacy różowiutcy, tylko Judasz jest opalony i patrzy wrednie. Od razu widać, że coś kombinuje.

Naprzeciwko stoi meblościanka prawie do samego sufitu.

Pięknie tu mamy.

Siku mi się chce. Lecę do ubikacji. Jak tu czysto i przyjemnie. W Jawiszowie mieliśmy jedną budkę z serduszkami na cały barak, okropnie śmierdziało i latały muchy. A jak ktoś miał kłopoty i długo siedział, to inni musieli chodzić za porzeczki. I żeby potem umyć ręce, to trzeba było obejść cały barak, bo pompa stała przy komórkach. A tu mamy tylko dla siebie i ubikację i umywalkę i łazienkę z wanną o krok. No i zawsze jest ciepła woda. Co to jest teraz wyprać pieluchy Zenusia. Pięć minut i po krzyku. I można się kąpać, kiedy się chce. Wczoraj się kąpałam, dzisiaj rano się kąpałam i wieczorem też się wykąpię.

Boże, jak to się człowiek szybko przyzwyczaja do luksusu.

Odrzewam sobie obiad, gdy do kuchni przychodzi mamusia. Siada na stołku i wzdycha, i ziewa. Rozespana i jakaś zła. Stoję cicho przy gazowym piecyku, nic się nie odzywam, tylko smalec skwierczy pod kartoflami. Mamusia się drapie i mówi: - A ty to co? O której to się wraca?

- Byłam u koleżanki - mówię. Mamusia nic na to. Spoglądam na nią, a ona wcale mnie nie słucha. W okno patrzy, tam słońeczko całe pomarańczowe zachodzi za bloki. Mamusia krzywi się.

- Nie jestem zadowolona - mówi - nie jestem zadowolona. To nie dla ludzi takie życie. Pół godziny windą jechać, żeby na pole wyjść. I do okna strach podejść. Nie ma jak żyć. Gaz wybuchnie, wszystko szlag trafi. Gdzie ojciec?

- Nie wiem - mówię. - Jak przyszłam, to go nie było.

- Znów się uchlał - mówi mamusia. - Przynies papierosy.

Idę do pokoju, Zenus już jeszcze śpi. Biorę papierosy, wracam do kuchni i podaję je mamusi. Mamusia zapala papierosa. Ja nakładam na talerz kartofle i kiełbasę i zaczynam jeść. Mamusia pali i patrzy, jak jem.

- I nic mi się nie chce robić - mówi, ziewając. - Muszę pieluchy prać i nie chce mi się.

- Już wyprałam - mówię.

- Tak? - dziwi się mamusia.

- No - mówię.

- Pół godziny sklepu szukałam. Ludzi pełno, a nie ma kogo zapytać.

Akurat, jak jesteś potrzebna, to cię nie ma. I co robiłaś tak długo z tą koleżanką?

- Ona mi grała - mówię. - Jest kompozytorką. Chodzi do tej samej klasy co ja.

- Mieliśmy zasłony wieszać.

- To przecież teraz możemy powiesić.

- Akurat, po nocy - mówi mamusia. - Zresztą i tak nie poprasowane.

- Mogę poprasować.

- Nie, ja poprasuję. Ty masz lekcje do odrobienia. - Mamusia

rozgląda się, nasłuchuje. - Co tu tak cicho? - pyta. Nie mija sekunda, a z pokoju słychać płacz Zenusia. Mamusia odkłada papierosa do popielniczki i wychodzi z kuchni.

I tak zleciał cały dzień. Dziewczynki się wyspały, a potem szalały

do dwudziestej drugiej. Tata wrócił pół godziny później, gdy mamusia już spała. Był pod humorkiem, ale nie za bardzo. Zrobiłam mu kolację i poszedł spać. Wszyscy już śpią, oprócz mnie.

Ja leżę sobie w wannie, w ciepłutkiej wodzie, i się rozkoszuję.

Tylko nos, usta i oczy wystają mi z wody. Słyszę jakieś dalekie, podwodne odgłosy. Ktoś z kimś rozmawia, ktoś coś krzyczy, ale nie słyszę co.

Jakie to dziwne.

Gdy zamknę oczy, to pamiętam, jak wyglądał każdy w mojej nowej klasie. Widzę jak żywą Klaudię i Magdę, i naszą wychowawczynię. Widzę też jak żywą Ewę Bogdaj, jej włosy, jej czarne oczy, całą jej śliczną buzię, i widzę, jak się uśmiecha. Widzę nawet gwiazdeczkę, naklejoną na paznokieć jej małego palca...

A nie mogę zobaczyć Kasi.

Gdy chcę zobaczyć Kasię, zaraz mi się wszystko rozmywa przed oczami.

Czy była wyższa ode mnie, czy niższa?

Jaki miała kolor oczu?

A głos, jaki miała?

Nie wiem, nic nie pamiętam. Widzę tylko promieniste światło w ciemności.

I słyszę muzykę, która gra i gra.

Ciągle to samo gra.

Coś mówi, ale nie wiadomo co.

Mówię ci, mówię ci, mówię ci, mówi muzyka. Co, pytam, co mi mówisz? A ona:

Mówię ci, mówię ci, mówię ci...

- Przebaczysz mi, Kasiu?

- Co mam ci przebaczyć?

- Myślałam, że jesteś złodziejką.

- To ty mi przebacz, bo to moja wina. Już nigdy przy tobie niczego nie ukradnę. Jesteś dobra, a ja jestem taka zła.

- Wcale nie jesteś zła. Jesteś najlepsza na świecie.

- A właśnie, że jestem zła. Jest we mnie zło całego świata.

Jeszcze się o tym przekonasz.

- To nieprawda, nieprawda...

Podwodne słowa zagłusza podwodna muzyka. Głośna, coraz głośniejsza. Ciągle ta sama i ciągle inna. Widzę uśmiech, choć go przecież nie widzę, zaślepiona światłem. Ten uśmiech jest bólem i rozpaczą. I ciągle ta sama muzyka, choć ciągle inna.

Płynie na mnie i mówi:

Mówię ci, mówię ci, mówię ci...

Dlaczego tak jest? Czemu płacę? A ona: mówię ci, mówię ci, mówię ci, mówię ci, mówię ci, mówię ci, mówię ci...

II

Przychodzę do szkoły już za dwadzieścia pięć ósma. W klasie jest tylko ta duża dziewczynka, którą nazywają Szkapą. Siedzi i coś pisze w zeszytce. Na pewno odrabia zadanie domowe. To ja też wyciągam zeszyt i książkę...

Jakoś nie mogę się skupić.

Wstaję i podchodzę do okna. Wyglądam na dwór. Widać stąd wejście do szkoły. Coraz więcej dzieci na dziedzińcu, a za każdym długi cień, bo słońce nisko. Mija dziesięć minut, Kasi jeszcze nie ma. Tylko hałas coraz większy, od dzieci aż się roi.

- No, zdążyłam - słyszę obok siebie głos. Patrzę, koło mnie stoi Szkapą. Siada na parapecie i mówi: - Chciałam odrobić wczoraj, ale nie dało rady. Mój tata Wacek ma na imię. Kapujesz?

Uśmiecha się i mruga do mnie jednym okiem. To ja też się uśmiecham, ale niewyraźnie, bo nie rozumiem.

- Do czwartej rano rozrabiali - mówi. - Ja już spałam. Nagle budzę się, a koło mnie siedzi jakiś gość i mnie trzyma za cycka. A jedzie od niego... Nic nie gadam, udaję, że śpię. A on zsuwa rękę i mnie cap za cipkę. Okazało się, że to był koleś wujka Romka.

Czujesz?

Szkapa na mnie chucha.

- No - mówię.

- A zgadnij, co?

- Nie wiem.

- Wino - mówi Szkapą. - Rano szłam do ubikacji, a tam stała butelka, pół jeszcze było. To wypiałam. Słodziuśkie.

Słychać warkot. Patrzę w dół.

Przed szkołę zajeżdżają dwa motory. Na jednym, czarnym i dużym, siedzi Ewa Bogdaj. Drugi mniejszy, kolorowy. Zsiadają z niego Klaudia i Magda.

- O - mówi Szkapą. - Księżniczki ze Szczawna zajechały.

Wszystkie trzy biorą torby i wchodzą do bramy. Na ich widok coś się ze mną zaczyna dziać. Aż mi trudno oddychać. Odchodzę od okna.

W klasie już pełno dziewcząt i chłopaków. Poczekam na Kasię na dole, przy szatni.

Zbiegam ze schodów, a tu naprzeciwko mnie idzie Ewa Bogdaj z Klaudią i Magdą. Czuję, jak mi serce wali.

- Cześć - mówię cicho. Słyszę za sobą ich śmiech. Coś mówią między sobą, na pewno się ze mnie wyśmiewają. co ja im zrobiłam?

Najbardziej nie lubi mnie Klaudia. Może dlatego, że usiadłam na miejscu Bogusi, która jest w szpitalu. Ale to przecież pan od gimnastyki kazał mi tam usiąść...

Jak ładnie były ubrane, inaczej, niż wczoraj. Szczególnie Ewa... W kurteczce i spódniczce z czarnej skóry. I takie fajne buty miała, cała aż błyszczała. Nigdy w życiu nie widziałam tak pięknej dziewczynki. Chyba zostanie modelką, albo aktorką.

Ja też jestem dzisiaj ubrana inaczej, niż wczoraj. Mam na sobie białą, plisowaną spódniczkę, która nie zakrywa mi kolan, białą bluzkę i białe rajstopki. Te białe rajstopy to trzymałam w szafie na uroczystość zakończenia roku szkolnego w razie jakby było zimno, ale trudno, ubrałam je już dzisiaj. I jeszcze mam na sobie czarny sweter. Ukradłam go tatusiowi. Jest luźny i przypomina sweter, jaki miała wczoraj Ewa Bogdaj, z tym tylko, że pod szyją nie jest w łądkę, a w trójkąt. Do pierwszej w nocy myślałam, jak by się tu ubrać na dzisiaj. Wyciągałam po cichu z szafy wszystkie moje rzeczy i przymierzałam. Bardzo mało ich mam, bo ostatnio strasznie urosłam. Przeglądałam się w szybie okna w kuchni, która w nocy odbija prawie tak dobrze, jak lustro. I zakreśliłam sobie

jednego papilota. Lok wyszedł nie za bardzo, to przypięłam go rano spinką i go nie widać, tylko trochę. A wczorajszej sukienki już nigdy nie włożę, chyba, że do sprzątanania. Nie rozumiem, jak mogła mi się kiedyś podobać.

Już za dwie ósma, a Kasi nie widać. Może dzisiaj w ogóle nie przyjdzie? Myślałam, że wrócę do klasy razem z nią, a tu niestety, muszę wracać sama.

Wchodzę, patrzę... Ewa Bogdaj, Klaudia i Magda oglądają mój zeszyt od polskiego i chichrają się jak głupie. I po co ja go zostawiłam na wierzchu? Stoję przy drzwiach i czekam, aż go odłożą. Klaudia mnie zauważyła, coś szepcze do Ewy. Siadam na swoim miejscu, Magda kładzie przede mną zeszyt.

- Podziwiałyśmy kolor twojego długopisu - szczebiocze z przesadą.

- Doprawdy, przepiękny.

- Normalny - mówię i próbuję się uśmiechnąć, ale jakoś mi nie wychodzi.

- Och, wcale nie taki normalny - mówi Ewa. - On jest szalony jak oczy kochanka homoseksualisty w noc pełni księżyca.

Magda chichocze i dorzuca: - Jak suknia królowej Jadwigi po wyjęciu truchła z trumny.

- Jak język degenerata po wypiciu denaturatu - mówi Klaudia z kwaśnym uśmieszkiem. Nagle pokazuje język i czka. Ewą i Magdą też wstrząsnęły dreszcze.

Wyjmuję z teczki mój długopis. Coś muszę z nim zrobić. Tylko co?

Mogę pstryknąć. Pstrykam i w tym momencie przełamuję się.

- Nie wiedziałam, że mam taki słynny długopis.

- O - mówi Ewa i unosi brwi.

- O - mówi Magda.

- Słynny, płynny - mówi powoli Klaudia. Zatyka dwoma palcami nos.

- Słynie w całej krainie jako gównno w płynie.

Magda wybucha śmiechem. Ewa spogląda na mnie i czeka, co odpowiem Klaudii. Wiem, że czeka na to. Ale ja nie wiem, co mam odpowiedzieć. Patrzą na mnie, jakbym była rybą w akwarium.

Ratuje mnie dzwonek. A razem z dzwonkiem do klasy wchodzi Kasia Bogdańska. O Boże, jakie ona ma cudowne włosy, jak ich wszędzie pełno wokoło niej. Z boku uplotła malutki warkoczyk i przewiązała go niebieską wstążką. Jak cudnie.

Uśmiecha się do mnie, podchodzi. Pochyla się i całuje mnie w policzek.

- Hej, kochanie - mówi. - Ślicznie wyglądasz. Bierz książki i chodź do mojej ławki.

Biorę teczkę, książkę, zeszyt i idę za Kasią. Wracam po długopis.

Widzę ich zdumione spojrzenia.

Podchodzę do ławki Kasi.

- Lilátko - mówi pieszczotliwie Kasia do siedzącej tu dziewczynki.

- Bądź tak dobra i przesiądź się do Klaudii.

- Dlaczego? - pyta Lilka. Jest zaskoczona, zdziwiona i robi się zła.

- Bo serdecznie cię o to proszę. Mamy z Minką coś bardzo ważnego do natychmiastowego omówienia. Czy mam ci dwa razy powtarzać?

- Jak sobie chcesz - mówi Lilka, obrażona. Bierze swoją torbę, zbiera rzeczy z pulpitu i odchodzi. Siada przy Klaudii i natychmiast zaczyna z nią szeptać.

Ewa Bogdaj spogląda na mnie z daleka. W jej oczach jest coś dziwnego. Jakby złość, ale to nie złość. To coś innego, coś bardzo dziwnego.

Odwracam głowę, bo Kasia bierze mnie za rękę.

- Nie wiem, czy powinnam - mówi - bo to miała być niespodzianka, ale chyba ci powiem, bo jak nie powiem, to coś strasznego stanie się z moim językiem. Wyobraź sobie - pstryka palcami - napisałam wczoraj fantastyczny, genialny, no wprost niewyobrażalny kawałek muzyki, lepszy nawet od japońskiej chałwy. Nazwałam to cudo, słuchaj... "Minki mojej Minki". To jest o twoich minkach i o tym,

jak je robisz. Podoba ci się tytuł?

- Yhm - mówię.

- Zaczyna się od dzwoneczków - mówi Kasia z wniebowziętą miną. Rozcapierza palce obu rąk, porusza nimi, zamyka oczy, kręci głową i uśmiecha się cudnie.

Wiem, że ona to teraz słyszy, to wszystko, co skomponowała. W ławkach, gdzie Ewa i Klaudia, słyszą śmiech. To chyba z Kasi śmieją się, z jej miny, i ze mnie się śmieją, że znalazłam sobie taką zwariowaną przyjaciółkę. Ach, co mi tam, śmiecie się. Martwię się tylko tym, że mamusia kazała mi przyjść do domu prosto po szkole, bo trzeba wieszać firanki i zasłony, i w ogóle kupa roboty, a ja po szkole pójde do Kasi i będę słuchała jej kompozycji. I znów wrócę późno, i mamusia będzie krzyżeć. I będzie miała rację. Ale może to granie nie będzie trwało długo? Może tylko godzinę, to powiem mamusi, że było siedem lekcji. Kasia otwiera oczy. Są niezaprzeczalnie zielone.

- Sama usłyszysz - mówi. - A rano dopisałam jeszcze partię fletu. Spałam tylko cztery godziny.

- Ojej.

- Co się martwisz - mówi Kasia. - Raz nie spałam przez trzy dni i trzy noce i nic. Wiesz, te twoje minki są genialne, lepsze od poziomek z bitą śmietaną. Mniem, mniem, lubisz?

- Pewno, że lubię - mówię z poziomkowym smakiem w buzi. Kasia śmieje się.

- A ta minka jeszcze słodsza - mówi. - To była chyba księżniczka twoich minek. Gdyby można było zjadać księżniczki, to bym ją zjadła. Muszę sobie kupić kaganiec.

Zawstydzam się. Spuszczam oczy, czując, jak na policzki wylażą mi rumieńce. Zawsze czuję, jak wylażą. Bo krew tam pulsuje. Biorę i te moje spuszczone oczy na siłę podnoszę.

Widzę przed sobą twarz Kasi.

Żyją, cudną rzeźbę.

Rano, gdy szłam do szkoły, to nawet myślałam, że Kasia mi się przyśniła, że w rzeczywistości wcale jej nie ma, że była tylko moim pięknym snem, który już się skończył. A tymczasem nie. Kasia jest. Siedzi obok mnie i patrzy na mnie, a ja na nią. Patrzę i zapamiętuję, żeby już nigdy nie zapomnieć.

Oczy ma okrągłutkie i bardzo podkrążone. To dlatego, że tak krótko spała. Czy jest ładna? Nie wiem, nie wiem, jest po prostu cudowna. Na policzku ma bliznę, cienką, różową. Na dwa centymetry. Jak to ją musiało boleć, och jej. Ja też mam taką bliznę, ale na kolanie, bo kiedyś zawadziłam o gwóźdź.

Kasia dotyka swojego policzka i mówi:

- Raz, jak byłam mała, postanowiłam sobie uprasować buzię.

Częściowo mi się udało. Chcesz jej dotknąć?

- Tak - mówię. Wyciągam rękę i dotykam leciutko blizny Kasi. A tu nagle w klasie robi się okropnie cicho. Trzasnęły drzwi i zaraz potem:

- Dzień doobry paaani! - cały chór. To weszła pani od polskiego.

- Dzień dobry, najstarsza klaso - mówi. Stukając obcasami, podchodzi do stolika. Obciąga spódniczkę i siada. Jest całkiem siwa, ale wygląda młodo. Ma białą bluzkę i broszkę biedronkę. Rozgląda się po klasie z uśmiechem.

- Czemu tu tak cicho? - pyta. - Nie bójcie się, dyktando dopiero za tydzień.

A klasa: - Uuuuuu!

Pani podnosi rękę, znów cicho.

- Żebyśmy tylko nie zaczęły się śmiać - szepcze mi Kasia do ucha i natychmiast zatyka sobie usta. Coś okropnego zaczyna się dziać, coś we mnie wzbiera na śmianie. Już nie mogę wytrzymać, Matko Święta, ratuj!

Wybucham śmiechem jakby trzaskiem, jakby hukiem w tej ciszy ogólnej i choć zaraz przylatuje strach i zamyka śmiech w komórce,

to już za późno, już się zaśmiałam, już wszyscy słyszeli i teraz patrzą na mnie.

- Kto to się zaśmiał? - pyta pani. Wstaję, spuszcza głowę, głupio mi i coś mi zaczyna szumieć w uszach, jakbym wpadła w muszlę.

- Czemu się zaśmiałaś? - pyta pani. I co mam powiedzieć? Płakać mi się chce, zaraz się rozplacę, bo nie wiem, co mam zrobić. Nagle słyszę cichuteńki szept... - Powiedz, że ci wesoło. - To Kasi szept. Podnoszę głowę.

- Bo mi wesoło - mówię i patrząc na panią trochę głupkowato, uśmiecham się. Niech sobie będzie, co ma być. A co mi tam. Tymczasem na ustach pani widzę uśmiech.

- Bardzo to logiczne - mówi. - Skąd się wzięła w naszej klasie taka logiczna dziewczynka? My się przecież nie znamy.

- Nazywam się Marysia Kawczak - mówię. - Uczę się w tej szkole dopiero od wczoraj, bo dopiero przedwczoraj przyjechałam do Wałbrzycha razem z moimi rodzicami, braćmi i siostrami.

- Dużo masz tych siostr i braci? - pyta pani.

- Trochę mniej niż sto - mówię - a trochę więcej niż troje.

- Domyślam się, że czworo - mówi pani. Kiwam głową.

- Zgadza się.

- Skąd przyjechałaś?

- Z Jawiszowa - mówię. - To taka maleńka osada na południowy zachód od Wałbrzycha. A wcześniej byłam w Paryżu, skąd przywiozłam sobie okropnie niemodną sukienkę. Modne, niemodne... to takie względne pojęcia, całkiem niemodne.

Boże, co ja plotę? Kto to gada przeze mnie? Wszyscy się na mnie gapią. Chyba zwariowałam.

- Ciekawe - mówi pani. - A Jawiszów znam. Byłam tam kiedyś, bo niedaleko leżą Głazy Krasnoludków i bardzo chciałam zobaczyć coś, co tak ładnie się nazywa. Co miałaś z polskiego?

- Czy mogę skłamać? - pytam.

- Proszę bardzo.

- To miałam piątkę.

- A jak wygląda prawda?

- Prawda to czwórka - mówię. - Ale zawsze marzyłam o piątce.

- Zobaczymy - mówi pani - może ci pomogę w urzeczywistnieniu tego marzenia. W takim razie powiedz mi jeszcze, co ostatnio czytałaś?

Co ja czytałam? Co ja ostatnio czytałam? A tu słyszę w głowie cichuteńki szept, jakby Kasi: - Pisma Paskala...

- Pisma Paskala - mówię. Pani aż zagwizdała.

- Masz u mnie za odwagę pierwszą piątkę - mówi. - Ale jeśli będą następne, to już z lektury obowiązkowej i gramatyki. Możesz usiąść.

Siadam. Kasia uśmiecha się do mnie. To dzięki niej byłam taka śmiała wobec pani i całej klasy. To dzięki niej coś we mnie pstryknęło na odwagę. Od dzisiaj będę taka zawsze. Odważna i uśmiechnięta.

Kasia unosi lekko brwi, tak, jakby wiedziała, o czym pomyślałam.

A jeśli ona rzeczywiście zna wszystkie moje myśli? Wszystkie, ale to wszystkie. Nawet te, które... Niektóre są brzydkie. Na przykład... Fuj, nie będę o tym myślała.

I nagle czuję, że cały rój brzydkich myśli wleciał mi do głowy.

Kazik Kamiński sika w porzeczkach, a ja patrzę i wszystko widzę. I on też na mnie patrzy i widzi, że ja widzę, i nic. I ja też nic, tylko patrzę...

Zenuś wrzeszczy bez przerwy, a ja stoję nad nim z poduszką i zaraz go uduszę, przysięgam, że go uduszę, jak nie przestanie wrzeszczeć...

Albo... Dotykam się tam, cała jestem spocona, nie chcę się dotykać, ale się dotykam i dotykam...

Jestem ohydna świnią, dlaczego wtedy nie umarłam? Zabij mnie Kasiu, nie zasługuję na to, żeby być twoją przyjaciółką i przybraną siostrą.

Ale Kasia wcale na mnie nie patrzy. Bawi się długopisem, zagapiona w okno. O tych swoich kompozycjach na pewno myśli. Jakie to musi być ciekawe: myśleć ciągle o kompozycjach, o muzyce. Ja to nie mam nic takiego, żeby ciągle o tym myśleć. Żyję sobie, myślę o tym, o czym akurat myślę, i już. Ciągle o jednym to chyba myślą tylko różni wielcy ludzie, jacyś uczeni, wynalazcy... I jak się jest mamusią i ma się dzidziusia, to też myśli się tylko o jednym. Albo jak się dostanie lanie, to się o tym myśli, dopóki boli. Albo jak ktoś powie coś złego... albo coś dobrego. To też się o tym myśli dosyć długo.

Jak miałam dopiero co tę kobiecą przypadłość pierwszy raz w życiu, to myślałam i myślałam, że jak to jest, że ta krew tak długo musi ze mnie wypływać. Że to przecież mogłoby być żywe, a przecież musi co miesiąc umierać. To taka rzeka, która płynie i płynie, ale nie ma w niej rybek, bo to przecież rzeka krwi, która przepływa przez wszystkie kobiety na całym świecie.

Myślałam o tym i myślałam, a jak przedwczoraj się skończyło, to wzięłam i zapomniałam.

Siedzę w ławce, o czymś myślałam. O czym? Zapomniałam. To już trzecia lekcja w tym pięknym dniu, lekcja rysunków. Druga była matematyka. Na matematyce było tak samo jak w poprzedniej szkole, smutno i nudno. Pan jest malutki, całkiem łysy i ciągle mówi: - "Powiedzmy"

Rysujemy jastrzębia. Pani od rysunków przyniosła go z gabinetu zoolo. Jest prawdziwy. Ale nieżywy i wypchany. Rysuję dziób. Zakrzywiony i ostry. Mieć taki dziób i ciągle go widzieć przed oczami, i nie móc się od niego odwrócić... straszne.

Zerkam, co u Kasi. Ona rysuje jastrzębia w locie. Jest trochę dziwny, ale ładny. Mój jest smutny i zły, a jej po prostu sobie lata.

Kasia jest wspaniała. Na przerwach chodzimy sobie po korytarzach i rozmawiamy. Opowiedziałam jej o bliźniaczkach i o Zenusiu, i o Tadziu. Bardzo chce ich poznać. Ja też bym chciała, żeby oni ją poznali. Dziewczynki będą na pewno zawstydzone, ale potem się przyzwyczają. Bo ja to przyzwyczaiałam się do Kasi od razu. No, może trochę niezupełnie.

Niekiedy Kasia spojrzy na mnie jakoś tak, że wydaje mi się kimś innym, kimś, kogo zupełnie nie znam. Jak gdyby była dorosła i tylko udawała, że jest piętnastoletnią dziewczynką. Ale w ogóle jest cudownie siedzieć z nią w jednej ławce, spacerować korytarzem, rozmawiać z nią i milczeć wspólnie. I pomyśleć... jeszcze wczoraj rano nie znałyśmy się, a dzisiaj jesteśmy ze sobą i rozmawiamy i śmiejemy się razem.

Tamte dziewczynki, z którymi siedziałam wczoraj, Klaudia, Magda, no i oczywiście Ewa Bogdaj, też chodzą ze sobą i rozmawiają, i śmieją się, ale wydają mi się jakieś takie sztuczne. Szczególnie Ewa. Jest taka śliczna, tak ładnie chodzi i tak ładnie się uśmiecha, ale wszystko to robi tak, jakby występowała w teatrze, jakby pełno ludzi na nią patrzyło. Kiedy przechodzi koło nas ze swoim stadkiem, to mnie aż zimno się robi. Ona mnie nienawidzi, czuję to. Nie wiem, dlaczego tak jest i skąd to wiem, ale wiem. Czym jej zawiniłam?

Co innego Klaudia. Ona po prostu brzydzi się mną. Nie wiem dlaczego, ale ją rozumiem. Bo na przykład mój ojciec chrzestny... Bardzo nieładnie pachnie mu z buzi. Gdy mnie całuje na powitanie, to mnie aż słabo się robi od jego oddechu. I chociaż jest bardzo dobry i zawsze daje nam czekoladę, to nie lubię, jak przyjeżdża ze Szczecina. Więc wiem, jak to jest, gdy się człowiek kogoś brzydzi. Zresztą Klaudią też się trochę brzydzę. Jest ciągle skrzywiona i pociąga nosem. I chociaż jest ładna, to nie jest ładna.

- Skończył już ktoś rysować? - pyta pani od rysunków. A ja właśnie skończyłam. Podnoszę dwa palce, wstaję.

Ja!

- Chodź, pokaż - mówi pani. To ja łap za rysunek i biegnę do niej, nagle fajt, leżę na podłodze i widzę chowającą się nogę grubego Ziębińskiego. W klasie śmiech, wszyscy wstają i patrzą, co tak gruchnęło. A to ja. Wstaję ostatnia, bo z podłogi. Boli mnie łokieć.

- Co się stało? - pyta pani.

- Nic - mówię - potknęłam się.

- Biedactwo - mówi pani pieszczotliwie. Przynoszę jej rysunek.

Jest rozdarty, bo gdy upadałam, to trzymałam go obiema rękoma i żadna nie puściła. Pani rozprostowuje go.

- Nic nie szkodzi - mówi. - Bardzo ładny, masz piątkę.

Bierze swój ołówek i stawia pod rysunkiem piątkę. A ja tymczasem widzę, że do Ziębińskiego podchodzi Kasia. I mówi: - Dlaczego jej podstawiliś nogę?

- Co cię to obchodzi? - mówi Ziębiński. - A ty co, przezroczysta? Odsuń się, bo mi model zasłaniasz.

Odsuwa Kasię ręką i w tym momencie Kasia uderza go w twarz. Aż plasnęło. Ziębiński podrywa się z ławki, żeby jej oddać, gdy trach! To straszne. Kasia uderzyła go drugi raz. Tym razem pięścią, w sam środek twarzy. W nos.

Ziębiński upada do tyłu, na Kawczaka. Dziewczynka, co siedzi przed nimi, zaczyna przeraźliwie wrzeszczeć.

- Pokrwauił mnie! - krzyczy i wyciera z twarzy krew. A to krew Ziębińskiego, tak daleko mu trysnęła z nosa. Pani od rysunków robi się biała i wybiega z klasy. Ziębiński leży i beczy, z nosa leci mu krew. Kasia pochyła się nad nim, szarpie go za ubranie i krzyczy:

- Dlaczego podstawiliś jej nogę?!

- Magda mi kazała - mówi niewyraźnie Ziębiński. Kasia puszcza go, odwraca się. Dopiero teraz widzę jej buzię. Gdybym nie wiedziała, że to ona, to bym jej nie poznała. Chcę jej powiedzieć, żeby się uspokoiła, ale jakoś nie mogę się ruszyć. Stoję jak sparaliżowana i mam sucho w ustach.

A Kasia zaciska pięści i podchodzi do Magdy.

- To prawda? - mówi. - Ty mu kazałaś? Magda już nie siedzi w ławce, cofa się do drzwi.

- Wcale nie, on kłamie - mówi i ucieka z klasy. Ziębiński jęczy i prosi, żeby mu ktoś chusteczki pożyczył, ale Kawczak nie ma, a nikt inny nie chce mu dać. Boją się, że im krwią pobrudzi.

Chusteczkę wyciąga Kasia. Rzuca Ziębińskiemu. Jest już spokojna, tylko że strasznie poważna. Wraca do ławki, siada i pochyła się nad rysunkiem. Tylko ona jedna w klasie teraz rysuje.

Otwierają się drzwi.

Wchodzi pani wychowawczyni i pani od rysunków. Za nimi wsuwa się przestraszona Magda.

- Zaprowadźcie go szybko do higienistki - mówi pani wychowawczyni, widząc, co się dzieje z Ziębińskim. Kawczak i Magda prowadzą go już do drzwi. On płacze i kapie krwią. Wychodzą.

- Kasiu - mówi pani wychowawczyni - czy mogłabyś mi powiedzieć, czemu go uderzyłaś?

Kasia unosi głowę znad rysunku. Wstaje i mówi cicho:

- Po prostu go uderzyłam.

- Ale dlaczego?

- On nogę podstawiał Marysi Kawczak - mówi któraś z dziewczynek.

- To nie powód, żeby go tak skatować - mówi pani wychowawczyni. - Marysia mogła się przecież poskarżyć pani Szot.

Kasia przerywa jej.

- A pani Szot powiedziałyby: oj Ziębiński, Ziębiński, nieładnie, nie rób tego więcej. A tak to już nigdy nikomu nie podstawię nogi. Znam się na takich.

- Mogłaś go skrzywdzić.

- Po to go uderzyłam.

- Więc tak według ciebie wygląda sprawiedliwość? - pyta pani

spokojnie, ale widać po niej, że jest zdenerwowana.

- Nawet nie to, że wygląda - odpowiada Kasia. - To jest sprawiedliwość.

- To chyba według prawa dżungli - mówi pani. Kasia kiwa głową.

- Zgadza się.

- Nie jesteśmy w dżungli, jesteśmy w szkole.

Kasia śmieje się.

- To tylko kwestia słów. Nawet mądrość można nazwać głupotą, a głupotę mądrością. Podejrzewam, że nikt by tego nie zauważył.

- Nie będziemy rozmawiać w ten sposób - mówi pani.

- O, z pewnością zna pani inne sposoby - mówi Kasia z ironią. -

Ludzka inteligencja nie ma przecież końca.

- Bądź tak łaskawa i schowaj swoje dowcipy na inne okazje - mówi pani.

- Z przyjemnością - odpowiada Kasia. - Już schowałam. Czy w takim razie ma pani do mnie jeszcze jakieś pytania? Bo jeśli nie, to chciałabym skończyć swój rysunek.

- Kasiu! - mówi z oburzeniem pani od rysunków. - Jak ty się odzywasz?!

- Tak się odzywam, jak się odzywam! - mówi Kasia głośno. Bierze swój rysunek, zgniata go w kulkę i rzuca na podłogę. Wrzuca do torby swoje książki i zeszyty i coraz bardziej podnosząc głos mówi:

- A co mnie to wszystko obchodzi. Jaka Kasia, jaka Kasia?!

Spierdalajcie ode mnie wszyscy, i to w podskokach!

Bierze torbę, mija nas, bo stoimy przy stoliku we trzy: pani Turska, pani Szot i ja, i zatrzymuje się przy jastrzębiu. Wskazuje go palcem.

- Proszę bardzo - mówi - oto wzór. Stoi grzecznie, gdzie go postawią. Problem tylko w tym, że ma ptasi mózdzek i jest wypchany. Obiecuję paniom, że ja nie dam się wypchać. Nikomu. Do widzenia.

Wychodzi trzaskając drzwiami. Panie stoją jak osłupiałe. Ja też. W klasie cicho.

- To przekracza wszelkie granice - mówi pani wychowawczynie. - Będę musiała porozmawiać z jej matką.

- A ja uważam, że to po prostu skandal - mówi nagle Ewa Bogdaj. - Powinno się ją skierować do szkoły specjalnej, bo inaczej ona nas wszystkich pozabija. Co to dla niej!

- Ewka, siadaj - mówi pani wychowawczynie.

- Chętnie, tylko niech mi pani powie, jak to jest, że ona może sobie przychodzić do szkoły kiedy chce i kiedy chce wychodzić! Czy Katarzyna Bogdańska to święta krowa? Ale przecież nie jesteśmy w Indiach. O ile mi wiadomo, ona nie ma nawet obniżonego stopnia ze sprawowania. A przecież sama pani przed chwilą powiedziała, że szkoła to nie dżungla. A mimo to dla nas jest inne prawo, i inne dla niej. A może takie same? Czy w takim razie my także możemy sobie nie przychodzić do szkoły?

Pani wychowawczynie macha ręką i wychodzi.

- Jak jest wariatką, to trzeba ją oddać do szpitala dla psychicznych - kończy Ewa. Siada i zaczyna szeptać z Klaudią.

- Wracaj na miejsce - mówi do mnie pani Szot. - I proszę o ciszę. Macie już tylko dziesięć minut na skończenie rysunków.

Biorę swojego jastrzębia i wracam do ławki. Wszystko stało się przeze mnie. Powinnam Kasię wcześniej uspokoić. Jestem tchórz i gapa. Mogłam jej przecież powiedzieć, że wcale mi Ziębiński nogi nie podstawił.

Ale skąd mogłam wiedzieć, że tak się to skończy? Ona była taka spokojna i tak cicho mówiła. A ten Ziębiński, taki gruby i silny. Wcale się go nie bała. Uderzyła i już. Aż trzasnęło. Popłakał się jak mały dzieciak. Ja bym nikogo nie mogła uderzyć, nawet w nerwach. Jeszcze nigdy nikogo nie uderzyłam, chociaż mnie to nie raz. Takie byłyśmy wesołe, tak fajnie nam się rysowało.

Po co ja się wyrwałam z tym rysunkiem?

Jakbym siedziała i jeszcze rysowała, toby mi Ziębiński nogi nie podstawił i byśmy teraz siedziały z Kasią i wszystko byłoby dobrze. Nie wierzę, że to Magda kazała mu podstawić tę nogę. Po co miałaby mu kazać? Przecież nic jej nie zrobiłam.

Wracam ze szkoły i jeszcze o tym myślę. Wydawało mi się, że Ewa mnie nienawidzi. A to Kasi nienawidzi, a mnie tylko dlatego, że się z Kasią przyjaźnię. Jak ona strasznie o niej mówiła... Jak bardzo trzeba nienawidzić, żeby o kimś tak mówić.

Przyczepił się do mnie Kawczak. Idzie obok i mówi:

- A może my jesteśmy kuzyni i nic o tym nie wiemy?.

- Może - mówię.

- Niby Kawczaków trochę na świecie jest - mówi Kawczak - ale może akurat...

Zatrzymuję się.

- Jak myślisz - mówię - czy to możliwe, żeby Magda kazała

Ziębińskiemu podstawić mi nogę?

- Możliwe jest - odpowiada Kawczak. - On się w niej buja. Ale chyba nie za bardzo, bo zaraz ją wydał.

- Może tylko tak kłamał?

- Ziębiński to raczej nie kłamie - mówi Kawczak z namysłem. - Chociaż czasem lubi i skłamać. Z nim to nigdy nie wiadomo. Niby koleś, ale jak raz na matmie pan zapytał, kto puścił baka, to zwałił na mnie, a to przecież on puścił. Dobrze mu tak, niezłą fangę dostał od Bogdańskiej, dawno mu już nikt tak nie przywalił.

- Kawczak śmieje się. - I miało się trochę rozrywki. Krwi mu poleciało chyba z pięć litrów.

- Coś ty - mówię. - Pięć litrów to cała krew, jaką ma człowiek.

Jakby tyle z niego wyleciało, to już by nie żył.

- Taki gruby i czerwony na pysku jak on, to ma minimum dziesięć litrów. Pół mu jeszcze zostało. Słuchaj, ty naprawdę byłaś w Paryżu?

- Byłam - mówię. - A bo co?

- Bo wiesz, my tu teraz też jesteśmy w Paryżu.

- Jak to?

Kawczak pokazuje na chodnik pod naszymi nogami.

- Tu, gdzie stoimy, ta dzielnica, nazywa się Paryż - mówi. - Na

każdej mapie możesz przeczytać. No, to cześć kuzynko, lece.

I poleciał. Chciałam go jeszcze o coś zapytać, ale zamydlił mi głowę tym Paryżem i zapomniałam. Dziwne myśli przychodzą mi do głowy. No bo tak: Wczoraj wpadłam na Kawczaka i o mało co nie wybiłam mu zęba. Dzisiaj Kasia rozkrwawiła nos Ziębińskiemu. Oni siedzą w jednej ławce, i my z Kasią w jednej. Ale jak wpadłam na Kawczaka, to jeszcze nie wiedziałam, że będę siedziała z Kasią, jeszcze jej nie znałam. A gdybyśmy dzisiaj razem nie siedziały, toby Ziębiński nie dostał.

Spodobały mi się w klasie dwie dziewczynki. Kasia i Ewa. I okazało się, że tak podobnie się nazywają. Bogdańska i Bogdaj. Dziwne.

Jakby wszystko szło parami. No bo przecież Kawczak nazywa się tak samo, jak ja...

Idę i nie wiem, co mam zrobić. Może Kasia nie chce, żebym do niej przyszła? Może ma do mnie pretensję? Może powinnam wziąć wtedy teczkę i wylecieć z klasy za nią? Ale to przecież było niemożliwe.

Ja tak nie umiem. Jeszcze nigdy w życiu nie opuściłam dnia nauki.

Nawet jak byłam chora, to nic mamusi nie mówiłam i szłam do szkoły. Mogło się walić i palić, a ja szłam. I to nie dlatego, że tak bardzo lubię szkołę. Po prostu: jak trzeba, to trzeba.

Tak pięknie zaczął się ten dzień i aż do trzeciej lekcji było tak fajnie. A potem... Kasia sobie poszła i znów byłam cicha i

wszystkiego się bałam. Gdy jestem z Kasią, to czuję się tak, jakbym była inną osobą. Starszą, mądrzejszą i wesołą. Bo normalnie to chyba nie jestem wesoła. Nigdy się tak nie śmiałam, jak przy Kasi. Przy niej to umiem nawet rozmawiać z dorosłymi, jak na

przykład dzisiaj z panią Trauman od polskiego. A tak, to nawet z mamusią nie za bardzo umiem. A z tatą to prawie w ogóle nie rozmawiam. Boję się dorosłych.

Jaki ten Wałbrzych jest ładny. Szczególnie tutaj, koło rynku. Niektóre kamieniczki są takie brudne i szare, a jednak śliczne. Jakby zaczarowane. I uliczki takie wąskie i takie strome. Zimą można z nich zjeżdżać na sankach. Tak się tu czuję, jakbym czytała bajkę.

I tyle tu różnych sklepów. I ludzi tyle, a każdy idzie w swoją stronę, każdy coś innego ma do załatwienia. Jak mróweczki. Bardzo lubię patrzeć na mrowiska. Mogłabym godzinami stać nad mrowiskiem i patrzeć, jak się mrówki uwijają. Tylko, że zaraz włożą na nogi i trzeba uciekać.

Kretowiska też lubię. Lubię myśleć o tych wszystkich korytarzach, które są pod ziemią. Raz znalazłam małego krecika. Taki był milusi. Pogłaskałam go i wsadziłam do norki, żeby mamusia mogła go znaleźć. Tak śmiesznie ruszał łepkiem. Przyszłam na drugi dzień, a on tam dalej leżał, już nieżywy. Mamusia powiedziała, że to przeze mnie zdechł. Bo go głaskałam i tuliłam, przez co jego mamusia bała się do niego później podejść, bo czuła ludzki zapach. Ale ja przecież nie wiedziałam, że tak nie wolno. Tak czasem jest. Można komuś zrobić krzywdę niechcący.

O, już brama Kasi.

A tu drzwi, za którymi stałam wczoraj i tak strasznie się bałam.

Ale byłam głupia. Idę po schodach i mi się przypomina, jak myślałam, że Kasia to Cyganka. A tutaj udawała, że mi chce powrócić. Staje, wyciągam rękę i wkładam ją w strumyk słońca wpadający przez świetlik. I jeszcze mi się przypomina, jak Kasia powiedziała, że za wrócenie mogę jajeczkiem zapłacić.

Dzwonię do drzwi. Raz i jeszcze raz. Czekam, czekam... nic. Może jej nie ma w domu? Może jest w kawiarni i je lody? A może siedziała przy fontannie, a ja nie patrzyłam? Zadzwoń ostatni raz i pójde. Dzwonię. Przykładam ucho do drzwi. Cisza. Jakby grała, toby nie usłyszała, że dzwonię.

Dzwonię już naprawdę po raz ostatni. Coś słychać. Otwierają się drzwi. Stoi w nich Kasia.

- Wchodź, szybko - mówi i biegnie z powrotem. To wchodzę, zamykam drzwi i przekręcam zamek. Ojej, nie wytarłam nóg. Ale na dworze było sucho. Kładę teczkę na szafce i wchodzę do pokoju za kotarą. Jak tu jasno dzisiaj.

Zasłony w oknach porozsuwane, a Kasia stoi przy synte...zatorze i uderza palcami w klawisze, ale nic nie słychać, żadnej muzyki, tylko stukot palców o klawisze. Ach, bo Kasia ma na uszach słuchawki i w nich wszystko słyszy.

Teraz je zdejmuję, wyłącza magnetofon. Obok stoi taki sam.

- Zaraz skończę - mówi do mnie. - Piętnaście minut.

Siada za stołem z gałkami i zakłada na uszy słuchawki. Włącza oba magnetofony, zatrzymuje, cofa kółka ręką. Stoję przy niej i patrzę, co robi. Kółka znów się kręcą.

- Do de - mówi Kasia. - Jeszcze raz. - I znów cofa taśmę, znów się kręcą kółka. Kasia uśmiecha się, kiwa głową. - Okej - mówi.

Spogląda na mnie. - Wgrałam na początek flet, a teraz wpadłam na pomysł, żeby go przepuścić w drugim planie na końcu. Racja, ty nie nie wiesz. Czekając na ciebie, nagrałam wszystko na taśmę.

Posłuchamy tego razem. Gruby żyje?

- Tak - mówię - nic mu nie jest. Tylko nochal ma spuchnięty.

- Trochę się bałam, że mu go zламаłam.

- Nie - mówię - on się macał i mówił, że cały.

- Ktoś coś mówił na mój temat jak wyszłam?

- Nie, tylko Ewa... ale właściwie to nic.

- Ewa? - dziwi się Kasia. - Co mówiła?

- Że ty często nie przychodzisz do szkoły, a wszyscy muszą i czy to ma być sprawiedliwość.

Kasia śmieje się.

- Coś takiego - mówi. - Panna Bogdaj egalitarystką, no, no. A teraz zatkaj uszy, bo będę waliła.

Biegnie do kąta i ściąga z czegoś płachtę czarnego, błyszczącego plastiku. A to jakieś bębny. Wraca do magnetofonu, włącza go, zakłada na uszy słuchawki i leci z powrotem do bębnow.

- Perkusja musi być żywa - mówi głośno do mnie. - Bo z komputera to jak motyl na szpilce w gablocie u zegarmistrza. A teraz cicho! Siedzi chwilę nieruchomo i nagle zaczyna uderzać palcami po bębnach. Stoję i się boję poruszyć, bo przecież Kasia nagrywa to na mikrofon.

Jaka ona jest zdolna. Na wszystkim potrafi grać. Jak szybko uderza tymi palcami. Teraz wolniutko, coraz wolniej. Jeszcze tylko raz łupnęła i skończyła. Leci do magnetofonów, cofa taśmę i słucha w słuchawkach.

- Jak się nudzisz - mówi - to poczytaj sobie Paskala. Pochwaliłaś się panie Trauman, to teraz czytaj. Gdzieś na biurku leży.

Podchodzę do biurka, szukam wśród książek. Jest. To się pisze "Pascal". "BLAISE PASCAL". Otwieram i nic nie umiem przeczytać.

Spoglądam na Kasię.

- Ale to nie po polsku - mówię. Kasia zsuwa z uszu słuchawki.

- Co mówisz?

- To nie po polsku!

- Przepraszam - mówi - zapomniałam. To poczytaj sobie coś innego.

- A jak mnie pani Trauman zapyta jutro o tego Pascala - mówię. - To o czym to jest?

- Myślisz, że pamiętam? - mówi Kasia i kiwa na mnie. - Pokaż mi to.

Podchodzę, podaję jej książkę. Kasia przewraca kartki.

- O - mówi - na przykład to. Kiedy się czyta za szybko, lub za wolno, nic się nie rozumie. I sześćdziesiąt dziewięć bis. Dwie nieskończoności, środek. Kiedy się czyta za szybko, lub za wolno, nic się nie rozumie.

Kasia spogląda na mnie.

- Rozumiesz? - pyta. Wzruszam ramionami.

- Nie - mówię.

Ojej mówi Kasia - to jest o tym, że człowiek musi się dusić pośrodku, bo niestety, lub stety, nieskończoności nie są dla ludzi. Proste?

Wzdycham.

- I tak mam powiedzieć pani Trauman?

- Czymś takim na pewno byś ją załatwiła - śmieje się Kasia. - A do tego jeszcze dodaj, że samemu się żyje i samemu się umiera.

Oddaje mi książkę, zakłada słuchawki i zaczyna kręcić gałkami.

Wracam do biurka. Człowiek musi się dusić pośrodku, bo niestety, lub stety, nieskończoności nie są dla ludzi. Samemu się żyje i samemu się umiera.

A to prawda, że jak się czyta za wolno, to nic nie można zrozumieć. Jak się uczyłam czytać w pierwszej klasie, to zanim złożyłam z literek trzeci wyraz, to już zapomniałam pierwszego.

Oglądam tę książkę Pascala. Na pierwszej stronie napisane jest: "PARIS".

To na pewno po francusku. Biorę inną książkę. Jak popatrzeć z boku, to wszystkie kartki czerwone. Otwieram: białe. Znowu "PARIS" Samemu się żyje i samemu się umiera. To chyba jak się jest samotnym?

Ten Paryż ciągle mnie prześladowuje. Najpierw, wczoraj, powiedziała o nim Ewa Bogdaj. Że na pewno przyjechałam z Paryża. Potem Kawczak mi mówi, że właśnie jesteśmy w Paryżu. Teraz te wszystkie książki z Paryża. O co ja miałam zapytać Kawczaka?...

O, jaka ładna figurka, jaka malutka. Biorę ją i odstawiam zaraz.

Wycieram rękę o sweter. Aż mnie dreszcz przeszedł, jakbym wzięła do ręki czarną pijawkę. Faj, to diabełek ohydnie wykrzywiony. Faj,

fuj! Kasia coś do mnie chyba mówi.

Odwracam się. Nie, to nie do mnie. Podśpiewuje sobie, pochylona nad stołem z gałkami. Kasia w domu znów sama, tak jak wczoraj. Nie widziałam jeszcze jej mamusi, ani jej tatusia. Ciekawa jestem, jak wyglądają i do kogo Kasia jest bardziej podobna. Bo ja to do mamusi, jak była młodziutka.

- Chodź tu szybko - mówi Kasia. Podchodzę do niej. Kasia przystawia mi do ust mikrofon i mówi: - Potrzebuję twojego śmiechu. Zaśmiej się, tylko głośno.

- Nie wiem - mówię - jeszcze nigdy nie śmiałam się do mikrofonu.

- To spróbuj.

- Jakoś nie chce mi się śmiać.

- Przypomnij sobie coś wesołego.

Coś wesołego... co było wesołego? Raz ojciec chrzestny przywiózł maskę na twarz. To była twarz małpy. Strasznie śmieszna. Założył ją sobie, tam była gumka, zaczął skakać zgarbiony jak małpa, wymachiwał rękami. Wszyscy pękali ze śmiechu. Potem nałożył ją Tadiusi i poleciał do ogródka, a myśmy patrzyli z okna.

Pani Kamińska akurat zrywała rzodkiewki. Tadzik wychylił się z krzaków i wrzasnął: - huuu! - Pani Kamińska go zobaczyła i w nogi. Potem mówiła, że to cud, że trupem nie padła, jak maskarę zobaczyła. Nikt jej nie chciał wierzyć, a myśmy nigdy się nie przyznali. To było dawno.

- Już? - pyta Kasia.

No mówię i zaczynam się śmiać, ale jakoś smutno i sztucznie.

- Popatrz na mnie - mówi Kasia. Patrzę, a ona robi niesamowicie śmieszna minę i jakoś tak śmiesznie kiwa głową. Ja buch w śmiech, Kasia naciska klawisz w magnetofonie i natychmiast przestaje mi się chcieć śmiać. Kasia sepleni cieniutkim głosikiem:

- A telas wystompi psed państfem panna Mania, specjalistka od chichlania.

Wytrzeszcza na mnie oczka. Ja w śmiech śmieję się i śmieję, Kasia nagrywa... nagle rozlega się dzwonek. Kasia spogląda na zegarek.

- To na pewno panna Zenobia - mówi. - Zapomniała kluczy?

Dzwonek znów dzwoni. Kasia biegnie otworzyć, słyszę, jak otwiera drzwi. Jakiś znajomy głos:

- Dzień dobry Kasiu, czy zastałam mamusię?

- Przykro mi - odpowiada Kasia. - Mamusia będzie dopiero późnym wieczorem.

- Nie zaprosisz mnie do środka? - pyta ten głos i dopiero teraz go poznaję. To głos pani Turskiej, naszej wychowawczynie.

- Ależ proszę bardzo - mówi Kasia. Słyszę stuk drzwi i głos pani Turskiej: - Może trochę porozmawiamy na spokojnie?

- Z przyjemnością - odpowiada Kasia. I co to będzie, jak mnie pani tu zobaczy? Każe mi na pewno wyjść, a tak nam było fajnie. Nie wyjdę.

Chowam się za kotarę przy oknie. Słyszę, jak wchodzi do pokoju.

Jejku, co ja najlepszego zrobiłam? Zaraz Kasia mnie zawoła i dopiero będzie mi głupio, jak wyjdę zza kotary. Już wiem, udam, że bawiłyśmy się w chowanego.

Stoję i prawie nie oddycham.

- Więc to twoje królestwo? - słyszę głos pani. Zaraz potem śmiech Kasi i jej głos:

- Jeżeli już, to raczej małe, zrujnowane księstwko. Napije się pani kawy? A może herbaty?

- A wiesz - mówi pani - kawy to bym się napiła.

- Zaraz będzie - mówi Kasia i słyszę, że wychodzi. Słyszę teraz jak pani chodzi po pokoju.

A jeśli podejdzie do okna?

Słysząc jej kaszel. Daleko ode mnie. Spoglądam w dół, czy mi czasem nie wystają nogi spod kotary, ale kotara jest długa, załamuje się na dywanie.

Kasi kroki i cichuteńki brzęk.

- Już, tak szybko? - dziwi się pani.
- Bo z termosu - odpowiada Kasia. - Może być.
- Oczywiście - mówi pani, Żeby tylko Kasia się domyśliła i mnie nie szukała. Zerkam w bok. W szybie widzę odbicie pani Turskiej i Kasi. Niewyraźnie, bo za szybą widok na domy i okna. Widzę, jak Kasia stawia tacę z filiżankami na stoliczku przy kanapie. - Proszę - mówi słodko. Pani siada, Kasia też. Podsuwa pani cukiernicę, pani słodzi i miesza łyżeczką. Odsuwa cukiernicę w stronę Kasi.
- Dziękuję, nie słodzę - mówi Kasia. Pani podnosi filiżankę do ust, wypija łyżeczek. Patrzę... po dachu tamtego domu chodzi kominiarz. A ja nie mam na sobie ani jednego guzika, bo pod swetrem elastyczna bluzka, a spódniczka na haftkę.
- Bardzo u ciebie przyjemnie - mówi pani.
- Dziękuję - mówi Kasia. I głośno wzdycha. Pani też wzdycha. Zaczynają się śmiać obie.
- Poważne rozmowy mają to do siebie, że najtrudniej zacząć - mówi Kasia.
- To może zacznę od tego, Kasiu - mówi pani - że bardzo cię lubię. I jeśli powiem ci coś przykrego, to tylko dla twojego dobra.
- I ja panią bardzo lubię - mówi Kasia. - Jest pani taką sympatyczną, zrównoważoną, elegancką kobietą. A ja, jak pani widzi, jestem tylko małą, niezrównoważoną, potarganą dziewczynką, która bardzo żałuje, że tak narozrabiała. Kładę symboliczną rękę na symbolicznym sercu i bardzo przepraszam. Pani śmieje się.
- Ślicznie to ujęłaś.
A Kasia: - Zawsze sobie obiecuję, że nie będę się wtrącać do rzeczywistości, i zawsze o tym zapominam.
- Tak, wiem, że to trudne - mówi pani. - Też mam niekiedy taki sam kłopot. Chciałoby się wszystko powiedzieć, ale cóż, jest się dorosłym i żyje się między ludźmi.
- Obiecuję pani, że będę trenować - mówi Kasia. - Będę chodziła z butelką wody. Jakby coś, to łyżeczek i potrzymać w ustach, dopóki pali w języczek.
Znów się śmieją. Jak one ładnie ze sobą rozmawiają. Nasza pani wychowawczyni jest jednak bardzo fajna.
- Bo widzisz, Kasieńko, bardzo się o ciebie martwię - mówi pani. - Pamiętam, jak kiedyś byłaś takim wesołym dzieckiem...
- O, tak - przerywa jej Kasia. - Byłam szczęśliwa i wesoła jak dziewczynki w ZSRR.
- Nie kpj, Kasiu. Gdy szłam do was na lekcję, to zawsze cieszyłam się, że zobaczę twoją wesołą buzię.
- Cóż - mówi Kasia - podobno przechodzę okres dojrzewania. Taki okres, w którym do dziecinnej łepetyнки zlatują zewsząd różne dziwne pytania, a na większość z nich jakoś nigdzie nie widać odpowiedzi.
- To prawda - mówi pani. - Ale obiecuję ci, wiem to z własnego doświadczenia, że przyjdzie czas, w którym na te wszystkie pytania znajdziesz odpowiedzi.
- Nie byłabym tego taka pewna - odpowiada Kasia.
- Trzeba po prostu żyć i cieszyć się tym, co każdy dzień przynosi - mówi pani.
- Ja się cieszę, ale na swój sposób.
- Och, wiem - mówi pani. - Interesuje cię muzyka, masz talent. Bardzo ci zazdroszczę, to cudowne mieć talent. To wielki dar.
- Powiedziałabym raczej, że to straszne mieć talent.
- Nie rozumiem. Dlaczego?
- Nie lubię tego słowa, jest powierzchowne, ale niech będzie, że to się nazywa talent - mówi Kasia. - Czy pani wie, co to jest? To żywa rana, którą ciągle trzeba rozdrapywać i rozdrapywać.
- Po co rozdrapywać? - dziwi się pani.
- Bo się zagoi.

- No wiesz, ja się na tym nie znam, ja uczę biologii. Ale na mój skromny rozum, to gdybym miała talent, byłabym bardzo, ale to bardzo szczęśliwa. Móc robić coś, co potrafi tak niewielu...

- Ma pani całkowitą rację - mówi Kasia jakimś takim dziwnym tonem.

- To ogromna przyjemność być po stronie mniejszości.

- No widzisz.

- Bo ja jestem jeszcze bardzo dziecinna i robię z igły widły - mówi Kasia, śmiejąc się. - To obrzydliwe chwalić się własnym cierpieniem. Brzydzę się sobą.

- Nie mów tak. Jesteś wspaniałą, mądrą dziewczynką, przerastasz inteligencją swoich rówieśników. Będziesz kiedyś sławna, jestem tego pewna. Tylko musisz zrozumieć, kochanie, że na wszystko musi przyjść czas. Teraz chodzisz do szkoły podstawowej, przed tobą jeszcze liceum i studia. Przez kilka lat jakoś będziesz musiała pogodzić szkołę i swoje zainteresowania pozaszkolne. I tak wiele ci wybaczymy. Obliczyłam, że na sto dziewięćdziesiąt dwa dni od początku roku opuściłaś osiemdziesiąt siedem, a więc prawie połowę. I tylko raz przyniosłaś zaświadczenie lekarskie.

- Bo to byłoby śmieszne - mówi Kasia. - Przecież pani wie, gdzie pracuje moja mama. A ja znam wszystkich jej kolegów i wszystkie jej koleżanki.

- Rozumiem twoje intencje, Kasiu, ale masz te dni nie usprawiedliwione. Powinnam ci obniżyć stopień ze sprawowania. Na każdej radzie walczę o ciebie z panem dyrektorem.

- Czy ja źle się uczę? Czy choć raz dostałam dwóję?

- Co to ma do rzeczy? Zrozum, my mamy swoją statystykę. Nie mówiąc o tym, że dajesz innym uczniom zły przykład.

- Wiem, już mi kiedyś pani o tym mówiła.

- Widzisz - mówi pani. - Obiecuj mi, Kasiu, że do końca roku, to przecież jeszcze tylko dwa miesiące, będziesz do szkoły przychodzić codziennie.

- Mogę pani obiecać - mówi Kasia. - Ale proszę, niech się pani mną nie przejmuję. Mogę sobie mieć tę trójkę ze sprawowania.

- Uwierz mi, Kasiu, że z trójką ze sprawowania możesz mieć poważne kłopoty z dostaniem się do liceum. Nigdzie nie lubią kratkowiczów. Wiem, co mówię.

- Wcale nie muszą mnie lubić. Nie idę do żadnego liceum. Mama już obiecała, że nie będzie mi zawracać głowy szkołą. Podstawówka jest obowiązkowa, w porządku, skończę ją, bo nie lubię milicjantów. Ale na tym koniec mojej edukacji.

- Nie żartuj, Kasiu - mówi pani.

- Mówię całkiem serio.

- Co ty zrobisz w życiu bez matury?

- Niech się matura zastanawia, co zrobi beze mnie - odpowiada Kasia.

- No nie, Kasiu - mówi pani, podnosząc głos. - Ty sobie żartujesz. Nie chcesz osiąść głębszej wiedzy?

- O, bardzo chcę - mówi Kasia. - Ale tej wiedzy, o którą mi chodzi, na pewno nie znajdę w szkole.

- Szkoła daje podstawy do wszelkiej wiedzy.

- No właśnie. Nauczyłam się czytać i pisać. To mi wystarczy.

- To bardzo dziecinny punkt widzenia - mówi pani. - Możesz przeczytać milion mądrych książek, lecz jeśli nie będziesz miała dyplomu ukończenia wyższych studiów, już nie mówiąc o maturze, to będziesz dla ludzi nikim. Rozumiesz? Nikim!

- Ja nie dla ludzi chcę być kimś - mówi Kasia. - Chcę być kimś dla siebie.

- To powiedz mi, dlaczego wszyscy mądrzy ludzie chodzili do szkoły i studiowali.

- A bo ja wiem? Ich by trzeba o to zapytać. Ale tak na mój dziecinny rozum, to wydaje mi się, że mądrych ludzi jest dużo, dużo mniej od absolwentów wyższych uczelni. Pani zaczyna się śmiać. Przystaje. Wzdycha.

- Oj, Kasiu, Kasiu - mówi. - Kiedyś dorośniesz i zrozumiesz. Żeby tylko nie było za późno.

- Dla mnie już od dawna jest za późno - mówi Kasia.

- Nie ma sensu nasza dyskusja - mówi pani. - Ja swoje i ty swoje. Kasia wzdycha boleśnie.

- Całkowicie się z panią zgadzam. Ale czy to ja ją zaczęłam? Teraz wzdycha boleśnie pani wychowawczyni.

- Zmęczyłam się - mówi. - Już naprawdę nie wiem, jak mam z tobą rozmawiać... Ktoś musi ci wytłumaczyć pewne rzeczy, bo inaczej zginiesz. Gdybym była twoją mamą...

- Moja mamusia też jest bardzo inteligentna - mówi Kasia. - Zapewniam panią o tym.

- Nie musisz mnie zapewniać - śmieje się pani. - I co ona na to?

- Mniej więcej tak samo, jak teraz pani. Już dawno się zmęczyła i machnęła na mnie ręką.

- Wcale jej się nie dziwię. Powiedz mi, czy kiedykolwiek znalazł się ktoś, kto cię do czegoś przekonał?

- Nie rozumiem, dlaczego ktoś miałby mnie do czegoś przekonywać - mówi Kasia. - Każdy ma własne życie i własny rozum. I jeszcze do tego własny los, którego nie można przewidzieć. Tak naprawdę, to nikt nie wie, co jest dla niego dobre, a co złe. Często o tym myślę. Coś się robi mądrze, wychodzi głupio... O proszę, na przykład taka ludzkość. Magistrów miliony, profesorów na tony. I co ta mądra ludzkość ze swoim praktycznym rozumem zrobiła z planetą, na której żyje? Chce pani więcej przykładów?

- Masz wiele racji - mówi pani. - Ale nie rozmawiamy o ekologii, ani o filozofii. Rozmawiamy o tobie i o szkole.

- Wszystko jest ekologią, wszystko jest filozofią - odpowiada Kasia. Unosi ręce, przeciąga się. - Wielkie skutki mają swoje małe przyczyny. Mnie to już tylko śmieszy to wszystko, bo przecież nie ma odwrotu. - Kasia śmieje się. - Ciekawe, co by pani zrobiła, gdybym to ja zaczęła panią przekonywać do mojego sposobu myślenia. Byłoby pani przyjemnie?

- Gdybyś wysuwała przemyślane argumenty - mówi pani - to mogłabyś spróbować.

- Dobrze - mówi Kasia. - W takim razie czy mogłaby mi pani odpowiedzieć na proste pytanie?

- Słucham - mówi pani.

- Czy jest pani szczęśliwa? - pyta Kasia.

- Ja? A wiesz, że jestem.

- Pani kłamie - mówi Kasia. - Jak można być szczęśliwą, brzydząc się swojego własnego męża?

O Boże, co ta Kasia wygaduje.

- Kto ci to powiedział? - Pani podnosi głos. Kasia śmieje się cicho.

- To moja tajemnica - mówi. - Powiedzmy, że wyczytałam to w pani oczach. Wyszła pani za mąż ze zmęczenia, bo chciała mieć pani dziecko, rodzinę... A teraz to pani ma i wcale nie jest szczęśliwa.

- Jesteś niegrzeczna - mówi pani. - Chyba jednak skończymy tę rozmowę.

- Sekundeczka, powiem pani więcej. Pani nienawidzi także swojej pracy. Panią męczy praca z dziećmi. Każdy dzień jest dla pani torturą. Nie może pani znieść wrzasku na przerwach i nudy powtarzania po raz tysięczny tego samego. Mam rację?

- Kasiu - mówi pani głośno - zwracam ci uwagę, że zachowujesz się jak ostatnia chamka.

- Niech będzie, że jestem chamką - mówi Kasia. - Za to ty jesteś oszustką. Jesteś nieuczciwa najstraszniejszym rodzajem nieuczciwości, bo jesteś nieuczciwa wobec samej siebie!

Pani Turska wstaje nagle.

- Co za "ty", smarkulo! - krzyczy, wyprowadzona z równowagi. - Co za "ty"!

- Może mi jeszcze powiesz, że nie piłyśmy bruderszaftu? - pyta Kasia drwiąco. Pani zamierza się na nią, ale Kasia zrywa się błyskawicznie, łapie panią za rękę i popycha ją na kanapę. Pani siada z impetem a ja za kotarą gryzę ze zdenerwowania palce.

- Siedź tu i słuchaj, bo jeszcze nie skończyłam! - mówi Kasia rozkazująco. - Jak widzisz, jestem od ciebie silniejsza.

- Ty chyba jesteś nienormalna - mówi pani łamiącym się głosem. - Ja będę krzyczeć!

Kasia pstryka palcami.

- Proszę bardzo - mówi. - Chętnie posłucham. Ten pokój jest specjalnie wytlumiony, nikt oprócz mnie cię nie usłyszy. A ja przecież jestem psychicznie chora, jestem wariatką, mogę cię spokojnie zabić. Więc krzycz.

- Uspokój się dziecko - mówi pani. - Uspokój się, bardzo cię proszę.

- To ty się uspokój - odpowiada Kasia.

- Czy ty wiesz, co robisz?

- Wiem - mówi Kasia, stojąc nad panią. - Ucinamy sobie małą pogawędkę. Najpierw na mój temat, a teraz na twój.

- Kasiu - mówi pani. - Jestem twoją nauczycielką i wychowawczynią. Nie zapominaj o tym.

- A ty spróbuj o tym na pięć minut zapomnieć. Wyobraź sobie, że minęło dziesięć lat, obydwie jesteście dorosłe i rozmawiamy jak przyjaciółki.

- Niech ci będzie, tylko uspokój się!

- Jestem bardzo spokojna - mówi Kasia i siada. Bierze filiżankę z kawą. - Czy mogę ci mówić po imieniu?

- Mów, proszę bardzo. Mam na imię Anna.

- No więc słuchaj, moja mała, słodka Aniu - mówi Kasia pieszczotliwie i śmieje się cichutko. Pani wzdycha.

- Ja chyba też jestem nienormalna - mówi.

- Próbowałaś przekonać mnie - mówi Kasia - żebym swoje życie skroїła według ogólnie obowiązującego schematu. Oczywiście, miałaś na celu moje dobro i szczęście, prawda?

- Tak, Kasienko - mówi pani. - Chciałabym ci zaoszczędzić wielu rozczarowań. Czarne owce nie mają lekkiego życia.

- Skąd wiesz, jakie życie mają czarne owce, jeśli nią nie jesteś?

- pyta Kasia. - I co to znaczy lekkie życie? Czy wiesz, co to jest szczęście? Szczęście to zgodność z samym sobą, to harmonia wewnętrznych demonów. Chciałam ci to powiedzieć, a ty się zdenerwowałaś.

- Bo wlałaś z butami w moje życie osobiste.

- A w co miałam wleźć? W stosunki społeczno-polityczne w Portugalii w szesnastym wieku? Sukienkę twoją miałam skrytykować? Bardzo ładna sukienka, nic mnie w niej nie razi. Gadałyśmy o sposobie na życie, na szczęście, więc na początek chciałam ci pokazać, do czego prowadzi człowieka droga owcy białej. Bo przecież ty uważasz się za białą owcę, prawda?

- Mów dalej - mówi pani cicho - słucham cię uważnie.

- Najpierw mi powiedz, czy jesteś szczęśliwa w małżeństwie?

- Fakt, nie jestem - mówi pani. - Ktoś cię bardzo dobrze poinformował. Szkoła też mnie denerwuje. I co z tego wynika?

- To czemu nie rzucisz tego w cholerę?

- Dobrze, niech ci będzie - mówi pani. - Rzucę męża, dom, pracę i gdzie pójdę? Na ulicę? Uważasz, że znajdę szczęście za pierwszym rogiem?

- Więc będziesz się tak męczyła do końca życia?

- Prawdopodobnie. A raczej na pewno.

- Nie rozumiem - mówi Kasia. - Ma się jedno życie i moralnym obowiązkiem jest przeżyć go w zgodzie z własnym wnętrzem. A może ty jesteś masochistką?

Patrzą na siebie w milczeniu. A ja podglądam je w szybie i strasznie drapie mnie w gardle, ale przecież nie mogę zakaszkleć.

Milczenie przedłuża się, wreszcie pani mówi:

- Moralny obowiązek życia w szczęściu... bardzo ciekawie sformułowany postulat.

- Nie użyłam słowa "szczęście" - mówi Kasia. - Powiedziałam "zgoda z własną naturą"

- Tak, tak... - Pani wzdycha. - Gdy człowiek jest młody, ma wielkie plany co do swojego przyszłego życia. A potem to życie przychodzi i takie jest, jakie jest. Trzeba wstawać codziennie i robić swoje...

- Swoje?

- Ty tego nie zrozumiesz, może kiedyś... Ja też, gdy zdawałam na biologię, chciałam zostać wielkim naukowcem, chciałam odkryć jakieś całkiem nowe prawa rządzące przyrodą...

- I co?

- I nic. Ledwo przebrnęłam przez końcowe egzaminy. Co innego miałam wtedy na głowie. Byłam zakochana do szaleństwa. Tylko, że tak się złożyło, że kochałam bez wzajemności. Błagałam go, klękałam przed nim, ale on odszedł i nie miałam po co żyć.

Popatrz. - Pani odsuwa rękaw sukienki i pokazuje Kasi coś na przegubie. - Gdyby nie to, że koleżanka wróciła do akademika wcześniej...

Kasia bierze jej rękę i przytula do swojej twarzy. Całuje ją.

- O, moje kochanie - mówi cicho. Pani przygarnia ją do siebie.

Siedzą w milczeniu, przytulone, a ja już nie mogę wytrzymać. Boże w niebiesiech, pomóż mi, uczyni coś, żebym mogła zakaszleć, bo zaraz zwariuję, tak mnie drapie. Och, żeby pani już sobie poszła, albo żeby piorun uderzył.

Zza komina na dachu domu wychodzi ten kominiarz. On to może tam sobie kaszleć, ile chce. Żebym tak mogła się teraz z nim zamienić.

Jakbym się już wykaszlała, to mogłabym potem nawet z dachu spaść.

Nie wytrzymam. Muszę wytrzymać, muszę, muszę.

Pani mówi cicho:

- Gdyby nie Antek, gdyby się mną wtedy nie zaopiekował, zrobiłabym to jeszcze raz.

- Antek to twój mąż? - pyta Kasia.

- Tak. On mnie bardzo kocha, mamy ślicznego synka...

- Jestem głupia - mówi Kasia. - Niech się pani na mnie nie gniewa.

Pani przecież wie, że mam fioła.

- Nie gniewam się - mówi pani. - Bardzo cię lubię, Kasieńko.

Kiedyś byłam taka sama, jak ty. No nic, tośmy pogadały. Pójdę już.

Wstają z kanapy.

Żeby szybciej! Niech już sobie wyjdą! Zaraz zacznę kaszleć i wszystko się wyda.

- Przepraszam bardzo - mówi Kasia.

- Nic nie szkodzi - mówi pani i całuje Kasię w policzek. -

Najważniejsze, żebyś codziennie przychodziła do szkoły i utemperowała troszeczkę swój języczek. Obiecujesz?

- Obiecuję - odpowiada Kasia. Wychodzą z pokoju, słyszę trzask drzwi wejściowych. I dziwne, wcale nie chce mi się kaszleć. Do pokoju wraca Kasia.

- Minka, gdzie jesteś? - pyta głośno. Wysuwam się zza kotary.

Jakoś mi głupio, że podsłuchiwałam, ale Kasia uśmiecha się do mnie. Macha ręką przed swoją buzią.

- Otwórz okno - mówi. - Co za ohydne perfumy. Ten babsztyl wylał na siebie chyba całą cysterne. Już wiem, to śmierdzi szkołą.

Otwieram okno.

- Włączyłaś magnetofon? - pyta Kasia.

- Ja? - dziwię się. - Nie...

Kasia załamuje ręce. I woła ze śmiechem:

- Wiesz, co się stało? Cała ta idiotyczna rozmowa została nagrana!

Świetnie, chętnie tego jeszcze raz posłucham.

Cofa taśmę i wciska klawisz.

- To czemu nie rzucisz tego w cholere! - rozlega się w głośnikach

głos Kasi. I pani głos: - Dobrze, niech ci będzie. Rzucę męża, dom, pracę i gdzie pójde? Na ulicę? Uważasz, że znajdę szczęście za pierwszym rogiem?

Kasia włącza magnetofon i mówi:

- Może znalazłaby je za drugim, albo za trzecim. Jestem totalna kretynka. Jak można namawiać krowę do latania, jeśli ona umie tylko żuć trawę z pyskiem przy ziemi. Chodź do kuchni, zjemy coś, bo chyba zaraz umrę z głodu. Panna Zenobia dała dzisiaj straszną plamę.

- Kto to jest panna Zenobia?

- To nasza luksusowa kucharka na przychodne. Naprawdę nie mam pojęcia, co się mogło z nią stać. Może pod samochód wpadła biedna starowinka?

Kasia uśmiecha się kpiąco. A ja mówię:

- Mogę cię złapać za guzik?

- Proszę - odpowiada Kasia. - A dlaczego?

Łapię ją za guzik i pokazuję drugą ręką za okno. Tam, na dachu domu naprzeciwko chodzi sobie już dwóch kominiarzy.

Siedzimy w kuchni przy stole i jemy kanapki. Ja z szynką, a Kasia z żółtym serem, bo nie lubi szynki. Jak można nie lubić szyneczki?

I jeszcze do tego z pomidorkami i ogóreczkami.

I pijemy sok pomarańczowy z puszki.

- Zauważyłam u siebie ciekawą rzecz - mówi Kasia. - Gdy rozmawiam z kimś głupim, natychmiast staję się głupsza nawet od niego.

Widocznie zrobiłam jakąś minę, bo Kasia spogląda na mnie i mówi:

- Ty nie jesteś głupia. Jeszcze nie zdążyłaś stać się głupia.

Miałam na myśli tę biedną idiotkę, co nie umie sobie poradzić z własnym życiem, a wtrąca się do cudzego.

Zawija rękaw bluzki, palcem wskazuje na przegub.

- Spójrz dziecię na tę rozległą, krwawą bliznę - mówi głośno, z przesadą. - Oto pamiątka po mej nieszczęsnej miłości. Ach, gdyby nie Antoni, już dawno zgniłyby w grobie me tłuste zwłoki!

Kasia wybucha śmiechem. Ja nic nie mówię. Ona poważnieje.

- Dałaś jej się nabrać na to podcinanie żył?

- Przecież mogła naprawdę - mówię cicho.

- No i co z tego? Byłam raz u mamy na pogotowiu. W ciągu nocy trzy takie przywieźli. To się nazywa szantaż uczuciowy. Jak mnie rzucisz, to się zabiję. Miał facet szczęście, że ją rzucił. Mieć przez całe życie na karku taką niedorzętną gęś... Ohyda.

Oczywiście według ciebie jestem skonczone świnia?

- Wcale nie jesteś - mówię całkiem cicho.

- Nie masz się co nad nią litować - mówi Kasia. - Zobaczysz, ona mnie znienawidzi. Już w tej chwili zaczyna mnie nienawidzić.

- Przecież była taka dobra jak żeście się żegnały.

- Bo jeszcze nie doszło do jej łepetyny, że dała się wpuścić w kanał. I to komu? Jakiejś przemądrzałej smarkuli. Mogę sobie teraz przychodzić do szkoły codziennie i jeszcze po lekcjach klasę przez godzinę zamiatać, kwiatki podlewać i wycierać językiem tablicę, a przekonasz się, że i tak będę miała tróję ze sprawowania. Już się pani Turska o to postara. Nie wierzysz?

Milczę.

- Pokażę ci świadectwo, to się przekonasz - mówi Kasia. Patrzy na mnie tak, jakby chciała, żebym coś odpowiedziała. Co mam odpowiedzieć? Spuszczam oczy. Nagle Kasia odsuwa się z krzesłem od stołu. Wstaje. Wyrzuca kanapkę do zlewu i podchodzi do okna. Stoi tam, odwrócona do mnie plecami.

- Kasiu - mówię cicho. Ona potrząsa głową.

Gównu - mówi. - Jedno wielkie, ohydne gówno. W dodatku sama się nim pomazałam, bo chciałam wierzyć, że tak nie jest, że może być inaczej. Więc to jest świat? Ta śmierdząca sadzawka?

Pluje na szybę, odwraca się, patrzy na mnie.

- Myślałam, że chociaż ty jesteś inna - mówi głośno - a ty jesteś taka sama, jak oni! Nie podobam ci się, to idź sobie stąd! Wynoś

się, nikogo nie potrzebuję.

Odkładam kanapkę na talerz.

- Nie musisz tak od razu - mówi ona - skończ jeść najpierw. Siedzę przy stole z pochyloną głową, a łyżę mi kap, kap, na talerz. Przecież nie powiedziałam nic złego. Czuję, że Kasia mnie obejmuje.

- Moja malutka, przebac mi. Jestem podła. Naprawdę, nie chciałam.... Proszę, przebac mi.

Chcę jej powiedzieć, że to nic, że się nie gniewam, że jest kochana, ale nie mogę, bo płaczę.

- Minko, nie płacz, mam tylko ciebie na świecie - prosi Kasia i całuje mnie po mokrej buzi. Z nosa mi leci, a ona się nie brzydzi i mnie całuje. - Przebaczysz mi? - szepcze.

- Tak - mówię. Patrzę, ona też ma w oczach łzy.

- Moja najdroższa, moja słodziutka siostrzyczka - szepcze Kasia. Jak pięknie pachną jej włosy. Jeszcze ładniej niż łąka, gdy leży na niej skoszone siano i świeci słoneczko. I tak mi słodko. Och, jak słodko jest płakać w objęciach ukochanej osoby.

- Nie płacz, błagam.

Odchodzi ode mnie, bierze nóż ze stołu.

- Jak nie przestaniesz - mówi - to sobie zaraz tym nożem język obetnę. - Palcami lewej ręki łapie się za język, przystawia nóż.

Ocieram szybko łzy.

- Już nie płaczę - mówię. Kasia puszcza swój język i mówi:

- Masz szczęście. Musiałabyś jeść kanapkę z moim językiem. A może ty lubisz kanapki z ludzkim mięsem?

Śmieję się.

- To się nazywa szantaż uczuciowy - mówię.

Kasia też się śmieje. Odkłada nóż, siada naprzeciwko.

- Ale z nas bekasy - mówi. - Wczoraj płakałyśmy, dzisiaj też płaczemy. Jak tak dalej będzie, to najdalej za tydzień...

Najnowsze wiadomości! - woła, przykładając do ust zwinięte w trąbkę dłonie. - Dwie bekasy utopione w morzu łez!

- Ale śmiałyśmy się jeszcze więcej - mówię. - I wczoraj i dzisiaj.

- I jutro, i pojutrze - mówi Kasia. - Rzeczywiście. Albo się śmiejemy, albo płaczemy. Wiesz, to fantastyczne, że tak z nami jest. Bo w ogóle to ja mam taką filozofię, według której gdy człowiek płacze, albo się śmieje, to wtedy łączy się z czymś... Z czymś, co... Ach, nie będę ci zwracać głowy moją filozofią.

- Powiedz.

- Może innym razem - mówi Kasia. - Minka...

Co?

- Mam do ciebie wielką prośbę.

- Jaką?

- Przysięgnij, że nigdy mnie nie znienawidzisz.

- Przysięgam - mówię.

Kasia robi się poważna.

- Przysięgasz na wszystko? - pyta.

- Na wszystko.

- A wiesz, co mieści się w słowie "wszystko"?

- Pewno, że wiem - mówię. - Mieści się w nim wszystko.

- Ale to bardzo abstrakcyjne słowo - mówi Kasia. - Lepiej przysięgnij się na czyjeś życie, na życie kogoś, kogo najbardziej ze wszystkich na świecie kochasz.

Wiem, że nigdy jej nie znienawidzę. Podnoszę rękę i czując, jak wali mi serce, mówię:

- Przysięgam na życie Zenusia.

- To ten twój braciszek, co jeszcze jest malutki i leży w wózekczku? - pyta Kasia.

- Tak, to on.

- Dziękuję - mówi Kasia cicho - nigdy ci tego nie zapomnę.

Podnosi dłonie do twarzy, zasłania oczy, siedzi w milczeniu długą, długą chwilę. Nieruchoma. W całym domu cisza. Tylko coś gdzieś

daleko cichutko tyka. Kasia odsuwa ręce od twarzy, patrzy na mnie.

Jej oczy błyszczą tak cudnie, jak gwiazdki.

- Nie mam prawa przyjąć tej przysięgi za darmo - mówi. Jest bardzo, bardzo poważna. - Więc w zamian siostrzyczko, uratuję cię.

- Od czego? - pytam.

- Od królestwa ubogich, od nieba dla niewinnych - mówi uroczyście.

- Obiecuję ci, pójdziesz prosto do piekła.

Budzę się, patrzę... Nade mną baldachim. Leżę na łóżku w pokoju

Kasi... Przy mnie siedzi Kasia. Przykłada mi do głowy mokry ręcznik.

- Co się stało? - pytam.

- Och, Minko, tak się martwiłam.

- Co się stało?

- Nie wiem - mówi. - Siedziałyśmy w kuchni, jadłyśmy. Nagle upadłaś na podłogę, zemdłałaś. Wzięłam cię na ręce i przyniosłam tutaj. Właśnie miałam dzwonić do mamy, żeby przyjechała karetka pogotowia.

Chcę usiąść, Kasia przytrzymuje mnie za ramiona.

- Nie, nie - mówi - poleż sobie jeszcze. Jesteś bardzo blada.

Często ci się to zdarza? Takie omdlenia?

- Nigdy nie zemdlałam - mówię.

- Musisz koniecznie poleżeć. Posiedzę przy tobie.

To leżę, a Kasia siedzi na brzegu łóżka, patrzy na mnie i jest smutna. Przemykam oczy. Tyle kłopotu jej narobiłam. Dobrze chociaż, że nie zdążyła zadzwonić do swojej mamy.

Leżę sobie i nagle, ni stąd ni zowąd, przypomina mi się, jak kiedyś uratowałam od śmierci całą moją rodzinę.

Było to tak:

Miałam sen. Śniło mi się, że jestem w poczekalni, w kinie. Wszyscy czekają, aż zaczną wpuszczać do sali, ale jeszcze nie wpuszczają.

Pełno ludzi, stoimy... nagle otwierają się drzwi i z dworu wlatuje straszny potwór. Wszyscy w krzyk, a potwór kłap zębami, łapie za głowę jakiegoś pana, chrup go, chrup, i wypada z poczekalni. I znów stoimy i czekamy. Otwierają się inne drzwi. Znów wpada potwór, a ślepią ma wbite prosto we mnie. Cofam się, on cap jakąś panią, głowa chrup mu w paszczy i potwór znika. I znów nic, znów stoimy i czekamy, aż nas wpuszczą do sali. Wszyscy się śmieją, gadają i jedzą cukierki, bo już zapomnieli, tylko ja pamiętam, bo już wiem, że On po mnie tu ciągle wpada, że to mnie chce zeżreć i jeśli jeszcze nie zeżarł, to przez pomyłkę.

I znowu wpada, znowu innymi drzwiami. Do mnie się rzuca. Kucam, chowam się za ludzi. On łapie kogoś innego, wypada. Przeciskam się wśród ludzi, staję plecami przy ścianie, gdzie nie ma drzwi. Tu mnie nie zaskoczy. Nagle trzask, huk, łomot i wstrząs. Odskakuję od ściany. W niej wielka dziura. Wpada potwór, paszczę otwiera, na mnie się rzuca. Odskakuję do tyłu... i budzę się. Strasznie mnie głowa boli, wszędzie dym, aż czarno.

Bo to czad ulatniał się z pieca. Cudem wstałam z łóżka, kręciło mi się wszystko dookoła, upadłam. Doczołgałam się do okna, wybiłam szybę, trochę powietrza złapałam i zaczęłam budzić tatusia i mamusię. Ale nie mogłam ich dobudzić. Tadzia i dziewczynki też nie mogłam. Obudzili się dopiero wtedy, jak otworzyłam drzwi i zrobił się przeciąg i zimno. Strasznie wszystkich głowy bolały.

Opowiedziałam im mój sen i mamusia powiedziała, że zawdzięczamy temu potworowi życie, bo jakby mnie tak w tym kinie nie prześladował, tobym się nie obudziła i byśmy wszyscy zaczadzili na śmierć.

Pomyślałam sobie wtedy, że ja tak się go bałam i uciekałam przed nim, a On był przecież moim wielkim przyjacielem i tylko dlatego mnie straszył, żeby mnie obudziła. To dzięki niemu wszystko się dobrze skończyło. Tyle tylko, że mamusia była wtedy w ciąży i jak potem urodził się Zenuś, to się okazało, że jest całkiem ślepy i będzie taki przez całe życie, bo ma uszkodzony jakiś nerw

wzrokowy, i bardzo możliwe, że to przez ten czad, co się wtedy ulatniał..

Czuję, jak Kasia głaska mnie po rękę.

Unoszę powieki.

Uśmieciam się do niej. Jestem jakaś lekka i wesoła.

- Już mi dobrze - mówię, a ona: - To cudownie. - A ja: - Która to godzina?

- Za pięć czwarta - odpowiada Kasia. Po co ja pytałam? Przecież mam zegarek. Patrzę, na moim po czwartej piętnaście. Spiesz się? Muszę go przestawić. Trzeba iść do domu, nie chce mi się.

- Zrobię coś gorącego do picia - mówi Kasia.

- Nie chcę pić - mówię siadając na łóżku. - Wiesz, co bym chciała? Co?

- Pobębnić. - Pokazuję na bębny w kacie.

- To zasuway - mówi Kasia. - Nie żałuj sobie.

Zasiadam na stołeczku za bębnami. Biorę pałeczki. - Tu masz pedał na nogę - mówi Kasia. Naciskam nogą, a tu pałka z wielką głową łup w bęben.

Znów cicho jest. Uderzam delikatnie pałeczkami, same odskakują, jakbym trzymała za ogony dwie chude jaszczurki. Słyszę deszcz za oknem, ale nie taki normalny, to suchy deszcz, leciutki i suchy, każda kropelka to rodzynka. Tak mi słodko w buzi.

Kap kap kap, złote guziczki.

Trzeba ziemię poczęstować trochę gradem. Coraz szybciej uderzam, coraz mocniej. Walę z całej siły. Kasia biegnie do pianina.

Klawiszy dotyka... Z głośników wylatuje cienki dźwięk i zaczyna gonić za moim bum bum bum. Jeszcze szybciej uderzam, uciekam, a za mną, za moim bębniem w dwie jaszczurki zaprzężonym, lecą dźwięki Katarzyny. Doganiają nas, kręcą się w kółko i się chichrają.

Poganiam moje dwa skrzydlate smoki. W górę lecimy, wysoko, coraz wyżej i jeszcze wyżej. Oglądam się... dźwięki Kasi to kolorowe banieczki, ścigają mnie.

Już nie mam siły, na chmurce siadam.

A tam, na drugiej, siedzi Kasia. RzUCA we mnie banieczkami, a ja je odbijam moimi czarodziejskimi pałeczkami. Każda banieczka wydaje inny dźwięk, rozpryskuje się na błyszczące okruszki i na ziemię spada. Już cała ziemia kolorowa i błyszcząca.

- Chodź do mnie! - wola Kasia z tamtej chmurki. Odkładam pałeczki, biegnę do niej. - Bierz Yamahę - mówi - ja dosiędę Korga!

Naciskam klawisz... a tu fiiuuu!!!

TRYSKA fontanna ze srebra i złota. Naciskam drugi, druga fontanna tryska. Już pełno ich wszędzie, brzęczących i lśniących, już wszystkie moje palce w robocie, a każdy palec na własną pracuje rękę.

Fontanny, wszędzie fontanny, wszystkie moje. Pomiedzy nimi latają serpentyny wesolutkie. To Kasi muzyka z moją się bawi. Złota i srebrna piana, pełno jej wszędzie. Kasia ją ubija i rośnie wielka beza, rośnie aż do nieba, słodka, chrupiąca, przejrzysta.

Boże, jak cudownie jest grać.

Przychodzę do domu. Mamusia wściekła, bo już po siódmej.

- Gdzie byłaś?

- U koleżanki.

- Dam ja ci koleżanki! Już dawno nie byłaś bita.

W kuchni siedzi tata, pije kompot.

- Dzień dobry, tatusiu - mówię i idę do swojego pokoiku, rozpakować książki. Mamusia wchodzi za mną, a za nią w drzwiach, stoją dwie moje siostrzyczki, Zosia i Krysia.

- Masz być moją wyreka, a nie wyrodną córką - mówi mamusia. - Ja obiadu nie mogłam przez ciebie ugotować, bo zabrakło mi jarzyn.

- Nie mogłam wcześniej, naprawdę nie mogłam.

- Bo co? Co robiłaś takiego, że nie mogłaś?

- Myśmy... grały i słuchały muzyki - mówię i robi mi się bardzo głupio.

- Usłyszysz ty muzykę, jak cię zaraz palnę w ucho! - I mamusia pac
mnie w ucho. Trzymam się za nie, bo boli, a mamusia: - Ty co,
sweter ojcu ukradłaś?

- Bo nie miałam w czym iść do szkoły.

- To w ojca swetrze musiałaś iść? Słyszałeś ociec?!

- A co?! - woła z kuchni tata.

- Ty zdejmuj spodnie, bo twoja córka nie ma w czym chodzić do
szkoły!

Zosia i Krysia chichoczą. Mama też się śmieje i pyta:

- Co ty za rajtki masz na sobie? - Patrzy na moje nogi. - A
ściągnij mi je zaraz, i to już!

Siadam na tapczanie i ściągam rajstopy.

- Nie kupiłam ci ich do latania - mówi mamusia - tylko po to,
żebyś miała w czym iść na koniec roku szkolnego i na egzamin do
zawodówki.

- To będzie w czerwcu - mówię - na pewno będzie ciepło.

- W tamtym roku było zimno, w tym też może być tak samo. - Mamusia
zabiera mi rajstopy i, już wychodząc z pokoju, mówi: - Przebierz
się, zasłony trzeba wieszać. Człowiek miota się po domu jak po
akwarium.

Wieszam zasłony w dużym pokoju. Zosia i Krysia pomagają, trzymając
w górze dół, żeby się o podłogę nie pobrudził. Mamusia siedzi przy
stole i trochę patrzy na telewizor, a trochę na to, jak wieszam.

A tata chrapie w ubraniu na wersalce.

W łóżeczku Zenuś bawi się grzechotką.

Już wszystkie firanki i wszystkie zasłony powieszono. Zeskakuję z
parapetu na podłogę.

A tu po chwili coś w nią łup spod spodu. Patrzymy na podłogę. Coś
tu wali:

- Co tak wali? - pyta mamusia.

- Na pewno sąsiad z dołu wali w sufit - mówię. - Bo jak
zeskoczyłam, to mu huknęło nad głową.

- O, jeszcze wali - mówi mamusia. - Ile jeszcze będzie tak walił.

- I sama łup, nogą w podłogę. I jeszcze raz.

Spod spodu buch buch! Mamusia wstaje.

- Co to - mówi - co to? To już człowiek nie ma prawa pochodzić po
własnym mieszkaniu?

Wychodzi na balkon, przechyla się przez poręcz i woła:

- Sąsiedzie! Sąsiedzie!...

- Co się tam dzieje? - woła cienki głos z dołu. Cienki, bo to nie
sąsiad był, tylko sąsiadka.

- Co sąsiadka tak wali? - pyta mamusia. - Pali się u pani, czy co?

- To pani mi tu bez przerwy w sufit stuka!

- Co? Ja? Bez przerwy? - dziwi się mamusia. - A kto mi pierwszy
zastukał w podłogę?

- Ja stukałam w sufit mówi sąsiadka. - Bo u pani stukało.

- Chyba w uchu sąsiadce stukało! - mówi mamusia głośno. - I niech
mi więcej tu sąsiadka nie stuka, bo my też umiemy stukać.

- Chamka! - mówi sąsiadka i słychać jak zamyka drzwi na balkon.

Mamusia wraca do pokoju.

- A to dziadówka! - mówi i łup, kapciem o podłogę. Słuchamy, czy ta
sąsiadka z dołu odstuknie, ale jakoś nie stuka, cisza, tylko pan w
telewizorze gada. - No - mówi mamusia z triumfem i siada na
krześle. - Niech mi tu spróbuje stuknąć.

- Niech stuka - mówi Zosia. - Cały sufit sobie obdrapie.

Śmiejemy się we trzy. Zenuś słyszy nasz śmiech i też zaczyna
gulgotać wesoło.

- Dostyc tych śmichów chichów na dzisiaj mówi mamusia. -

Dziewczynki do łazienki, a ty do lekcji.

Przeciąga się, ziewa, szturcha tatę.

- Budź się, ociec, wersalkę trzeba rozkładać.

Trochę odrabiam lekcje, a trochę jestem zamyślona. Mam na uszach
słuchawki, bo Kasia pożyczyła mi taki malutki magnetofonik na

baterie. Słucham Kasi muzyki. To o mnie, ten utwór nazywa się "Minki mojej Minki". Kasia mi to nagrała, żebym sobie słuchała. Muzyka raz jest wesoła, raz jest smutna. I jeszcze jakaś, ale nie wiem jaka. Ciągłe się zmienia. Kasia mówi, że jak moje minki. Ja to nawet nie wiem, że je robię.

Pójdę, zobaczę je w lusterku, które wisi w ubikacji, nad umywalką. Jest malutkie, ale jak tacie wystarcza do golenia, to i mnie wystarczy do robienia min.

Idę do ubikacji, a mamusia z kuchni woła:

- Co ty masz na głowie?

Wchodzę do niej. Tadiu je kolację, a mamusia pali papierosa.

- To słuchawki - mówię. - A z tego leci muzyka. - Wyciągam z kieszeni magnetofonik Kasi.

- Skąd to masz? - pyta mamusia.

- Kasia mi pożyczyła. To właśnie ta koleżanka, co sama komponuje.

Tadiu wyciąga rękę i zabiera mi słuchawki. Wkłada je sobie na głowę.

- Ale coś ryczy - mówi.

- Pokaż - mówi mamusia. Ściągam słuchawki Tadiowi i zakładam je na głowę mamusi. Mamusia krzywi się, ściszam szybko, ale na wycucie, bo sama nie słyszę.

- To kompozycja Kasi leci - mówię.

- Eee, taka kompozycja - mówi mamusia. - Jakieś brzęczenie, jakieś świsty...

- Bo to muzyka nowoczesna - mówię. Mamusia zdejmuję słuchawki.

Znów bierze je Tadiu, zakłada na uszy.

- To nie melodia, to jakieś głupoty - mówi mamusia. - O, Kasia

Sobczyk, ta to pięknie śpiewała. O tym grajku z kawiarni róż.

- Jakby gwoździe ktoś teraz rozsypywał! - mówi Tadiu głośno.

Śmieje się. Zabieram mu słuchawki.

- To tak odrabiasz lekcje? - pyta mamusia.

- Muzyka przy odrabianiu nie przeszkadza - mówię. - Jak coś gra, to jeszcze lepiej się myśli.

- Tu masz rację - mówi mamusia. - Ja też przy radiu lekcje odrabiałam, a wasza babcia zawsze mi gasiła.

Idę do ubikacji, zamykam się w środku. Patrzę w lusterko. Tam moja buzia, bohaterka Kasi kompozycji. Wkładam słuchawki i zaczynam robić miny pod muzykę.

Teraz robię taką, jaką zawsze robi Ewa Bogdaj, gdy kogoś słucha.

Wydymam usta, wciągam policzki i leciutko brwi unoszę, trochę tak ironicznie. Jaka ja jestem teraz dziwna. Jak nie ja, jak jakaś inna dziewczynka. W co by tu się na jutro ubrać? Kasia to ma fajnie. Ciągłe chodzi w tej samej bluzce i w tej samej spódnicy do ziemi. Dlaczego ona tak dziwnie się ubiera? Przecież jej mamusia i jej tatuś są bogaci, mogliby jej kupować, co by tylko chciała. A może wszystkie pieniądze poszły im na te jej syntezatory i inne magnetofony?

Myśmy też mieli teraz same wydatki. Mebli trzeba było dokupić, a takie drogie są. I zapłacić wkład za mieszkanie. Kiedyś miałam więcej sukienek, ale byłam o połowę mniejsza. Teraz mogę je policzyć na palcach jednej ręki z jednym palcem uciętym. No i dwie spódniczki.

Miałam spodnie, ale są już za ciasne dla mnie, a dla Tadzia jeszcze za duże. Sweter mam jakiś taki głupi, z takim wielkim, wykładanym kołnierzem... Jak już pójdę do tej szkoły odzieżowej na dział krawiectwo lekkie, to oj, naszyję sobie różnych sukienek. I dziewczynkom naszyję i mamusi. Kupne na mamusię nie pasują, bo tłusta, a krawcowe okropnie zdzierają. Tylko tacie garnitur, ani spodni nie uszyję, bo na krawiectwie lekkim spodni się nie szyje. Ale może poznam jakiegoś kolegę z krawiectwa ciężkiego, to ja uszyję jego mamusi sukienkę, a on mojemu tacie garnitur.

A swoją drogą, to ciekawe, że jak chodziłam do szkoły w Krzeszowie, to jakoś nie miałam problemu z ubiorem, chociaż tam

też niektóre dziewczynki bardzo ładnie się ubierały... Może dlatego teraz tak ze mną jest, że stałam się już kobietą?

Ktoś za kłamkę szarpie, słyszę głos Tadzia:

- Co tam robisz?

- Kupę.

- Szybko, bo mnie też się chce! - Tadzik puszcza za drzwiami bąka.

- Świnia - mówię.

Ty świnia - odpowiada - bo ja to wieprz.

Trudno, jutro znów ukradnę tacie ten czarny sweter. I może włożę tę ciemnogrnatową, zimową spódnice. Jest dosyć wąska, ale za długa, zakrywa kolana. Już wiem. Nie zaciągnę zamka, podciągnę ją jak najwyżej i ścisnę się mocno paskiem, żeby się nie zsuwała.

Podciągnę ją w windzie, oczywiście, jeśli nikt ze mną nie będzie jechać, bo gdyby mamusia zobaczyła, że wychodzę do szkoły taka podkasana... Och gdybym jeszcze do tego miała czarne rajstopy.

Może jutro uda mi się mamusię namówić, żeby mi dała na czarną farbę do tkanin? Powiem, że czarne będą się mniej brudziły.

Tadziu ogląda telewizor z wyłączonym głosem, bo mamusia i tatuś już śpią, a ja prasuję w naszym małym pokoiku. Uprasowałam bluzkę w brązowe kropki, będzie pasowała do bucików, bo też brązowe.

Teraz prasuję kartkę z narysowanym na niej przez Kasię jastrzębiem. Ona ją zmieła i wyrzuciła, a ja ją podniosłam na przerwie i włożyłam do teczki. Miałam oddać Kasi, ale zapomniałam.

Przypnę ją szpileczkami do ściany. Mój rysunek przyczepię pod spodem. Będą na ścianie dwa obrazki. Jeden jastrząb, ten Kasi, będzie sobie latał, a drugi, mój, będzie sobie stał i patrzył na latającego.

Ciekawa jestem, co teraz robi Kasia. Może śpi? A może właśnie komponuje i myśli o mnie? Co myśli? Może się ze mnie wyśmiewa? Z panią wychowawczynią też tak miło rozmawiała pod koniec, a potem śmiała się z niej i mówiła, że pani wychowawczyni to krowa z pyskiem przy ziemi.

Może ja też jestem taka krowa, która stoi, gdzie ją postawią na łańcuchu, i nic nie robi przez cały dzień, tylko żuje trawę.

- Mamusia kazała mi rano pokazać plan lekcji i powiedziała, że ponieważ lekcje kończą się wpół do drugiej, to najpóźniej dziesięć po drugiej chce mnie widzieć w domu.

- To trzeba było dopisać dwie lekcje - mówi Kasia.

- Skąd miałam wiedzieć, że każe mi pokazać?

Siedzimy na przystanku tylko we dwie. Już po lekcjach i Kasia strasznie chce, żebym do niej przyszła. Już drugi autobus numer osiem pojechał, już prawie druga.

- No chodź, coś zmyślisz - mówi Kasia.

- Ale muszę mamie porobić zakupy.

- Na pewno sama już wszystko kupiła.

- Zrozum Kasiu...

- Nie mów do mnie "Kasiu"!

- Przepraszam Katarzyno, zapomniałam się - mówię. - Zrozum, mamusia mnie zabije, jak zaraz się nie zjawię. Ją bolą zylaki i nie może za daleko chodzić, a te sklepy na osiedlu są tak daleko.

I do tego Zenuś. Ze strony dziewczynek w ogóle nie można liczyć na pomoc, one są jeszcze takie głupie.

- To co zrobimy? - pyta Kasia.

- Nie wiem.

Tak bym chciała iść do Kasi, ale naprawdę dzisiaj nie mogę. Dobrze chociaż, że mamusia nie popatrzyła na plan lekcji innych dni tygodnia... to wezmę i podpisuję codziennie po jednej, lub po dwie lekcje.

Jedzie autobus. Jest coraz bliżej, to ósemka. Wstaję z ławki.

- Muszę jechać.

- To sobie jedź - mówi Kasia.

- Naprawdę muszę. - Autobus staje, otwierają się drzwi. - To cześć, do jutra! - wołam i wskakuję do środka. Pełno ludzi.

Ruszamy. Wyciągam bilet, przepycham się do kasownika. Nie mogłam zostać z Kasią, to nie moja wina. I tak spędziłyśmy ze sobą dużo czasu. No bo na lekcjach i przerwach bez przerwy razem. Dzisiaj Kasia z nikim się nie pokłóciła, została do ostatniego dzwonka. Było cudownie. Ziębiński chodził ze spuchniętym nosem, ale nie czepiał się ani Kasi, ani mnie. Ewa Bogdaj znów była inaczej ubrana. Miała na sobie ciemnozieloną sukienkę ze sprzączkami, bardzo piękną. A Kasia ubrana tak samo jak wczoraj i przedwczoraj. Pani wychowawczyni nie miała dziś z nami lekcji, ale spotkałyśmy ją na korytarzu. Uśmiechnęła się do Kasi i nawet okiem do niej mrugnęła, a Kasia jej odmrugnęła.

Przystanek. Wsiada jakiś pan z dzieckiem. Staje na jego miejscu przy oknie. Patrzę na ulicę i na ludzi, jak sobie chodzą. Już trochę przyzwyczaiałam się do ludzi, że tak ich wszędzie dużo. I do autobusu numer osiem też. Mam z domu do szkoły dwanaście przystanków. To z powrotem chyba tyle samo, muszę policzyć. Zaraz będzie drugi.

Nagle ktoś zasłania mi rękoma oczy.

Odwracam się przestraszona, a to Kasia stoi przede mną. Jak to się mogło stać, że tu jedzie?

- To ty? - mówię. Kasia śmieje się.

- Wsiadłam przodem. Pomyślałam, że przecież możemy te zakupy zrobić razem. Cieszysz się?

- Tak - mówię - bardzo.

- Zaprosisz mnie do domu?

- No pewno, wszystkich zobaczysz.

- No widzisz, jakie byliśmy głupie, że od razu na to nie wpadłyśmy

- mówi Kasia.

Jedziemy sobie, trzymamy się za ręce i patrzymy za szybę, na uciekające ulice. Właściwie to już na przystanku myślałam, że Kasia dzisiaj mogłaby przyjść do mnie. Nic jej o tym nie powiedziałam, bo trochę... bałam się. Tego, co mamusia powie na Kasię i jej ubiór. No i wiadomo, jaka jest Kasia. Mamusia powie jej coś głupiego, to Kasia może nakrzyczeć nawet na moją mamusię. Ale trudno, niech będzie, co ma być. Bardzo się cieszę, że Kasia nareszcie zobaczy dziewczynki i Tadzia i Zenusia. No i mamusię. Nie zdziwi się, że taka tłusta, bo już jej opowiedziałam, że jest bardzo tłusciutka.

- Panienci pozwolą bilety do kontroli - mówi ktoś. Odwracamy się od okna, a to pan w czapce, wysoki i stary, z dużym nosem. Jejku, gdzie ja włożyłam bilet, może zgubiłam? Jest, w kieszonce bluzki. Daję bilet, pan przedziera go i teraz spogląda na Kasię. Ale Kasia patrzy za okno. Pan dotyka jej ramienia.

- A panienka?

Kasia odwraca się, rozgląda, wspina się na palce. Pokazuje ręką jakiegoś pana, który stoi daleko od nas, przy wyjściu.

- Ten w kratę - mówi. - To mój tatuś. On ma mój bilet.

Pan kontroler przeciska się do tego pana w marynarce w kratkę, a Kasia do mnie szeptem:

- Masz jakiś bilet?

O Boże, ona nie ma biletu. Otwieram teczkę i trzęsącymi się rękoma szukam biletu dla niej.

- Szybciej - szepcze Kasia. Przypominam sobie, są w książce, za plastikową okładką. Wyciągam jeden, podaję Kasi. Ona wkłada go do kasownika, dziurkuje cichutko. I chowa go do kieszeni bluzki.

W chwilę potem pan kontroler jest z powrotem przy nas. Zły.

- Nieładnie, panienko - mówi do Kasi. - Legitymację poproszę.

- A to dlaczego? - pyta Kasia, zdziwiona.

- Bo będzie wypisywana kara - mówi pan kontroler, otwierając bloczek. - Tamten obywatel nie posiada córki.

- Tato! - woła Kasia. Wszyscy patrzą na nas, tamten pan w kraciastej marynarce też na nas patrzy. A Kasia: - Oj, tatusiu, tatusiu, ładnie to tak? Do własnej córki się nie przyznawać?!

Kasia grozi panu palcem, ale tak żartobliwie. Pan robi zdziwioną minę. Kasia mówi głośno, na cały autobus:

- Na pewno mu wstyd, że taki stary, że ma taką dużą córkę! Ludzie wokół nas śmieją się, tylko pan kontroler ciągle zły. Tamten pan chyba się wreszcie kapnął, bo mówi:
- Ja nie kobitka, lat ukrywać nie muszę. Co to, pożartować sobie nie można?
- No widzi pan - mówi Kasia do pana kontrolera i podaje mu swój bilet.
- A mówiłaś, że to twój tatuś ma twój bilet.
- Coś mi się pokręciło - odpowiada Kasia. Pan przedziera jej bilet i... spogląda podejrzliwie na mnie.
- Pokaż bilet - mówi.
- Ja już pokazywałam.
- Pokaż, pokaż.

No to mu dam ten bilet. Sprawdza go uważnie, oddaje mi i odchodzi. Aż wzdycham, że tak się wszystko udało. Ach, jaka ta Kasia mądra. Ja bym tak nie umiała, chyba bym się popłakała. Dojeżdżamy do Piaskowej Góry. Stoimy przy drzwiach, bo zaraz przystanek. Z siedzenia przy oknie odzywa się ten pan w kraciatej marynarce:

- Cześć, córeczko!

Kasia odwraca się, przesyła mu całusa i mówi: - Do widzenia, tatusiu!

Wyskakujemy z autobusu.

- To naprawdę był twój tatuś? - pytam. Kasia wybucha śmiechem.
- Coś ty, mój papa nie chodzi w takich eleganckich marynareczkach! Dochodzimy do naszego bloku. Na trzepaku huśtają się z innymi dziewczynkami Zosia i Krysia.

- Zobacz - mówię - to właśnie moje siostrzyczki.

Zbliżamy się do trzepaka.

- Umiecie tak? - pyta jedna z dziewczynek. Puszczają się górnej poręczy, leci do tyłu i zawisa na dolnej, na zgiętych w kolanach nóżkach. Jej główka huśta się pięć centymetrów nad betonem, a jej włosy go zamiatają.

Zosia i Krysia też puszczają górną poręcz i też już huśtają główkami nad betonem. Zsuwają się z poręczy.

- Od razu je poznałam - mówi Kasia. - Jakie śmieszne, jakie podobne.

Patrząc, a Zosia ma w rajtuzkach dziurę na kolanie.

- Coś ty zrobiła - mówię, podchodząc do niej. - Jak ty chodzisz?
- To stara dziura - mówi Zosia.
- Cośmy na sankach były - mówi Krysia.
- Znów kłamiecie. Bym ją zobaczyła, jak cerowałam. Chodźcie tu. To jest moja koleżanka Katarzyna. Umiecie powiedzieć "dzień dobry"?
- Dzień dobry - mówią i patrzą na Kasię, tuląc się trochę do siebie. Zawsze, jak się zawstydzą, to się tulą. Kasia uśmiecha się.

- Wiecie co - mówi - jesteście śliczne. Która jest Zosia, a która Krysia? - Kasia kuca przed nimi.

- Ja - mówią razem. Śmieją się z Kasią.
- Jak wy je odróżniacie?
- Bardzo łatwo - mówię. - To tylko z początku wydaje się, że są identyczne.

Krysia pokazuje palcem na Zosię i mówi:

- Ona ma więcej piegów.
- Nieprawda, ty masz więcej - mówi Zosia. A Kasia pyta:
- Lubicie ciastka?
- Lubimy.

Kasia zaczyna grzebać w swojej torbie. Dziewczynki podchodzą do niej, zaglądają do torby, ciekawe tych ciastek. Kasia wyjmuje tysiąc złotych, podaje je Krysi.

- To sobie kupcie - mówi. - Kupcie za wszystko i poczęstujcie

swoje koleżanki.

Ale my nie wiemy, gdzie się kupuje - mówi Krysia, biorąc pieniądze.

- Ja wiem - mówi jedna z dziewczynek z trzepaka. - To niedaleko.

- Ja też wiem - mówi inna. - Mogę zaprowadzić.

Zostajemy z Kasią przy trzepaku same. Wszystkie dziewczynki pobiegly z Zosią i Krysią.

- To fantastyczne mieć w domu dwie takie śmieszne istotki - mówi Kasia. - Strasznie ci zazdroszczę.

Wchodzimy do mieszkania równo o wpół do trzeciej. Trochę się boję mamusi, spóźniłam się dwadzieścia minut.

Mamusia siedzi w kuchni, i to z kim, z panią Kamińską z Jawiszowa.

- O, Marysia przyszła - mówi pani Kamińska, gdy wchodzę do kuchni.

- A ja byłam u Kazka w jednostce, pytał się o ciebie. Kazał cię pozdrowić. Właśnie mówiłam twojej mamusi, jak tu ładnie macie. To nie to, co w naszym baraku. Luksusy.

- Dzień dobry - mówię. Za mną do kuchni weszła Kasia.

- Dzień dobry - mówi, podchodząc do mamusi. - Jestem koleżanką pani córki, nazywam się Katarzyna Bogdańska. - I wyciąga do mamusi rękę. Mamusia wstaje, podaje jej rękę i mówi jakby speszona:

- Kawczakowa..

- Jestem bardzo szczęśliwa, że panią poznałam - mówi Kasia. -

Minka mi tyle o pani opowiadała.

Patrzą, a pani Kamińska też wstaje i wyciąga rękę do Kasi.

- Kamińska jestem - mówię.

- Bardzo mi przyjemnie - odpowiada Kasia. A ja widzę, że mamusia patrzy na Kasię spódnicę do samej ziemi. To mówię szybko: - Trochę się mamusiu spóźniłam, bo autobus długo nie nadjeżdżał.

- Tak, tak - wtrąca się pani Kamińska - z tymi autobusami to tu jest chryja. Krew może człowieka zalać, zanim się doczeka. Raz w zimie przyjechałam. Czekam i czekam, a tu nic. Przyjeżdża, a mnie już nie ma. Sopol lodu jest.

- Ja tam nie jeżdżę - mówi mamusia. - Jak tu jesteśmy, ani razu autobusem nie jechałam. Tyle, że po osiedlu ciut sobie pochodziłam.

- To wyjątkowo ładne osiedle - mówi Kasia, opierając się o kuchenkę.

- Eee, wygwizdów - mówi mamusia pogardliwie. - Posadzili naród do bloków, niech siedzi. To siedzi człowiek jak na słupie, co ma zrobić. Nawet do okna strach podejść.

Kasia śmieje się.

- Ma pani rację - mówię - bardzo pięknie to pani ujęła. Ale swojego zdania nie wycofuję, bo w kontekście tego całego potwornego ohydztwa, jakim jest nowoczesne budownictwo, to to osiedle jest naprawdę wyjątkowo ładne. I jak ślicznie się nazywa. Piaskowa Góra.

Mamusia kiwa głową.

- Rzeczywiście - mówię. - Nazwa ładna.

- I proszę spojrzeć, jaki widok - mówię Kasia, pokazując ręką na okno. Mamusia spogląda w okno, pani Kamińska też. To ja ciągnę Kasię za rękę.

- Chodź - mówię - pokażę ci Zenusia. - Przepraszamy na chwilę - mówię Kasia do mamusi i wychodzimy. Prowadzę ją do dużego pokoju. Zenuś nie śpi. Cysia smoczek i drapie rączką po kołderce.

- Jaki śliczny - mówi Kasia z zachwytem i pochyla się nad łóżeczkiem. - Mogę go dotknąć?

- Dotknij.

Bierze jego rączkę.

- Jakie paluszki malutenkie - mówię. - A paznokietki, popatrz...

- No - mówię. - Ja też u niego najbardziej lubię paluszki i paznokietki.

- Jaka słodka buziulka, jakie oczka - zachwyca się Kasia. - Halo, halo! Panie Zenku, proszę na mnie spojrzeć!

Zenuś wypluwa smoczek, zaczyna cienko gulgotać i ruszać główką na wszystkie strony. Kasia robi do niego słodkie minki, a ja jakoś nie mogę jej powiedzieć, że Zenuś nie widzi.

Kasia odwraca się do mnie.

- Braciszek palce lizać - mówi. - Mniam, mniam, tylko go zjeść.

Prowadzę ją do mojego pokoiku.

- Tutaj mieszkam ja i Tadziu. Trochę ciasno, ale jakoś się mieścimy.

Kasia rozgląda się, zauważa rysunki na ścianie.

- Mój jastrząb - mówi ze zdziwieniem. - Skąd się tu wziął?

- Podniosłam go i wyprasowałam - mówię. Kasia przytula mnie do siebie, całuje w policzek.

- Minko, kochanie, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że do ciebie przyszłam - mówi. - Teraz już wiem, skąd się wzięło takie чудо, jak ty.

Robi mi się wstyd. Kasia czasem tak jakoś powie coś o mnie, że aż mi głupio. Nikt mnie nigdy nie chwalił, a ona ciągle. Stoimy i patrzymy na nasze jastrzębie na ścianie.

- Wiesz - mówię cicho - nie mów do mnie "Minko" przy mojej mamusi, bo się będzie potem śmiała.

- Przepraszam kochanie - mówi Kasia. - Już nie będę. Słuchaj...

może teraz zrobimy te zakupy? Będziemy miały z głowy.

- Dobrze - mówię i idę do kuchni. - Mamusiu, co mam kupić?

- Wszystko już pokupowałam - mówi mamusia. - Obiad sobie zjedz. I może koleżanka zje?

- Myśmy już jadły w stołówce szkolnej - mówi nagle Kasia. Odwracam się, ona stoi za mną. Czemu kłamie?

- A po co to jeść w stołówce, jak obiad w domu czeka? - pyta mamusia. Widać po niej, że jest niezadowolona. - Ile to kosztuje w stołówce?

- Jadłyśmy za darmo - mówi Kasia. - Bo ktoś nie przyszedł i były darmowe bony.

- To co innego - mówi pani Kamińska. - Darmowemu koniowi w zęby się nie zagłada. Dobrze mówię, pani Kawczakowa?

- Niby tak - mówi mamusia. A Kasia:

- Właściwie to ja mam do pani bardzo ważną sprawę. Otóż pan dyrektor prosił mnie osobiście, żebym panią zapytała, czy Marysia może chodzić na próby.

- Jakie próby? - pyta mamusia.

- Próby akademii na koniec roku szkolnego, bo do naszej szkoły ma przyjechać wiceminister oświaty. Dzisiaj wybierano najzdolniejszych i Marysię wybrano do recytacji. Ja będę grała na fortepianie. Będą też chóry i występy taneczne.

- Marysię wybrali? - dziwi się mamusia.

- Tak - mówi Kasia. - Ma bardzo dobrą dykcję, najlepszą ze wszystkich.

- No no - mówi mamusia i ogląda się na panią Kamińską. - Patrz pani, artystkę będziemy mieli w domu.

- To zgadza się pani? - pyta Kasia.

- Mówi się trudno - mówi mamusia. - Jak dyrektor ją wybrał, to już nie popuści.

- I właśnie dzisiaj o wpół do czwartej zaczynają się próby - mówi Kasia. - A już prawie trzecia...

- To lećcie - mówi mamusia. - Żebyście się nie spóźniły.

- W takim razie do widzenia - mówi Kasia, a do mnie: - Chodźmy, szybko, może zdążymy. Ciach, trach, już jesteśmy za drzwiami, już jedziemy windą w dół.

- No co, mądrze wymyśliłam? - pyta mnie Kasia.

- No.

- Będiesz mogła przychodzić do mnie codziennie, a jakby co, to powiesz, że byłaś na próbie. A może ty mnie już nie lubisz, może nie chcesz do mnie przychodzić?...

Kasia robi smutną minę.

- Co ty - mówię. - Tylko, że to stało się tak szybko... aż nie mogę w to uwierzyć.

Siedzimy przy stole nakrytym białym, haftowanym obrusem. Restauracja jest nieduża, ale prześliczna. Na ścianach wiszą piękne obrazy w złotych ramach i wszystko aż się błyszczy. Przy innych stołach siedzą panie i panowie bardzo elegancko ubrani i rozmawiają cicho.

Jechałyśmy taksówką. Bardzo długo. Aż dojechałyśmy tutaj. To piętnaście kilometrów od Wałbrzycha. Gdy tu siedzimy, to pan taksówkarz cały czas czeka w samochodzie, żeby nas z powrotem odwieźć. I cały czas bije licznik. Ach, jaka ta Kasia jest bogata. Podchodzi do nas kelner. Jest młodziutki, ładny, z czarnymi, kręconymi włoskami. Białą serwetkę ma przewieszoną przez rękę. Kłania się i mówi:

- Moje uszanowanie, pani Katarzyno. - I do mnie: - Dzień dobry pani, witamy w naszym lokalu.

- Cześć, panie Wojtku - odpowiada Kasia.

- Dzień dobry - mówię, czując rumieńce wylazące mi na buzię.

- Czy panie już wybrały? - pyta pan Wojtek.

- Dwa barszczyki z tymi no... diabełkami - mówi Kasia.

- Z diablótkami - śmieje się pan Wojtek.

- Właśnie - mówi Kasia. - I dla mnie omlecek z groszkiem, a dla pani specjalność lokalu. I oczywiście lody.

- Służę paniom uprzejmie - mówi pan Wojtek, skłania głowę i odchodzi.

Mniam, mniam.

Nie minęło pół godziny, a my już po obiedzie. Teraz jemy lody, sto razy lepsze niż tamte w kawiarni, przedwczoraj. Pan Wojtek uwijał się przy nas jak przy księżniczках. I ciągle sobie z Kasią żartowali. Znają się bardzo dobrze, bo Kasia często przyjeżdża tu z mamusią. Ta restauracja jest prywatna, najlepsza w całym województwie. Jedzenia było strasznie dużo. Super smaczne, nawet nie wiem, jak się nazywało. Wszystko z talerza zjadłam. Tylko surówek nie zjadłam do końca, bo taca była ogromna jak pół stołu i pan Wojtek resztę zabrał, i tyle się zmarnowało. Prawie nie mogę się ruszyć i nawet lody ciężko mi się je, ale są za dobre, żeby je zostawić.

- Zagram coś specjalnie dla ciebie - mówi Kasia. Wstaje. Podchodzi do podwyższenia, gdzie stoi fortepian. Siada na stołeczku, otwiera klapę. Spogląda na mnie z daleka, uśmiecha się i zaczyna grać. Bardzo cichutko, jakąś śliczną, smutną melodyjkę. Nie taką jak te, które gra na swoich syntezatorach, tylko taką normalną. Rozglądam się, nikt nie je, wszyscy zasłuchani. Pan Wojtek też słucha, stojąc przy szafce z naczyniami. Nawet pan kucharz w wielkiej, białej czapie wychylił się zza kotary i słucha.

A ta melodia, którą Kasia gra, czym jest smutniejsza, tym śliczniejsza. Wkręca mi się w samo serce, aż boli. I nagle przypomina mi się moja świętej pamięci babcia.

Bardzo ją kochałam. Gdy urodziły się dziewczynki, byłam z nią przez cały rok. Wtedy mieszkaliśmy jeszcze w Książu Wielkim pod Krakowem, u cioci Jasi, siostry taty, dopiero potem mamusia strasznie się z nią pokłóciła i wyjechaliśmy do Jawiszowa.

A babcia miała małą chatkę pod lasem, trzy kilometry od domu cioci. W chatce była tylko jedna malutka izba. Babcia też była malutka. Chodziła zgięta wpół, nie mogła się wyprostować. Była bardzo dobra. Zawsze rano pomagałam jej ubierać pończochy i czesałam jej włosy. Były siwe i długie do kolan. I nosiłam wodę ze strumienia w wiaderkach na wasserwadze.

To był najpiękniejszy rok w moim życiu. Wieczorami siedziałyśmy w chatce, w piecu palił się ogień, a babcia opowiadała różne ciekawe historie ze swojego życia. Najbardziej lubiłam słuchać o dziadku, który latał balonem i był nawet w Brazylii. Był bardzo wysoki, miał ponad dwa metry wzrostu i nikogo się nie bał. Gdy babcia za

niego wyszła, on miał już pięćdziesiąt lat, ale był chłopem na schwał. Wkrótce po ślubie z babcią wyjechał do Brazylii i babcia miała do niego pojechać, ale na razie nie było do czego jechać, i dopiero po dziesięciu latach dziadek się wzbogacił, wybudował piękny dom i przyjechał do Polski zabrać babcię. Nie zdążyli wyjechać, bo właśnie wybuchła wojna z Hitlerem. A pod koniec wojny zabili dziadka. Akurat miał się narodzić mój tata, gdy przyjechało dwóch Niemców na rowerach. Dziadek był w partyzantce, ale jak raz odwiedził babcię i spał na łóżku, bo szedł lasem całą noc. Jeden Niemiec stanął przy oknie, a drugi w drzwiach i powiedział do dziadka po niemiecku: - Ręce do góry! - Dziadek się obudził, wstał, podniósł ręce i wyszedł z domu. Aż nagle jak nie złapie Niemca za gardło i łup nim o ścianę. Zdusił go na śmierć. Drugiego nie zdążył, bo drugi Niemiec strzelił i zabił dziadka. Czemu nie zabił babci? Nie wiadomo. Może się ulitował, bo babcia miała w brzuszku moją tatę, a ciocia Jasia i ciocia Pola były malutkie i strasznie płakały.

Gdyby dziadek przyjechał po babcię trochę wcześniej, to żyłby jeszcze długo, długo, ale w Brazylii, i w Brazylii urodziłby się mój tata, no i ja też urodziłabym się w Brazylii. I wszyscy bylibyśmy Brazylijczykami. I Tadzium, i dziewczynki, i Zenus. Zaraz, ale przecież wtedy tata nie spotkałby mamusi, bo przecież on byłby w Brazylii a mamusia w Polsce, więc chyba miałabym inną mamusię, mamusię z Brazylii... Albo nie znałabym taty, boby mnie mamusia urodziła w Polsce, polska mamusia, czyli moja prawdziwa mamusia. Ale wtedy miałabym innego tatę.

A może w ogóle bym się nie urodziła, gdyby Niemiec nie zabił dziadka? By się urodziła jakaś inna dziewczynka zamiast mnie.

A ja?

Gdzie bym wtedy była?

Pamiętam straszną burzę, wszędzie było Jasno od błyskawic, a myśmy z babcią klęczały w środku nocy i modliły się do Pana Boga, żeby oszczędził naszą chatkę. I oszczędził, i nastął słoneczny poranek. W sadzie, na ziemi, leżało pełno gruszek, co je wichur postrącał z drzew. Leżały jedna obok drugiej, aż pomyślałam, że cała nasza ziemia zrobiona jest z gruszek, soczystych i pachnących. A potem babcia umarła i leżała w trumnie. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam ją wyprostowaną.

Minęły cztery lata, a ja ciągle ją pamiętam, i pamiętam smak i zapach gruszek, leżących w sadzie po burzy.

Kasia gra bez przerwy tę samą melodię. Wydaje się, że już, już ucichnie, gdy znów dźwięczy głośno i jakby na nowo. Może to jest ta melodia, która nie ma początku ani końca, i ciągle gra, i choć nikt jej nie gra, to ona gra się sama i nikt jej nie słyszy, tylko Kasia.

Dziadek był wysoki, a wszystkie jego dzieci, czyli tata i ciocie, tacy maluteńcy. I tylko ja z całej rodziny jestem wysoka. Może wdałam się w dziadka. Może też kiedyś polecę balonem aż do Brazylii?

Kasia gra coraz ciszej i ciszej, już nic nie słyhać, już nie gra.

Z trzaskiem zamyka klapę.

Wszyscy w restauracji zaczynają klaskać. Kasia wraca do naszego stołu, a ja jestem bardzo dumna z tego, że jestem przyjaciółką i przybraną siostrzyczką tak wybitnej artystki.

- Podobało ci się? - pyta Kasia.

- Bardzo.

- To była "Noc na Łysej Górze" - mówi i wypija duszkiem ze swojego pucharu różowy napój z roztopionych lodów.

Farbuję na czarno rajstopy. Okazało się, że mamusia miała czarną farbę, i zgodziła się, żebym sobie farbowała i jeszcze dała mi do farbowania rajtuzki Zosi i Krysi, dwie zniszczone pary.

Kasia bardzo się spodobała mamusi, bo taka śmiała i umie porozmawiać. Nie to, co ja. Tylko się mamusia dziwiła, czemu Kasia

tak głupio się ubiera, jak jakaś cyganicha, ale jeszcze bardziej się zdziwiła, gdy jej powiedziała, że Kasia chodzi tak ubrana do szkoły. Powiedziała, że jest córką pani doktor, że jest bardzo bogata i że ten jej strój to najnowsza paryska moda.

Do kuchni wpada Tadiusz.

- Co gotujesz?

- Czarną zupę - mówię i wyciągam chochlą ociekającą na czarno rajstopy. Pokazuję mu. A Zosia, która siedzi i wyżera ze słoika kiszoną kapustę, mówi:

- Marysia gotuje zupę rajstwową.

- Farbuję rajstopy na czarno - wyjaśniam.

- Po co? - dziwi się Tadiusz. - Na pogrzeb się wybierasz?

- Wypluj to, głupi - mówię. - Będą się mniej brudzić.

- Daj pomieszać - prosi.

- Masz, tylko ostrożnie.

Daję mu chochlę. Miesza. Udaje, że próbuje czarnej wody.

- Dobra zupa - mówi - tylko pieprzu za mało.

- I majonezu - dodaje Zosia.

- Co ty - mówię. - Majonezu do zupy się nie dodaje.

- A jakby tak kluski w tym ugotować? - proponuje Tadiusz. - By czarne kluchy były.

- Ciekawa jestem, kto by je jadł - mówię.

- Ja bym jadł - mówi Tadiusz.

- No, akurat.

- A właśnie, że bym jadł. Słoik kleju raz zjadłem, to co to dla mnie czarne kluchy.

- On raz pół glizdy zjadł - mówi Zosia. - Bo myśmy z Krysią miały pięćdziesiąt złotych na cukierki, a on powiedział, że jak mu zapłacimy, to zje glizdę. No to myśmy się zgodziły, ale on zjadł tylko pół. A zabrał nam całe pięćdziesiąt złotych.

- Bo druga połowa mi upadła i w kurzu się wypaciła - odpowiada Tadiusz. - To co, z kurzem miałem jeść?

- Faj - mówię - nie wolno jeść takich świństw.

- To dla mnie pecha - mówi Tadiusz. - Ja to bym nawet węża zjadł, ale bym musiał być głodny i za tysiąc złotych, ani złotówki mniej.

- A żabę byś zjadł? - pyta Zosia.

- Za trzysta złotych. A ropuchę za trzysta pięćdziesiąt.

- A krokodyla?

- Krokodyla też, ale za dolary. No i nie od razu, przez tydzień bym jadł.

- A my żeśmy jadły dzisiaj ciastka z kremem i rurki - chwali się Zosia.

- Co do ciastka - mówi Tadiusz - to bym zrobił wyjątek i zjadł za darmo.

Do kuchni przylatuje Krysią. - Dobranocka! - woła i ucieka. I już dzieci w kuchni nie ma. Jak dobrze samej z własnymi tylko myślami zostać.

Najważniejsze, że mamusia nic nie miała do Kasi.

A i Kasi spodobała się moja mamusia. Powiedziała o niej, że jest bardzo dumna, jak najprawdziwsza królowa ogniska domowego. Ja to nigdy bym nie pomyślała o mamusi, że jest królową. A to przecież prawda. Rzeczywiście jest bardzo dumna, nikomu nie da sobie w kaszę dmuchać. Nawet tata jej się boi.

Tylko jak popije, to jest trochę bardziej odważny. Gdy jest pijany, mamusia się z nim nie kłóci, co to, to nie. Po prostu nie odzywa się do niego. Ani słówkiem. Jakby go w ogóle nie widziała, jakby pijany tata był powietrzem. Raz tata miał do niej o coś pretensję i krzyczał, a mamusia mówi do mnie tak: - Marysiu, zamknij okno, bo jakaś mucha tu wpadła i brzęczy mi nad uchem. - To tata wziął się zdenerwował i poszedł spać. I tak strasznie chrapał, że nie można było oglądać telewizora, bo tata zagłuszał. Zresztą tata to albo śpi, albo go nie ma w domu, bo ciągle pracuje. Mamusia mówi, że jakby nie pił, to byśmy byli milionerami

i samochodem byśmy jeździli. Tata, jak popije, to zawsze na drugi dzień obiecuje mamusi, że to ostatni raz, ale potem koleżki znów go namówią na jednego, a tata ma słabą wolę i zawsze da się namówić.

A za to mamusia pali papierosy i też nie może rzucić nałogu. Nigdy nie paliła, ale raz poszła do doktora, bo ją coś w piersiach bolało, i okazało się, że ma bardzo chore serce. Doktor wysłał ją na miesiąc do sanatorium górniczego, bo tata już wtedy pracował w kopalni.

Tam mamusia poznała koleżanki, które paliły i ją też nauczyły palić. Gdy przyjechała do domu po leczeniu, to już paliła nałogowo.

Na początku paliła po kryjomu, jak nikogo w domu nie było, ale później okazało się, że wszyscy wiedzą, że pali. I tylko mamusia nie wiedziała, że my wiemy. Teraz zawsze musi mieć pod ręką paczkę Popularnych, a czasem to i paczka dla niej za mało na dzień. A to przecież jej bardzo szkodzi na serce, i na żyłki. Kiedyś to nawet rozmawiałam z nią o tym, prosiłam, żeby nie paliła, bo się bardzo o nią martwię. Mamusia odpowiedziała, że sama o tym wie, że źle robi, ale co ma zrobić, jak papierosy już ją wciągnęły i jak nie pali, to jej się w ogóle żyć nie chce.

I choć papierosy to straszne świństwo, to nie ma na nie rady, jak się już zacznie palić. Powiedziała, że mnie zabije, jeśli kiedykolwiek zobaczy mnie z papierosem w ustach, bo jak na jedną rodzinę, to wystarczy ojca pijaka i matki palaczki.

Biedna mamusia. Cały dom na jej głowie. Mąż pijak i pięcioro dzieci. Do tego jeszcze papierosy. No i jak ma ją nie boleć serce?

III

Och, te dni są takie dziwne. Raz jeden dzień trwa i trwa, i już powinien się skończyć, a jeszcze jest, i jeszcze mu bardzo daleko do końca. A znów inny przelatuje tak szybko, jakby się mrugnęło, otworzyło oczy, spojrzęło się... a to już nie to, że następny dzień, ale następny tydzień, a nawet następny miesiąc.

Katarzyna mówi, że czas to guma do żucia.

A z gumą do żucia można wyprawiać różne cuda. Można ją sobie mamlać, można ją trzymać pod językiem w postaci małej kulki, można ją wydymać i strzelać z niej, można też niechcący ją połknąć.

Można ją także przeciągnąć cieniutką nitką od buzi aż do słupa po drugiej stronie ulicy. Jaka szkoda, że nie dostaliśmy tego mieszkania w Wałbrzychu w tamtym roku, na przykład we wrześniu.

Wtedy znałybyśmy się z Katarzyną od początku roku szkolnego, i tyle dni, tyle miesięcy spędziłybyśmy razem. Ale trudno. I tak dobrze, że w ogóle udało nam się spotkać ze sobą. Bo przecież mogłam iść do tej szkoły na osiedlu i nigdy, przenigdy byśmy się nie spotkały. Jesteśmy teraz ze sobą jak siostry, a nawet bardziej, bo prawdziwe siostry rodzą się i są ze sobą niekiedy tylko dlatego, że są siostrami, a myśmy wybrały się same, więc jesteśmy dla siebie kimś więcej, niż siostrami.

A wszystko zaczęło się od śmiechu przy fontannie, w rynku. Tak się śmiałyśmy i śmiałyśmy, że aż lodowa chmura nad nami nie wytrzymała, pokruszyła się i spadła gradem.

Katarzyna mówi, że to był znak z nieba.

A tu już miesiąc minął. Jaka szkoda, że tak szybko przeleciał.

Teraz jest maj. Gdybym mogła, to każdemu dniu nadepnęłabym na ogon. Ale przecież te dni tak szybkoitko zasuwiają, bo są wesolutkie i ciekawe. A są takie dlatego, bo spędzamy je razem, Katarzyna i ja.

Zaraz po szkole idziemy do niej i jemy obiad ugotowany przez pannę Zenobię. Potem ja zabieram się do odrabiania lekcji. W tym czasie Katarzyna komponuje i gra różne utwory, a żeby mi nie przeszkadzać, słucha tego w słuchawkach.

Dla niej jest głośno, a dla mnie cicho.

Niekiedy odrywam wzrok od zeszytu i patrzę, jak komponuje. Jest nieobecna w pokoju, ale gdzie jest, to nie wiadomo. Czasem to nawet krzyknie, albo coś powie... ja patrzę, bo myślę, że to do mnie, ale ona tak do siebie, a oczy jej wędrują po całym pokoju, skaczą to tu, to tam. Wtedy mam wrażenie, że tu wszędzie latają dźwięki, a ona je widzi i łapie do swojego syntezatora jak motyle do siatki.

Kiedyś jej to powiedziałam, a ona:

- No bo latają. Nie widzisz ich?

Ale ja nie widzę. Z całej siły się wpatruję, czy jakiś gdzieś nie lata, ale nie, dla mnie żaden dźwięk w ciszy nie lata. Trochę je widzę dopiero wtedy, gdy Katarzyna gra i słyszc w głośnikach.

Co drugi dzień o piątej wyskakuję do kościoła, na lekcję religii.

Kościół jest bardzo blisko, to mogę szybko wrócić i jeszcze godzinę pobyć z moją siostrzyczką.

Katarzyna jest bardzo niezadowolona z tego, co komponuje. Mówi, że powinna glisty tresować, a nie zajmować się komponowaniem. Ja ją pocieszam i mówię, że gada głupstwa, bo mnie jej muzyka bardzo się podoba, uważam, że jest najpiękniejsza na świecie i nikt tak pięknie nie komponuje, jak ona. Wtedy Katarzyna śmieje się ze mnie i mówi, że ja się nie znam, co jest oczywiście prawdą. Puszczam mi z magnetofonu albo z adapteru utwory różnych kompozytorów współczesnych, ale mnie ich utwory podobają się dużo mniej,

choć niektóre są bardzo ładne i ciekawe. Lubię, gdy Katarzyna puszcza opery. Szczególnie lubię arie, w których występuje sopran. Gdy słucham sopranu, coś mnie przenika na wylot. A raz to zrobiłyśmy próbę mojego głosu i okazało się, że mam ciepły alt. Katarzyna obiecała że napisze dla mnie piosenkę, a ja ją zaśpiewam i wygram wszystkie listy przebojów. Jak na razie, to jeszcze nie napisała, bo ona nie lubi piosenek, w ogóle ich nie komponuje. To, co komponuje, to są suity. Najdłuższa ze wszystkich ma piętnaście minut i trzydzieści sześć sekund. Ciągłe próbuje skomponować coś dłuższego, ale jej nie wychodzi. Raz jedna suita trwała ponad pół godziny, ale Katarzyna powiedziała, że to już gówno, powtórzenia. Bo ona marzy o tym, żeby skomponować długi, wielki utwór na dwie strony dużej płyty. Niestety. Po piętnastu minutach zaczyna jej brakować oddechu. A jak próbowała montować z kilku kawałków, to okazywało się, że choć osobno są w porządku, to razem zaczynają się gryźć i aż słysząc, jak iskrzą się na stykach. Bardzo lubię, gdy uda jej się zagrać coś, co jej się podoba, a znów jak jej nie wychodzi, to aż żal na nią patrzeć, taka jest smutna. Niekiedy to nawet strasznie zła, i potrafi na mnie nakrzyczeć, ale ja się tym tak nie przejmuję, jak na początku, bo wiem, że jest taka tylko dlatego, że jej się nic nie udaje. Raz, pamiętam, odrabiałam lekcje, ona grała... Nagle... jak nie rzuci słuchawkami o podłogę, jak nie krzyknie: - Dżigi, ty pętaku debilny! Co się z tobą dzieje! Dżigi, błagam... - Załamuje ręce i mówi ze łzami w oczach: - Czemu mnie dręczysz? Już ci wszystko oddałam! Nic już nie mam, czego jeszcze chcesz...? Teraz nic nie mówi, patrzy przed siebie, i wygląda tak, jakby słuchała czegoś, co gada ktoś niewidzialny. I znów krzyczy: - Nie, tego nie! Tego akurat nie! Odwal się, debilu! Słyszysz? Odwal się!

Upada na podłogę i zaczyna okropnie szlochać. A ja patrzę w trwodze, boję się podejść i też zbierają mi się w oczach łzy. A tu Katarzyna podnosi się, jest wesoła, śmieje się.

- No i świetnie - mówi. - To zdechniemy oboje, wielkie mi halo. Ale ty też, ty też, ty też!

W tym momencie zauważyła mnie i znowu robi się zła.

- Co ty tu robisz? - pyta.

- Ja? Lekcje odrabiam.

Patrzy na mnie ze zdziwieniem, jakby mnie nie poznawała, jakbym była obca.

- Ach, to ty - mówi wreszcie. Siada obok mnie na kanapie i wypija duszkiem całą szklankę coca coli. Kładzie głowę na moich kolanach, przytula twarz do mojego brzuszka i prosi słodko: - Poglaskaj mnie...

Głaskam ją po włosach.

- Moja kochana Minka. Przy tobie czuję się taka bezpieczna - mówi cichutko. Patrzę, zasnęła. Siedzę, głaszczę ją delikatnie po włosach, i boję się ruszyć, żeby jej nie obudzić. Jak człowiek nie może się ruszyć, to mu zaraz nogi drętwieją. A jak może się ruszać, kiedy chce, to potrafi przesiedzieć nieruchomo i przez dwie godziny, i nic. Więc tak siedzę, nogi mam całe zdrętwiałe, Kasia śpi na moich kolanach, a tu już dochodzi piąta i powinnam iść na religię...

Obudziła się dopiero po czterdziestu trzech minutach. Już nie grała więcej tego dnia. rozmawiałyśmy tylko, i śmiałyśmy się. Co jej było, że tak krzyczała i szlochała, nie dowiedziałam się wtedy, bo ona nic o tym nie wspomniała, a ja wstydziłam się zapytać. A troszeczkę bałam się pytać, bo mogłoby jej się to znów stać.

Mamusia już się przyzwyczaiła, że mnie tak ciągle w domu nie ma. No bo albo religia, albo te próby akademii w szkole. Trochę mi dziwnie, że tak mamusię okłamuję. Nigdy w życiu nie kłamałam, a teraz coraz częściej. Cóż, muszę kłamać, żeby być jak najwięcej z

moją Kasią.

Zresztą Zenusiem zajęły się dziewczynki. Mamusia mówi, że to najwyższy czas, żeby zaczęły się wprawiać, bo ja i tak już niedługo skończę szkołę krawiecką i na pewno wyjdę za mąż i założę własną rodzinę. A przecież, gdy Tadius był malutki jak Zenuś, to ja też, tak jak teraz one, miałam pięć lat, a wszystko przy nim robiłam. Zmieniałam mu pieluchy i mamusia dawała mi go kapać. I proszę, wyrósł na eleganckiego chłopca.

A raz Katarzyna była u mnie w domu na obiedzie. Bardzo mamusię chwaliła, powiedziała, że takie pierogi to chyba tylko w niebie gotują. Mamusia machnęła lekceważąco ręką, ale ja widziałam, że jest zadowolona z komplementu. Mamusia mówi, że znajomości z bogatymi dziewczynkami bardzo mi się przydadzą w przyszłości jak już będę po szkole odzieżowej, bo na pewno będę chciała szyć w domu, a wiadomo, że najczęściej płacą bogate panie z inteligencji. No i wreszcie poznałam mamusię Katarzyny.

Jest piękna i wygląda jak młoda dziewczyna. Chociaż jest rówieśniczką mamusi, to z wyglądu mogłaby być jej córką. Katarzyna mówi do niej po imieniu, ma na imię Karolina. Rozmawiają ze sobą tak, jakby były koleżankami, a nie matką i córką. Widują się rzadko, bo pani Karolina ciągle jest w szpitalu, albo na pogotowiu, i aż wierzyć się nie chce, że taka młodziutka, roztrzepana dziewczyna jest lekarką i pomaga ludziom.

Kiedyś widziałam ją na ulicy w bardzo ładnym samochodzie. Ona siedziała przy kierownicy, a obok niej siedział bardzo ładny chłopak. To znaczy pan, ale młody.

Katarzyna nie ma tatusia.

To znaczy ma, ale ten tatuś jest daleko, aż w Afryce i Katarzyna nigdy go nie widziała, ani on jej nigdy nie widział. Znają się tylko z fotografii. Ale bardzo się kochają. Piszą do siebie długie listy, z tym, że nie po polsku. Po francusku. Bo on, choć mieszka w Afryce, to nie jest Murzynem, tylko Francuzem.

Często do siebie dzwonią. Raz to zadzwonił przy mnie. Rozmawiali chyba przez pół godziny, ale niczego nie zrozumiałam, co Katarzyna mówiła, bo mówiła po francusku. Nawet się trochę nauczyłam mówić po francusku. "Li" znaczy tak, "Ną" - nie. "Zame" - nigdy. A "żetem" -kocham. "Mą szer" - mój drogi, i tak dalej. Tatuś Katarzyny jest bardzo bogaty. Ciągle jej przysyła prezenty i pieniądze. Kupił jej też ten cały sprzęt, na którym ona gra. Te wszystkie syntezatory, komputery i magnetofony kosztowały ponad dziesięć tysięcy dolarów. To w złotych jest okropnie dużo milionów. Całe życie mogę pracować i tyle nie zarobię.

Mamusia i tatuś Katarzyny poznali się w Tunisie i on ją bardzo kochał, ale ona go nie chciała, nawet wtedy, gdy zaszła w ciążę i miała urodzić się Katarzyna. Uciekła do Polski, on przyjechał za nią, ale ona go wygoniła i on odjechał, założył inną rodzinę i ma inne dzieci, ale najbardziej kocha Katarzynę i ciągle ją prosi, żeby do niego przyjechała, bo bardzo chce ją zobaczyć. Jest już stary, ma sześćdziesiąt lat. Katarzyna też bardzo chce się z nim spotkać, więc ma pojechać do niego zaraz po ukończeniu szkoły podstawowej, czyli, że już niedługo.

Nie wiem, co ja z sobą bez niej zrobię.

Katarzyna namawia mnie, żebym pojechała razem z nią, chce zapłacić za mój bilet, ale chyba mamusia mnie nie puści. To raz. A dwa to to, że po co tatusiowi Katarzyny jakaś obca dziewczynka w domu. Mama Katarzyny też nie chce, żeby ona jechała do tatusia, bo boi się, że już do niej stamtąd nie wróci, ale wybór należy do Katarzyny i jak zechce wyjechać, mamusia się nie sprzeciwi. Na szczęście dla mnie i dla pani Karoliny, Katarzyna trochę się waha, czy jechać w tym roku, czy dopiero za rok. Bo ona nie chce jechać z pustymi rękoma. Chce zawięzić tatusiowi prawdziwą płytę ze swoją muzyką, ze swoją wielką kompozycją.

Wszystko dlatego, że kiedyś pochwaliła się przez telefon, że

właśnie skończyła tę swoją kompozycję i że mają jej wydać płytę, i nawet kawałek zagrała mu do słuchawki. Wtedy była pewna, że uda się jej to skomponować na dniach, bo już miała śliczny początek... Okazało się jednak, że to był tylko początek i nic więcej. Więc chyba pojedzie do Afryki dopiero za rok, bo jeśli nawet już wkrótce skomponuje swój piękny utwór, to i tak trzeba będzie długo poczekać na wydanie płyty. Więc może dlatego tak się denerwuje, gdy jej nie wychodzi komponowanie, bo przecież ta kompozycja stoi między nią a jej tatusem. Są dni, w których jest całkiem załamana. Muszę ją wtedy pocieszać i przytulać. Puszczam płyty z różnymi utworami słynnych kompozytorów i mówi, że to przecież takie proste, ale tylko dlatego proste, bo już zostało skomponowane. A znów innym razem mówi, że ma to gdzieś. Muzykę, tatusia, mamusię i cały świat. Robi się bardzo wesoła i wszystko ją śmieszy, ale ja już wiem, że to taka fałszywa wesołość, która skończy się płaczem. Wtedy płaczę razem z nią.

Raz to nawet zostałam z nią na całą noc.

Ja nie chciałam, ale Katarzyna dała mi na taksówkę tam i z powrotem, więc pojechałam do domu i nakłamałam, że muszę zostać z Kasią na noc, bo ma atak kamicy, a jej mamusia ma dyżur na pogotowiu i jakby co, to będę do niej dzwoniła. Moja mamusia bardzo się zmartwiła i uwierzyła, i wróciłam taksówką, która cały czas czekała na mnie przed blokiem. Prawdą było tylko to, że pani Karolina miała nocny dyżur na pogotowiu i Katarzyna bała się zostać sama.

To była dziwna noc.

Katarzyna mówi, że gdyby mnie przy niej nie było, toby tej nocy nie przeżyła i miałabym znajomy pogrzeb.

Po raz pierwszy zobaczyłam ją nie w tym samym co zawsze stroju cygańskim, ale w piżamie. Ja miałam na sobie taką samą, ale w innym kolorze. Jak przejrzałyśmy się w lustrze, to byłyśmy do siebie bardzo podobne, tylko że ona miała piżamkę czerwoną w żółte kwiatki, a ja niebieską w białe. Potem dała mi ją na zawsze i teraz co noc w niej śpię.

Uplotłyśmy sobie włosy w warkocze. Kasia miała długie i grube, a ja dwa śmieszne mysie ogonki. Dopiero teraz zobaczyłam, jaką Kasia ma szczupłą buzię, bo zawsze to włosy ją przesłaniały. Kasia kąpała się pierwsza, ja po niej. Wzięłam szybciutko prysznic, ale nie wiedziałam, gdzie jest proszek do mycia wanny, więc wyleciałam z łazienki w ręczniku, żeby się zapytać.

Kasia właśnie ubierała piżamę w pokoju mamusi, w którym było zgaszone światło. Wchodzę i mówię: - Katarzyno... - A ona jak nie wrzaśnie: -Uciekaj mi stąd! - To przestraszyłam się i uciekłam do łazienki. Po chwili przyszła Kasia i przeprosiła mnie.

Powiedziała, że krzyknęła dlatego, bo nie chciała, żebym ją zobaczyła nagą. Kiedyś, jak była mała, miała straszny wypadek samochodowy i całe ciało ma w bliznach po oparzeniach. Później położyliśmy się do łóżka i Kasia prosiła mnie, żebym ją głaskała i żebym jej coś opowiedziała. To głaskałam i opowiadałam, jak kiedyś pomalowałam na biało izbę babci w chatce pod lasem. Miałam wtedy dziesięć lat i postanowiłam zrobić babci niespodziankę, jak wróci z jagód. Malowałam wapnem pół dnia. Gdy skończyłam, byłam taka sama biała, jak ściany. Umyłam podłogi i czekałam, aż babcia wróci, a ponieważ długo nie wracała, to poszłam jej szukać.

Chodziłam po lesie i wołałam: - Babciu, babciu! - Naraz patrzę, a naprzeciwko stoi strasznie brudna świnka. A koło niej maluteńkie świnki, też brudne. Podeszłam, żeby je pogłaskać, bo bardzo lubiłam głaskać małe świnki, ale one uciekły i duża też uciekła. Gdy wreszcie spotkałam babcie i opowiedziałam jej, kogo spotkałam, to okazało się, że to nie była brudna świnka, tylko locha dzika z małymi i mogła mnie zabić.

A Kasia na to: - Chrum, chrum..

-Co mówisz? - pytam.

-Bo opowiadałaś, że lubisz głaskać świnki - mówi Kasia, i znów: -
Chrum chrum, chrum chrum...

To głaskałam ją i głaskałam, aż usnęła. Ja też jakoś usnęłam i
nawet nie zgasiłam nocnej lampki. Nagle budzę się w środku nocy,
bo ktoś strasznie krzyczy i mnie dusi. A to Kasia krzyczy.
Obejmuje mnie i ściska tak mocno, że aż mi żebra trzeszczą. To ja
wrzeszczę:

-Kaśka, Kaśka!

Budzi się, cała mokra od potu i łez. Puszcza mnie, zaczyna
szlochać.

- Kochanie, co ci jest? - pytam. Ona przytula się do mnie i prosi
błagalnie:

- Ratuj mnie, ratuj mnie.

- Co mam zrobić?

- Ratuj mnie, ratuj mnie - powtarza bez przerwy i zaczyna się
miotać w drgawkach po całym łóżku. Łapię ją za ręce i przyciskam.
Choć strasznie mi się wyrywa, to ja jestem silniejsza. Nie wiem,
skąd we mnie tyle siły.

- Kasiu! Kasiu, uspokój się! - krzyczę. Słabnie. Siedzę na niej
okrakiem i trzymam jej ręce.

- Przeszło ci? - pytam. Ona leży pode mną, ma wybałuszone oczy i
wpatruje się we mnie. Narasta w niej jakiś ohydny, zduszony pisk,
jakby szczurzy. Czuję, jak w głowę wbijają mi się szpileczki
strachu. Na jej twarzy pojawia się obrzydliwy grymas.

- Kaśka! - krzyczę w rozpacz. Pode mną leży jakiś straszny, żywy
trup. Staje się coraz silniejszy, już nie mogę jego rąk utrzymać.
To nie Kasia, to ktoś inny, ktoś z innego świata. To coś charcze i
ślini się. Wpatrując się we mnie potwornym wzrokiem, piszczy
cienko, przeraźliwie:

- Kurrrowo puszczaj!

Pomóż mi Boże. Dziadku, pomóż mi. Dziadku! Nagle wchodzi we mnie
jakaś wielka siła.

- Nie puszczę - mówię i ściskam potworowi ręce w przegubach. Bo to
nie moją Kasię trzymam, to na pewno ktoś inny, i choć nie wiem,
skąd to wiem, ale wiem, że to Dżigi leży pode mną i wiem jeszcze
to, że jak go puszczę, stanie się coś straszego.

- Barbarzyńco jebana, święta suko, puszczaj!

On wyje, wijąc się pode mną jak wąż uchwycony w widły. Trzymam go
i nie puszczę, bo jestem od niego silniejsza. Jestem silniejsza
nawet od mojego dziadka, jest we mnie sto moich dziadków. Jestem
tak silna, że mogłabym giąć nawet żelazne sztaby.

Dżigi pluje na mnie. Zbieram ślinę w ustach i częstuję go tym
samym.

- Zabiję cię! - piszczy. Śmieję się mu w nos.

- Ha ha ha, zabij, proszę bardzo!

Wierzga nogami jak dziki koń, ale co to dla mnie dzikie konie,
ujeżdżę ich cały tabun naraz. Zaczyna wyć, coraz głośniejsze
straszniej. Nie przejmuję się tym, bo wiem, że pokój jest
wyciszony dźwiękoszczelnymi płytkami i nikt tego wycia, oprócz
mnie nie usłyszy.

Już cisza, już nie ma potwora. Pode mną leży Kasia. Słabiutka i
taka bladziutka. Puszczam jej ręce, kładę się obok niej. Przytulam
ją do siebie i mówię pieszczotliwie:

-Już dobrze, kochanie moje, już wszystko dobrze.

Łka cichutko w moich ramionach, a ja czuję się tak, jakbym była
mamusią i trzymała w objęciach swoją maleńką córeczkę, którą
przebudził jakiś straszny sen.

Całuję sine obrączki, ślady moich palców na jej przegubach.

-Nie bój się moje maleństwo - szepczę do jej uszka. - Dżigi już
poszedł, już go nie ma.

-Skąd wiesz, jak się nazywał?

- Bo wiem - mówię - bo kiedyś się z nim kłóciłaś.

Kasia przytula się do mnie jeszcze mocniej.

Gdy się już wreszcie uspokoiła, poszłam do kuchni, zrobiłam dwie herbaty. Przyniosłam je, siedziałyśmy w łóżku i Kasia opowiadała mi o Dżigi. Zaczęło się to bardzo dawno temu, gdy Kasia była malutka. Jej mama jeździła po całym świecie, bo pracowała w Unesco, a Kasię wychowywała babcia, która prowadziła Izbę Adwokacką we Wrocławiu i była ciągle zajęta. Kasia była w domu całymi dniami sama, tylko ze starą służącą babci. Wtedy wymyśliła sobie takiego małego chłopczyka. Nazwała go Dżigi i bawiła się z nim, a jak coś spsociła, to zawsze zwałała na niego.

Później poszła do szkoły i zapomniała o nim. Zaczęła też grać na fortepianie w szkole muzycznej i okazało się, że jest cudownym dzieckiem. Gdy miała dziewięć lat, skomponowała swój pierwszy utwór, wszyscy się nim zachwycali. Mijały lata. Kasia coraz lepiej grała, komponowała coraz to lepsze utwory. Aż postanowiła, że zostanie największym kompozytorem w całej historii muzyki. I właśnie wtedy zaczęły się kłopoty. Siadała do fortepianu i czuła się pusta, nic jej nie przychodziło do głowy. Trwało to tygodniami i miesiącami. Zbrzydzała się fortepianem i muzyką, rzuciła szkołę muzyczną, była strasznie załamana.

Któregoś dnia, to było gdzieś tak dwa lata temu, miała sen. Przyśnił się jej śmieszny, bardzo brzydki chłopak o wielkich uszach. Powiedział, że ma na imię Dżigi i że to on był autorem wszystkich jej kompozycji i, jeśli ona chce, by komponował dla niej dalej, to musi wystarać się dla niego o sprzęt elektroniczny, bo fortepian to mu się dawno znudził. Kasia wyśmiała go w tym śnie i wygoniła za drzwi, ale, gdy obudziła się rano, napisała do tatusia długi list i już wkrótce dostała nowiutki syntezator i pieniądze na resztę potrzebnego sprzętu.

I znów zaczęła komponować, i wychodziło jej to coraz lepiej. Ale też coraz częściej miała wrażenie, że nie jest sama w swoim ciele, że ktoś w niej siedzi i pomaga jej grać. Wtedy zrozumiała, że to Dżigi daje znać o sobie. Na początku był miły i bardzo go lubiła. Toczyła z nim w wyobraźni długie dyskusje o muzyce i o życiu, a także, dzięki niemu, potrafiła nawet przenikać cudze myśli.

Nagle zaczął żądać od niej różnych dziwnych rzeczy.

Pewnego razu rozkazał jej, że musi od tej chwili ubierać się jak Cyganka. A ona zawsze chodziła ubrana sportowo, w bawełnianych koszulkach i w dżinsach, i najbardziej ze wszystkiego brzydzała się Cygankami i ich kolorowymi szmatami. Więc nie posłuchała tego rozkazu, ale też natychmiast, od tego dnia, przestała mieć pomysły muzyczne. Siadała do syntezatora i grała jakieś swoje stare kawałki. No to poszła w końcu do krawcowej, zamówiła w miarę gustowny strój w stylu cygańskim, ubrała się tak, siadła do syntezatora... i nic. Usłyszała tylko chichot Dżigiego i jego słowa: "nie ma Cyganki, nie ma muzyki, jest Cyganka, jest muzyka". Wtedy zrozumiała, że nie można go oszukać. Pojechała ze znajomym mamusi do taboru cygańskiego i kupiła od Cyganek całą kupę szmat z jedwabiu i kretonu w najohydniejsze wzorki na świecie. W domu je wyprała, obwiesiła się nimi jak choinka i w ciągu godziny skomponowała swoją najpiękniejszą suitę, którą Dżigi nazwał "Cygąńską księżniczką". Oznajmił jej także, że musi chodzić tak ubrana do końca życia. Miała z tym okropne kłopoty w szkole i w domu z mamą, ale zagroziła, że w ogóle przestanie chodzić do szkoły, i odczepili się, a nawet przyzwyczaili się. Szafa aż pęka od różnych fantastycznych rzeczy do ubrania, tatuś ciągle przysyła nowe, a Kasia musi chodzić w tych płaczących się między nogami udrapowanych firankach i nic nie może na to poradzić, bo jeśli choć raz ubierze się w coś innego, to Dżigi schowa na zawsze klucz od Krainy Muzyki.

Na tej historii ze strojem oczywiście się nie skończyło. Później Dżigi przyczepił się do włosów Kasi. Do tamtej pory nosiła je dosyć krótkie, ale Dżigi rozkazał jej, żeby ich już nigdy, też do końca życia nie ścinała. A te włosy tak szybko jej rosną i są tak

poskręcane, że coraz trudniej je czesać.

Co jakiś czas Dżigi ma nowe, idiotyczne zachcianki. Kasia musi je wykonywać. A już szczególnie teraz, gdy ona chce stworzyć tę wielką kompozycję dla tatusia, Dżigi wysuwa żądania wprost nie do spełnienia i ciągle się ze sobą kłóca...

- A powiedziałaś mi, że nosisz taką długą spódnicę dlatego, bo masz poparzone nogi - mówię. - To ty nie masz poparzonych nóg?

- Pewno, że nie! - oburza się Kasia. Podwija nogawki piżamy i pokazuje mi łydki. Są tak samo gładkie, jak moje.

- To czemu na mnie krzyknęłaś? - pytam.

- To przez niego - mówi Kasia. - Bo on mi kazał pójść do łazienki, do ciebie. I...

- I co? - pytam.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Proszę, powiedz.

- Nie prosz mnie, nie mogę ci powiedzieć. W każdym bądź razie ja mu się sprzeciwiałam, a wtedy ty weszłaś do pokoju i to było tak, jakby on specjalnie cię ściągnął... Krzyknęłam na ciebie, bo gdybyś nie uciekła, to...

- To co by się stało?

- To by się stało, że już nigdy nie mogłabym ci w oczy popatrzeć.

Och, Minko, gdybyś ty wiedziała, jakim jestem potworem.

Kasia przytula się do mnie. Obejmuję ją, głaszcząc po główce.

- Wcale nie jesteś potworem - mówię. - Jesteś cudowna.

- A to, co się stało potem - mówi Kasia -to była jego zemsta. Czy wiesz, co on chciał zrobić? On chciał wyleźć ze mnie. Już nic nie wiem, pamiętam tylko, że mnie strasznie bolało. Powiedz mi... co ja robiłam?

- Nic takiego - mówię. - Trochę się rzucałaś na łóżku i krzyczałaś na mnie.

- Co krzyczałam?

- Takie tam... różne brzydkie słowa, już zapomniałam, jakie.

Kasia wdycha, przytula się do mnie jeszcze mocniej. Biedna. Po co zadawała się z tym Dżigi. On przecież wylazł z niej, widziałam go na własne oczy. Ale nie mogę jej o tym powiedzieć, lepiej, żeby o tym nie wiedziała. Może źle zrobiłam, że go trzymałam? Może gdyby wylazł całkiem, toby sobie poszedł i dał Kasi spokój? Ale co stałoby się wtedy z Kasią? On przecież nie był osobno, on był także Kasią, ciało miał Kasi i wszystko, tylko głos miał chyba swój. Nic z tego nie rozumiem. Jak to może być, żeby w człowieku ktoś inny siedział i go prześladował... To przecież niemożliwe.

- Kasiu - mówię - a nie można by coś zrobić, żebyś się go pozbyła?

Kasia wdycha i mówi cicho:

- A może ja wcale nie chcę, żeby sobie poszedł? Wiem, że jest ohydny i złośliwy. Ale są też takie chwile, gdy jest cudowny.

Dzięki niemu poznałam wiele tajemnic. Raz zaprowadził mnie do takiego miejsca, gdzie było tak pięknie... Tak pięknie, że nawet nie umiem ci o tym opowiedzieć. Gdyby tylko nie te jego wstrętne zachcianki, mogłabym go nawet pokochać, choć jest taki brzydki. Czy wiesz, że słuchają go wszyscy umarli? Jest ich władcą. Kiedyś mi obiecał, że mnie tam zaprowadzi...

- Boże, Kasiu, nie mów tak!

- Nie bój się, powiedział, że wrócę. Gdyby nie on, byłabym zwyczajną, piętnastoletnią dziewczynką.

- No to co - mówię - to byłabyś! To nic strasznego być zwyczajną dziewczynką. Spójrz na mnie. Ja jestem zwyczajną dziewczynką. Żyję sobie i jestem zadowolona. I nikt mnie do niczego nie namawia i nie dusi po nocach.

Kasia uśmiecha się smutno.

- Nawet nie wiesz, jak ci zazdroszczę, że tak niewiele potrzeba ci do szczęścia - mówię. - Ale pomyśl, może tylko dlatego tak jest, bo nie wiesz, co tracisz, będąc tylko taka. Gdybyś choć raz zasmakowała tej słodyczy, tej wielkości, tego poczucia zespolenia

z miliardem duchów... to może nie byłabyś teraz tak cholernie z siebie zadowolona.

- Wcale nie jestem z siebie zadowolona -mówię. - Bardzo często mam do siebie pretensje i gdybym mogła, tobym się zbiła. Ale jak tu siebie zbić.

- Bardzo łatwo - mówi Kasia.

- Jak? - pytam. - Gdybym uderzyła siebie raz, toby mnie zabolalo i już bym nie mogła więcej.

- Ale można na przykład położyć palec na gorącym żelazku. To boli sto razy bardziej.

Spoglądam na nią. Dotykam delikatnie palcem blizny na jej policzku, koło ust. Kasia kiwa głową, odpowiadając mi na pytanie, którego nie zdążyłam zadać. Wtula się we mnie. Milczy, ja też się nie odzywam. Wyciągam rękę, gaszę nocną lampkę. Patrzę, a za oknem już świta.

Co takiego zrobiła, że tak się musiała ukarać?

Gdy zadzwonił budzik, jakoś przemogłam się i wstałam. Umyłam się szybko, zrobiłam śniadanie. Kasię dobudziłam cudem. Mówiła, że ma gdzieś szkołę i cały świat, ale ją szarpałam i szarpałam, aż wstała i nieprzytomna powlokła się do łazienki. Kiedy brała prysznic, to mnie coś wpadło do głowy i włożyłam na siebie jej cygańskie rzeczy. Stałam przed lustrem i nie mogłam się na siebie napatrzeć, tak ładnie wyglądałam, i tak świetnie się w tym stroju czułam. Kasia wyszła z łazienki w chwili, gdy robiłam przed lustrem piruet, a te wszystkie halki i spódnice tak fantastycznie wirowały wokół mnie. Strasznie się śmiała i już nie pozwoliła mi się rozebrać, tylko poleciała do pokoju i wróciła stamtąd jako Cyganka. Stanęłyśmy przed lustrem. Wyglądałyśmy teraz jak dwie najprawdziwsze siostrzyczki z jednego taboru.

Zaczęła mnie namawiać, żebym poszła tak ubrana do szkoły. Nie chciałam, ale ona zamknęła moje rzeczy w szafie i schowała gdzieś klucz. Byłam wściekła, wstydziłam się wyjść na ulicę, ale dochodziła ósma i co miałam zrobić... Przecież nie mogłyśmy się spóźnić do szkoły. W klasie czułam się okropnie, wydawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą i śmieją się ze mnie, ale bardzo szybko się przyzwyczaiłam.

Po lekcjach spacerowałyśmy po mieście i wyglupiałyśmy się. Zawiązałyśmy sobie chustki na głowach, więc wyglądałyśmy już jak najprawdziwsze Cyganki. Zaczepiałyśmy takie różne, wyfiokowane paniusie i proponowałyśmy wróżenie, a one od nas uciekały przyciskając do siebie torebki. Na pewno bały się, że je okradniemy.

Pod filią politechniki zauważyłyśmy dziwną kobietę. Była młoda i nawet porządnie ubrana, tylko że tak nienaturalnie się zachowywała...

Idziemy za nią, a ona trzyma w ręce patyk, jakby to był mikrofon, i mówi do niego głośno:

- Tu Zgorzelec, pomoc drogowa. Pomoc drogowa? Pomoc gnojowa.

Gnojowa, gnojowa, gnojowa, pomoc gnojowa! Tu Zgorzelec, pomoc drogowa.

Pomoc drogowa? Pomoc gnojowa. Gnojowa, gnojowa, gnojowa, pomoc gnojowa!

Ciągle to samo, jak katarynka.

Poszła. Kasia podnosi z ziemi patyk i mówi do niego, jak do

mikrofonu: - Tu Zgorzelec, pomoc drogowa. Pomoc drogowa? Pomoc

gnojowa. Gnojowa, gnojowa, gnojowa, pomoc gnojowa. Tu Zgorzelec, pomoc

drogowa. Pomoc drogowa? Pomoc gnojowa. Gnojowa, gnojowa, gnojowa, pomoc

gnojowa! Tu Zgorzelec...

- Przestań - mówię i zatykam jej usta. Ona się wrywa i dalej powtarza:

- Pomoc drogowa? Pomoc gnojowa. Gnojowa, gnojowa, gnojowa, pomoc gnojowa!

- Bardzo cię proszę, przestań się wyśmiewać.

- Wcale się nie wyśmiewam - odpowiada Kasia. - Ja po prostu trenuję. To przecież moja przyszłość.

- Głupstwa gadasz - mówię. Patrzymy... tamta kobieta wraca ze swoim patykiem. Przechodzi koło nas, ciągle o tej pomocy gnojowej mówiąc. Już jej nie ma, zniknęła za rogiem.

- Jak to jest - mówię - że niektórzy ludzie są wariatami.

- Są dwie szkoły - mówi Kasia.

- Szkoły wariatów? - pytam, zdziwiona. Kasia śmieje się.

- Nie. Chodzi o to, że niektórzy uważają, że jest to choroba o podłożu mechanicznym, a znów inni, że psychologicznym. Jak osobiście jestem za psychologią.

- To znaczy, że co?

- A to, że choroba psychiczna bierze się z myślenia, a nie ze zmian organicznych w mózgu. A na przykład Mateusz ze Świebodzic mówił..

- Jaki Mateusz? - przerywam jej. - Kto to jest?

- Mój kolega, bardzo dobry muzyk - odpowiada Kasia. - Ale już ponad rok, jak nie żyje.

- Co mu się stało?

- Nic takiego - śmieje się Kasia. - Cały się owinął drutem a końce podłączył do prądu. Przed śmiercią napisał do mnie list. Wiesz, jak się podpisał? "Kotlet schabowy".

- O Boże - mówię.

- No więc Mateusz uważał, że nie ma w ogóle normalnych ludzi, że ci normalni to wariaci, którzy bardzo dobrze udają normalnych. A wariatami ludzie nazywają tych, którzy nie umieją udawać, albo nie mają sił udawać, a także tych, którym nie zależy, żeby coś udawać.

- Czemu on to sobie zrobił? - pytam.

- Mateusz?

- Yhm.

- Bo mu struna w gitarze pękła i nie chciało mu się zakładać nowej. A tak naprawdę to on uważał, że wszystko jest chorobą. A już najgorszą z chorób jest życie. I żeby wyzdrowieć, to trzeba umrzeć. Miał dosyć tego szpitala, chciał być szybko zdrowy. I dobrze zrobił. Nie czujesz, jak umierasz z dnia na dzień?

- Nie - mówię - nigdy tak nie myślałam. Ale to prawda, każdy musi umrzeć, tylko że nie trzeba o tym myśleć.

- A o czym trzeba? - pyta Kasia. W tym momencie podlatuje do nas jakiś mały chłopiec, cały zdyszany, i pyta:

- Która godzina?

- Pękła sprężyna - odpowiada Kasia.

- Dziękuję - mówi chłopiec i odbiega od nas. Biedaczek. Tak się spieszył, że nawet nie usłyszał odpowiedzi. Śmiejemy się z niego, patrzę na zegarek, a tu już za piętnaście piąta. O Jezu, jak to dobrze, że mi Bóg zesłał tego chłopczyka.

- Chodź szybko do domu - mówię do Kasi - muszę się przebrać!

- Co się stało?

- Jak to co? Lekcja religii!

I puszczam się biegiem w stronę rynku. Kasia biegnie za mną i woła:

- Tak nie możesz iść?!

- Coś ty!

Oczywiście nie chciała mi otworzyć szafy, w której było moje ubranie. Dała mi kluczyk dopiero wtedy, jak jej obiecałam, że będę się przebierać za Cygankę codziennie po szkole i że będę zawsze tak ubrana u niej w domu. Obietnicy dotrzymałam i od wielu dni, jak tylko przyjdę do Kasi, to zrzucam swoje normalne ciuchy i staję się Cyganką. Lubię siebie w tym stroju. Jest śliczny i sto razy wygodniejszy od normalnego. Ten Dżigi miał jednak świetny pomysł. Nie rozumiem, dlaczego Kasi tak się to nie podobało. Bo jeśli chodzi o mnie, to żeby nie moja mamusia, ludzie i szkoła, to mogłabym tak chodzić do końca życia i to z pocałowaniem ręki. A gdybym jeszcze do tego miała przekłute uszy i mogła nosić złote kolczyki, to byłoby już całkiem cudownie.

A wtedy zdążyłam do kościoła w ostatniej chwili. Siedziałam w

ławce, słuchałam pani katechetki, która akurat przepytowała z życia Jezusa i dwóją leciała za dwóją, ale ja, zamiast się skupić na temacie, myślałam o Katarzynie. Ciągle o niej myślę. O niej i o Dzigi.

Teraz też.

Czemu tak jest, że choć jestem taka głupia i mam tylko trzy sukienki, to jestem zadowolona i szczęśliwa z tego, że żyję na świecie. A jak świeci słońeczko, to jest mi jeszcze cudniej. A Katarzyna jest taka mądra i taka bogata, może mieć wszystko, co zechce, a jednak ciągle jest niezadowolona. Ciągle myśli o takich różnych niepotrzebnych rzeczach. Mnie takie myśli jakoś nie przychodzą do głowy. Nikomu nie przychodzą, tylko jej. Jak o czymś, na przykład, rozmawiamy i ja mówię, że coś mi się bardzo podoba, to ona zaraz mówi o tym, co jej się w tym nie podoba. - To nie podobało ci się? - pytam, a ona: - Nie, dlaczego, bardzo mi się podobało. - To jak to z nią jest? Albo coś się komuś podoba, albo nie podoba. A jej jednocześnie: i podoba się, i nie podoba.

Albo, na przykład, z kościołem...

Katarzyna w ogóle nie chodzi do kościoła. Jak się o tym dowiedziałam, to aż się złękłam, że może ona jest kocia wiara, z tych, co chodzą po domach i prześladowają ludzi końcem świata, a mamusia zawsze ich goni. Ale nie, okazało się, że nie jest. To pomyślałam jeszcze gorzej, że może jest ateistką albo satanistką, z tych, co groby na cmentarzach wywracają. Ale okazało się, że też nie.

Bo ona wierzy w Boga, ale uważa, że nawet w ubikacji jest Go więcej, niż w kościele. A potem zaczęła wygadywać jeszcze straszniejsze rzeczy. Staralam się nie słuchać, bo musiałabym się potem długo spowiadać z tego, że słuchałam. Staralam się nie słuchać, modliłam się w myślach, ale słyszałam.

Tak bluźniła, że aż bałam się, że zaraz uderzy w nią piorun i ją zabije, a mnie razem z nią. Ale nie uderzył, dzięki Bogu. I jeszcze na mnie nakrzyczała, bo zasłoniłam sobie rękoma uszy, żeby nie słyszeć. Wyzwała mnie wtedy od głupiej owcy. Trochę się spłakałam i powiedziałam, że wcale się nie gniewam za to, że nazwała mnie owcą, bo przecież wszyscy ludzie na ziemi są owieczkami Pana Boga, a Pan Bóg jest pasterzem naszym i nas pasie. A Kaśka na to, że owszem, pasie nas, na wełnę, skórę i mięso. No to wzięłam i uciekłam od niej, bo już nie mogłam wytrzymać. Na drugi dzień spotkałyśmy się w szkole i znów było między nami dobrze, jakby nigdy nic. Ale już Kasia ze mną więcej nie rozmawiała na ten temat.

Wiem, że ona mną pogardza za to, że chodzę na religię. Bardzo mi smutno, że tak jest, bo chciałam, żeby mnie lubiła za wszystko co robię, ale cóż, i tak dobrze, że mnie lubi za cokolwiek. Dlaczego ona o wszystkim myśli inaczej, niż wszyscy? Przecież wszyscy chodzą do kościoła. Mamusia mówi, że nawet partyjni chodzą, chociaż oficjalnie to niby nie wierzą. I żeby chociaż Katarzyna nie wierzyła w Boga... to może potrafiłabym ją zrozumieć, ale przecież wierzy, a raz tak pięknie o Nim mówiła, dużo ładniej niż ksiądz.

Ona też kocha Boga. No to jak to jest?

Wtedy, gdy mówiła o Bogu, to aż miałam lzy w oczach i ona też. I nagle zaczęła bluźnić, że Pan Bóg jest we mnie, że ja jestem Bogiem. A ja przecież jestem zwykłym człowiekiem. Pan Bóg jest nad nami i nami rządzi, i byłoby na świecie dobrze i cudownie, gdyby mu diabeł nie przeszkadzał. To jak ja, Marysia Kawczak, mogę być Bogiem? Jestem głupia. i niczym nie rządę. Poza tym Pan Bóg to pan, a ja jestem dziewczynka. I ciągle grzeszę, i muszę się potem spowiadać. Powinnam na spowiedzi powiedzieć też o tym, że słuchałam bluźnierstw, które mówiła Kasia, ale boję się, że jakbym powtórzyła to wszystko, to ksiądz chyba by mnie zabił i wyrzucił z

kościół na zbity pysk. Albo by się zapytał, kto mówił te bluźnierstwa, i ja musiałabym mu powiedzieć, że to Kasia, a wtedy on mógłby jej zaszkodzić.

Ale może by nie zaszkodził? Może by ją wezwał do siebie i przekonał, że nie wolno tak mówić, bo może człowieka spotkać kara Boska. Ja to jestem głupia, nie umiem jej przekonać.

Martwię się o nią. Tak bym chciała spotkać się z nią po śmierci w Niebie, albo przynajmniej w czyśćcu. O, żeby dziadek żył... Babcia mówiła, że on się kolegował z księdzem proboszczem i nawet sobie razem popijali. Tobym powiedziała o Kasi dziadkowi, a dziadek by wziął i poradził się swojego kolegi, księdza proboszcza. Niestety, dziadek nie żyje już od czterdziestu kilku lat. Szkoda, że nie może nas zobaczyć. Ani mnie, ani Tadzika, ani Zosi i Krysi. I Zenusia. On nawet naszego taty nie widział, bo jak go Niemcy zabili, to nasz tata był jeszcze w brzuszku u babci.

Ale może siedzi w niebie i patrzy na nas z góry przez cały czas i cieszy się, jak jesteśmy dobrzy...

Dziadku, powiedz mi, jak mam pomóc Kasi.

A może to Dżigi każe jej tak bluźnić? Tak, to na pewno on. Na pewno ją szantażuje, że jak nie zabłuźni, to on nie otworzy jej drzwi do Krainy Muzyki. Ja tam na Kasi miejscu wygoniłabym go razem z jego kluczem i muzyką.

Ale przecież Kasia nie mogłaby żyć bez muzyki, ona żyje tylko dla muzyki. Rozumiem ją. Moja mamusia też zawsze mówi, że żyje tylko dla nas. Żeby nas odchowić i wyprowadzić na ludzi. Jakby jej ktoś nas zabrał, to co ona by zrobiła?

Nie miałyby po co żyć.

Raz, na lekcji chemii, przysłała mi do głowy pewna myśl.

- Wiesz co - mówię do Kasi - musimy mu wykraść ten klucz.

- Ale jak to zrobić? - pyta Kasia.

- Musimy się nad tym zastanowić.

Myślałyśmy o tym bardzo długo. Dużo nie wymyśliłyśmy. Gdyby Dżigi był prawdziwym chłopcem, sprawa byłaby prosta, bo Kasia mówi, że on się mnie bardzo boi, że przy mnie zachowuje się dużo grzeczniej. To złapałabym go za frak i zabrała ten klucz.

Więc pozostała nam tylko jedna możliwość. Kasia mówi, że on często jej się śni. To pomyślałam sobie, że gdyby i mnie się przyśnił, to napadłabym go w tym śnie i musiałby mi oddać ten klucz. Już ja bym go zmusiła. Kasia opowiedziała mi, jak dokładnie Dżigi wygląda, żebym go mogła poznać, kiedy mi się przyśni. Codziennie przed zaśnięciem myślałam: "Dżigi, masz mi się przyśnić, masz mi się przyśnić, masz mi się przyśnić..."

Ale jakoś jeszcze mi się nie przyśnił.

Choć raz to już myślałam, że mi się przyśnił, a może rzeczywiście się przyśnił, tylko że przegapiłam.

Było to tak:

Śpię, śpię, nagle budzę się i nie mogę otworzyć oczu. Chcę je otworzyć, ale powieki mam takie ciężkie, że co je podniosę do góry, to mi zaraz opadają. I cały świat tak mi mruga bez przerwy. Wreszcie jakoś te oczy otwieram, a wszystko w pokoju stoi krzywo.

Patrzę, patrzę... i co widzę? A to, że nie wszystko jest krzywe, że to tylko ja wiszę w powietrzu ukośnie przechylona.

Słyszę, że ktoś stuka do okna. Próbuje się odwrócić, robię ruch, i nagle ulatuję do sufitu, jak kosmonauta w rakiemie. I nie mogę zapanować nad swoimi ruchami. Co ruszę lekko ręką albo nogą, to mnie zaraz obraca w jakąś niespodziewaną stronę.

Wreszcie udaje mi się spojrzeć w okno.

Tam ciemno, tylko jakąś rękę widać, co stuka w szybę.

Pomyślałam, że to pojawił się Dżigi i wzywa mnie na pojedynek. Aż mi się włosy zjeżyły ze strachu. Ale przełamałam się, odepchnęłam od żyrandola... I poleciałam w stronę okna, za którym czał się Dżigi. Ale gdy już dolatywałam, to przestraszyłam się, że zaraz wybije szybę i mamusia będzie na mnie krzyczeć. Szarpnęłam się do

tyłu i obudziłam się jeszcze raz, tym razem już naprawde.
Potem bardzo żałowałam i byłam na siebie wściekła, bo gdybym nie bała się o szybę, to bym spotkała Dżigiego, rozprawiała się z nim i zabrała mu klucz od muzyki. Kasia też bardzo żałowała, gdy jej opowiedziałam, co się zdarzyło.
No nic, pomyślałam sobie, może zastuka do mnie następnej nocy. Niestety, następnej nocy śniły mi się słoneczniki. Niby normalne, ale wyższe od wieżowca, w którym mieszkamy. Wychyliłam się przez okno, zadarłam głowę do góry, a to nie słoneczniki, tylko słońca. Pełno słońc. Tak się w nie zapatrzyłam, że zapomniałam o Dżigim. Teraz zawsze, jak zasypiam, to mam nadzieję, że wreszcie przyśni mi się ten chłopak o stu dwudziestu ośmiu zębach i siedmiu palcach na każdej ręce. Jest chudy i ma wielką głowę, a uszy jeszcze większe. Kasia mówi, że samą twarz ma maleńką jak dziecko, tylko czaszkę ma ogromną i prawie łysą, choć ma dopiero piętnaście lat. Łatwo mi go będzie rozpoznać.
Strasznie jestem ciekawa, jak w takiej małej buźce mieści się tyle zębów. Muszą być chyba bardzo malutkie i cienkie jak igiełki. Bo jego rękę to już widziałam, jak stuknęła w szybę, ale zapomniałam policzyć palców.
Ale na pewno było siedem.
Dzisiaj byłam z Katarzyną i jej mamusią na wycieczce w Sobótce. To takie małe, śliczne miasteczko u podnóża góry Ślęży. Jechałyśmy samochodem, mamusia Kasi prowadziła. Odwiedziłyśmy babcię Kasi. Ma dopiero sześćdziesiąt lat, jest bardzo wesoła i mieszka sama w pięknym, wielkim domu z ogrodem. Właśnie w tym domu urodziła się Kasia, a potem długo mieszkała tu z babcią. Mamusia zabrała ją do Wałbrzycha, jak miała dziesięć lat, ale w każdą niedzielę, lub co drugą, przyjeżdżają do babci w odwiedzinach. I był tam też taki starszy pan, o którym z początku myślałam, że to dziadziuś Kasi, ale okazało się, że dziadek Kasi nie żyje od dawna, a ten pan to kolega babci. Był bardzo fajny. Miał białą koszulę z krótkimi rękawami, a pod szyją muszkę w grochy. Jedliśmy wszyscy obiad w ogródku pod drzewkiem i było dużo śmiechu i radości, bo wiał wiatr, a myśmy z Kasią nakrywały do stołu i ciągle uciekał nam obrus.
Jeżeli Kasia nie wyjedzie do tatusia w tym roku, a wszystko wskazuje na to, że wyjedzie dopiero za rok, to całe wakacje spędzi u babci i poprosiła mnie, żebym spędziła je razem z nią. Jej babcia i jej mama też mnie o to prosiły. Och, żeby się tylko moja mamusia zgodziła. Pani Karolina obiecała, że jakby co, to się za mną wstawi. Kasia przywiezie tu z Wałbrzycha bagażówką cały swój sprzęt i może jej się uda przez te dwa miesiące stworzyć swoją wielką kompozycję. Oczywiście pod warunkiem, że jej pomogę. A w czym ja mogę jej pomóc? Mogę tylko popilnować, żeby Dżigi za bardzo nie rozrabiał. No i będziemy chodziły na wycieczki, jeździły kapać się nad zalew, będziemy się opalały w ogrodzie... Będzie nam cudownie.
Po obiedzie poszłyśmy we dwie z Kasią na spacer. Miałyśmy zaraz wrócić, ale wróciłyśmy dopiero po czterech godzinach, bo Kasia chciała mi coś pokazać na zboczu Ślęży i trzeba było długo iść pod górę szlakiem turystycznym.
Najpierw była dosyć szeroka i całkiem wygodna ścieżka, ale potem zaczęły się kamienie i skałki. Kasia pięła się pod górę jak sarenka, ja nie byłam gorsza i wkrótce dotarłyśmy do takiego dziwnego miejsca, gdzie stały dwie wielkie, kamienne rzeźby sprzed ponad tysiąca lat. Było tu ciemno i chłodno, a rzeźby stały pod daszkiem i były otoczone siatką z drutu, ale z jednej strony drutu nie było i mogłyśmy usiąść i odpocząć na rzeźbie niedźwiedzia, który mi przypominał raczej wielką świnię.
Obok, na wyciągnięcie ręki, stał posąg bez głowy. Kasia powiedziała, że ten posąg nazywa się "panna z rybą". Ta panna, chociaż bez głowy, była dwa razy większa od nas. Kasia czytała w

książce, że podobno jej głowa znajduje się w muzeum we Wrocławiu, ale czy to na pewno ta głowa, to nie wiadomo, bo jest to głowa mężczyzny.

Kasia bardzo lubi tutaj przychodzić, bo w tym półmroku i chłodzie przychodzą jej najlepsze pomysły na muzykę. Dawniej nie było tej siatki i daszka, to było jeszcze przyjemniej i jeszcze dziwniej. Któregoś dnia to nawet tu zasnęła i przyśnił się jej najstraszniejszy sen w jej życiu. Śniło jej się to samo miejsce, tylko jakieś inne.. Nie było tu rzeźby niedźwiedzia, stał sam posąg panny z rybą, ale jakby większy i bardziej kanciasty, nie taki wyślizgany i niewyraźny jak teraz. Nagle usłyszała przeraźliwy krzyk. Złękła się, schowała się w krzakach. Już po chwili wokół posągu zaroilo się od strasznych, brodatych ludzi w skórzanych ubraniach nabijanych błyszczącymi ćwiekami, uzbrojonych w topory i łuki. Przeprowadzili ze sobą piękną, młodą dziewczynę. Była naga i związana sznurami. Dziewczyna krzyczała w niezrozumiałym języku, błagała o litość. Stanął nad nią wysoki starzec o rozwianych, siwych włosach. Uderzył ją maczugą w głowę. Dziewczyna upadła. Wtedy brodacze poćwiartowali toporami jej ciało, pozatykali krwawe szczątki na ostrza dzid i wzniesli je ku głowie posągu, krzycząc chórem: "Omni moa aaa! Omni moa aaa! Ooo aaa." Osłupiała ze zgrozy Kasia zobaczyła twarz panny z rybą. Tę potworną twarz z wybałuszonymi, mieniącymi się blaskiem ślepiami, ze strasliwą paszczą pełną ostrych zębów.

Schodzę z niedźwiedzia i odsuwam się od posągu panny z rybą.

- A ile w tej paszczy było zębów? - pytam. -Może sto dwadzieścia osiem?

- Przecież nie liczyłam - odpowiada Kasia. Spogląda na mnie ze zdziwieniem. - Myślisz, że to mógł być on?

- To na pewno jest on - mówię. Stoimy i patrzymy do góry, w miejsce, gdzie kiedyś była głowa posągu. Kasia bierze mnie za rękę.

- A pamiętasz, kiedy miałaś ten sen? - pytam.

- Już dawno. Dwa lata temu, a może trzy...

- Wszystko się zgadza - mówię. - Już wkrótce potem pojawił ci się w kolejnym śnie i kazał napisać do tatusia, żeby ci przysłał ten elektroniczny sprzęt.

- Ale to jest posąg panny z rybą - mówi Kasia.

- Taka z niej panna, jak ze mnie chłop -mówię. - Jestem pewna na sto procent, to Dżigi. Sama mi mówiłaś, że tu przychodzą ci najlepsze pomysły na muzykę. Pamiętasz, co pani na biologii mówiła o soliterze? Że wystarczy, jak mu głowa u kogoś pozostanie. To już reszta ciała odrasta mu raz dwa.

- I co z tego?

- A to - mówię, czując na plecach ciarki -że ta jego głowa wlaźła wtedy w ciebie. To ciebie tamci brodacze złożyli mu w ofierze.

Teraz jesteś jego żywicielem.

Kasia puszcza moją rękę i ucieka. Biegnę za nią. Ona przystaje pod drzewem i zaczyna wymiotować. Później odwraca się do mnie cała biała. Mówi z grymasem obrzydzenia:

- Jesteś świnia. Przez ciebie wyobraziłam sobie, że mam solitera i poczułam, jakby mi się ruszał w ustach.

- Przepraszam cię.

- Nic nie szkodzi, tylko obiadu żal. Ty naprawdę myślisz, że to jest Dżigi, czy tak się tylko wygłupiasz?

- Uwierz mi - mówię - to na pewno on. Teraz już wiemy, gdzie szukać klucza od Krainy Muzyki. Pójdę, poszukam, a ty tu czekaj i nie ruszaj się.

Zawracam w stronę posągu. Kasia biegnie za mną.

- Minka, nie szalej! Przecież ten klucz nie istnieje realnie. To coś jakby symbol.

- Niech ci będzie, że symbol, a ja i tak poszukam - mówię. - Ty lepiej tam nie podchodź, ja się go nie boję.

- A co, myślisz, że ja się boję? Jak już, to poszukajmy razem. Włazimy pod daszek i szukamy. Ja grzebię patykiem z jednej strony tej niby panny z rybą, Kasia z drugiej. Nagle, patrzę, coś tu się błyszczy.

- Jest! - wołam. Kasia jest już przy mnie. Wygrzebuję kapsel z napisem Coca-cola. Kasia wybucha śmiechem, ja zaraz po niej. Kasia podnosi kapsel i chowa go do kieszeni. Ja badam posąg kawałek po kawałku. Na kamiennej rybie dwie przecinające się ukośnie bruzdy.

- Tu coś wryte - mówię - co to może znaczyć?

- To znak kultowy - mówi Kasia. - Oznacza słońce. Dla pogan słońce było największym bóstwem.

Dotykam końcami palców ukośnego krzyża. Zamykam oczy. Coś z niego wnika we mnie. Ciepło, światło... Słońce, widzę słońce.

Omni moa aaa. Omni moa aaa. Ooo aaa.

- Co się stało? - pyta Kasia.

- Nic - mówię i otwieram oczy. Odsuwam się od posągu, wskakuję na grzbiet kamiennego niedźwiedzia. Wyciągam do góry ręce. Nie dosięgnę. Odbijam się nogami z całej siły, łapię się rękoma krawędzi kadłuba. Podciągam się do góry, opierając stopę na wypukłości ryby.

- Po co tam włączysz? - pyta Kasia.

Pnę się brodą ku uciętej szyi. Coś tu czerwonego na wierzchu...

Obsuwa mi się stopa, puszczają palce. Lecę w tył i łup! Pęka granat złotych gwiazdek. Coś strasznie huknęło, jakby w głębi ziemi. Ach, to tylko moja głowa rąbnęła o kamień. Spomiędzy gwiazdek wyłania się twarz Kasi.

- Minka!

- Cicho, nic mi nie jest - mówię, trzymając się za głowę. Kasia pochyla się nade mną, odsuwa moją rękę, odgarnia mi włosy.

- Krwi nie widać - mówi. - Mogłaś się zabić. I po co tam włąziłaś?

- Bo myślałam, że tam leży ten klucz - mówię i uśmiecham się.

Wstaję, potrząsam głową. Jakoś mnie nie boli. Tylko szum okropny. Tak czuje się mrówka, gdy zabłądzi w pustej muszli.

Wychodzimy wreszcie z lasu na szosę. Za szosą jest łąka opadająca w dół i widać domy miasteczka. Kasia idzie kilka kroków przede mną. Jest obrażona na mnie. Wszystko przez moją głupotę.

Gdy schodziłyśmy z góry, Kasia opowiadała mi o tajemnicach ludzkiego umysłu. Mówiła, że świadomość człowieka to jakby kierowca ciężarówki z ogromną przyczepą, który nie wie, co znajduje się w tej przyczepie, ale nie może się zatrzymać i zajrzeć pod plandekę, więc musi jeździć po różnych okropnych wertepach i odgadywać po zachowaniach ciężarówki rodzaj ładunku, jego ciężar, i tak dalej. Więc trzeba ryzykować, a jednocześnie być bardzo ostrożnym, bo przecież w każdej chwili grozi nam katastrofa. I mówiła, że to porównanie do kierowcy ciężarówki jest dlatego dobre, bo oddaje trud i niebezpieczeństwo poznawania siebie.

Wtedy ja powiedziałam, że po co tak się męczyć. Czy nie można po prostu sobie jechać i nie myśleć, co się wiezie? A Kasia na to, że proszę bardzo, że mogę sobie jechać drogą ubitą kołami innych ciężarówek, najlepiej autostradą, razem z milionami takich samych jak ja, ale że na tej drodze nigdy nie dowiem się, kim naprawdę jestem i zdechnę tak samo głupia, jak się urodziłam.

Nakrzyczała na mnie i nie odzywa się od ponad pół godziny. Cóż ja na to poradzę, że jestem taka głupia, że jej nie rozumiem. Kasia przeczytała tyle mądrych książek i mamusię ma learkę i tatusia Francuza w Afryce. A ja co?... W lekturach nic o takich rzeczach nie pisało. Co prawda była w szkole w Krzeszowie biblioteka, ale skąd miałam wiedzieć, które książki czytać, a które nie. A wszystkich nie da rady przeczytać. Zresztą tej pani, co się opiekowała biblioteką, to prawie nigdy nie było. Raz pożyczyłam książkę, to mamusia na mnie nakrzyczała, że czytam bajki, zamiast się uczyć...

- Kasiu! - wołam. - Ja bym bardzo chciała wiedzieć, co wiozę, po co i dokąd!

Kasia przystaje, czeka na mnie. I uśmiecha się słodko.

- Przecież wiem Minko, że chcesz - mówi. - Uniosłam się, bo tak bardzo chciałam, żebyś wiedziała to wszystko, co ja. To i tak niewiele, ale zawsze coś więcej, niż nic. Tylko, że musisz zrozumieć, że jeśli chcesz poznać siebie i świat, to nie możesz mieć tylu kłapek na oczach.

- Nie mam żadnych kłapek.

- Masz ich pełno, jesteś przez nie ślepa jak kret. Wiem, że to nie twoja wina, że dałaś je sobie nałożyć, ale w końcu musisz je zerwać. Nikt tego za ciebie nie zrobi.

- To zerwę - mówię. - Ale jak mam to zrobić? Nigdzie ich nie widzę!

- Chociażby ta twoja wiara w Boga...

- Och, Kasiu, nie mów nic o Bogu. Błagam cię.

- Przecież to twoja najgłupsza z kłapek.

- Nie, nie, nie mów nic!

- Dlaczego?

- Bo nie, bo nie wolno. Może cię za to spotkać straszna kara, błagam cię, nic nie mów!

- Powiem ci tylko jedno - mówi Kasia. - Jeśli rzeczywiście Bóg jest taki, jakim ty go sobie wyobrażasz, to jak możesz go kochać, jak możesz w niego wierzyć, on zasługuje tylko na wzgardę i nienawiść. To jakiś tyran, mściwy idiota, krwawy psychopata.

- Przestań! - krzyczę, żeby ją zagłuszyć, żeby jej Pan Bóg nie usłyszał. Zatykam uszy. Kasia mówi coś jeszcze. Uciekam z szosy na łąkę, biegnę w dół, po zboczu. Potykam się i przewracam. Kasia jest już przy mnie, znów coś mówi. Krzyżąc, zatykam uszy.

Kasia siada na mnie okrakiem, na siłę odrywa mi ręce od uszu.

Krzyżuję i krzyżuję. Kasia przyciska mi ręce do trawy, patrzy na mnie z góry. Leżę, nie mogę się jej wyrwać i krzyżuję.

Już nie mam siły krzyżować. Cisza, ćwierkają ptaszki. A Kasia mówi z uśmiechem:

- Wyobraź sobie, że dostałaś od kogoś w prezencie ogromny i piękny pałac. Jasny, przestronny i słicznie umeblowany. Pomyśl, czy nie obraziłabyś ofiarodawcy, gdybyś weszła do zakurzonej komórki pod pałacowymi schodami i gnieździła się tam do końca życia?

- No - mówię - obraziłabym.

- Takim właśnie pałacem otrzymanym w darze od Boga jest ludzki umysł. Wspaniały, skomplikowany, niepojęty. A tobie się wydaje, że to zardzewiała puszcza po śledziach. Więc to nie ja bluźnię, to ty bluźnisz bez przerwy!

- Wcale nie bluźnię, to nieprawda!

- Właśnie, że bluźnisz! Traktujesz Boga tak, jakby był małym urzędasem od siódmej do piętnastej, któremu ciągle trzeba wsuwać łapówki do łapy.

- Wcale tak nie myślę, wcale nie daję żadnych łapówek!

- A jak nazwać to twoje latanie do kościoła co tydzień na mszę i odbębnianie wieczornych paciorków? Jak nazwać to zbieranie do kieszonki grzeszków, żeby je wysypać przed księdzem na ladę konfesjonalu raz na miesiąc? Jak nazwać to odwalanie dziesięciu zdrowasiek na pokutę, i do widzenia!

- To co mam więcej robić? Ksiądz nie mówił, żeby na mszę przychodzić codziennie! Jakby mówił, tobym chodziła! I co ja na to poradzę, że nigdy mi nie zadał tysiąca zdrowasiek, tylko zawsze dziesięć?...

- To nie ksiądz cię stworzył, to Bóg cię stworzył. Stworzył cię po to, żebyś próbowała dorównać Mu mądrością. A przede wszystkim stworzył cię po to, żebyś była wolna, także od Niego, rozumiesz? Wolna, wolna, wolna! Bo to wolność jest tą modlitwą, która przynosi Bogu największą radość. Módl się do Niego swoją wolnością.

- Puść mnie - mówię ze złością. Kasia uwalnia moje ręce, siada na trawie. Wzdycha boleśnie. Odwraca się ode mnie. Jej plecy zaczynają drżeć. Dotykam jej.

- Kasiu - mówię - nie płacz.

- Tak strasznie mi ciebie żal - mówi przez szloch łamiącym się głosem. - Jest w tobie takie ogromne dobro, a nawet nie zauważysz, kiedy je zgubisz...

Szlocha coraz głośniejsze.

- Nie martw się, nie zgubię.

- Zgubisz, zgubisz, bo dobro to ogromny i ciężki kamień, który trzeba nieść przez całe życie. I trzeba być bardzo mądrym, żeby umieć go nieść. Bo jest tak ciężki, że i najlepszym zabraknie sił. Wtedy trzeba wiedzieć, gdzie go położyć, by odpocząć i znów go dźwigać.

- A ty wiesz?

- Nie, bo nie jestem dobra i już dawno go wyrzuciłam. Ale ty powinnaś wiedzieć, bo i tak jesteś na niego skazana. Bardzo się boję o ciebie. Któregoś dnia rzucisz ten kamień ze strasznym hukiem i stracisz wszystko, bo ty nie umiesz bez niego żyć.

- To co mam zrobić?

- Musisz zrozumieć, że jesteś jedynym właścicielem swojej duszy. Nie możesz jej nikomu oddać. Ani niczemu. I nie gniewaj się na mnie za to wszystko, co ci powiedziałam, bo bardzo cię kocham, najbardziej ze wszystkich na świecie.

I Kasia znów w płacz. To ja też. Płaczymy, a tu zachodzi słońce i wszystko robi się pomarańczowe. Niebo, zakręt drogi w dole, Kasia twarz i moje ręce. Wszystko takie piękne. Już nie płaczymy.

Siedzimy i podziwiamy złote warkocze chmur.

- Chcę - mówi Kasia - opowiedzieć ci coś jeszcze o Dżigim. Tobie się wydaje, że on jest moim wrogiem. To nieprawda. Dżigi jest częścią mnie, jest posłańcem z mojego środka, z mojej duszy. I choć bardzo chce mnie zjeść, to ja nie mogę się go pozbyć. Muszę z nim walczyć, bronić się przed jego zębami, gdy jest silny i otwiera swoją wstrętną paszczę, ale, gdy osłabnie, muszę go oszczędzać. Nie wolno mi go pokonać, bo jeśli go zabiję, razem z nim zginie mój wewnętrzny świat i zostanie mi pustka, pustka, będę futerałem na pustkę. A jeśli zeżre mnie on, Dżigi, to czeka mnie totalne schizo i szpital wariatów. Więc muszę z nim ciągle walczyć i zawierać rozejmy i je zrywać.. i tak bez końca, po wieki wieków, aż zamknie się łańcuch moich inkarnacji.

Kładę głowę na jej kolanach i zamykam oczy. Myśli latają mi jak te muchy, które Tadziu zamknął kiedyś w słoiku. Kasia głaszcze mnie delikatnie.

- Czemu ten Dżigi jest taki zły i brzydki? pytam.

- Nie wiem. Może dlatego, że to ja taka jestem gdzieś w środku. Może kiedyś uda mi się wychować go na grzecznego chłopca. Nawet nie wiesz, moja kochana Minko, jak bardzo zmieniłam się na korzyść. To dzięki tobie. Ale ja nie chcę tylko brać od ciebie, chcę ci także coś dać. Więc może dlatego tak bardzo pragnę cię obudzić.

- Ja wcale nie śpię - mówię i otwieram oczy. Patrę do góry, na Kasię. Uśmiecha się do mnie, a wokół jej buzi pełno włosów i chmur. Coraz mniej w nich złota, coraz więcej czerwieni. Kasia unosi twarz ku niebu.

- Och, gdybyś kiedyś mogła zobaczyć to piękno, które ja widziałam - mówi. Rozkłada ręce w powietrzu i porusza nimi wolno, jakby frunęła.

- Opowiedz mi o tym - mówię cicho.

- To coś bardzo małego, mniejszego niż nic, ale i ogromnego, ogromnego jak wszystko, a nawet więcej niż wszystko. Nie mogę ci nic więcej powiedzieć. Bardzo chciałabym, żebyś kiedyś sama to poznała.

- Jak mam poznać, jak nawet nie wiem, co to jest i jak wygląda.

- Nie, nie, tobie jeszcze nie wolno.
- Skąd wiesz? A może już wolno.
- Tylko niewielu potrafi tam dotrzeć - mówi Kasia. - To piękno, gdy je się ujrzy, potrafi nawet zabić.

Uśmiecha się cudnie. Aureola jej włosów płonie na czerwono. Wygląda jak anioł, a może jest aniołem. Klękam przed nią, składam dłonie jak do modlitwy.

- Błagam cię, zaprowadź mnie tam, ja też chcę zobaczyć to piękno. Gdy wróciliśmy do domu jej babci, pani Karolina obejrzała moją głowę i moje oczy i powiedziała, że wygląda na to, że wszystko dobrze się skończyło, ale gdybym wieczorem albo w nocy poczuła się źle i gdyby zbierało mi się na wymioty, to mam natychmiast do niej zadzwonić. Potem pojechaliśmy do Wałbrzycha. Odwiozły mnie pod sam blok.

Jeszcze nie było dziewiątej, a u mnie wszyscy spali przed telewizorem, tylko Tadziu siedział i twardo oglądał. Zaniósłam dziewczynki do łóżek, a sama szybko się wykapałam i poszłam spać. Minęły dwie godziny, już po jedenastej.

Jakoś nie mogę zasnąć. Leżę w ciemności i tyle myśli mam w głowie, że aż nie wiadomo, od której zacząć. Pchają się zewsząd. Nie wiadomo, która jest którą.

Tak mi żal Kasi. Jest taka mądra i dzielna, ale jak tak dalej będzie litować się nad tym swoim Dżigi to on ją w końcu zeżre. Gdyby wtedy, w nocy, zobaczyła siebie... to przecież już nie była ona, to był Dżigi.

To już lepiej mieć pustkę w środku, niż zwariować i wrzeszczeć i rzucać się przez całe życie. A nawet, jak nie zwariuje, to będzie musiała się z nim męczyć i ciągle się kłócić. To straszne mieć w sobie kogoś takiego. To jakby mieć w ustach robaka i nie móc go wypluć. I tak męczyć się do końca życia? To harowa, nie życie. Mało to kłopotów człowiek ma, żeby ich jeszcze w sobie szukać? Trzeba chodzić do szkoły, wokół siebie trzeba zrobić, o dzieciaki zadbać, i jeszcze lekcje odrobić. Dopiero co zaczął się dzień, a już się kończy. Skąd wziąć czas na to, żeby ciągle zaglądać, co jest w tej przyczepie. A przy tym ani obejrzeć się nie można, ani zatrzymać. Ciekawe, czy ja też mam w sobie kogoś takiego, jak Dżigi. Chyba nie, no bo skąd by się u mnie wziął? A gdyby się wziął... to jak by wyglądał? Czy też byłby taki brzydki jak Dżigi? Bardzo bym go chciała zobaczyć, choćby na sekundkę. Co ja mogę w środku mieć? Wiadomo, w środku są żyły, serce jest, wątroba, nerki i żołądek. Co jeszcze? W żołądku jest to, co zjadam. Krew jest, ale wylatuje dopiero wtedy, gdy się człowiek ukluje. O, ślinę mam w ustach, zawsze mogę ją wypluć. A co jest w głowie? Mózg. A w mózgu myśli. Jak one mogą wyglądać?... Z całą pewnością są bardzo malutkie, bo przecież głowa nie większa od piłki, a tyle ich się w niej mieści. Jak taka myśl może wyglądać, poza tym, że jest malutka? Jak się na przykład coś pomyśli i zaraz się powie, to to są słowa. Ale słowa są niewidzialne. Gdy zapisze się je na kartce, to zamieniają się w wyrazy. I już wiadomo jak wyglądają. Składają się z literek. Ja piszę małe literki, proste i wyraźne. Inni piszą pochylone. Jedni w lewo, drudzy w prawo. Niektórzy piszą wielkie, a inni jeszcze mniejsze od moich, tak, że aż trudno je odczytać. Więc jeśli myśli wyglądają jak wyrazy, to u każdego wyglądają inaczej. I inaczej u Polaków, inaczej u Rosjan, a jeszcze inaczej u Francuzów. A są przecież i takie myśli, które nie wiadomo jak powiedzieć i zapisać. To jak wyglądają takie myśli? Może jak kleksy? I skąd biorą się te wszystkie myśli? Może są w mózgu od zawsze, tylko że śpią i czasem niektóre budzą się i wtedy człowiek zaczyna myśleć. A może skądś przylatują? Ale skąd by miały przylatywać? Przylatują tylko cudze myśli. Jak ktoś coś do mnie powie, to wlatują do moich uszu słowami. A jak coś przeczytam, to wlatują do oczu wyrazami. Własne myśli chyba jednak śpią w środku, w mózgu. Co je budzi? Bo mnie to budzi budzik. Raz mnie budzi, gdy

zadzwoń w tamtym pokoju na tatusia, a potem tatuś wstawia go do naszego pokoju i po dwóch godzinach budzi mnie jeszcze raz. A jak nie usłyszę, to mnie mamusia budzi. Albo Tadiusi mnie obudzi, ale częściej ja budzę Tadiusia. A jak ja się budzę, to i moje myśli się budzą. Ale tylko niektóre, a które, to zależy od różnych rzeczy. Inne się budzą, gdy wstaję do szkoły, a znów inne budzą się w niedzielę. Ale czy na pewno moje myśli śpią, gdy ja śpię? Może ja śpię, a one harcują? No bo dlaczego śnią się sny? Może dlatego, że jak człowiek zasypia, to myśli nie zasypiają, i już to nie człowiek myśli, to myśli same się myślą i tworzą się sny. Niektóre takie dziwne, że aż nie mogę uwierzyć, że są moje. Mamusia mówi, że jak się śni pożar, to trzeba uważać na mieszkanie, żeby złodzieje nie okradli. To dlaczego nie śnią się wtedy złodzieje? A co się śni, jak ma być pożar?

Bo jak się ułatniał czad z pieca, to przyśnił mi się potwór w poczekalni, w kinie... A może to był właśnie mój Dżigi? Oj, nie chciałabym, żeby to on okazał się moim Dżigim. Taki był straszny, że co go sobie przypomnę, to aż mnie ciarki przechodzą. Też miał pełno zębów. Ale najstraszniejsze miał ślepie. Głębokie i malutkie. Całkiem nieruchome. Patrzył na mnie jak wąż. Nawet, gdy pożerał tamtych ludzi, to wpatrywał się we mnie, jakby to mnie chciał zjeść. Bo i chciał. Wydawał się mały, ale jak otworzył paszczę, to schowała się tam cała głowa tamtego pana, którego potem schrupał. I chyba był goły, bo nie widziałam ubrania. Ręk też nie widziałam. Jednak najlepiej pamiętam jego ślepie. I tak szybko latał, choć nie miał skrzydeł. Nisko latał, przy podłodze. Jednak był wielki, bo widziałam jego ślepie nad głowami ludzi, wysoko. Był szary i mokry. A może nie był mokry, może był suchy. Szary, ale trochę białawy. Ohydny. Nie chciałabym go już więcej spotkać.

A przecież był dobry, był moim przyjacielem. Bo przecież straszyl mnie i pożerał ludzi tylko we śnie, a tak naprawdę, to uratował od śmierci mnie i całą moją rodzinę. Jestem świnią. Nie wolno tak brzydko myśleć o przyjacielem, choćby nie wiem jak ohydny.
- Przepraszam cię, potworze. Nie gniewaj się na mnie. Bardzo ci dziękuję za to, że przyleciałeś wtedy do mojego snu i mnie ostrzegłeś. Kto wie, może jesteś śliczny i tylko dlatego ukazałeś mi się w takiej strasznej postaci, bo gdybym zobaczyła cię takim ślicznym, jakim jesteś naprawdę, to wcale nie chciałabym się obudzić, bo chciałabym na ciebie patrzeć jak najdłużej. Ale jeśli nawet wyglądasz tak, jak wyglądałeś w moim śnie, to i tak bardzo cię lubię, bo masz dobre serduszko. Możesz do mnie przychodzić kiedy chcesz, jeśli oczywiście chcesz. I proszę, nie obrażaj się na mnie. Przysięgam ci, jakoś się do ciebie przyzwyczaję. Może nie od razu, ale w końcu się przyzwyczaję.

O Matko Boska, już wiem, przypomniało mi się. On wyglądał jak ogromna pijawka. Niezupełnie jak pijawka, ale najbardziej podobny był do pijawki. I chyba był twardy, a nie rozlazły jak pijawka. Jestem jednak ohydna, potworna świnią... -Przysięgam ci, że przyzwyczaję się do ciebie, mój kochany Potworze, bądź tylko cierpliwy i daj mi trochę czasu. Ciekawa jestem, jak masz na imię. Bo ja mam na imię Marysia. Ale Kasia mówi na mnie "Minka". Możesz mówić do mnie jak chcesz. Możesz mówić "Marysia", możesz mówić "Minka". I wiesz... jakby to ode mnie zależało i nie miałbyś nic przeciwko temu, to ja najchętniej mówiłabym do ciebie: "Pimpus". Czy "Pimpus" ci się podoba? Czy jak cię znów zobaczę, to czy mogę do ciebie mówić: "Pimpus"?

Ale Pimpus ani mru mru, nic się nie odzywa. Może teraz ratuje od śmierci jakąś inną dziewczynkę? Może nie jest tylko mój? Bo Dżigi to jest tylko Kasi. Jest bardzo muzykalny, dlatego Kasia tak ślicznie gra i komponuje. A może Pimpus też ma jakieś wybitne zdolności?... Może bardzo dobrze szyje i jeśli jest tylko mój, to zostaną bardzo dobrą krawcową i wszystkie klientki będą mnie

chwalić i cieszyć się z uszytych przeze mnie sukienek. Nie będę drogo brała, ale i zbyt tanio nie mogę, bo mamusia mówi, że jak krawcowa tanio szyje, to ludzie gadają, że nie umie szyć. No bo jakby umiała, toby tak tanio nie brała. Więc będę brała nie za drogo i nie za tanio. Przez trzy lata w szkole odzieżowej można się dużo nauczyć. Kroju i różnych ściegów. Chciałabym też umieć szyć suknie ślubne. I dziewczynkom sukienki do komunii świętej. Mnie szła do komunii pani Marysia, żona pana Krzyśka. Miałam bardzo ładną sukienkę, ale nie starczyło materiału, więc nie sięgała do samego dołu, pięć centymetrów zabrakło. Innym dziewczynkom widać było buciki dopiero wtedy, jak szły. A znów inna dziewczynka miała za długą sukienkę i jak podchodziła do ołtarza, to się potknęła i przewróciła. Wszyscy w kościele zaśmiali się, tylko ona się popłakała.

To już lepiej mieć sukienkę za krótką, niż za długą. Przed kościołem było błoto. W kościele podłoga też była zabrudzona. Jak ta dziewczynka wstała, to okazało się, że całą sukienkę z przodu ma brudną. Chciała uciec z kościoła, ale jej mamusia złapała ją i na siłę poprowadziła do ołtarza taką brudną. Ksiądz włożył jej do ust opłatek, ale ponieważ strasznie ryczała, to się zakrztusiła i opłatek wypłuła. Dostała za to od mamusi po głowie, ale ksiądz powiedział, że to nic nie szkodzi i dał jej drugi opłatek, i ten drugi już połknęła, chociaż ryczała jeszcze głośniejsze.

A znów mnie opłatek przykleił się do podniebienia. I nie mogłam go ściągnąć językiem, musiałam paznokciem podwazyć. Ale nikt nie widział, jak go drapałam. Nie powinnam tego robić, bo to przecież ciało Jezusa, ale co miałam zrobić, jak się przykleiło.

To był najpiękniejszy dzień w moim życiu. Tadiusz miał wtedy cztery latka, nażarł się tortu, nie zdążył dolecieć do ubikacji i pobrudził sobie całe spodnie. W normalny dzień to oj, dostałby ode mnie.. a tak, to zdjęłam mu spodnie i go umyłam. Nie krzyczałam na niego, ani się go nie brzydziłam. I postanowiłam sobie, że już nigdy w życiu na niego nie krzyknę, ani nic, ale potem zapomniałam i nawet parę razy od tamtego czasu się pokłóciłam. A raz to się nawet odszczeknęłam mamusi. Całkiem niedawno, w tamtym roku. Dostałam za to w papę aż miło. W dodatku mamusia nie odzywała się do mnie bardzo długo, ale w końcu dała się przeprosić. I tak miałam szczęście. Jedna dziewczynka krzyknęła na swoją mamusię i całą twarz jej wykrzywiło i już do śmierci nie puściło. Została starą panną i nie miała dzieci, no bo kto by chciał za żonę taką pannę z wykrzywioną twarzą... Do pokoju wchodzi Tadiusz. Wsuwa się po ciemku do łóżka.

- Śpisz? - pyta.

- Nie - mówię.

- Ale był film. O takiej babie, co zabijała chłopów. A potem zabiła ją druga baba, bo się okazało, że ta druga była przebrany inspektorem policji. Szkoda, że nie widziałas. Miała super pistolet. Małutki, ale jak huknęło, to pół głowy tamtej babie urwało. Wyciągnęła paczkę papierosów, żeby tamtą poczęstować, a to nie były papierosy, tylko pistolet... i jeb!

- Nie mów tak brzydsko.

- I tylko jedną kulkę miała. Jakby nie trafiła, to po niej, bo tamta miała w ręku rewolwer, taki duży, na dużo kulek.

- A pacierz odmówiłeś? - pytam.

- Pewno.

- Kiedy?

- Jeszcze przed telewizją.

- Tere fere, akurat - mówię, i przypominam sobie, że ja też nie odmówiłam. Schodzę z tapczanu i ściągam za frak Tadzia. Klękamy i zaczynamy odmawiać chórem:

- Ojczy nasz któryś jest w niebie święć się imię Twoje przyjdź królestwo Twoje bądź wola Twoja jako w niebie tako i na ziemi

chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom i nie wódz nas na pokuszenie ale nas zbaw ode złego Amen.

- Zdrowaś Mario łaskiś pełna Pan z Tobą błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego Jezus Święta Mario matko Boża módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej Amen.

- Chwała Ojcu Synowi i Duchowi Świętemu jak było na początku teraz i zawsze na wieki wieków Amen.

Tadziu chce się już pakować na tapczan, ale ja go cap za nogę i mówię: - A Aniele Boży?

To schodzi i mówimy: - Aniele Boży strózu mój Ty zawsze przy mnie stój rano wieczór we dnie w nocy bądź mi zawsze ku pomocy Najświętsza Panno strzeż serca mego najśłodszy Jezu nie wychodź z niego aż do oddania Bogu ducha mego...

Nagle, na samym wierzchu panny z rybą, w miejscu, gdzie kiedyś była głowa, widzę napis wyrysowany czerwoną kredą. Widzę go dokładnie, tak samo, jak wtedy, zanim nie spadłam.

Spadłam i zniknął, zapomniałam o nim, a teraz widzę go znów. Jarzy się krwistą czerwieńią w ciemności.

"KASIA UCIEKŁA MARYSIA DO PIEKŁA"

Czy to mi się śni?

IV

Siedzimy z Kasią na balkonie. Miałyśmy się uczyć, ale książka leży na stoliku, a my rozwalone na leżakach i nic nam się nie chce, bo gorąco.

Przed nami stoi wentylator i kręci głową. Dmucha na Kasię i znów na mnie, a po drodze bawi się z kartkami książki. Gdyby był żywy, to już dawno znudziłoby mu się chłodzenie dwóch leniwych dziewczynek. Już trzeci dzień nic nie robimy, tylko opalamy się na balkonie. Ja jestem brązowa, a Kasia złota. Mamy na sobie identyczne podkoszulki. Są żółte, na jednej napis "GLIMP", a na drugiej "GLUMP". Gdy założyłyśmy je pierwszy raz, to Kasia cały dzień mówiła na mnie Glump, a ja na nią Glimp. Pod powiekami różowo od słońca, a ja mam okropne wyrzuty sumienia. Godzinę temu zgrzeszyłam, i to ciężko. A było to tak: Wracamy z Kasią ze szkoły i lizemy waniliowe lody w waflowych kubeczkach.

- Katarzyno - mówię - co bym zobaczyła, gdybym była bardzo odważna?

Co?

- No, to piękno, co jak się go zobaczy, to potrafi nawet zabić...

To jak ono wygląda?

- Proszę, nie pytaj, bo i tak ci nie powiem.

- Ja też cię proszę, powiedz.

- Przestań, bo ci jeszcze powiem i skończy się to dla ciebie identycznie, jak dla Ewy.

- To Ewie powiedziałaś, a mnie nie chcesz?

- Co? - Kasia spogląda na mnie zdziwiona. -Ja? Ewie?

- Sama o niej wspomniałaś - mówię. -Ewa Bogdaj.

Kasia śmieje się.

- Głupia - mówi - miałam na myśli Ewę z raję. A zresztą ja nic nie wiem, tak tylko wtedy żartowałam.

- Nie wierzę ci.

- Mam się przysiąc?

- No, przysięgnij się...

- To przysięgam na tego loda, że nic nie wiem. Jeśli skłamałam, to mi wypadnie z ręki.

A ja buch w jej loda, już leży na ziemi. Kasia patrzy na niego z żalem.

- No i coś ty zrobiła?

- Masz mój - mówię i daję jej mojego.

- Twojego nie potrzebuję - odpowiada nadąsana.

- To nie chcesz?

- Nie!

- To ja go też nie chcę! - I buch, mojego też rzucam na ziemię. Na chodniku leżą już dwa lody.

- Wstrętna wariatka - mówi Kasia.

- A ty skłamałaś, bo ci wypadł.

- Bo mi go wytrąciłaś.

- Katarzyno, tak bardzo cię proszę, powiedz mi o tym pięknie, bo chyba naprawdę zwariuję, jak mi nie powiesz. Ciągłe o tym myślę.

- Żałuję, że w ogóle ci o tym wspomniałam.

- Ale wspomniałaś. Powiedz.

- Zrozum kochanie - mówi Kasia słodko -to wiedza tajemna, tylko dla wybranych.

- To znaczy, że jestem gorsza od ciebie?

- Tego nie powiedziałaś.

- Powiedz chociaż troszeczkę, co ci zależy...

- Ty sama musisz do tego dotrzeć.

- To chociaż powiedz, jak mam to zrobić. To wezmę i dotrę.
- To się może okazać za trudne dla ciebie. Może nie urodziłaś się na to, żeby to zobaczyć... Może urodziłaś się po to, żeby po prostu żyć.
- Skąd wiesz, po co się urodziłam?
Kasia wzdycha. Rozgniata bucikiem leżące na chodniku wafle z lodami. Pękają z cichutkim trzaskiem. Kasia spogląda na mnie, gryząc wargę. Wreszcie mówi:
- To chcesz się dowiedzieć?
- Tak.
- Dobrze. Widzisz tę babcię?
Pokazuje palcem na starszą panią, siedzącą samotnie na ławce przy skwerku.
- Widzę.
- Idź do niej i powiedz jej głośno: "ty biedna, stara krowo".
- Coś ty! - mówię oburzona.
- To znaczy, że nie chcesz wiedzieć.
- Jak jej tak powiem, to się dowiem?
- To może być początkiem tej wiedzy - mówi Kasia tajemniczo. - Od czegoś trzeba zacząć.
- W takim razie - mówię stanowczo - nie chcę niczego wiedzieć ani widzieć.
- Świetnie, to mi się podoba - mówi Kasia, bierze mnie za rękę i odchodzimy od naszych zmarnowanych lodów. Ale ja nagle przystaję, bo strasznie chce mi się wiedzieć.
- Poczekaj na mnie - mówię i idę do staruszki, na skwerek. Trudno, powiem. Najwyżej walnie mnie laską po nogach i będę miała za swoje.
Staję przed nią. Nabieram w płuca powietrza i mówię głośno:
- Ty biedna, stara krowo!
Staruszka spogląda na mnie, brwi marszczy i, uśmiechając się, przykłada dłoń do ucha.
- Co mówiłaś, dziecinko?
- Przepraszam bardzo - mówię i biegnę do Kasi. - Ona była głucha. Kasia zaczyna się chichrać. Chichra się i chichra. Mnie tam jakoś nie do śmiechu.
- Masz szczęście - mówi wreszcie Kasia -to było ostrzeżenie. Widocznie nie powinnaś wiedzieć.
- Mogę to powiedzieć do innej staruszki -mówię. Kasia poważnieje.
- Nie radzę. Okazuje się, że to dla ciebie zbyt łatwe. Nie doceniłam twojej bezczelności. Nie wstyd ci tak brzydko mówić do staruszki, która przecież mogłaby być twoją babcią?
- Ty mi kazałaś - mówię ze złością.
- Ja tylko powiedziałam, że jeśli jej tak powiesz, to może się o czymś dowiesz. To był twój wybór, mogłaś tam nie chodzić. I co, miałam rację? Czy nie dowiedziłaś się czegoś o sobie?
Kasia spogląda na mnie dziwnie, jakby mną pogardzała. A mnie robi się strasznie wstyd. Jak ja mogłam tak postąpić? Co to się ze mną stało? Taka miła staruszka, a ja tak brzydko do niej powiedziałam. Co z tego, że nie słyszała. Boże, co ja zrobiłam. Wszystko powiem księdzu, niech mi zada pokutę, będę klęczała i modliła się przez cały dzień.
- Och, jaka słodka istotka - mówi Kasia z ironią. - Podstawi nogę staruszce, potem się szybciućko wypowiada i znów będzie miała sumienie czyściutkie, będzie je mogła lizać jak loda.
Znowu słuchała moich myśli. Nie wiem, gdzie mam podziać oczy. Spuszczam głowę, chce mi się płakać.
- Wiem - mówię - jestem ohydna świnka. Ale wcale nie podstawiłam jej nogi.
Kasia wybucha śmiechem. Przytula mnie do siebie.
- Moja mała, słodziutka świnka - mówi pieszczotliwie. - Nie przejmuj się, to moja wina. Chodź, kupimy sobie nowe lody. Te nowe lody lizaliśmy aż do samego domu.

I proszę. Niczego się nie dowiedziałam, a w dodatku zgrzeszyłam. I Kasia mną na pewno pogardza.

Oślaniając dłonią oczy przed słońcem, spoglądam na Kasię. Tak ślicznie wygląda z tym rozwichrzonym, różowozłotym kokiem. Chyba nie zasnęła?

- Katarzyno...

Co? - pyta sennie.

- Z tą staruszką na ławce - mówię - to ja cię zbujałam. Wcale jej tak brzydko nie powiedziałam. Zapytałam ją, która godzina, a ona mi powiedziała, że nie ma zegarka. Zbujałam cię tylko dlatego, bo strasznie chciałam, żebyś mi o tym Pięknie opowiedziała.

Kasia uśmiecha się nie otwierając oczu.

- Domyślałam się tego - mówi. - Przecież wiem, Minko, że takie ohydne słowa nigdy by ci nie przeszły przez twoje usta. I za to cię kocham.

Boże, jaka ja jestem podła. Kasia mnie kocha, a ja ją okłamałam.

Nie zasługuję na jej miłość.

- Katarzyno - mówię.

- Co znowu?

- Ja cię wtedy nie zbujałam. Teraz cię zbujałam. Bo te ohydne słowa przeszły przez moje usta. Jestem chamka i kłamczucha.

Kasia odwraca do mnie twarz. Patrzy na mnie i uśmiecha się.

- A za to - mówi - kocham cię jeszcze bardziej.

- Za co?

- Że nawet skłamać nie umiesz!

I Kasia dostaje ataku śmiechu. Trzymając się za brzuch, skręca się na leżaku i śmieje się, i śmieje się, i nie może przestać.

A wentylator między nami kręci głową przecząco, jakby mówił do mnie: "Nie, nie, nawet kłamać nie umiesz. Nie, nie, nigdy ci Kasia o tym Pięknie nie powie. Nie, nie, nigdy tego Piękna nie zobaczysz".

Jestem w kościele i klęczę, ale nie w ławkach, tylko obok, na kamiennej posadzce. Jakiś okrucieństwo uwiera mnie w prawe kolano, ale niech uwiera, niech się męczę.

Spowiadałam się księdzu i już miałam powiedzieć o tej staruszcze, ale się zlekłam i nie powiedziałam. Zamiast tego powiedziałam, że nie byłam na dwóch niedzielnych mszach. A to przecież nieprawda. To ksiądz zadał mi lekką pokutę, bo skąd miał wiedzieć, jakim to gagatkiem jestem naprawdę. To postanowiłam sobie, że będę klęczeć przez dwie godziny i ani minuty krócej. I nie poruszę się i nie wstanę, choćby nie wiem co.

A tu dopiero dwadzieścia minut minęło i już nie mogę z tym okrucieństwem pod kolaniem. W kościele jest ciemno, tylko przy ołtarzu pali się trochę świec. Czasem przyjdzie jakaś babcia, posiedzi, pomodli się i pójdzie.

Ja klęczę za filarem, nikt mnie nie widzi.

Przebac mi Panie Boże. Używałam wulgarnych słów w stosunku do starszej osoby i jestem kłamczucha. Okłamałam Kasię i choć zaraz się przyznałam, to jednak okłamałam. A już mamusię to ciągle okłamuję. Ona sama się męczy z zakupami, z dziećmi, z całym domem, a ja nic nie robię, tylko ciągle przesiaduję u Kasi.

Chciałabym z nią być przez całe dni i noce, i nigdy się z nią nie rozstawać. Dlaczego nie urodziłam się jej prawdziwą siostrą? Wtedy byśmy zawsze były razem. Na przykład Zosia i Krysia. Urodziły się bliźniaczkami i ciągle są razem i wszędzie chodzą razem. To czemu my z Kasią tak nie możemy?

Dlaczego mamusia Kasi nie urodziła mnie razem z nią? Albo czemu moja mamusia nie urodziła jej ze mną? Z tym, że byłoby lepiej, gdyby to mamusia Kasi nas urodziła, bo gdyby nas urodziła moja mamusia, to skąd by Kasia wzięła pieniądze na te wszystkie swoje syntezatory i komputery? No i może nie byłaby taka zdolna.

Bo ja to nie jestem zdolna. A może jestem, tylko że jeszcze nie wiem, do czego. Lubię szyć, ale szyłam tylko w ręku, to nawet

jeszcze nie wiadomo, czy będę umiała szyć na maszynie. To się dopiero okaże w szkole odzieżowej, jeśli oczywiście zdam egzaminy. Nie wiem, co ze mną będzie, gdy Kasia pojedzie do tej Afryki. Chyba będę płakać po całych dniach. Kocham bardzo moją mamusię i Zenusią, dziewczynki, Tadzia i tatę, ale najbardziej kocham moją Kasię. Czemu tak jest, nie wiem. Nawet jeśli ona przestanie mnie kochać, to ja nigdy o niej nie zapomnę i będę ją kochać do końca moich dni. Panie Boże, co mam zrobić, żeby ona nie pojechała. Bo Kasia znów zaczęła komponować i mówi, że jak zdąży, to najwyżej zrezygnuje z płyty i zawiezie swojemu tatusiowi kasetę magnetofonową. A przecież miałyśmy całe dwa miesiące wakacji spędzić w domu jej babci i już nawet moja mamusia się na to zgodziła.

Panie Boże, już nie mogę, ten okruch całkiem mi się wcisnął w kolano, a jeszcze tyle czasu muszę klęczeć. Skończy się ta godzina i czeka mnie jeszcze cała następna. Boże, dopomóż mi, żebym wytrzymała w swoim postanowieniu. Tak mnie boli, jak jeszcze nie nigdy nie bolało.

I Panie Boże, zrób coś, żeby Kasia nie pojechała w tym roku do tej Afryki, niech pojedzie dopiero za rok. Daj mi jeszcze ten rok z Kasią, a potem będę już posłuszna i dobra, i już nigdy więcej nie skłamię, ani nic. Jeśli nie wyjedzie, to przyrzekam, będę tak klęczeć codziennie przez godzinę. Żeby tylko nie wyjechała. Będę klęczeć tak jak teraz, wyprostowana, a nie siedząc na piętach, bo tak jest sto razy gorzej i już cała się trzęsę i nie mogę wytrzymać, choć dopiero pół godziny minęło mojego klęczenia. Ale doklęczę do końca tej godziny i będę klęczała przez następną, tylko spraw, Boże, żeby Kasia nie wyjechała i żebyśmy spędziły wakacje u jej babci, w Sobótce.

Będę jej pomagać, na pewno stworzy wielką kompozycję, najpiękniejszą na świecie. Po co jej się tak spieszyć, jest jeszcze młoda, ma dopiero piętnaście lat i jeszcze przez tyle lat będzie sobie komponować i grać.

I daj mi, Panie Boże, wytrzymać to klęczenie, bo chyba zaraz zwiariuję z tego bólu. Już cała jestem mokra. Już całe pół godziny klęczę. To bardzo dużo pół godziny, a czeka mnie jeszcze półtora. Pomóż mi Boże wytrzymać.

Już naprawdę nie mogę. Żebym chociaż mogła przysiąc na piętach... ale przecież nie wolno. Zabierz mi chociaż ten okruch spod kolana. To na pewno jakiś mały kamyczek. Kto przynosi do kościoła kamyczki? A chciałam klęknąć trochę dalej... Już nie mogę! Co to znaczy "nie mogę"? Muszę, i już. Wytrzymam. Jak mi dasz Boże ten rok z Kasią, to zabiorę ten kamyczek, co jest pod moim kolaniem i codziennie będę na nim klęczała. Jakoś się przyzwyczaję. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Ludzie tak ciężko chorują, nieraz coś ich boli przez całe lata, a wytrzymują. To ja też wytrzymam.

Z tyłu słychać kroki, jakaś pani, bo obcasy stukają. Przystaję się trząść, składam ręce i pochylam głowę. Pani przechodzi obok i siada w ławce niedaleko, tyłem do mnie. Znów się trzęsę. Jestem tak spocona, jakbym przebiegła sto kilometrów. Już nie mogę, ale muszę. Anieli, ratujcie! Ten czas tak powoli się wlecze. Pani się ogląda. Uspokajam się na chwilę. Nie wolno mi tak głośno oddychać, bo słychać w całym kościele. Och Kasiu, ratuj mnie. Daj mi jeszcze tylko ten rok. Potem będę się starała zapomnieć o tobie, przecież będę musiała jakoś żyć i uczyć się w odzieżowej szkole: Nie mogę!

Przebac mi Boże, nie mogłam dłużej.

Najpierw siadłam na piętach, a zaraz potem na bok się przewróciłam. Teraz siedzę na posadzce i chcę kolana rozprostować, a nie mogę.

Powolutku trzeba. Ten kamyczek taki mały jak u zapalki główka, a może nawet trochę mniejszy. Wydlubuję go z kolana, w chusteczkę

od nosa zawijam, za pasek spodniczki chowam.
Wszystko przepadło, teraz Pan Bóg już mnie nie wysłucha. Obiecałam i nie dotrzymałam.

Ała...

Jak mi się dziwnie idzie. Jakbym patyki miała, a nie nogi.
Siadam z trudem w ławce. Nogi mam wielkie, nadmuchane jak balony i pełno w nich mrówek, choć wyglądają normalnie. Na drugi raz na pewno mi się uda.

Na tym samym kamyczku uklęknę i zobaczysz Boże, że wytrzymam dwie godziny. W moim pokoiku uklęknę dziś w nocy, jak już Tadiusi zaśnie. Bądź cierpliwy, Panie Boże. Przysięgam, teraz już wytrzymam. Dziś w nocy. Tylko trochę odpocznę, a w nocy..

Kasia urywa grę w pół taktu i mówi ze złością:

- Co się tak na mnie bez przerwy gapisz!

- Dopiero co spojrzałam - mówię. - Bo nie wiedziałam, jak to rozwiązać, więc się zamyśliłam i podniosłam oczy...

- Już dobrze, cicho!

Znów zaczyna grać. Aż huczy w pokoju od muzyki, aż czuję ją na swoim ciele, jakby wichrem wiało z głośników. Pochyliłam się nad zeszytem Kasi. Swoje lekcje odrobię później, w domu.

Od początku tygodnia Kasia zupełnie nie ma głowy do nauki. W poniedziałek dostała dwóję z matematyki. Chyba znów by przestała przychodzić do szkoły, gdybym nie odrabiała za nią lekcji i gdybym jej ciągle nie prosiła, żeby przychodziła. Obiecałam jej mamie, że ją przypilnuję. To robię, co mogę. W szkole muszę na nią bez przerwy uważać, żeby się nie pokłóciła z nauczycielami, bo ciągle jest rozdrażniona i o byle co robi mi awantury.

Wczoraj pani od fizyki wywołała ją do tablicy, a ja dobrze wiedziałam, że akurat nic nie umie, i strasznie się bałam, że się zaraz z panią pokłóci, bo i pani Zelenow jest okropnie nerwowa.

Więc nagle zaczęłam jęczeć, złapałam się za brzuch i upadłam na podłogę. Tak strasznie jęczałam i zwijałam się z bólu, że pani chciała lecieć dzwonić po pogotowie, ale na szczęście zadzwonił dzwonek i zaraz mi przeszło, i Kasia na ten raz była uratowana.

Nauczyłam się podrabiać charakter jej pisma. To było bardzo trudne, bo ja, jako ja, to stawiam równiutkie literki, a Kasi każda literka inna, raz pochylona w lewo, raz w prawo, raz duża, a raz taka malutka, że nie wiadomo, czy to literka, czy może kropka. Ale w końcu się nauczyłam i to tak, że nawet Kasia nie wie, co ona pisała, a co ja.

Za to teraz ja, gdy odrabiam swoje lekcje, to ciągle się zapominam i nieraz zdarzy mi się, że postawię na kartce takiego kulfona, że aż wstyd.

Do końca roku szkolnego już niewiele dni. Niektórzy nauczyciele już machnęli ręką i wystawili nam stopnie, ale inni cisną do końca, jak na przykład pani od fizyki i pan od matematyki. O niektórych rzeczach człowiek już zapomni, a tu trzeba się ich uczyć na nowo.

Mamusia już kilka razy pytała mnie o te próby do akademii, ale zawsze coś tam wymyśliłam i opowiadałam różne głupoty. Raz chciała, żebym powiedziała ten wiersz, co mam mówić na akademii. Na szczęście przypomniałam sobie ten o tym, że, już płuca wyplute nie bolą". i głośno go zacytowałam. Mamusi bardzo się spodobało i powiedziała, że nawet nie przypuszczała, że ma taką zdolną córkę. Dziewczynkom i Tadiusi też się podobało, tylko że potem Zosia przez pół dnia pluła i pluła, a jak się jej spytałam, czemu tak pluje, to powiedziała, że płuca wypluwa. A ja już zapomniałam o tym wierszu i przestraszyłam się, że może jest chora, ale ona powiedziała, że wcale nie, że pluje tak na wszelki wypadek, bo jak je wypluje, to już nigdy jej nie zabolą. Strasznie się śmiałam i powtórzyłam jej słowa mamusi, a mamusia na to: - Patrzenie, jaka spryciuła.

Tadiusi powiedział, że tata to całe płuca ma chyba czarne, bo jak

pluje, to czarną śliną. Wtedy Zosia sobie przypomniała, jak kiedyś gotowałam zupełną rajstopową, która była czarna, i powiedziała, że może tata się pomylił, najadł się jej i do teraz nią pluje. Ale mamusia powiedziała, że to przez kopalnię, że to węglem tata pluje. To Tadeusz powiedział, że jak dorosnie, to też będzie pracował w kopalni i zapluje na czarno cały balkon sąsiadki z dołu, która ciągle nas się czepia, że stukamy i przez to dziewczynki boją się biegać po mieszkaniu.

Mamusia nie wypuszcza ich na dwór, bo niedawno jedną dziewczynkę z naszego osiedla przejechał samochód i umarła. To dziewczynki przysięgają, że będą się bawiły tylko koło trzepaka, ale mamusia boi się, no bo teraz tak jeżdżą tymi samochodami, że co to dla nich na trzepak najechać. Jest bardzo niezadowolona, że tu mieszkamy. Mówi, że gdyby pani Marysia z panem Krzyśkiem nie przebili już drzwi od swojego mieszkania do naszego, to najchętniej spakowałaby manatki i wróciła do Jawiszowa, bo choć tam było ciasno i niewygodnie, to jakoś inaczej. Już się cieszy na wrzesień, gdy pojedziemy całą rodziną wykopywać z naszego pola ziemniaki. Tata był tam raz rowerem i mówił, że w porządku, że rosną.

O, jaka cisza się zrobiła. Kasia na taką ciszę mówi zawsze: "ta słynna, brzęcząca cisza".

Kasia cofa taśmę w magnetofonie, puszcza ją od początku i klap, siada obok mnie, na kanapie.

- Uwaga - mówi. To odkładam długopis, który i tak tylko gryzłam przez ten czas, i siadam wygodnie. Z głośników wylatuje muzyka, a my siedzimy i słuchamy.

- I jak? - pyta Kasia.

- Bardzo ładnie - mówię.

- To słuchaj, zaraz zepsuję - mówi i krzywi się. Nagle się uśmiecha. - Nie, bardzo dobrze. Nawet fajnie wyszło to zafalowanie. Słyszałaś?

- Yhm.

Muzyka się kończy, Kasia leci zastopować taśmę.

- To może obiad teraz odgrzeję? - mówię.

- Nie, nie, nie chce mi się jeść - odpowiada Kasia. - Odgrzej tylko sobie.

Włącza magnetofon na nagrywanie i siada za syntezatorem. Znowu muzyka.

Jestem głodna, ale nie będę odgrzewała tylko dla siebie. Najwyżej zjem coś, jak przyjdę do domu. Trochę mi szkoda, bo dzisiaj panna Zenobia miała dobry humor, a jak ma dobry humor, to obiad jest fantastyczny. Dostała list od syna z RFN-u. Pisał, że już dostał kartę pracy i że wnuczka panny Zenobii już siada. Wnuczka ma na imię Greta. Panna Zenobia trochę się martwi, że od maleńkiego będzie szwargotać po niemiecku.

O, herbata wystygła.

Pójdę, zrobię nową. Wstaję i wychodzę. Kiedyś to bałam się ruszyć, gdy Kasia nagrywała, ale teraz wiem, że magnetofon nagrywa bezpośrednio z syntezatora i można wrzeszczeć i skakać, a nagra się tylko muzyka.

Robię w łazience siku, myję ręce pachnącym mydełkiem. Idę do kuchni. Nastawiam wodę na herbatę. Zaglądam do garnków. Podkradam jednego zimnego kartofelka z koperkiem. Potem drugiego. I jeszcze jednego. A na patelni są kotlety. Jakie mięciutkie. Bardzo smaczny, zjadłam już całego. Biorę chochlę, zanurzam w zupie. A to chłodnik. Pyszny. Zjadam dwie wielkie chochle. W ten sposób jestem już po obiedzie. A tu już się woda gotuje. Robię dwie szklanki herbaty, stawiam je na tacy. Miały być desery... Zaglądam do lodówki. Są. Galaretki z wiśniami i bitą śmietaną. Stawiam je na tacy i idę ostrożnie do pokoju.

Wchodzę. Cisza. Kasia leży na kanapie i patrzy w sufit. Stawiam tacę na stoliku obok niej.

- Może chociaż galaretkę zjesz? - pytam.
- Dawaj.
Podaję jej salaterkę i łyżeczkę. Nie wstaje, je na leżąco.
- Dobra?
- Może być.
To ja też zaczynam jeść. Bardzo dobra. Kasia odstawia na stolik pustą salaterkę i mówi:
- Doszłam do potwornego wniosku. Jestem zbyt inteligentna na to, żeby zostać wielkim kompozytorem.
- Dlaczego?
- Bo dlatego. Za dużo myślę, a za mało czuję. I nawet nie mam o tym z kim pogadać. Szkoda, że Mateusz nie żyje. Albo żebyś ty się choć trochę znała, ale ty ciągle sobie coś wyobrażasz. Łąki, kwiatki, aniołki i ptaszki..
- A ty sobie niczego nie wyobrażasz, jak grasz? - pytam.
- Jeszcze by tego brakowało! - oburza się Kasia. Bierze łyżeczkę, uderza nią w salaterkę. - Dźwięk to dźwięk. Mało ci?
Rzuca łyżeczką w kąt i zaczyna jęczeć. Często tak kaprysi. Leży, patrzy w sufit i jęczy. I tak dobrze, że dzisiaj nie rzuca się po tapczanie, ani nie tarza się po dywanie.
Nie odzywam się, siedzę cichutko. Najczęściej to jej kapryśnienie kończy się tak, że przychodzi do mnie, przytula się i muszę ją głaskać.
- Nie mogę, nie mogę - mówi. - Nie mogę!... Minka, co ja mam zrobić, no powiedz, co ja mam zrobić?!
- Nie wiem.
- To pokrzycz trochę, co?
- Dobrze - mówię i zaczynam krzyczeć.
Krzyczę głośno, coraz głośniejsze. Mój krzyk też jej czasem pomaga. Krzyczę, a ona patrzy na mnie. Już nie mam siły.
O, jaka miła cisza.
Kasia siada, podwijając nogi pod siebie. Chyba jej przeszło.
- Bo widzisz - mówi - treścią muzyki jest jej forma. Forma opowiada formę. I cześć, to wszystko. Kryształowa próżnia. Rozumiesz?
- To dlaczego - pytam - jak grasz, to niekiedy mi smutno, a innym razem wesoło?
- To sprawa percepcji. Impulsy dźwiękowe wpadają przez ucho do mózgu i zależnie od swoich właściwości pobudzają tam różne ośrodki. Proste?
Wzruszam ramionami.
- Jejku, jak ty dzisiaj ślicznie wyglądasz - mówi nagle Kasia.
- Naprawdę? - mówię i uśmiecham się.
- Naprawdę, to jak zezowata ropucha w sosie z rozgniecionych karaluchów.
- Wcale nie jestem zezowata.
Kasia śmieje się.
- Pokazałam ci tylko działanie impulsów na korę mózgową - mówi. - Mówienie to takie naciskanie klawiszy, jak w muzyce. Co zdanie, to inny klawisz. Z tym, że droga impulsów słownych jest pośrednia, a więc trochę dłuższa. Słowo musi najpierw trafić do intelektu, a dopiero intelekt porusza tony uczuciowe. A muzyka obywa się bez pośredników.
Kasia ziewa.
- Czemu ja się nie urodziłam głucha - mówi żałośnie. Kładzie się na kanapie. - Chciałabym być głucha, ślepa, niema i sparaliżowana.
- Wypluj te słowa.
- Nie mam siły nawet splunąć. Chyba pójdę spać..
- To ja już pójdę do domu - mówię.
- Yhm - mruczy Kasia sennie.
- Ale nie skończyłam jeszcze odrabiać twoich lekcji. To nic, wezmę i przyniosę ci jutro do szkoły.
- Yhm... - Kasia zamyka oczy i przytula twarz do wałka kanapy.

Pakuje jej zeszyty do mojej teczki.

- Rozbierz się - mówię - nie śpij w ubraniu.

- Dobrze.

- To pa.

- A buzi? - mówi Kasia. Podchodzę, całuję ją na dobranoc.

Przebieram się w swoje rzeczy, gaszę światło w przedpokoju i wychodzę, zatraskując drzwi na dolny zamek.

W tym momencie słyszę dzwonek telefonu. Gdybym się nie pospieszyła z wyjściem, to bym poleciała i odebrała, a tak Kasi na pewno nie zechce się wstać i będzie dzwonił, aż nie przestanie.

Idę pustymi ulicami. Jak tylko zamkną sklepy, to ludzie zaraz się gdzieś chowają. Do swoich domów, do swoich norek. W górze ani kawałek niebieskiego nieba. Wisi tam wielki kamień, cały ciemnoszary. Słońce skrobie z tamtej strony, ale nie może się przedostać, bo wszystkie chmury zmówiły się i połączyły się w jedną wielką, kamienną.

Jak który ptaszek zaleciał za wysoko, to będzie musiał nocować po tamtej stronie. Jego mamusia będzie się martwić przez całą noc.

Ale przecież tam, po tamtej stronie, dużo przyjemniej, bo słońeczko tam jest.

Tak tu wszędzie pusto, ani jednego człowieka. Idę i co trzeci krok podskakuję. Domy nade mną takie duże. Ulica taka szeroka i taka płaska.

Idę i podskakuję, chociaż nie mam żadnego powodu do podskakiwania.

Jestem głupia, nic nie wiem, i już dużo więcej się nie dowiem. Za to Kasia jest mądra za nas dwie. Chciałabym wiedzieć tyle, co ona.

I zobaczyć to Piękno, które ona widziała. Jak ono może wyglądać?

Żeby chociaż przed wyjazdem mi powiedziała, jak tam trafić... Ale

na pewno wyjedzie i nic mi nie powie. Trudno. Jak tak chce, to

niech sobie jedzie do tej Afryki. Będzie mi jej bardzo brak, ale

może za to będę spokojniejsza. Kiedyś nie byłam taka. nerwowa, jak teraz. Mam to w środku. Coś się we mnie bez przerwy trzęsie.

Moja mamusia też mówi, że ją ciągle telepie. Mówi, że to przez ten

Wałbrzych. Ciągle ją teraz boli serce. Powinnam jej więcej

pomagać. Jak tylko Kasia wyjedzie do Afryki, to przez całe wakacje

będę mamusi pomagać we wszystkim, żeby sobie tylko siedziała i mną

dyrygowała. Ale, jak ją znam, to nie wytrzyma tak tylko siedzieć i dyrygować.

Nagle... ktoś mnie woła.

Rozglądam się, nikogo nie ma. Ach, to z góry woła. Patrzę, stoi

ktos wysoko, na dachu kamienicy. Prawie go nie widzę, bo ciemno.

Macha do mnie ręką. Czy to może kominiarz? Ale wcale nie czarny,

tylko jakiś szary. Patrzę, przechyla się powoli do przodu. Rany

Boskie, leci w dół.

Leci cicho w ciszy. To jakiś worek leci...?

Chlap!

Upadł tak blisko. Czemu tu tak mokro? Po czym ja stąpam? Ręce

widzę i głowę, z której cieknie coś szarego. Nawet ta krew jest

szara. To nieżywy tu leży. Rozglądam się, czy nikt nie widział.

Nikogo nie ma.

Odchodzę cicho, na palcach.

Już po dzwonku na pierwszą lekcję, a Kasi nie ma. Pani sprawdza

obecność. Jak zawsze zaczyna od Bogdaj.

- Jestem - mówi Ewa.

- Bogdańska.

- Jestem - mówię.

- Daszkiewicz.

- Jestem!

I już Zucharska. Po Zucharskiej zawsze wyczytują Kawczak Marię.

- Kawczak.

- Nieobecna - mówię. Pani robi znaczek i zamyka dziennik.

Niektórzy w klasie patrzą na mnie i robią dziwne miny. A ja. nic.

Coś mi się pomyliło.

To chyba dlatego, że nie mogłam w nocy zasnąć. Czegoś się bałam, ale nie wiadomo czego. A jak już zasnęłam, to zaraz zadzwonił budzik i trzeba było wstawać. Stoję przy windzie, nadjeżdża, ja wchodzę, jadę, jadę, naraz patrzę: na nogach mam kapcie. Zjechałam na sam dół, a potem wróciłam na górę, po buciki. Tak to jest. Jak się nie śpi w nocy, to śpi się w dzień. Ale jakoś nie chce mi się teraz spać...

Po lekcjach idę do Kasi. Dzwonię do drzwi. Otwiera mi panna Zenobia.

- Wejdz, złotko - mówi. - A Kasia gdzie?

- Nie ma Kasi? - pytam zaskoczona.

- Jak przyszłam, to jej nie było. Wejdz, na pewno zaraz przyjdzie. To wchodzę.

- Obiad będzie za pół godziny - mówi panna Zenobia i idzie do kuchni.

W pokoju Kasi okropny bałagan.

Wczoraj zostawiłam porządek.

Ściele szybko łóżko, wyglądam na kapie wszystkie zmarszczki no i biorę się za biurko, które wygląda jak kubel stojący wśród śmieci.

Wszędzie porozrzucone kartki i jakieś zdjęcia, i koperty z listami. Szuflady powyciągane z szafeczek biurka, a jedna to nawet przewrócona dnem do góry. Boże, co tu się stało? Jakby złodziej tu grasował.

Szybciuteńko kartki do kartek składam, listy do listów, a ze zdjęć robię osobną paczuszkę. Wkładam je do szuflad. W szufladach wszystko pomieszane... Jakieś kabelki i druciki, jakieś kolorowe kalki i głowa lalki. Bym to uporządkowała, ale jak Kasi nie ma, to mi jakoś nie wypada grzebać w jej rzeczach. Więc tak tylko z grubsza upycham, żeby można było przynajmniej szuflady wsunąć i szafeczki pozamykać.

Oj, a co to tam wystaje? Jakiś czarny... Co to jest? Ogon długi, czarny, z dolnej szuflady lewej szafeczki wystaje. Jaki długi, ma ponad pół metra.

Ale jestem głupia. Tak się przestraszyłam, a to tylko warkocz z czarnych, lśniących włosów. Po co Kasi czarny warkocz? A może to Kasi włosy, może je ścieła, w warkocz zaplotła i na czarno ufarbowała, tak, jak ja swoje rajstopy. Warkocz niebieską wstążeczką przewiązany na końcu.

Coś w nim jest straszego, jakby diabła ogon. Wrzucam go do szuflady, szufladę zamykam, drzwiczkami biurka przytrzymuję. Co z oczu, to z serca.

Biorę się teraz za bałagan na blacie biurka. Znów książki polskie z francuskimi pomieszane. Co tu tak mokro? Patrząc, dłoni mam całą czarną, to tusz się rozlał, albo atrament. Rękę chusteczką od nosa wycieram. Co ja zrobiłam? Moja najładniejsza chusteczka czarna, już się chyba nie odpierze. To z rozpędu tusz z blatu nią ścieram. I lecę do łazienki. Myję ręce i płuczę chusteczkę. Nic z niej już nie będzie. Co najwyżej ściereczka. Wracam do pokoju i na mokro blat biurka pucuję. O jej, jedna z książek się pobrudziła. Mordkę do mnie mała, czarna figurka wykrzywia. To ten wstrętny diabełek, fuj, za co on się ręką trzyma. Za swojego ptaszka, fuj!

Posprzątałam, co się dało. Chusteczkę wyrzuciłam, ręce wyszorowałam. Panny Zenobii już dawno nie ma, a ja stoję przy oknie i patrzę, czy Kasia nie idzie. Czemu na pannę Zenobię Kasia mówi "panna", jak ona mężatka i męża ma na emeryturze, i syna w RFN i wnuczkę?

Cała godzina minęła, a mojej Kasiulki nie ma. Tak tu pusto bez niej i zimno. Na dworze na deszcz się zbiera, coraz w pokoju ciemniej. Obiad już na pewno wystygł. Nie zjadłam, jakoś nic nie mogłam przełknąć. Gdzie może być Kasia? Syntezatory stoją smutne, ciche jak nigdy. Wkładam do kontaktu wtyczkę. Zapalają się wesołe światelka.

Klawisz naciskam.

Jak nie zabrzęczy w głośnikach! Cofam szybko palec. Cisza. Inny klawisz wciskam. Coś zadzwoniło. Nie, nie tu, to ktoś do drzwi dzwoni. Biegnę do przedpokoju, drzwi otwieram. Nikogo nie ma. Zamykam drzwi, znów słycać dzwonek. To telefon w pokoju pani Karoliny. Na pewno Kasia dzwoni. Wpadam tam, łapię za słuchawkę.
- Halo! - wołam.

W telefonie ktoś szwargocze nie po polsku, słabo słycać... Chyba jakaś pomyłka. Odkładam słuchawkę. Coraz ciemniej. Wychodzę na balkon. Rozglądam się na wszystkie strony, Kasi nigdzie nie widać, a przecież zaraz będzie padało. Muszę jej poszukać.

Biorę teczkę, zatraskuję drzwi za sobą. Zbiegam z hałasem po drewnianych schodach.

Byłam w kawiarni, i w drugiej kawiarni, i w księgarni, i wszędzie tam, gdzie razem chodzimy, ale Kasi nigdzie nie było. Może jest z mamą w tamtej restauracji, gdzie kiedyś byliśmy, ale tam nie pojedę, bo daleko i autobus nie dojeżdża. Może jej się coś stało? Nie... co by miało się stać. Latam po Wałbrzychu, cała jestem mokra, bo ciągle deszcz pada, a Kasi nie ma. A może już do domu wróciła?

To biegnę do rynku, zasuwam po schodach, dzwonię, nikt nie otwiera, za drzwiami cisza, nie ma jej tutaj. Nie wróciła. A może na hałdy poszła, zawsze lubiła tam chodzić...

Wskakuję do autobusu, jadę na gapę, bo gdzieś zgubiłam bilety, chodzę po hałdach, wołam: - Katarzyno! Katarzyno! - tu też jej nie ma. To z powrotem do miasta. I ciągle w deszczu, ciągle deszcz pada. Znów jestem u jej drzwi, znów dzwonię, nikt nie otwiera. Jeszcze raz do obu kawiarni i do Klubu Prasy...

Nie ma Kasi.

Już nóg nie czuję. Boże, spraw, żeby jej się nic nie stało.

Dochodzi godzina piąta. Lecę przez deszcz do kościoła. Pomodłę się, wyschnę trochę.

Zimno tu i pusto, ale chociaż deszcz nie pada.

Przyklekam, zegniam się, wstaję, patrzę... dzięki Ci, Panie Boże, to przecież Kasia siedzi tam w ławce, daleko. Poznałam ją po jej błyszczącej, srebrnej pelerynie, i po włosach jaśniejących w światełkach ołtarza. Pobiec do niej chciałabym, i ucałować, ale nie, może się modli, może się nawróciła... Niech się modli, nie będę przeszkadzać. Siądę cichutko tu, z tyłu. Jak skończy i będzie wracać to mnie zauważy.

I tak siedzimy, ona tam, ja tutaj i się modlimy. Lubię zapach kościoła. Lubię dźwięk dzwoneczków, gdy ministrant kadzidłem w powietrzu macha. I tak pięknie błyszczy wyciągana z tabernakulum monstrancja. Zawsze myślę, że tam, za monstrancją coś jeszcze jest schowane i czemu ksiądz tego nigdy nie wyciągnie... Tam musi coś być. Coś malutkiego, a jakby się to wyjęło, to byłoby wielkie. Jak słońce błysnęłoby, jak tysiąc błyskawic. Tam jest... o Panie Boże, już wiem, tam jest Tajemnica Wiary.

Nie wiem, skąd to wiem, ale wiem. Och, jak cudnie mi się zrobiło, jak jasno. Tylko czemu tak zimno tutaj? Szczękają mi z zimna zęby, drzę cała.

Chodźmy już do domu, Kasiu, chodźmy już stąd.

A może usnęła?

Pójdę, zobaczę, może śpi. Podchodzę cichutko, siadam obok niej. Spogląda na mnie wcale nie zdziwiona. Uśmiecham się, ona nic. Czy mnie nie poznaje?

- Kasiu - szepczę - cały dzień cię szukam.

Ona nic, tylko patrzy na mnie tak, jak gdyby pierwszy raz mnie widziała i chciała się dobrze przyjrzeć.

- Czy chcesz jeszcze poznać - mówi - to coś, o czym nigdy nie chciałam ci powiedzieć?

- Tak - mówię - chcę.

- Będiesz odważna, nie będziesz się bała?

- Nie, nie będę - mówię. Kasia wstaje, dłoń do mnie wyciąga.

Podaję jej moją. Ścisła ją mocno, do wyjścia mnie prowadzi. Jestem strasznie ciekawa i bardzo się boję, ale się nie przyznam, muszę To zobaczyć.

Stajemy na progu. Leje deszcz, Kasia mówi:

- Zbierz dużo śliny w ustach.

- Czemu?

- Zbieraj ślinę, szybko!

To zbieram.

- Teraz napluj.

- Gdzie?

- Tutaj!

Szarpie mnie mocno, odwraca do siebie tyłem. Spluwam. Co ja zrobiłam!...

W miseczce kamiennej, w wodzie święconej, pływa moja ślina. Boże mój, co ja zrobiłam? Patrzę, nie mogę uwierzyć. To moja ślina tu pływa. Moja ślina w wodzie święconej pływa. Słyszę śmiech, to Kasia się śmieje.

- To taka sama woda, jak wszędzie - mówi. - Taka sama, jak w wannie, taka sama jak w klozecie.

Osuwam się na kolana, do ziemi twarz przyciskam i szlocham w rozpacz, jęczę, wyję. Ona mnie szarpie.

- Uspokój się - mówi. - Minka, uspokój się! - Usta mi zatyka. -

Uspokój się! - krzyczy.

Gryzę ją w rękę, puszcza mnie. Jęczę z twarzą przy ziemi. - Coś ty mi zrobiła - wyję - coś ty mi zrobiła!

Podrywa mnie z ziemi, uderza w twarz raz i drugi. I wrzeszczy:

- Cicho, wariatko!

Kłęczę i już tylko cicho jęczę. Ona klęka przy mnie, obejmuje, w usta całuje.

- Kochanie, przestań - szepcze. Ja nic, tylko jęczę. Wszystko się skończyło, wszystko się skończyło.

- Odejdź - mówię - zostaw mnie.

I jęczę, i płaczę. Ona wstaje.

- Coś ty myślała - mówi, stojąc nade mną. - Że to będzie łatwe?

Chciałabyś do piekła pojechać na gape?

Podnoszę na nią osłupiałe oczy. Na jej ustach pogardliwy uśmiech.

- Nie pamiętasz? - mówi. - Przecież ci obiecaliśmy. A ty przysięgałaś, że nie znienawidzisz. Teraz męcz się sama. Mój tydzień dobroci dla zwierząt właśnie się skończył, a i tak trwał o długo za długo. Mam cię dosyć.

Zakłada na głowę kaptur, odchodzi.

Kłęcząc w przedśionku kościoła patrzę za nią. Idzie w strugach deszczu.

- Kasiu! - krzyczę. Zrywam się z klęczek, biegnę za nią. - Kasiu! Zatrzymuje się, odwraca do mnie. Jej peleryna, jej kaptur lśnią od deszczu. Lśnią mokro jej oczy.

- Czego jeszcze chcesz?

- Kasiu - mówię przez lzy i deszcz - powiedz mi... to Dżigi ci kazał? Powiedz mi, to Dżigi?!

Uśmiecha się ironicznie, brwi unosi.

- Jaka Kasiu, jaka Kasiu... Już rok minął, jak twoją Kasiulkę zjadłem. Nie pamiętam już nawet, czy mi smakowała.

Paznokciem w zębach ostrych, białutkich dłubie, smakuje, cmoka.

- Chyba nawet smaczna - mówi - żałuj, żeś jej nie spróbowała.

I odchodzi, I śniąc w deszczu. Znika.

Moja Kasia najdroższa. Odeszła. Wiem, że już nigdy jej nie zobaczę. Po to tylko się ze mną zaprzyjaźniła, żeby mi wręczyć do piekła bilet.

Więc Dżigi to był ON. Czułam, że kręci się gdzieś niedaleko, ale nie wiedziałam, że znajdę go tak blisko, w kimś, kogo tak bardzo pokocham.

Więc dobrze, teraz już wiem.

Gesty są tylko gestami. Słowa są tylko słowami.

Są tylko po to, żeby naciskać klawisze w mózgu. Klawisz z napisem PRZYJAŹŃ, klawisz z napisem SZCZĘŚCIE. Ciach... już przebrzmiły dźwięki. I człowiek musi odejść, bo już nie ma kogo kochać i musi umrzeć, choć przecież będzie żył jeszcze tak długo, jeszcze tak długo, jeszcze tak długo, jeszcze tak długo.

Boże mój, choć już wiem, że nie jesteś mój. Myślałam, że jesteś dobry dla wszystkich ludzi na ziemi, a okazało się, że jesteś dobry tylko dla niektórych.

Wybaczam Ci, ale i Ty mi wybacz, bo Twoja córka musi od Ciebie odejść. Nie wiem, jak naprawdę nazywa się to miejsce, gdzie muszę iść, ale muszę tam iść, bo już nic innego mi nie pozostało.

Nie wiem, czy kiedykolwiek byłam dobra. Może byłam tylko spragniona i podlizywałam się do studni. Udawałam przed Tobą grzeczną, bo chciałam, żebyś mnie polubił. I może za to ukarałeś mnie, Ojczy. Nie ma już dla mnie miejsca w Twoim domu, który jest domem wszystkich, ale niektórzy muszą odejść, żeby poszukać sobie innego schronienia, choćby na dnie piekła. Ale do dna mam jeszcze daleko i zanim tam trafię, mam jeszcze dużo czasu, och, bardzo dużo czasu.

I tak, jak przed chwilą chciałam lecieć i własnym sweterkiem jak szmatą do podłogi wybrać całą święconą wodę z moją śliną, by nie zabrudzić świętokradztwem moim jakiejś babinki poskręcanych paluszków, tak teraz niech zatroszczy się oto twa służba kościelna, Ojczy mój niedobry.

Żegnaj.

KSIĘGA DRUGA

Dwa dni nie było mnie w szkole. Trzeciego dnia przychodzę z zaświadczeniem wypisanym własnoręcznie przez moją mamusię, że: "córka Maria Kawczak bardzo źle się czuła w związku ze swoim zdrowiem, z poważaniem, Sława Kawczak".

Bo moja mamusia Sława ma na imię.

Pilnowałam, by żadnego błędu nie zrobiła, ale były tylko cztery wyrazy, w których można było go zrobić, więc konsultacje przeszły bez używania słownika ortografii.

Siedzę w ławce sama. Kasi oczywiście nie ma w szkole. Nie wiem, skąd to wiem, ale wiem, że już nie przyjdzie ani razu przez te kilkanaście dni które zostały do końca i nawet po świadectwo ukończenia szkoły podstawowej przyśle swoją mamę, a może pannę Zenobię.

Zresztą... co mnie to obchodzi.

Na dużej przerwie podchodzi do mnie Ewa Bogdaj i pyta, co się

dzieje z Kasią. Mówię, że jest chora.

- To wiem. Wczoraj była jej mama, przyniosła zwolnienie, widziałam, jak rozmawiała z panią Turską. Ale na co jest chora?

- Jeszcze nie wiadomo - mówię. - To coś bardzo skomplikowanego.

- Wyobrażam sobie - mówi Ewa, uśmiechając się prawie że niezauważalnie. - Bo wiesz... bardzo się o nią martwię.

I zakłada rękę za szyję. Zawsze mi się podobał ten jej gest.

- A może wolałabyś, żeby umarła? - pytam.

- Ty coś sobie ubzdurałaś na mój temat - mówi Ewa. - A ja wcale nie jestem taka, jak myślisz.

- Skąd wiesz, co myślę? - pytam i leciutko się uśmiecham uśmiechem lustrzanym do jej wcześniejszego uśmiechu.

- A co myślisz?

- Może to samo, co ty...

- Tak? Bo ja właśnie myślałam, że jesteś bardzo fajna.

- To dziwne - mówię. - Bo ja właśnie myślałam, że jesteś bardzo fajna.

Ewa wybucha śmiechem.

- To wychodzi na to, że obie jesteśmy fajne - mówi.

- To wychodzi na to, że obie jesteśmy fajne - powtarzam. Ewa spogląda na mnie podejrzliwie.

- Bawisz się w papugę?

- Bawisz się w papugę? - powtarzam. Ewa poważnieje. Zagryza dolną wargę. Nic nie mówi. Ja też zagryzam dolną wargę, też nic nie mówię. Wydymam usta identycznie jak ona. No i która z nas jest która? W tym momencie zaskakuje nas dzwonek. Korytarze pustoszeją. Tylko my dwie tu stoimy naprzeciwko siebie.

Jak to się skończy?

Nijak. Ewa wzrusza ramionami i odchodzi. Jest już w połowie korytarza, gdy rozlega się głośny gwizd. To ja gwizdnęłam. Ewa przystaje, odwraca się do mnie. Patrzy na mnie z daleka. Uśmiecham się. I ona też się uśmiecha. Niepewnym, speszonym uśmiechem. To ma być ta Ewka Bogdaj, której tak się zawsze bałam?

Wybucham głośnym śmiechem, mój śmiech pracuje na wzmacniaczu echa.

Ewa znika w drzwiach klasy.

Stoję tu sama i zewsząd otacza mnie przezroczyste powietrze. Na lekcji fizyki poczułam na sobie jej spojrzenie. Odwróciłam się, umknęła oczami.

Idę ulicą Marii Konopnickiej. Słyszę gwizd. Patrzę, a to ona.

Siedzi na swoim wielkim, czarnym motorze po drugiej stronie jezdni i macha na mnie.

Podchodzę.

- Zawiozę cię do domu - mówi. - Chcesz? - Chętnie. Sadowię się z tyłu za nią, szukam oparcia dla nóg. A ona: - Obejmij mnie mocno, na zakrętach przechylaj się razem ze mną, a jak będę za szybko jechała, to ukłuj mnie brodą w plecy. To na ogół skutkuje.

Ruszamy z hałasem.

Już nas tam nie ma.

Uliczka jedna, druga... i już rynek.

Ewa zatrzymuje motocykl przed bramą Kasi.

- Ja tu przecież nie mieszkam - mówię. Ewa zeskakuje z siodełka, stawia motocykl na widelkach.

- Wiem. Ale na pewno chciałabyś zobaczyć, co u panny Katarzyny Bogdańskiej.

- Fajno, dziękuję. To - cześć.

- Poczekam tu na ciebie.

- To może długo potrwać, może do wieczora... nie wiem. - Nic nie szkodzi. I tak nie mam nic do roboty. Obiecałam, że cię odwiozę do domu.

- Poradzę sobie. Jakiś mądry człowiek wymyślił autobusy.

- Nie był taki mądry jak ten, co wymyślił motocykl - odpowiada z uśmiechem. - Poczekam.

- Dobrze, wrócę za pół godziny - mówię. - To na razie.

I wchodzę do bramy.
Idę schodami do góry.
Już drugie piętro, ale przecież nie nacisnę dzwonka. Trzecie piętro i czwarte. Na dach wychodzę.
Dach jest płaski tutaj. To taki duży taras otoczony kamienną balustradą. Kiedyś tu byłam. Zrobiłyśmy raz z Kasią dwadzieścia samolotów z papieru każda po dziesięć, i urządziłyśmy zawody. Samoloty krążyły nad rynkiem. Aż trzy wpadły do tego samego otwartego okna po drugiej stronie rynku. Wszystkie trzy były moje. A Kasi jeden pojechał na odkrytej przyczepie ciężarówki. Inny wzniósł się wysoko i zginął nam z oczu w chmurach. Żaden nie trafił do tego okna, gdzie były trzy moje.
Później wracałam do domu i widziałam dzieci, bawiące się naszymi samolotami. I byłam bardzo szczęśliwa, że się nie zmarnowały, że jeszcze latają, i że może nawet znajdzie się wśród nich taki, który będzie latał jeszcze jutro i pojutrze.
Podchodzę do balustrady i patrzę w dół, na Ewę, taką stąd malutką przy swoim malutkim motorze. Mija pół godziny, mija czterdzieści minut, ona nie odjeżdża.
Schodzę.
- Katarzyna umarła - mówię z grobową miną. Ewa. patrzy na mnie. Jej oczy nieruchome jak u lalki. Jej rozchylone usta zamrożone w pół słowa.
Ojej, co to się stało?
Gdzie się podziała Ewa?
O, u moich stóp leży.
- Proszę pana - mówię - tu dziewczynka zemdląła.
Pan bierze ją na ręce, niesie do fontanny. Ja idę za nim. Już całe zbiegowisko przy nas. Chlapnęłam jej wodą w twarz. Otwiera oczy. Siada na murku i brzegiem bawełnianej koszulki ociera twarz z wody.
Już się wszyscy rozeszli. Ewka jakaś niemrawa, muszę ją znów rozruszać.
- Uwierzyłaś? - pytam.
Podnosi na mnie swoje oczyska. Białka w nich białe, aż niebieskie, źrenice czarne, aż granatowe. Chyba się pomyliłam, to jakaś zwyczajna, dobra dziewczynka.
- U Katarzyny wszystko w porządku - mówię. - Pojechała do babci, do Sobótki.
Ewa wciąga głęboko powietrze. Jej buzia ożyła.
- Nieźle mnie wpuściłaś - mówi. - Masz fantastyczne żarty.
- To taka zabawa, nazywa się "naciskanie klawiszy", Spodobała ci się?
- Bardzo. Musisz mnie tego nauczyć.
Pstrykam palcami.
- Już umiesz.
Nie minęło pięć minut, a jesteśmy już na mojej ulicy. Autobus wlecze się pół godziny.
- To mój blok - mówię. Ewa hamuje, podjeżdża pod bramę. Zsiadam. A Ewa:
- Jeśli masz trochę czasu... mogłybyśmy jeszcze pojeździć.
Pewno, że mam czas. Mam go bardzo dużo. Przecież teraz jestem na próbie do akademii, a potem będę doglądała chorej Kasi.
- Mam - mówię.
- A nie boisz się jechać ze mną?
- Dlaczego?
- Nie za szybko jeżdżę?
- Właśnie chciałam się ciebie zapytać, czemu tak się powoli wlokłaś.
- Ty wiesz chociaż co to za motocykl? Popatrz.
Ewa pokazuje palcem złote litery na błyszczącym, czarnym baku. "YAMAHA". No proszę, jak to wszystko ładnie idzie parami. Fontanna błyszcząca w słońcu też już dwa razy była. Niech się jeszcze tylko

pokruszy druga lodowa chmura i będzie można powoli zamykać sklep.

- Jamaha - czytam głośno. - Czy to po japońsku znaczy "żółw"?

- Pożałujesz - mówi Ewa i zsuwa na oczy ciemne okulary w gumowych oprawkach. - Wsiadaj!

Wsiadam, obejmuję ją mocno. Czuję pod palcami jej żebra i

delikatne bicie jej serca, zagłuszone po chwili wibracją motoru.

Wolniutko dojeżdżamy do ulicy Wrocławskiej. Nagle Ewa podkreca gaz i zaczyna się wygłupiać między sznurami pojazdów, sunących w przeciwną stronę.

Już Wałbrzych daleko za nami. Lecimy z jazgotem silnika i nawet nie wiem, czy jeszcze mamy szosę pod kołami, czy już lecimy w powietrzu ponad nią. Ogłuszona i ślepa, przytulam się do czarnej skóry Ewy kurteczki.

Drzewa migają jak sztachety parkanu.

Eksplodują z hałasem samochody tryskające z przeciwnika.

Och, żeby już. Już, teraz, żeby już.

Trach i już!

Żeby już tam być!

Co się dzieje... ona zwalnia, hamuje. Stajemy na poboczu drogi.

Widzę dwa anioły w mundurach, w białych czapkach, w groźnych minach, które milicjanci na służbie noszą na twarzy, zapięte na pasek pod brodą...

- No, szanowne panie, koniec jazdy.

Schodzimy. Ewa zwalnia zatrask podpórki. Anioły podchodzą bliżej.

Jeden to blondyn z jasnym wąsem, drugi brunet z wąsem ciemnym.

- Poczekajcie chłopaki, niech odsapnę - mówi ze śmiechem Ewa

Wyciąga z kieszeni kartonik w okładce. Podaje brunetowi. Ten czyta podnosi na nią wzrok.

- Nieładnie, pani Zdzisławo - mówi. Za takie rzeczy zabieramy pojazd.

- Jakie rzeczy, jakie rzeczy? - pyta Ewa słodziutko.

- Sto pięćdziesiąt na godzinę i brak kasków. To są właśnie takie rzeczy.

Panowie mają chyba popsuty radar - śmieje się Ewa. Zdejmuje ciemne okulary. Strzela oczami to na jednego, to na drugiego.

- Skąd się tu panowie wzięli, że ja panów nie znam?

- Na kolegium lepiej nas pani pozna - mówi blondyn.

- Ach, panowie milicjanci nawet jak żartują, to nie żartują - szczebiocze Ewa.

- Pani pozwoli kluczyk - mówi brunet. - Kochani, sekundeczka,

dajcie mi się skupić - woła Ewa wyciągając kluczyk z motoru.

Blondyn wyciąga rękę, Ewa odskakuje do tyłu.

- Zaraz, zaraz, muszę się z nim czule pożegnać - mówi i całuje kluczyk. Wrzuca go do górnej kieszeni kurtki. Kładzie tam obie dłonie, co wygląda tak, jakby trzymała je na sercu, i mówi żałośnie, ale z kokieterią:

- Ojej, panowie, może da się coś zrobić?... Mój mąż mnie zabije.

Jest daltonistą, muszę go wszędzie wozić jego samochodem. A za takie głupstwo mogą mi zabrać prawo jazdy.

- Pani da ten kluczyk - mówi brunet.

Ewa wydyma usteczka.

- Chłopaki, miejcie litość nad staruszką w ciąży.

Milicjanci śmieją się.

- Niech się panie nie martwią - mówi blondyn. - Podwożę na komendę samochodem, a kolega wypróbuję motor.

- Trudno - mówi Ewa. Grzebie w kieszeni, wyciąga kluczyk. Podaje go blondynowi. On zaciska dłoń, Ewa cofa rękę. Patrzą... ona dalej ma ten kluczyk. To co trzyma blondyn? Brunet podchodzi do niego, wyciąga rękę.

- Dawaj - mówi - jeszcze takim nie jechałem.

- Nie wiem, czy ci będzie pasował - odpowiada blondyn i pokazuje mu coś, co ma w dłoni. Brunet unosi brwi, spogląda na Ewę. A ona robi wielkie, słodkie oczy i, wdzięcząc się, szczebiocze:

- I po buziaczku.
- W porządku - mówi brunet - buziak przesądził sprawę.
- Jaka sprawa? - dziwi się Ewa. - Nie było żadnej sprawy.
Podchodzi do bruneta, całuje go w usta. Teraz blondyna. Objął ją, już się wyśliznęła.
- Dziękuję chłopaki, do następnego razu - mówi Ewa. - Mam na imię Zdzisia. A to Ewunia, moja młodsza siostra.
Pokazuje głową na mnie.
- Franek - przedstawia się blondyn.
- Edek - mówi brunet. I dorzuca: - Siostrzyczka nie lubi się całować?
- Ona jeszcze dziewica - odpowiada Ewa.
- No tak - mówi Edek - wszystkie damy to dziewice.
Franek grozi palcem.
- Na drugi raz mogą być kłopoty - mówi.
- Na drugi raz będzie z języczkiem - mówi Ewa. A Edek:
- To może teraz zrobimy próbę, jak to będzie z języczkiem?
- Pod warunkiem, że nas dogonicie - śmieje się Ewa. Dosiada motoru, sadowię się za nią.
- Tym trupem?
Edek pokazuje na samochód stojący pod drzewem. Ewa kręci rączką gazu. Odjeżdżamy, zostawiając naszych aniołów stróży w tumanie niebieskiego dymu.
W drodze powrotnej wstępujemy do zajazdu. Ewa zamawia dwie cole. Siadamy przy stoliku.
- Miło było, co nie? - mówi Ewa.
- Miło.
- To "miło" dwie dychy kosztowało.
- Dwadzieścia złotych?
- Nie zgrywaj się.
- Dwadzieścia tysięcy?
- Dwadzieścia zielonych. Nie jest to dużo, ale zawsze można coś za to kupić. A już myślałam, że znam ich wszystkich.
Podnoszę szklankę, upijam łyk coli. Och, coś mi umknęło. Coś bardzo ważnego. Już dzisiaj w nocy czułam, jak mi umyka. Leżałam, nie śpiąc, niby chora, i śniłam na jawie jakieś rzeczy, jakieś osoby, które chciały mi coś... Byłam już tak blisko, trzeba było tylko połączyć coś i coś, coś innego.
Tam było pełno pokoi, i wszędzie grali w bilard. Mężczyźni w kraciatych koszulach. Oni... Chciałam uciec, ale miałam na sobie strasznie wąską spódnicę. I jakieś dziecko było tam... byłam jego matką? Ja i jeszcze jedna dziewczyna. I ona... nic już nie pamiętam.
- O czym myślisz? - pyta Ewa. Kładzie rękę na mojej ręce. Cofa ją zaraz. Cała jest w ruchu, a każdy jej ruch jest gwiazdką na niebie.
Tak blisko byłam, tak blisko.
Tęsknota, która nigdy się nie skończy.
Co to było?
Patrzy na mnie Ewa. Uśmiecham się. I ona się do mnie uśmiecha.
- Ach, jak ty się przyczaiłaś - mówi. - Jesteś cudowna. Zawsze chciałam spotkać kogoś takiego, jak ty. Byłam taką idiotką, że od razu się na tobie nie poznałam. A Kaśka była szybsza i mi cię ukradła. Przebaczysz mi?
Rozglądam się i mówię:
- Bardzo przyjemny lokal.
- Tak, bardzo - mówi Ewa.
- Jest ohydny - mówię.
- Potwornie ohydny - przytakuje mi Ewa. - Zrozum, ja się tylko tak zgrywam przy tych moich kretykach. Nudzi mi się, to się zgrywam...
- Jednak przyjemny - mówię. Ewa wzdycha. I mówi: - Proszę, daj mi szansę.

Wzruszam ramionami.

- Czego ty chcesz ode mnie?

- Och nic. Tylko...

- To za dużo - mówię. - Mogę ci dać połowę.

Wstaję, biorę szklanke i upuszczam ją na podłogę. Trzask. Okruchy szkła. Wszyscy na nas patrzą.

Wychodzę.

Idę parkingiem, za nim drzewa. Nie mogę się wyplatać z tych snów, z tych słów. Siadam na czarnym motorze Ewy. Ujmuję kierownicę.

Z zajazdu wychodzi Ewa. Podchodzi do mnie. Gdzie nie spojrzę, wszędzie ona. Wszędzie jej pełno.

- Chcesz poprowadzić? - pyta.

- Nie umiem.

- Nauczę cię.

Kręcę głową. Odsuwam się do tyłu. Ona siada przede mną. Nie zapala motoru, tylko siedzi z rękoma na kierownicy. Obejmuję ją.

Przytulam się do niej.

- Ewuniu...

- Tak?

- Zawieź mnie do piekła.

Ewa odchyła głowę do tyłu, dotyka nią mojej twarzy. Czuję na ustach jej miękkie, pachnące włosy.

- Domyślałam się tego - szepcze. - Zrobię wszystko, co tylko zechcesz...

- Więc zabijmy się - mówię.

- Tak - szepcze - ale jeszcze nie teraz.

Zamykam oczy. Kiedy je otwieram, widzę wielką, białą, bajkową willę w soczystej zieleni drzew. To już Szczawno Zdrój.

- Jak ci się podoba moja mała chatka z piernika?

- W tłoku ujdzie.

- Wpadniesz?

- Może na chwilę...

W hallu, przy telefonie, stoi tleniona osoba płci żeńskiej, dosyć śliczna, w mini sukieneczce.

- Haj Mimi - mówi Ewa. - Przedstawiam ci Majeczkę, moją nową przyjaciółkę. - Haj - odpowiada blondynka. Uśmiecha się do mnie, mówiąc do słuchawki: - Okej, zaraz leczę.

Odkłada słuchawkę i okręca się w podwójnym piruecie.

- Jak wyglądam? - pyta.

- Cudnie - mówi Ewa.

- Bawcie się dobrze, laleczki - mówi ta Mimi. - Mnie już nie ma.

Znika, już jej nie ma. Ewa bierze mnie za rękę, prowadzi po schodkach do ogromnego, jasnego salonu. Tam, daleko, przy okrągłym stole, siedzi czarnowłosa, bardzo ładny pan. Je, czytając gazetę.

Podchodzimy do niego.

- Helou, Tutu - mówi Ewa. Pan podnosi głowę. Spogląda na Ewę, później na mnie.

- Helou, ślicznotki - mówi. Ewa wskazuje na mnie.

- Tutu, przedstawiam ci moją największą przyjaciółkę. Ma na imię Majka.

Pan wstaje. Wyciąga do mnie rękę. Podaję mu swoją. On mówi:

- Bogdaj, bardzo mi przyjemnie.

- Mnie również.

- Doskonała zupa - mówi. - Bardzo paniom polecam.

Spogląda na zegarek.

- Ja znikam - mówi. I znika. Zostałyśmy same.

- W ten sposób poznałaś komplet moich starych - mówi Ewa. Wskazuje mi krzesło przy stole, siadamy. Ewa woła:

- Panno Zenobio! Dwa nakrycia!

Na końcu salonu uchylają się drzwi. Patrzą... stoi tam panna Zenobia.

- Służę paniusiom - woła, znika i znów się pojawia, pchając przed sobą wózek z talerzami. Rozstawia na stole to, co przywiozła,

nalewa zupeł z wazy. Spojrzała na mnie, nie poznała i zniknęła.
Coś dziwnego pływa w zupie. Biorę to na łyżkę. Niebieski,
przezroczysty makaron. Panna Zenobia pojawia się znów. Krząta się
wokół nas, nakłada na talerze drugie danie, znika.

- Czemu tak na nią patrzyłaś? - pyta Ewa.

- Bo mi kogoś przypomina.

- Nawet wiem kogo.

- Kogo?

- Siebie.

- To ona?

- Kto?

- No... panna Zenobia.

- Tak się nazywa.

Przysuwam sobie talerz, biorę nóż i widelec. Nóż się wygina, gdy
dotykam nim mięsa. Po stole chodzi biedronka. Ewa śmieje się.
Zatopione w niebieskich, przezroczystych fotelach siedzimy w
pokoju Ewy i pijemy coś dobrego i zimnego w długich szklankach.
Jeśli oczywiście nie jest to gorąca herbata...

Ewa zrywa się, podbiega do magnetofonu.

- Masz jakieś życzenia?

- Nie wiem.

- To Kju.

Wyszukuje kasetę, wsuwa ją w szczelinę. Jarrett rozpoczyna młóckę
po klawiszach.

- Holender, pomyliłam kasety - mówi Ewa.

- Zostaw.

Ewa przybiega z powrotem. Klap na fotel.

- Lubisz tego kretyna? - pyta.

A ty?

- To nie moja kasetka. Ale jakoś wytrzymam.

- Ja lubię - mówię. - Wyobrażam sobie złotą piłkę, którą on toczy
po schodach bez końca.

- Ślicznie to powiedziałaś - mówi Ewa. - Mam wspaniałą szminkę,
chcesz, to ci ją dam.

Biegnie do toaletki, wraca. Maluje sobie szybko usta.

- Popatrz, jest złota - mówi. Wydyma usta. Są złote. Podaje mi
szminkę. Maluję nią sobie paznokcie. Już złoty.

- Fajna - mówię.

- Jesteś dziewczicą? - pyta Ewa.

- Wszystkie damy to dziewice - odpowiadam. Ewa śmieje się
perliście.

- Chcesz, to ci go zatańczę.

Podrywa się z fotela, tańczy muzykę Jarretta. Złota piłka turla
się po nie kończących się schodach. Pobiec za nią, czy jeszcze
zostać i patrzeć na Ewunię?

Zostaję.

Tańczy jak prawdziwa baletnica, tylko że sto razy śliczniej.

Patrzę w zachwyceniu. Ach, to przecież ona jest świetlistą piłką
Jarretta.

- Jesteś zupełnie inna, niż myślałam - mówię.

- To dlatego, bo mnie nie znałaś - odpowiada Ewa. Podskakuje
wysoko, dotyka głową sufitu, chwije się tam chwilę i powolutku
spływa na szafirowy dywan.

Przymykam oczy i już nie mogę ich otworzyć.

- Nie wiem dlaczego, ale okropnie chce mi się spać - mówię z
trudem otwierając usta.

- To połów się - dobiega mnie z daleka głos Ewy. Kładę się na
przezroczystej kanapie. Zapadam się w nią. Czuję, jak Ewa czymś
lekkim mnie przykrywa, czuję, jak zdejmuje mi buciki.

- Wyłączyć muzykę?

- Niech gra - mówię cichutko, tak cichutko, że sama swoich słów
nie słyszę. Słyszę tylko Jarretta i widzę jego świetlistą piłkę -
tańczącą Ewunię. Staję się lekka i już mogę pobiec za nią. Ona

zbiega po nie kończących się schodach z białego marmuru. Ja za nią.

Wokół wijące się zarośla, i węże, i cuchnące bajora pełne milczących żab i ich osłupiałych oczu.

Bieg i roziskrzony słońcem brylant.

Nagle potykam się i znikam w ciemności i ciszy.

Dż... dż... dż...

Dżdżownicą oślepioną i głuchą wiję się na samym dnie podziemnego jeziora.

Aaaaaaaa. Oooooooo... Coś tu jęczy. Jakieś istnienie bez ciała i myśli. Jakiś bąbelek powietrza w próżni. Wyyyyy... dooooo...

Ooooooodyyyyy...

Eeeeeeeee.

Dajcie mi czegoś dotknąć.

Tuuuuuuu...

Pustka w pu... stce puste pustki pu...

Mmmmmm

Mpr...

A

Mprstw... moje.

Tak się bałam. A to ja, mamusia kazała mi wyrzucić popielniczkę.

Idę wśród bloków i szukam śmietnika. Jakiś mężczyzna biegnie za mną na chwiejących się nogach. W ręku ma pałkę. Ta pałka to świetlówka, cały czas się świeci. Chce mnie nią uderzyć, uciekam.

Idą dwaj chłopcy, uciekają razem ze mną. Skręcają w lewo, ja w prawo. Pijak z neonem za mną. Po drugiej stronie uliczki idzie

milicjant. Jest młody i piękny. Pokażę mu popielniczkę, wszystko

opowiem. Wbiegam na jezdnię. Rowerzysta skręca w ostatniej chwili.

Trzask, prask, wpada pod samochód, już wszyscy nie żyją, krew się

leje z auta. Odwracam się gwałtownie. Przede mną stoi wysoki pan w

szarym swetrze, w okularach.

- Marysiu - mówi - nie uciekaj. Chcę ci pomóc.

Wskakuję do windy. Biegnę korytarzem. Wchodzę. Jak tu pusto. Jakie

małe okno. Jaka brudna szyba. Podłączę się do prądu, szybciej

umyję.

- Jajeczko! - woła ktoś. - Jajeczko!

V

Otwieram oczy. Przy mnie siedzi jakaś śliczna, śniada dziewczyna w białym szlafroku kąpielowym. Już wiem, kto to jest. To moja koleżanka z klasy, Ewa Bogdaj. Co ja tu robię? Co ja trzymam w ręce?

O, rąbek koca.

Ewa uśmiecha się do mnie.

- Majeczko - mówi delikatnie. - Już bardzo późno, dochodzi dwunasta.

Och jejku... Podnoszę się, siadam na kanapie.

- Już idę - mówię.

- Coś ty - mówi Ewa. - Będiesz spała ze mną, tapczan już posłany.

- Nie mogę - mówię - muszę iść. Mamusia by mnie zabiła.

- To zadzwoń i powiedz, że zostajesz u mnie.

- Nie mamy w domu telefonu - mówię. Wstaję. Chwieję się, taka jestem jeszcze zaspana.

- Proszę, zostań - mówi Ewa. - Przyszykowałam ci kąpiel.

- Naprawdę nie mogę.

Rozglądam się za moimi butami. Tutaj są. Przykucam i je wkładam.

- Szkoda - mówi Ewa z żalem. - Tak się cieszyłam...

- Gdzie moja teczka?

- Gdzieś jest - mówi Ewa i wykrzywia usteczka w podkówkę. -

Naprawdę musisz iść?

- Naprawdę.

- Nie mogę cię odwieźć, bo się właśnie wykapałam. Zamówię ci taksówkę.

- Nie, nie, ja nie mam przy sobie pieniędzy - mówię. - Pojadę autobusem.

- Już nie jeżdżą autobusy - mówi Ewa. - Ja zapłacę. Siadaj, dzwonię po taksówkę.

Siadam. Ewa bierze telefon ze stoliczka i przychodzi do mnie, na kanapę. Patrę, a to nie telefon, tylko sama słuchawka.

Ewa wciska guziczki. Rozlega się sygnał. I następny. Czekamy chyba z minutę.

- Nic z tego - mówi Ewa - nikt tam nie podnosi. Będziesz musiała zostać.

- Nie, nie mogę - mówię. - Pójdę na piechotę.

- W takim razie poczekaj, zaraz przyjdę - mówi Ewa. Kładzie telefon i wychodzi z pokoju. Biorę tę słuchawkę, co jest całym telefonem. Naciskam guziczki.

Pip... piiip... piiiip... pip... piip...

Odkładam szybko telefon, jak oparzona. Co ja zrobiłam? Wykręciłam numer Kaśki, innego nie znałam.

Jak tu pięknie. Puszysty, turkusowy dywan przypomina łąkę, ale bardziej morze. Te przezroczyste fotele są chyba nadmuchane. Gdyby je ukłuć szpilką?... I takie cudne, białe szafeczki z listewek skośnie ułożonych. Na ścianach obrazy. Na nich śliczne, kolorowe dziewczyny o wielkich oczach.

Tapczan niziutki, trochę okrągły i taki wielki. Zmieściłabym się na nim razem z całą moją rodziną. I pościel taka śliczna, a tu trzeba już iść.

Drzwi na balkon uchylone. Wstaję i podchodzę do nich. Wsuwam głowę. To nie balkon, to taras. Widać drzewa w ogrodzie. Jak tu ładnie pachnie.

Odwracam się. Do pokoju wchodzi Ewa, a za nią jakiś wysoki, czarnowłosy chłopak.

- Poznajcie się - mówi Ewa. - To jest mój brat, Michał. A to jest właśnie moja Majeczka.

- Dobry wieczór - mówię.
- Cześć - mówi Michał. Jest bardzo podobny do Ewy, ale starszy i trochę inny, bo przecież chłopak.
- Michał cię odwiezie - mówi Ewa.
- Nie, nie róbcie sobie kłopotu. Pójdę na piechotę. Jest taka ładna noc...
- To może innym razem - mówi Michał - bo dzisiaj cię zawiozę. Wychodzimy we troje. W hallu leży moja teczka. Biorę ją i idę za Michałem. Ewa całuje mnie w policzek.
- Do jutra - mówi. Jest ciepłutka i pachnąca.
- Do jutra.

Stoimy na progu. Patrzymy, jak Michał wyprowadza duży, biały samochód. Macha na mnie. Biegnę. Już siedzę w środku. Bardzo tu wygodnie.

- To gdzie jedziemy? - pyta.
- Na Piaskową Górę.

Samochód zaczyna warczeć. Wyjeżdżamy powoli. W drzwiach stoi Ewa w białym szlafroku i macha na mnie. Ja też do niej macham.

Jedziemy. Puste ulice. Gra muzyczka, bo Michał włączył radio. Nic do mnie nie mówi, ja do niego też nic. Tam idzie jakaś pani z panem. Chyba są pijani, bo krzywo idą. Świecą neony, jest ciepłutko. Przez szparę nad szybą wpada wiaterek. Czuję, jak wygłupia się z moimi włosami. Delikatnie, jakby mnie głaskał.

- To tutaj - mówię nagle. - W lewo!

Skręcamy.

- Ulica Rabiegi - mówię. - O, to chyba tam..

Michał już odjechał. Stoję sama na pustej ulicy i patrzę w górę. Świeci się u nas w kuchni. Nie śpią, co to będzie? Wyżej, nad naszym blokiem, pełno gwiazd.

Nie wchodzę do bramy. Siadam na ławeczce przed blokiem i patrzę na gwiazdy. Mrugają do mnie. Przypomina mi się Ewunia w białym szlafroku, cała opalona. Widzę jej oczy... Jeśli to wszystko było prawdą, jeśli to nie był tylko sen, to ona mnie uratuje. Jest dobra. Myśli się o ludziach różne złe rzeczy, bo się ich nie zna.

A potem się ich poznaje i okazuje się, że są dobrzy.

Okazało się, że Ewunia mnie lubi. Ja też ją lubię. Chciałam, żeby mnie zabiła, a ona mnie uratuje. Nie wiem, skąd to wiem, ale wiem. Obroni mnie. Ona nikogo się nie boi.

Tylko nie wolno mi się przed nią zdradzić, jaka jestem naprawdę... że jestem przeciętna i głupia. Będę musiała ciągle coś dziwnego wymyślać. Coś takiego, żeby jej się spodobało.

Ale co?

Kasia to by umiała... A jednak Ewunia jej nie lubi. A mnie lubi.

Tak ładnie pachnie. I jest śliczna i słodziutka jak lalczka.

A może jutro już się do mnie nie odezwie?

Szkoda, że wtedy poszłam siedzieć w ławce razem z Kaśką. Teraz siedziałabym za Ewunią i byśmy gadały i wygłupiały się we czwórkę. Ale skąd wtedy miałam wiedzieć, że Ewa jest taka dobra...

Trudno, trzeba iść do domu, bo światło w kuchni jakoś nie gaśnie.

Przekręcam klucz i wchodzę do mieszkania. W kuchni siedzi mamusia.

- Dobry wieczór, mamusiu - mówię cicho. Staję w progu. Mamusia nie odpowiada, tylko czerwienieje z sekundy na sekundę. Och, żeby jej tylko z nerwów nie pękło serce. Tak głośno i szybko oddycha...

W ubikacji rozlega się szum wody. Wychodzi z niej tata w samych kalesonach, z rozczochranymi włosami. Spogląda na mnie i idzie do pokoju.

- Przepraszam - mówię do mamusi. Kiwa na mnie palcem. Podchodzę wolniutko. Zaraz mnie gwizdnie. Staję przed nią, przymrużam oczy i pochylam się trochę, żeby mogła mi dostać ręką do buzi. Ale jakoś mnie nie bije...

Do kuchni wchodzi tata. W ręce ma pasek od spodni na pół złożony.

- Ja nie mogłam wcześniej - mówię szybko. - Bardzo przepraszam, to się już nigdy nie powtórzy!

- Idź do okna - mówi tata. To idę, bo kuchnia maleńka i przy oknie jest więcej miejsca do bicia.

- Podciągnij spódnicę - mówi tata.

- Tatulku, nie... Błagam, już nigdy tego nie zrobię. Ja naprawdę nie mogłam wcześniej wrócić, bo Kasia się bardzo rozchorowała i musiałam przy niej siedzieć.

- Do tego kłamie w żywe oczy - mówi mamusia. - Widziałam cię z balkonu, jak jeździłaś z chłopakiem motorem pod naszym blokiem.

- To nie był chłopak, to była Ewunia. Tylko, że była w dżinsach i miała krótkie włosy. Przysięgam..

- Podciągnij, mówię - mówi tata, napinając pasek w rękach. Podciągam powoli spódniczkę, zbieram oburącz pliski. Zaciskam zęby. Tata mówi:

- Przekręć się trochę.

Staję do niego bokiem. Opada mi dół spódniczki, bo ręce zadrżały. Tata traci cierpliwość i nie czekając, aż znów podciągnę, wali mnie paskiem po łydkach. Ciach, płasnęło.

- Podciągnij spódnicę! - krzyczy tata.

- Ciszej - mówi mamusia - bo Zenusia obudzisz.

- Powtarzam. Podciągnij spódnicę i wystaw dupę, bo pachem po mordzie przejadę - mówi tata trochę ciszej.

Pochylam się. Nogi zaczynają mi drżeć i tak mi w nich gorąco, jakby je kto żelazkiem przypiekał. Tata bierze zamach, potrąca zlewozmywak, z którego spada szklanka. Szklanka brzęk, tata łup! Odskakuję w ostatniej chwili i łapię za pasek ręką.

Szarpnęłam go i wyrwałam.

Tata wysuwa dolną szczękę. Idzie do mnie, wściekły. A mnie nagle całe gorąco z nóg przenosi się do głowy. Zaczynam krzyczeć.

- Zamknij mordę, cholero! - mówi tatuś. Podskakuje i mnie łup ręką po głowie. Odpycham go z całej siły. Potyka się, przewraca do tyłu, na podłogę upada. Wstaje zaraz i do mnie.

- Jeśli mnie dotkniesz - wrzeszczę - puszcę w nocy gaz i wszystkich otruję! Przysięgam na rany Chrystusa, puszcę gaz a potem podpalę! Cały dom wysadzę w powietrze!

Tata przestraszony, spogląda na mamusię. Patrzą teraz obydwójce na mnie.

- Zdużniała - mówi tata. Czuję, jak cała moja twarz wykrzywia się w grymasie.

- Spróbujcie tylko - mówię przez zęby. - Puszcę gaz, przysięgam. Tata kręci głową.

- No nie - mówi do mamusi. - Nie wytrzymam, zabiję kurwę.

- Weź siekierę i zabij - mówię. - Będziecie mieli jutro mięso na obiad! Lepsze, niż królicze!

Tata do mnie. Mamusia łapie go za gumkę od kalesonów.

- Zostaw ją - mówi - ona zdużniała.

- Już ja jej wbiję rozum z powrotem do głowy. Puszczej!

Tata próbuje wyszarpnąć mamusi swoje kalesony, ale mamusia mocno trzyma, nie puszcza.

- Zostaw Jasiu - mówi. - Nie tykaj gówna, bo się uwalasz. Ty lepiej na nią popatrz. To przecież nie jest nasza córka.

Tata patrzy na mnie uważnie. A mamusia:

- Patrz, to jakaś obca dziewczucha, jakaś artystka z Wariatkowa. Nasza Marysia nie miała takich długich włosów. I nos miała inny, bardziej przyklapany. I niższa była.

- Racja - mówi tata. - To co ona robi w naszej kuchni?

- Skąd mam wiedzieć? - mówi mamusia. - Przyszła... Chodź lepiej spać. Tylko weź i gaz dobrze zakręć w rurze.

Wstaje, ciągnie tatę za kalesony.

- Zostaw - denerwuje się tata. - Sam pójde.

Wychodzą. Słyszę, jak tata pyta, gdzie klucz uniwersalny. Potem słyszę szuranie stołka w przedpokoju i stuk klucza w rurę. Odwracam się twarzą do okna, do mojego nocnego lustra. Nie ma w nim mojego odbicia.

Ktoś tam stoi za oknem. Zbliżam twarz do szyby, tamta dziewczyna też to robi, też chce mi się przyjrzeć. Kto to jest?

Kasiu, to ty?

Nic nie mówi, wpatruje się we mnie wielkimi oczami. Nie, to przecież nie Kasia. Trochę do Kasi podobna, ale całkiem inna.

O, chyba mówi coś do mnie, bo rusza ustami. Tak, przysuwa twarz do szyby i mówi, patrząc mi prosto w oczy. Nic nie słyszę, bo oddziela nas szyba...

Otwieram okno. Zniknęła, nie ma jej.

Wychylam się. Jest tam, na dole, dziewięć pięter niżej. Stoi przed blokiem, macha do mnie ręką. To Ewa...? Nie, to nie Ewa. Jakaś inna. Ewunię bym przecież poznała.

Muszę się mocno wychylić, żeby ją zobaczyć, bo weszła na trawnik. Przykuca przy ścianie domu, coś zbiera. Wstaje, spogląda na mnie, w górę. Patrzę... ma w rękach pełno kwiatów. Pokazuje mi je i podrzuca. Lecą ku mnie przez dziewięć pięter.

Jak ich dużo, jakie kolorowe, jakie piękne.

Przechyliłam się przez parapet, ręce wyciągam... a tu ktoś mnie łapsz z tyłu za frak i odciąga od okna.

- Ja ci skoczę - mówi tata. Prowadzi mnie za kołnierz do mojego pokoju. Wstawia mnie tam, drzwi zamyka. - Spać - mówi. - Noc jest po to, żeby spać!

Słyszę, jak okno w kuchni zamyka.

Coś teraz z mamusią gadają...

Co mnie to obchodzi.

Siadam na krześle, łokcie opieram na stole. Coś tu mlaska. A to Tadiusz przez sen mlaska. Pewno mu się śni, że je słonina z czekolady.

Dopiero co usiadłam, a tu już godzinka zleciała. Świeci w ciemności podświetlone okieneczko w moim zegarku. W całym domu cicho.

Nagle patrzę, już jasno, już siódma dochodzi. Całą noc przespałam przy stole. Lekcji nie odrobiłam i już nie zdążę. Pakuję książki i zeszyty, gdy słyszę dzwonek budzika, ale daleko, w dużym pokoju. Trzeba obudzić Tadiusza.

Akurat nogę wystawił spod pierzyny. Łaskoczę go palcem. Schował.

- Tadiusz, wstawaj.

Coś zagadał, na drugi bok się przekręcił.

- Tadiusz...

- Tak tak, zaraz wstaję - mówi i znów zasypia. Idę do łazienki.

Myję się szybko, tylko buzia i ręce. Wchodzę do kuchni. Mamusia gotuje mleczko dla Zenusia.

- Dzień dobry, mamusiu - mówię. Mamusia nic, jakby mnie tu nie było. I dopiero sobie wszystko przypominam, co wczoraj narobiłam. Tatusia na podłogę pchnęłam, krzyczałam na niego. Powinien mnie zabić. Gdyby nie mamusia, toby mnie zabił i by dobrze zrobił.

- Mamusiu - mówię cicho. - Bardzo przepraszam.

Mamusia nic. Trudno, trzeba iść do szkoły. Biorę teczkę, szturcham Tadiusza i wychodzę. Jest godzina siódma dziesięć.

A teraz jest już piętnaście po ósmej. Spocona, zdyszana, biegnę szkolnym korytarzem. Już dawno po dzwonku. Jak to się stało, gdzie zgubiłam tyle czasu?

Jechałam autobusem, wysiadłam za wcześnie, potem na coś się zagapiłam... Wpadam do klasy. Chcę coś powiedzieć, ale nic powiedzieć nie mogę, bo mam strasznie sucho w ustach.

Pani Trauman się uśmiecha.

- Siadaj, wszystko widać bez mówienia.

Lecę do mojej ławki, patrzę... siedzi tu Ewunia. Cudna i uśmiechnięta.

- Nie wygonisz mnie ze swojej ławki? - pyta. Ja dyszę i nic nie mogę odpowiedzieć.

- Coś ty - mówię wreszcie - bardzo się cieszę. W ogóle nie odrobiłam lekcji.

- Nie przejmuj się - mówi Ewa. - Na przerwie damy twoje zeszyty Magdzie, to ci szybko przepisze ze swoich.

- Sama przepiszę.

- Co się będziesz męczyć.

- Panienci Bogdaj i Kawczak, co się u was dzieje? - pyta pani. Ewa otwiera swój zeszyt i podsuwa w moją stronę. Wstaje.

- Klóćmy się o Mickiewicza - mówi. - Bo Majka twierdzi, że był wysoki, a ja jestem wprost pewna, że był bardzo niski.

- Wiecie co, dziewczynki - mówi pani Trauman - ja nie mam pojęcia. Może po prostu był średniego wzrostu. - Wybucha śmiechem. - Słyszeliście, jak mi się rymnęło? Gdy tylko mowa o pocie, to zaraz rymy się cisną.

- On był wysoki - mówi Zbyszek Karpień.

- Skąd wiesz? - pyta pani.

- Bo jest bardzo podobny na zdjęciu do mojego wujka. A mój wujek jest wysoki, o, taki.

Zbyszek wstaje i wyciąga rękę nad głowę.

- Ja obstawiam przy swoim - mówi Ewa. - Bo choć Mickiewicz jest mi bliski, to myślę, że był niski.

Wszyscy śmieją się z nowego rymu. Pani Trauman też. Ewa zwraca się do Zbyszka.

- A jeśli nawet był wysoki, to nie wyższy od foki.

Nowy śmiech. Ewa gestem ucisza klasę.

- Ale mówiąc poważnie, to uważam tak dlatego, bo wiadomo, że ludzie niskiego wzrostu wszędzie szukają okazji do wybicia się. W historii pełno takich przykładów.

- Napoleon! - woła Edzio Skała.

- Balzak też był mały - mówi Rita Salomon. - I gruby - dodaje.

Wstaje Szkapę i pokazuje na Zenka.

- Nasz Zenek też malutki - mówi. Klasa w śmiech. Tylko Zenek się nie śmieje. Spogląda na Szkapę ze złością i przykłada pięść do brody.

- Powinno się napisać książkę o wpływie wzrostu na osiągnięcia życiowe - mówi Ewa. - Mogłaby być bardzo ciekawa.

- Hitler też był malutki! - woła ktoś.

- Wcale nie taki malutki - prostuje Florek Gamburowicz. - Hitler był średniego wzrostu.

- To tak, jak Mickiewicz - mówi cienko Marlena Bryćko.

- Głupia jesteś - mówi do niej Ziębiński. - Mickiewicz był sto razy wyższy od Hitlera.

- Na pewno nie - mówi Florek. - Hitler wcale nie był niski.

- A ja ci mówię, że sto razy niższy od Mickiewicza - mówi Ziębiński, czerwieniąc jeszcze bardziej.

- Nie byłbym tego taki pewien - odpowiada Florek. - Kto wie, czy nie był nawet wyższy.

- No, uważaj sobie! - zaperza się Ziębiński.

- A jeśli chodzi o ścisłość - mówi Florek - to gdyby Mickiewicz miał nawet dwa metry wzrostu, to sto razy niższy Hitler miałby dwa centymetry wzrostu. To tyle.

Florek pokazuje klasie, ile to jest dwa centymetry.

- No i proszę, jakie zamieszanie - mówi Ewa. - I tylko dlatego, że w podręcznikach szkolnych obok daty urodzin i zgonu nie podaje się wzrostu. We wszystkich zachodnich magazynach, w artykułach o sławnych ludziach, podane jest wszystko. Wiek, wzrost, waga, imię żony, ilość dzieci... po prostu wszystko. A u nas?

Ewa macha ręką i siada. Spogląda na mnie.

- Czemu nie przepisujesz? - pyta.

- Już mam odrobione - mówię. - Polski był przedwczoraj.

- To po co ja się tak wygłupiam?

I dopiero teraz wszystko zrozumiałam. Tymczasem trwa coraz głośniejsza dyskusja między Ziębińskim a Gamburowiczem. Ewunia, Klaudia i ja. Siedzimy na parapecie, machamy nogami i żujemy gumę. A Magda w klasie przepisuje mi zadania domowe. Nie

chciałam jej dać swoich zeszytów, ale Ewa powiedziała, że przecież za darmo tego nie robi, więc żebym jej nie zabierała fuchy. To ja powiedziałam, że nie będę miała czym jej zapłacić, a Ewunia na to, że już dawno zapłacone i teraz Magda odrabia dług, ale jeśli tak się nad nią lituję to mogę pójść i wylizać jej z wdzięczności nogi, albo coś innego, bo ona bardzo lubi, jak się ją liże.

No to siedzę i macham nogami.

- Wiecie co - mówi Klaudia - ze mną dzieje się coś bardzo dziwnego. Nic mi się nie chce. Nie chce mi się kłaść spać, a jak się obudzę, to nie chce mi się wstawać. A teraz chce mi się potwornie siku, a nie chce mi się iść... Boże, gdyby tak się kto znalazł, zaniósł mnie i wysadził...

- Nie widzę problemu - mówi Ewa i woła: - Julek!

Podchodzi do nas duży chłopak z ósmej C.

- Co jest? - pyta.

- Podobno trenujesz kulturystykę. To prawda?

- Prawda - odpowiada Julek i zaraz się prostuje wypychając do przodu piersiową klatkę.

- To daj pomacać bicepsa - mówi Ewa. Julek odwiją rękaw koszuli, zgina rękę i napina mięśnie. Macamy wszystkie po kolei małą, twardą kulkę na jego ramieniu.

- Słyszałam od mojego brata - mówi Ewa - że kulturyści wcale nie są tacy silni jak na to wyglądają. Że te mięśnie są tylko nadmuchane.

Co? - oburza się Julek. Przyjdź z bratem, szybko się przekona.

- On trenuje karate.

- To niech przyjdzie z kolegami. Jeden kulturysta trzech karateków załatwi.

- Nie bujasz?

- Chcesz, to też z nimi przyjdź. Zobaczysz na własne oczy.

- A dałbyś radę przenieść ciężar wagi pięćdziesięciu kilogramów do końca korytarza?

Julek parska lekceważąco.

- Co to dla mnie.

Ewa spogląda na Klaudię.

- O, przecież ty ważysz pięćdziesiąt kilogramów - mówi.

- Pięćdziesiąt cztery i pół - odpowiada Klaudia.

- Tym lepiej - mówi Julek i rzuca się na Klaudię. Bierze ją na ręce i zasuwa truchtem na koniec korytarza. A korytarz w naszej szkole długi, kończy się za horyzontem. Są już daleko, już Julek nie biegnie. Idzie coraz wolniej, ale Klaudii nie puszcza.

- O tak, bardzo silni są kulturyści - mówi Ewa z zadumą w głosie. Przy drzwiach naszej klasy wybucha bijatyka. Ziębiński kontra Gamburowicz. Już po bijatyce. Florek trzyma się za twarz i jęczy żałośnie:

- Oko mi wybił... oko mi wybił!

- Niech ci Hitler odda swoje - mówi Ziębiński.

- Gruby, chodź tu! - woła Ewa. Ziębiński podchodzi do nas.

- Co chcesz?

- Masz ode mnie medal za patriotyzm - mówi Ewa. Wyciąga z kieszeni pięć centów i daje Ziębińskiemu. On ogląda monetę, chowa ją i mówi z triumfem:

- A co? Ma za swoje, hitlerjugend.

- Przynies mi jego oko, to dam ci pięć dolców - mówi Ewa.

Ja go tylko lekko stukłem - odpowiada Ziębiński, nagle przestraszony. Leci za Gamburowiczem, który w asyście Marleny udaje się do ubikacji w celu przemycia oka.

Grupa sanitarna mija się z Julkiem kulturystą, niosącym Klaudię z powrotem. Sadza ją na parapecie obok nas i, ciężko dysząc, pyta:

- No i co?

- Przekonałeś mnie - mówi Ewa. - Ty to byś zabił każdego kulturystę.

Julek spogląda na nią ostro.

- Kulturyistów nie zabijam.
- Ojej, pomyliło mi się. Chodziło mi o karatekę. Powiem mojemu bratu i jego kumplom, żeby cię omijali z daleka.
- A jak - mówi Julek i uśmiecha się nonszalancko. - A jakby ktoś do was, dziewczyny, szurał, to możecie na mnie liczyć.
- Zenek! - woła nagle Ewa. Podbiega do nas Zenek.
Co?
- Szurasz do nas? - pyta Ewa.
- Ja?... Nie.
- To masz szczęście.
- A co?
- Bo jakbyś zaszurał, to miałbyś z Julkiem do czynienia.
Zenuś zadziera głowę i spogląda z dołu na Julka. Julek patrzy na niego, potem na nas i chyba coś mu zaczyna świtać w łepetynie, że Ewa się z niego nabija.
- Eee - mówi, macha ręką i odchodzi. A my od tłumionego śmiechu rozlatujemy się na małe kawałeczki.
Z początku jechały za nami Simsonem Klaudia i Magda, ale już dawno je zgubiłyśmy, klucząc uliczkami Szczawna Zdroju. Mam na głowie wielki, czarny, błyszczący kask, a Ewa ma taki sam i bez przerwy się stukamy.
Ja ją stuk, to ona odchyła głowę i mnie stuk.
Stuk stuk. Stuk stuk.
Te kaski to stąd, że Ewunia doszła do wniosku, że ma już dosyć ciągłego umizgiwania się do mundurowych i farbowania na zielono ich kieszeni.
Wreszcie się dowiedziałam, dlaczego wczoraj tamten milicjant mówił do niej "pani Zdzisława". Bo Ewa ma prawo jazdy swojej starszej siostry, która jest od roku w Londynie. Są do siebie na zdjęciach bardzo podobne i dzięki temu Ewa, choć ma dopiero piętnaście lat, może sobie jeździć ciężkim motocyklem i samochodem.
Siedziałyśmy w jednej ławce przez wszystkie lekcje. Na przerwach dołączały do nas Klaudia i Magda i wygłupiałyśmy się we cztery. Nigdy w życiu tak się nie uśmiełam, jak dzisiaj. Nawet wtedy, jak byłam z Kasią. Ewa ciągle wpada na jakiś nowy pomysł, jakby tu kogoś zrobić w balona. Ale nie robi tego ze złośliwości, czy co, tylko tak dla żartu, żeby się pośmiać.
Stuk, znowu mnie stuknęła.
To ja ją też stuk. Patrzę przez szybkę, a tu już dojeżdżamy do białego muru, otaczającego willę Ewy. Brama jest otwarta, wjeżdżamy do środka. Przed garażem stoi samochód, z którego właśnie wysiada tatuś Ewy.
Zsiadamy z Yamahy i ściągamy kaski.
- Cześć, Tutu! - woła Ewa, a ja mówię: - Dzień dobry.
- Cześć ślicznotki - odpowiada tatuś Ewy. Wchodzimy razem do domu.
- Co słyhać w interesach? - pyta Ewa.
- Okej - odpowiada tatuś. W hallu się rozchodzimy. Tatuś idzie po schodkach do góry, a my do pokoju. Ewa rzuca swoją torbę w kąt, a po chwili i moja teczka tam ląduje. Rozwalamy się na dmuchanych, przezroczystych fotelach po obu stronach stolika ze szklanym blatem.
Nagle Ewa pstryka palcami.
Zrywa się z fotela, jest już przy szafie. Wyciąga z niej sukienkę z turkusowego dzinsu z błyszczącymi sprzączkami. Rzuca mi ją.
- Przymierz - mówi.
- Nie, po co.
- Szybko.
- Nie chcę.
- Bo skoczę przez okno, jak nie przymierzysz - grozi i robi krok w stronę okna. Śmieję się, bo przecież okno wychodzi na taras.
Ewa podchodzi do mnie i ściąga mi na siłę moją elastyczną bluzeczkę.
- Ja sama - mówię. Zdejmuję spódniczkę i biorę sukienkę. Wchodzę w

nią nogami, bo przez ręce nie chciała przejść. Podciągam ją do góry. Ewa zapina mi na plecach zamek błyskawiczny.

- W sam raz - mówi Ewa. - Zobacz się.

Prowadzi mnie do wielkiego lustra.

Jejku, jak ładnie wyglądam. Sukienka jest obcisła i wąska na dole, z rozcięciem z przodu. I ma bardzo fajny dekol. Wkładam ręce do kieszeni.

- Dobrze się w niej czujesz? - pyta Ewa.

- Yhm.

- To jest twoja.

- Nie, coś ty...

- To świetna sukienka, kosztowała trzydzieści dziewięć dolarów i sześćdziesiąt centów.

- Ja ci nie mogę zapłacić - mówię i zerkam po raz ostatni w lustro.

- Daję ci za darmo.

- Nie, nie mogę.

- Nie bądź głupia. Głupi daje, mądry bierze. Jest twoja i cześć.

- A co powie twoja mama?

- Czemu ma coś mówić? - dziwi się Ewa. - Ona nie zna moich sukienek, interesuje się tylko swoimi.

- Jakoś mi nie wypada - mówię cicho. - Taka droga sukienka...

- Pamiętaj na przyszłość o jednym - mówi Ewa. - Nigdy nie żałuj bogatych, bo oni na pewno cię nie pożałują. Popatrz, jak ślicznie w niej wyglądasz. Pasuje do twoich włosów i do twojej karnacji. A dla mnie i tak za ciasna, zobacz, jak mi cycuszki urosły.

- To bardzo ci dziękuję - mówię i chciałabym się do niej uśmiechnąć, ale nie mogę, bo jakoś mi głupio.

- Mam bardzo dużo super fajnych ciuchów w których już nie chodzę - mówi Ewa. - Ale jak mam cię prosić na kolanach...

- Nie wygłupiaj się - mówię. - Nie jestem żebraczką.

- Jesteś moją przyjaciółką - mówi Ewa - i tak się akurat złożyło, że ty masz mało, a ja dużo. Ani to twoja wina, ani moja zasługa. To co, poprzymierzasz jeszcze?

- Nie - mówię - nie chcę.

- Bo już nie mam siły patrzeć, jak ty się męczysz w tych swoich dwóch spódnicach i dwóch bluzkach. A te twoje majtki... serce się kraje. No nie, czy twoi rodzice są normalni?

Przecież twój ojciec jest górnikiem, górnicy nieźle zarabiają.

Wzruszam ramionami.

- Wcale nie tak dużo - mówię. - Jest nas siedmioro na jedną pensję. To sobie podziel. Trzeba dobrze się nagłowić, żeby nie zdechnąć z głodu. Dobrze, że tata trochę dorabia na boku. Zresztą dla mnie i tak nie oplaca się niczego kupować, bo jeszcze ciągle rosnę...

Ewa wybucha śmiechem. Przytula się do mnie.

- Jesteś cudowna - mówi. - Po prostu cię uwielbiam. Każde twoje słowo jest słodkie. Bardzo chciałabym być taka jak ty.

- Jaka? - pytam.

- Taka słoneczna i taka silna. Mogłabym na ciebie patrzeć godzinami. Gdybym miała milion dolarów, kupiłabym cię na zawsze. Chciałabyś?

- Nie - mówię. Ewa przytula się do mnie jeszcze mocniej.

- Och - wzdycha - skąd ty się wzięłaś na tym idiotycznym świecie, z jakiej gwiazdki tu spadłaś? Wiesz, wczoraj leżałam w łóżku, słuchałam muzyki i bez przerwy myślałam o tobie. Przypominałam sobie wszystkie twoje słowa... Chodź, klapniemy sobie.

Siadamy w fotelu, we dwie w jednym. Ewa zaraz wtula się we mnie.

- Wygodnie ci? - pyta.

- Tak.

Patrzę na jej uszko. Jest śliczne, jak Ewunia cała. Dotykam ich, ciepłutkie. Ewunia zaczyna mruczeć jak nasz Mruczuś, którego zostawiliśmy w Jawiszowie. Bardzo za nim tęsknię. Zawsze do mnie

przychodził i chciał, żebym go głaskała. To głaskałam, a jak się zapomniałam, to podnosił łepkę i zaglądał mi w oczy. To znów go głaskałam, a on znówu mruczał. Mruczał tak, jak teraz Ewa, gdy głaszczę ją po włosach. Są mięciutkie i tak czarne, że aż granatowe. - Mruczuś, Mruczuś - mówię pieszczotliwie, a Ewunia: - Miauuu! - i zagląda mi w oczy, identycznie jak Mruczuś.

- Zawsze marzyłam o tym, żeby mieć prawdziwą przyjaciółkę, taką, jak ty - mówi.

- A Klaudia i Magda?

Ewa krzywi się.

- Kretynki. Klaudia to sopel lodu, a Magda jest interesowna.

Pożyczam jej pieniądze, a ona mi nigdy nie oddaje. Ja się zapominam i znów jej pożyczam. Potem muszę ściągać od niej w naturze.

- Jak?

- Lata u mnie na posługi - mówi Ewa pogardliwie. - A wiesz, ona kocha się w moim bracie.

- A on?

Ma ją gdzieś. Ona ciągle się dopytuje, czy on coś o niej mówił, to zmyślam różne idiotyzmy, żeby ją podniecić. Myśli, że się załapie do rodziny. Szkoda, że Michał to taki palant...

- Dlaczego palant?

- Bo wydałabym cię za niego. Niestety, on się kocha z wzajemnością w dyskietkach komputerowych, a ty nie jesteś dyskietką. Ty wiesz, co to za idiota? Kiedyś nie mogłam spać i wstałam o szóstej rano. Usłyszałam, że się kręci u siebie. Wchodzę, patrzę, a on siedzi przed monitorem i bawi się w start odrzutowca. I pomyśleć, ten człowiek ma już dwadzieścia lat, prawie dwadzieścia jeden. U nas w domu każdy ma jakiegoś fioła. Tutu ma swoje interesy dwadzieścia pięć godzin na dobę. Nawet, gdy się z Mimi kocha, to na pewno myśli o interesach. Z kolei Mimi nigdy nie ma czasu, ciągle w biegu, ciągle spóźniona o pół minuty. Język na brzuchu, w oczach zegarek. Ma chyba ze trzydzieści zegarków. A ich kupowanie, to jej hobby. Naumawia się z ludźmi, potem lata od jednego do drugiego, a po drodze fryzjer, kosmetyczka, masaż i solarium. Przylatuje zziąjana wieczorem i od razu do telefonu umawiać na jutro tysiąc dwieście trzydzieści siedem spotkań. Michał, to już wiesz, komputerowa masturbacja. A gdybyś jeszcze do tego poznała Zdzisię... to już paw totalny. Dopiero drugi rok siedzi w Londynie, a jak do nas dzwoni, rozmawia po angielsku, bo po polsku to już nie umie.

Ewa śmieje się. Przykłada do ucha rękę i szczebiocze do niej, jak do słuchawki: - Helou If! Hałdjudu maj diiii...!

- A ty? - pytam.

- Co ja?

- No... jaka ty jesteś?

- Ja? Nie wiem. Chyba jestem tą małpką, co miała rodzinę z drutu.

- Dlaczego z drutu?

- Kiedyś czytałam taki artykuł o małpce, którą zaraz po urodzeniu odłączyli od mamusi i zamknęli w izolowanej klatce z dwiema matkami sztucznymi. Jedna była wyściełana pluszem, druga była z drutu. Ta z drutu miała cycki z mlekiem. Mała małpka cały dzień przytulała się do tej pluszowej, tylko possać mleka chodziła do drucianej.

- Biedna małpka - mówię.

- To ja jestem biedna małpka - piszczy Ewunia żałośnie i przytula buzię do mojej piersi. Obejmuję ją i głaszczę po główce. Bierze do ust materiał mojej nowej sukienki i mlaska, udając, że cysia.

- Przecież nie jestem z drutu - mówię.

- Jesteś z aksamitu - mówi Ewunia. - Ale masz i cycuszki i mleczko.

I tak siedziałyśmy przytulone do obiadu. Znów podawała nam panna Zenobia, ale to chyba nie jest ta panna Zenobia od Kaśki, bo mnie

nie poznaje. A może to są siostry bliźniaczki i jedna gotuje u Kaśki a druga u Ewuni?

Po obiedzie poszliśmy na spacer.

I właśnie spacerujemy. Szczawno jest cudowne. Każdy dom jest inny, i każdy jak z bajki o dawnych czasach. Gdy przechodzi jakiś chłopak albo pan, obojętne czy stary, czy młody, to Ewa strzela na niego oczami, a on zaraz się za nią ogląda. Ewa nazywa to polowaniem. Bo ona kolekcjonuje facetów, którzy tak się na nią zagapia, że aż się przewrócą. Od początku roku nazbierała takich pięciu. Chodzimy już od pół godziny i jeszcze żaden się nie przewrócił. Jeden tylko wpadł na panią z wózkiem i ją strasznie przeproszał, a ona krzyczała. To wcale nie jest takie łatwe, żeby się któryś przewrócił, bo kaleki Ewunia oszczędza. Niekiedy poluje cały miesiąc, poluje drugi, i nic, a znów któregoś dnia upolowała aż dwóch, z tym, że ten drugi przewrócił się niezupełnie, bo się podparł.

Najlepiej jest strzelać do faceta w momencie, gdy zbliża się do krawężnika lub innej przeszkody. Fajno jest też strzelać do takich, którzy idą z żoną, bo gdy się za Ewunią obejrzą, to żony urządzają im piekielne awantury. Nawet, jeśli nie od razu, to później, w domu. Ale czasem polowanie głupio się kończy, bo zdarzają się faceci, którzy nie chcą się od niej odczepić. A jak który jest pod gazem, to koniec. Trzeba zwiewać, albo szukać milicjanta.

Raz wskoczyła do taksówki, a facet za nią. To napaściła na niego taksówkarza, bo nie chciał wyleźć. Taksówkarz wyciągnął go i stuknął, on oddał i zaczęli się tłuc, a wtedy ona uciekła.

- Ja bym się bała - mówię.

- Na tym polega polowanie - mówi Ewunia - że jest niebezpieczne.

Jeśli strzelisz do tygrysa i nie trafisz, to po tobie. Ale jeszcze nie spotkałam prawdziwego tygrysa.

- A gdybyś spotkała?

- Dałabym mu się zjeść - śmieje się Ewunia. Przystaje i mówi: - Mam inny pomysł, zabawmy się w rozkazy.

- Jak to jest? - pytam.

- Przysięgamy sobie posłuszeństwo i ty wypełniasz moje rozkazy, a ja twoje. Chcesz?

- Yhm...

- Ale to niezupełnie jest zabawa.

- To znaczy, że co?

- Bo przysięga obowiązuje na całe życie.

- Niech sobie obowiązuje - mówię.

- A jak rozkażę ci coś strasznego?

- Co na przykład?

- No... mogę ci kazać rzucić się pod pociąg.

- To wezmę i się rzucę - mówię. Ewa poważnieje.

- Mówisz serio?

Kiwam głową.

- Naprawdę rzucisz się pod pociąg?

- Jeśli ty będziesz chciała, żeby nie żyła, to trudno.

- Nie wierzę ci - mówi Ewa.

- To każ mi się teraz rzucić pod pociąg. Czy jak się rzucę, to uwierzysz?

Ewa patrzy na mnie długo, gryząc wargę.

- Wierzę ci - mówi w końcu. - I pamiętaj, ty też możesz mi rozkazać, co tylko zechcesz.

- A jeśli każę ci rzucić się pod pociąg? - pytam. Ewa nie odpowiada od razu. Patrzy na mnie dziwnym wzrokiem, oddychając szybko.

- Tak - mówi. - Przysięgam na wszystko, że wypełnię każdy twój rozkaz. Teraz ty.

- Przysięgam na wszystko - mówię - że wypełnię każdy twój rozkaz.

- To mogą być jakieś straszne rzeczy - mówi Ewunia.

- Trudno - mówię. - Jak przysięga, to przysięga.
Patrzemy sobie w oczy. Ewa drży leciutko i to jej drżenie i mnie się udziela. Boję się razem z nią, a jednocześnie jakoś mi słodko i cudnie, jak nigdy dotąd. Ewa bierze mnie za rękę.
- Pożałujesz kiedyś tej przysięgi - mówi.
- Ty też pożałujesz! - mówię z nagłą złością. - Jeśli któraś nie dotrzyma, to koniec z przyjaźnią.
- Ja dotrzymam - mówi Ewa.
- Ja też dotrzymam.
Patrzemy na siebie drżące, przerażone i szczęśliwe. I jakoś bliskie sobie, jak nigdy. Och, co to z nami teraz będzie?
- Od rozkazu nie ma odwołania - mówi Ewa. - Nawet ta, która go wyda, nie może go odwołać, jeśli już wypowie słowo "rozkaz"
- Ale raz rozkazuje jedna, a raz druga - mówię.
- To która pierwsza?
- Możesz ty.
- No no, nie bądź taka łaskawa - oburza się Ewunia i zwraca się do jakiegoś przechodzącego obok nas pana: - Ma pan zapalki?
Pan zatrzymuje się, szuka po kieszeniach. Wyciąga pudełko i podaje Ewuni.
- Służę pani uprzejmie.
Ewunia wyciąga dwie zapalki, oddaje panu resztę.
- Dziękuję.
Pan odchodzi, oglądając się kilka razy. Ewa wyciąga do mnie rękę.
- Z główką rozkazuje pierwsza - mówi. Wyciągam zapalkę. Jest z główką. Ewa aż wzdycha. Uśmiecham się.
- Co... boisz się?
- Nie, ale pamiętaj, że się zemszczę - mówi Ewunia.
- Wiem o tym - mówię. - A teraz masz na jednej nodze doskakać do końca tej ulicy, a potem z powrotem do mnie.
Ewa krzywi się.
- Nie, to głupie - mówi. A ja:
- To rozkaz!
Ewa podkula pod siebie jedną nogę i skacząc, oddala się ode mnie. Jest już w połowie drogi do rogu. Oglądają się za nią ludzie. Patrzę, czy nie oszukuje.
Zawróciła na końcu, już skacze z powrotem. Przyczepił się do niej jakiś chłopak, skacze obok niej, też na jednej nodze. Ewa na dwóch nogach stoi już przy mnie. A chłopak mówi do niej:
- Jak chcesz, mogę zawsze z tobą skakać.
- Odczep się człowieku - mówi Ewa - bo ci żyłki popękają.
Bierze mnie za rękę i odciąga. Jest wściekła i zdyszana.
- Nie gniewaj się - mówię.
- Coś ty. Jak rozkaz, to rozkaz.
Patrzemy, tamten chłopak już sobie poszedł.
- Teraz moja kolej - mówi Ewa. Rozgląda się, pokazuje palcem. - Widzisz tego grubego, łysego?
- Widzę - odpowiadam, patrząc na starego grubasa, który stoi po drugiej stronie jezdni, przed sklepem. W ręce trzyma kwiaty.
- Podejdiesz do niego - mówi Ewa wolno pocałujesz go w rękę, naplujesz mu na łysinę i zabierzesz mu kwiaty.
- Nie... - mówię przerażona. - On mnie złapie i na milicję zaprowadzi. Proszę, wymyśl coś innego!
Ewa uśmiecha się ironicznie i mówi krótko:
- Rozkaz.
Wzdycham z rozpaczą i wchodzę na jezdnię. Idę jak na ścięcie. Żeby mnie teraz jakiś samochód przejechał, miałabym to z głowy, ale, jak na złość, żaden samochód nie jedzie.
I jak ja mam to zrobić?
Pocałować w rękę to głupstwo, to tylko wstyd. Ale jak tu mu napluć na łysinę i do tego jeszcze kwiaty ukraść...? Nie dam rady.
Oglądam się. Ewa stoi pod drzewem i patrzy.
Jednak jest strasznie podła. Ja to tylko rozkazałam jej skakać na

jednej nodze... za co się tak zemściła? I po co ja przysięgałam?
Muszę to zrobić. Gdybym Ewie kazała zrobić to, co ona mi kazała,
na pewno by to zrobiła. To tylko ja jestem taką tchórzliwą hieną,
Och, jeśli mi się uda, ale się na niej zemszczę...

Pan jest strasznie gruby i łysy, w eleganckim garniturze... na
pewno jakiś dyrektor. A może go poprosić o te kwiaty? Nie da,
chyba czeka na jakąś panią, no bo po co mu te kwiaty.

Raz kozie śmierć.

Robię łuk i zachodzę go z tyłu. Jeszcze mnie nie zauważył.

Rozglądam się, czy nikt inny nie patrzy, i nagle pluę z całej
siły do góry, ale trochę wskos. Moja ślina chlup dyrektorowi na
łysinę.

Łapię się za głowę, odwraca się do mnie, a ja wycieram sobie
policzek chusteczką i patrząc do góry, mówię:

- Widziałam go. To chłopak z drugiego piętra. Na pana też napluł?

Pan spogląda do góry, cofa się na skraj chodnika.

- E, ty tam! - krzyczy. - Zaraz przyjdę z milicjantem! Gówniarzu
jeden!

Ewa po drugiej stronie ulicy skręca się ze śmiechu, a mnie zostały
jeszcze kwiaty i pocałunek. Podchodzę do pana i wycieram
chusteczką kłapę jego garnituru.

- O, jeszcze tu pan miał - mówię słodziutko.

- Dziękuję - mówi pan z uśmiechem. Jest bardzo sympatyczny, chyba
nie dyrektor. Spoglądam na jego kwiaty.

Łapię się za serce.

- O Jezu, jakie cudowne ma pan kwiaty! - mówię z zachwytem. Pan
patrzy na swoje trzy goździki z uwiędłym kawałkiem mirtu,
zaduszone na śmierć papierową wstążką.

- Mówisz, że ładne? - pyta z powątpiewaniem.

- Śliczne. I przepięknie ułożone.

Pan przygląda się kwiatom uważnie.

- Ja się nie znam.

- Cudne! Bardzo bym chciała dostać takie kwiaty. Życie bym za nie
oddała..

Ale on wcale nie ma zamiaru mi ich wręczyć. Co za cham! To ja mu
własną chusteczką wytarłam kłapę ze śliny, a on nic. Wzdycham
bolesnie.

- Co tak jęczysz? - pyta pan.

Bo gdybym miała takie cudne kwiaty, to bym je zaniósła mojej
siostrzyczce do szpitala - mówię żałośnie, próbując przywołać do
oczu choć kilka łez. Ona jest cała poparzona, nie wiadomo, czy
wyżyje.

Przykładam chusteczkę do oczu.

- Czym się poparzyła?

- Wrzątkiem - mówię. - A do tego zapaliła się od gazu.

Mój znajomy też się poparzył - mówi pan. W samochodzie. Benzyna
się zapaliła, cudem go uratowali. Teraz to trzeba uważać na każdym
kroku. Jak cię nie oplują, to podpalą. A jak nie podpalą, to
okradną.

- Proszę pana - mówię błagalnie - niech mi pan da te kwiaty.

Zaniosę je do szpitala mojej biednej Kasi. Niech się nacieszy
przed śmiercią zapachem.

- A czemu moje? - dziwi się pan.

- Bo są takie śliczne.

- Widziałem w kiosku ładniejsze. Idź i kup sobie. Powiem ci,
gdzie.

- Ale ja nie ma pieniędzy.

- No dobra, dam ci stówę.- mówi pan z niesmakiem i sięga po
portfel.

- Ja nie chcę pieniędzy, chcę te kwiaty! Właśnie te! Coś mi mówi,
że jak Kasia je dostanie, to wyzdrowieje. Czy nie ma pan litości
nad biedną, poparzoną dziewczynką?!

- Daj mi spokój - mówi pan. - Ja tu czekam na jedną panią, żeby

się oświadczyć. Może mi powiesz, jak tu się oświadczyć bez kwiatów! Chcesz, dam ci dwie stówy.

- Błagam pana, proszę mi dać te kwiaty!

- Dam trzy stówy i uciekaj.

- Proszę... będę pana błogosławić do końca życia. Ja muszę mieć te kwiaty.

- To zrobmy inaczej - proponuje pan. - Dam ci pieniądze, skoczysz do kiosku, przyniesiesz nowe kwiaty, a wtedy dostaniesz te.

- Nie, nie mogę - jęczę - muszę mieć je natychmiast...!

- Nie, to nie - mówi pan. - Odejdź mała ode mnie, bo cię kopnę!

Pan odchodzi kilka kroków. Idę za nim. Zaraz mu te kwiaty wyrwę, ale najpierw muszę go w rękę pocałować.

- Jeśli mi pan natychmiast nie da tych kwiatów - mówię - to poczekam na pańską narzeczoną i powiem jej, że pan mi zrobił dziecko.

Pan czerwienieje.

- Won mi stąd, gówniario, bo nie wiem, co zrobię!

- Powiem jej, że jestem z panem w ciąży!

Powiedziałam to bardzo głośno. Jakiś pan się obejrzał, jakies wychodzące ze sklepu panie popatrzyły na nas. Gruby śmieje się nerwowo.

- Akurat ci uwierzy.

- Zaraz się pan przekona - mówię Gruby daje mi kwiaty i mówi:

- Masz i splywaj!

Biorę kwiaty.

- No, no, proszę grzeczniej - mówię. Nagle łapię go za rękę i ją całuję. On ją wyszarpuje. Patrzy na mnie ze strachem. Dygam ślicznie.

- Bardzo dziękuję.

Idę z kwiatami na drugą stronę jezdni. Podchodzę do Ewuni, wręczam jej bukiet.

- To dla ciebie, moja droga.

- Och, jakie cudne kwiaty! - zachwyca się Ewa i buch je do pyska pingwina śmieciucha. Oglądam się na grubasa. Patrzy, wszystko widział.

Łapię Ewę za rękę i w nogi. Wychylamy się zza rogu, a grubas wyciąga z pingwina swoje kwiaty. My w śmiech.

- Zmieniłaś kolejność - mówi Ewa- ale wyszło jeszcze lepiej. To świetnie. Plujesz komuś na łysinę, a on ci daje za to kwiaty. Tak właśnie trzeba postępować z facetami. Myślałam, że stchórzysz. Jesteś cudna.

- Zaraz się przekonasz, jaka jestem cudna - mówię. - Teraz moja kolej na rozkazy.

- Nie, na dzisiaj wystarczy - mówi Ewa.

- Nie masz tu nic do gadania - mówię i ciągnę ją za sobą.

Rozglądam się i myślę, jaki by tu jej rozkaz wydać. Ewa opiera się.

- Już nie chcę!

Co by tu jej rozkazać, żeby na długo zapamiętała, tak, jak ja zapamiętam tego łysego idiotę z kwiatami...

Rozkażę jej, żeby kogoś kopnęła, to co to dla niej.

Rozkażę, żeby coś ukradła, to co to dla niej.

Już wiem, już wiem laleczko, co ci zrobię.

Ciągnę ją do bramy niskiego domu. Wychodzimy na małe, brudne podwóreczko. Jest tu lepiej dla moich planów, niż myślałam.

Wszystkie kubły ze śmieciami przepełnione, śmieci walają się wszędzie. Strasznie śmierdzi i latają wielkie muchy.

Popycham Ewę do kubłów.

- Tutaj - mówię. Ewa patrzy z przerażeniem.

- Co tutaj?

- Tutaj będziesz klęczała całe pół godziny.

- Proszę cię, nie rozkazuj mi tego!

- Będziesz klęczała z rękoma w górze - mówię wolno, napawając się

jej przerażeniem i wstrętem. - I nie wolno ci będzie usiąść na piętach i ani na sekundę rąk opuścić. Masz być przez pół godziny nieruchoma, co by się nie stało.

- Majeczko - błaga mnie Ewa - nie rób tego. Dam ci, co tylko zechcesz. Dam ci dziesięć dolarów. Kupisz sobie coś w Peweksie... Błagam, odwołaj to, nie mów "rozkaz"!

- Nic z tego - mówię z uśmiechem. - Ja też cię prosiłam.

Ewa przytula się do mnie.

- Proszę... Dzisiaj nie, jutro to zrobię. Ja teraz nie mam czasu, muszę lecieć. Umówiłam się..

- Nic z tego - mówię - klękaj! To rozkaz! Pokazuję miejsce wśród największych śmieci. Ewa krzywi się, kaprysi i jęczy ze wstrętu, ale klęka. Podnoszę jej rękę do góry.

- Nie tak wysoko - prosi.

- A właśnie, że tak - mówię. Cofam się o krok.

- Pokaż mi zegarek - mówi Ewa. Pokazuję jej.

- Jest czwarta trzydzieści pięć - mówię. - Masz tu klęczeć do piątej pięć.

- Nie myślałam, że jesteś taka wstrętna - mówi Ewa, klęcząc z uniesionymi rękoma.

- Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz - mówię, wkładając rękę do kieszeni mojej nowej sukienki.

- Słońce mnie razi - mówi Ewa. - Mogę klęknąć w inną stronę?

- Za późno, kłamka zapadła.

- Pożałujesz.

- Na razie myśl o tym, żebyś wytrzymała.

- Nie bój się, wytrzymam. Za to ty nie wytrzymasz tego, co ja ci rozkażę. Zobaczysz.

Jest wściekła. Śmieję się z ironią.

- Mam jeszcze całe pół godziny.

- Faj, jak tu śmierdzi - mówi Ewa.

- Rzeczywiście, ohydnie. Więc pa, kochanie, zostawiam cię z tym słodkim zapachem samą.

Zatykam nos i odchodzę na drugi koniec podwóreczka. Siadam na murku. Patrzę stąd na Ewę. Klęczy jeszcze spokojnie. Mija pięć minut. No, zaraz zacznie się jej męka, wiem coś o tym. O, zaczyna kręcić głową...

- Muchy! - krzyczy rozpaczliwie. Nie odzywam się. Pewno, że muchy.

Specjalnie takie miejsce wybrałam, żeby latały. A ona krzyczy: -

Majka! Mogę je sobie odgonić od twarzy?

- Nie wolno!

- Na twarz mi siadają!

- Trudno! - wołam. - Możesz tylko głową ruszać!

- Przyjdź tu, odgoni je!

- Nie chce mi się!

Patrzę, jak rzuca głową na wszystkie strony.

- Świnia! - krzyczy. - Nienawidzę cię!

Śmieję się głośno, żeby słyszała.

Niech sobie pokrzyczy. Dopiero siedem minut minęło. Jeszcze dwadzieścia trzy. Siadam na murku trochę dalej, żeby mnie objęło słońeczko. Poopalam się przy okazji.

- Długo jeszcze?!

- Dwadzieścia trzy minuty!

- Na czymś klęczę! Mogę się przesunąć?!

- Nie wolno! - odkrzykuję. Ona jęczy głośno. Zeskakuję z murku i podchodzę, żeby z bliska popatrzeć na jej mękę. Staję przed nią.

Na jej spoconą, wykrzywioną z bólu buzię siadają muchy. Potrząsa głową. Odlatują, i znów siadają, jak gdyby wiedziały, że jeszcze tyle minut mogą to robić bezkarnie.

- Biedactwo - mówię - bardzo mi cię żal.

- Bolą mnie kolana - skarży się. - I kręgosłup. Już nie mogę, zaraz zemdleję...

- Uspokój się - mówię - jeszcze tylko dwadzieścia minut,

wytrzymasz.

- Nie dam rady - jęczy. - Proszę, zwolnij mnie z rozkazu.
- Nic z tego, biedna kobieto - mówię. - Przecież się umówiliśmy, że nie wolno odwoływać rozkazów.
- To chociaż odpędź te muchy. Błagam.
- Nie chce mi się wyjąć rąk z kieszeni - mówię, stojąc przed nią, i patrząc, jak się męczy.
- Ja chyba zwariuję - jęczy. W jej oczach ukazują się łzy.
- Ślicznie wyglądasz - mówię.
- Odpierdol się!

- Faj, dlaczego tak brzydko się wyrażasz?

- Świnia, kretynka, chamica! Nienawidzę cię!

Cmok, cmok, całuję ją w powietrzu. I mówię:

- Dawno nie słyszałam takich miłych komplementów. Dziękuję.
- Majeczko, kochana - jęczy żałośnie. - Zrób coś, pomóż mi.
- Jeszcze tylko piętnaście minut.
- Nie dam rady..

Szlocha. Szlocha coraz głośniejsze. Okropnie mi jej żal, ale cóż zrobić, rozkaz to rozkaz. Kucam przed nią i mówię pieszczotliwie:

- Moja malutka, moja biedna, moja nieszczęśliwa Ewunia.
- Zobaczysz - mówi - każe ci tu potem klęczeć do nocy.
- Trudno, to będę klęczeć. Ale wcale się nie boję, bo ty i tak nie wytrzymasz tych piętnastu minut, które ci pozostały.

- Właśnie, że wytrzymam!

- Lepiej mi podziękuj, że kazałam ci klęczeć tylko pół godziny - mówię. Ona pluje na mnie. Odskakuję, nie trafiła. Zbieram ślinę w ustach. Pluję jej prosto w buzię.

- Masz! - mówię. - Ząb za ząb, oko za oko, ślina za ślinę! Ewa opuszcza głowę, szlocha bezsilnie. Po jej twarzy spływa moja ślina. Drżąc na całym ciele, płacze tak rozpaczliwie, że aż mi się serce kraje. Wyjmuję chusteczkę, ocieram jej buzię z łez i mojej śliny.

Przytula twarz do mojej ręki. - Majeczko, najdroższa, zrób coś, pomóż mi. Ja już naprawdę nie mogę.

- Co mam zrobić?

- Nie wiem, nie bawmy się już w rozkazy.

- Nie możemy, - tłumaczę, głaszcząc ją po buzi. - Przysięgałyśmy, że to na całe życie. Nie pamiętasz?

Pamiętam - jęczy. - Ale chociaż potrzymaj mi trochę ręce...

- Nie wolno mi.

- Nie wytrzymam.

- To złamiesz przysięgę i będzie koniec z naszą przyjaźnią. No i już nigdy się na mnie nie zemścisz.

- Zobaczysz, zemszczę się!

Wiem, kochanie, wiem - mówię i całuję jej śliczny, spocony buziaczek. Z bramy domu wychodzi babinka z koszem ze śmieciami.

Wyrzuca je obok kubła, niedaleko od nas. Patrzy na Ewę.

- Co jej jest? - pyta zdziwiona.

- Ona pokutuje za grzechy - wyjaśniam.

- Czemu na śmietniku? Niech do kościoła idzie pokutować.

- W kościele tak nie śmierdzi - mówię. - I tylu much nie ma.

Babinka chichocze.

- Jakaś nienormalna - mówi. Z pustym kubelkiem znika w bramie. Ewa otrząsa się od much.

- One mnie zaraz zjedzą - mówi. - Odgoń je..

Podnoszę z ziemi dużą płachtę gazety. Owijam nią głowę Ewuni.

Zakręcam z tyłu, jakoś się trzyma. Mówię:

- Żebyś wiedziała, że mam litość nad zwierzętami. Podziękuj mi.

- Gównu! - mówi Ewa spod gazety.

- Oj, oj, bo ci zaraz zdejmę i odejdę - grozę.

- Nie, nie! Dziękuję bardzo.

- Jeszcze dziesięć minut - mówię. Ewunia drży i jęczy cichutko.

Nagle rozlega się bardzo głośna muzyka. To z tego otwartego okna

na pierwszym piętrze. Skrzypce i bębny. A tu, przy kublach, wśród rozwalonych śmieci, klęczy moja Ewunia z gazetą zamiast twarzy, z uniesionymi do nieba rękoma.

Odchodzę, cicho stąpając.

Już jestem na ulicy.

Chodzą ludzie. Jest zwyczajnie, nudno, normalnie. Nikt nie wie, że tam, na podwórku, męczy się dziewczynka. Nie, nie ucieknę, chociaż przed chwilą chciałam uciec. Wrócę do Ewuni, choć czeka mnie jej straszna zemsta. Tylko ją jedną mam na świecie. Co bym zrobiła, gdybym jej nie miała?... Wracam na podwórko.

Trzęsie się tu Ewunia i nawet nie wie, że mnie tak długo nie było, nie wie, że miałam odejść na zawsze. Muzyka z okna taka głośna, że słyszę jęki Ewuni dopiero wtedy, gdy podchodzę do niej całkiem blisko. Patrzę na zegarek. Już dwie po piątej, jeszcze tylko trzy minuty. Naciskam dzyndzelek, cofam czas o cztery minuty.

Zdejmuję gazetę z głowy Ewy. Cała jej buzia złana potem i łzami.

- Ile? - pyta niewyraźnie, przez zęby.

- Jeszcze siedem minut.

- Nie mogę... - jęczy. Jej ciałem wstrząsają drgawki. Kręci głową na wszystkie strony.

- Jeszcze tylko troszkę, wytrzymaj kochanie. Płacze.

- Pomóż mi...

- Jak? - pytam, czując łzy napływające mi do oczu.

- Popieść mnie - prosi. Zaczynam ją głaskać po włosach.

- Nie, nie tu... Dotknij mi cycuszków. Pogłaskaj je, proszę..

Dotykam jej cycuszków, głaszczę je. Są większe niż moje. Ewa zaciska powieki i prosi: - Mocniej.

To głaszczę je mocniej. Pod moimi palcami wykluwają się dwa twardziutkie guziczki.

- Złap je...

Łapię je i ściskam. Ewa uspokaja się, mruczy cicho.

- Lepiej? - pytam.

- Tak. - Ewa uśmiecha się przez łzy.

Bawię się jej guziczkami. W pewnej chwili podnoszę głowę i widzę w oknie tamtą babcię, co wyrzucała śmieci. Gapi się na nas. A w innym oknie jakiś chłopak podgląda nas zza firanki.

Puszczam guziczki Ewuni.

- Jeszcze, proszę... - mówi, nie otwierając oczu.

- Starczy. Już tylko dwie minuty, muszę się nacieszyć twoją męką.

Otwiera oczy.

- Jesteś wiedźma - mówi. Uśmiecham się.

- Yhm...

Patrzę na jej twarz, znów wykrzywioną z bólu. Zerkam na zegarek.

- Jeszcze minuta - mówię. Wstaję. Obok mnie telepie się Ewunia w ostatnich drgawkach...

- Już.

Ręce jej kłap, w dół. Już Ewunia leży na boku, w śmieciach, i nie rusza się jęcząc cicho. Skończyła się jej męka. Już niedługo rozpocznie się moja. Pochylam się, biorę ją pod pachy.

- Nie dotykaj... boli...

Podnoszę ją.

- Nie mogę nóg wyprostować - piszczy.

- Zaraz ci przejdzie.

Prowadzę ją powoli w stronę murku. Idzie jak kaleka, przy każdym kroku wydaje bolesne jęki. Pomagam jej usiąść.

- Moje biedactwo.

- Oooo...

Przykucam i całuję jej biedne kolanka. Na jednym zrobiła się dziura w rajstopkach.

- Nigdy ci tego nie wybaczę - mówi Ewa.

- Jak chcesz. Ale mam u ciebie moją teczkę. Muszę ją wziąć.

Ona wyciąga rękę i czochra mi włosy.

- Co to ma do rzeczy? Rozkaz to rozkaz. To, że nigdy ci tego nie

wybaczę, to jedno. A drugie to to, że cię uwielbiam, wariatko.

Wyprostowuje nogi. Zauważa dziurę.

- Holender - mówi z zalem. - Trzy dolary wyrzucone.

- To czemu nie mówiłaś, że takie drogie? Bym ci tekturę podłożyła.

- Spokojnie. Ciebie mój rozkaz będzie kosztował tysiąc razy drożej.

- Nie mam nic tak drogiego. Moje rajstopy kosztowały trzysta pięćdziesiąt złotych. Chyba, że ta sukienka od ciebie. Chcesz, to potnij ją w kawałki.

- Po co mi twoja sukienka? Wkrótce się przekonasz, jak zapłacisz za moją mękę. Tylko myśl o słodkiej zemście pozwoliła mi wytrwać do końca.

W tym momencie cichnie ta głośna muzyka z okna, to bębnienie.

Rozlega się potężny głos z radia: - Usłyszeli państwo koncert Antoniego Dworzaka!

Ewa śmieje się.

- Zapamiętam tego Dworzaka na całe życie.

- Ja też - mówię.

- Ty? - dziwi się Ewa. - To przecież nie ty klęczałaś na śmietniku podczas jego koncertu...

- Ale się wreszcie przekonałam, jaka jestem naprawdę - mówię i czuję, jak drętwieją mi leciutko wargi.

- Jesteś potworem - mówi Ewa.

- Yhm.

- Ty mnie kiedyś zabijesz.

- Yhm.

Ewa schodzi z murku. Zdejmuje buty i ściąga szybko rajstopy. Zwija je w kulkę i wyrzuca. Spogląda na mnie.

- To co - mówi - chcesz na tym śmietniku klęczeć do nocy?

Robi mi się gorąco i zaraz zimno. Ale nic nie mówię. Ewa bierze mnie za rękę i prowadzi do kublów. Pokazuje palcem to samo miejsce, w którym ona klęczała.

Klękam, podnoszę ręce.

- Co tak nisko? Wyżej!

Podnoszę je wyżej.

- A teraz... jeśli mnie ładnie poprosisz, to może nie każę ci klęczeć do nocy - mówi Ewa. - Będziesz klęczeć tylko przez godzinę.

- Proszę - mówię cicho.

- Ładniej.

- Bardzo cię proszę.

- Jeszcze ładniej.

- Ewuniu, błagam, nie każ mi klęczeć do nocy. Proszę cię, bardzo cię proszę...

Spogląda na zegarek na mojej wyciągniętej w górę ręce. I mówi:

- No dobrze. Tak ładnie mnie prosiłaś.. że doszłam do wniosku...

że... są ładniej pachnące miejsca dla spełnienia mojej zemsty.

Wstawaj, głupia, idziemy do domu.

Podrywam się z ziemi, rzucam się w jej objęcia.

- Moja słodka, moja kochana, moja śliczna!

Leżymy na tapczanie w pokoju Ewy i przeglądamy zagraniczne katalogi i żurnale z modą. Gadamy o sukienkach i o wszystkim.

Otwieram katalog na następnej stronie... Pełno tu zegarków. Na

każdym ta sama godzina, dziesięć po dziesiątej. Odruchowo

spoglądam na swój.

Na moim dziesięć po siódmej. Wzdycham.

- Co? - pyta Ewa.

- Muszę iść do domu.

- Jeszcze ci rozkazu nie wydałam.

- To jutro wydasz, bo teraz muszę iść. Naprawdę.

- A może byś została u mnie na noc - mówi Ewa. - Przecież jutro jest niedziela, będziemy spały do południa. A później wezmę od Tutu samochód i pojeździmy sobie.

- Nie mogę - mówię, wstając z tapczanu.

- Rozkazuję ci, żebyś została.

- Nie nie nie - mówię szybko. - Oni mnie zabiją, jak nie wrócę.

- Kto?

- Tatus i mamusia. Żebyś wiedziała, co to było wczoraj, jak wróciłam od ciebie. Tata chciał mnie zbić pasem, ja go popchnęłam a on się przewrócił i uderzył głową w gazową kuchenkę. To cud, że mi podarował. Ale teraz dostałabym potrójnie. Muszę już iść. Uwierz mi, muszę!

- Nigdzie nie pójdziesz.

- To zobaczysz mnie w szkole w poniedziałek, jaka będę cała popuchnięta.

- Bujasz.

- Przysięgam ci, że nie bujam. Tata nie żartuje.

- To jakiś psychopata - mówi Ewa.

- Nie. Jest bardzo dobry, jak się nie zdenerwuje, albo nie popije.

- Ale mi dobry - mówi Ewa ironicznie. Odwracam się do niej plecami.

- Rozsuń mi zamek - mówię.

- Po co?

- Bo jak pójde w tej sukience do domu, to mamusia będzie pytała, skąd ją mam.

- To powiesz, że dostałaś ode mnie.

- Nie, bo będzie na mnie krzyżeć, że dziaduję. Rozsuń.

- Sama sobie rozsuń...

- Chyba się zaciął - mówię z ręką na plecach. Szarpię dzyndzelek mocniej, nic z tego, zaciął się.

- Proszę...

- Zresztą i tak nigdzie nie pójdziesz - mówi Ewa. A ja:

- Zrozum, muszę. Ile ja się musiałam nagadać, żeby mnie raz mamusia puściła na noc do Kasi. A po tym, co było wczoraj, to już nigdy mi nie uwierzy. Widziała nas z balkonu i myślała, że jesteś chłopakiem.

- To ty spałaś u Kasi? - Ewa robi się zła.

- Bo była chora, a jej mama miała akurat dyżur na pogotowiu.

- A skąd wiesz, czy ja nie jestem chora? To u niej mogłaś zostać, a u mnie nie możesz? O nie, nie podaruję ci tego! Masz u mnie zostać do poniedziałku. To rozkaz. Słyszałaś? Rozkaz.

Nagle puszczam dzyndzelek od zamka i siadam na tapczanie, bo zaczynam się dusić. Nie mogę złapać ani odrobiny powietrza, coś mnie ściska w gardle. Co to się ze mną dzieje? Wiję się jak rozdeptana dżdżownica, trzępię rękoma i nogami. Duszę się! Umieram..

To coś puszcza, już mogę oddychać. Łapię powietrze wielkimi haustami. Pochyla się nade mną Ewa.

- Co ci jest? - pyta przerażona.

- Już nic - mówię.

- Czy to może epilepsja?

- Nie. Tylko że coś mnie zatkało. To chyba ze strachu.

- Żebyś mi tylko nie umarła.

- Nie bój się - mówię. - Zła siekiera nie utonie.

- To przez ten rozkaz?

- Nie wiem. Ale już nie mam domu. Oni mnie już nigdy tam nie wpuszczą.

- I bardzo dobrze - mówi Ewa. - Po co ci taki dom. Będziesz mieszkała u nas i już nigdy się nie rozstaniemy. Bardzo się wszystkim u mnie spodobałaś. I Mimi, i Tutu... a Michał powiedział, że jesteś niezemska.

Ewa kładzie się obok, przytula mnie do siebie.

- Zobaczysz - szepcze - będzie nam razem cudownie. Czemu płaczesz? Nie płacz...

Wcale nie chcę płakać, ale płaczę.

- Majeczka, nie płacz - prosi Ewa. A to przecież nie ja płaczę, to

ta głupia Marysia we mnie płacze. Płacze na pewno z żalu za mamusią, za Zenusiem, za Tadzkiem i za dziewczynkami. I za tatusiem, choć go nigdy nie ma w domu, a jak jest, to śpi.

- Przepraszam - mówię. Nie mogę przestać płakać, choć bardzo chcę przestać. Przestań się mazać, mówię do Marysi. Idź, becz u siebie, zostaw mnie w spokoju, ja chcę się śmiać razem z moją Ewunią.

- Tak bardzo się boisz? - pyta Ewa.

Nic nie mówię, przyciskam twarz do poduszki. Ewa wstaje z tapczanu i mówi:

- To popłacz sobie. Ja zaraz wrócę, gdzieś za pół godziny. Mam coś do załatwienia na mieście. A żebyś mi nie uciekła, zabieram ci buty.

- Gdzie idziesz? - pytam. Podnoszę głowę, ale jej już nie ma, zobaczyłam tylko zamykające się drzwi. Poszła sobie moja siostrzyczka z drutu, a ta druga, pluszowa, ciągle beczy. Co tu robić?

Ocieram łzy. Leży na tapczanie katalog, w nim śliczne, kolorowe dziewczyny i wszystkie uśmiechają się do mnie.

Chodź do nas, mówią, uśmiechnij się, popatrz. Może chcesz tę sukienkę? Kosztuje tylko 48 dolarów.

A ta jest tańsza, ale też śliczna. Tylko 42.

A może wolisz ten kostiumik? 66 dolarów.

Albo ten za 120.

A ten pulowerek z cekinami... czyż nie cudny? Tylko 100.

Te różowe dzinsy opchnę ci za 25 \$.

Ta spódniczka za 40 \$, ale zobacz jaka fajna, jak fajnie się w niej chodzi. Weź do niej bluzeczkę za 19 \$.

Pantofelki 34,20 \$.

Torebka 28 \$.

A ta 31,30 \$.

Majteczki, siedem sztuk na cały tydzień, tylko za 9,50.

Przymierz ten kostium kąpielowy. Czysta Lycra!

Dwuczęściowy 24,90 \$.

Jednoczęściowy 22.

Zresztą, co tam. Kup wszystko, niech wszystko będzie twoje.

Już wszystko moje. W tej sukience pójdę w poniedziałek do szkoły, tę założę jutro do kościoła, a tę na wieczór, jeśli będzie chłodno. W tym będę się opalała, w tym pojadę na narty. W te sukieneczki ubiorę moje przyszłe córeczki.

A to kurteczka dla mego syneczka.

To są moje garnki, a to moje talerze. O, mój salon, moje telewizory. Ten dywan położę w sypialni, a ten dam w prezencie mamusi. Tym samochodem pojadę do ślubu. Ten chłopak zostanie mym mężem. Nie, ten ładniejszy. Nie, ten nie, co to za mąż w samych majtkach. O, tego biorę. Będzie ciągle chodził opalony.

Majkel ma na imię. Majka i Majkel.

To my na wakacjach. A tu też my na przyjęciu w perskiej ambasadzie. O, ten zegarek jest dla mnie w sam raz. A ten dam Majkelowi. Nie, ten mu dam, za 210 \$.

- Wyciągnij rękę i zamknij oczy - mówię do Majkela. Zamyka rękę i wyciąga oczy... - Odwrotnie, głuptasie!

Zapinam mu zegarek.

Patrzy, uśmiecha się zadowolony. - Super tajm - mówi. - Sękj wery macz ajlafju!

Całuje mnie przy komplecie naszych ogrodowych fotelików i rozsuwanym stoliku. Wszystko razem tylko 400 \$. Plus parasol, za 30 \$.

- Może usiądziemy, co będziemy stali - mówię. Siadamy. Jak ja dobrze gadam po angielsku, Majkel wszystko rozumie, co mówię.

- A gdzie dzieci? - pytam nagle. Majkel ręką, na której nowy zegarek mu błyszczący, pokazuje na basen. Są dzieci, pluskają się w wodzie błękitnej.

- Która to godzina?

Majkel zegarek mi swój pokazuje. O, już dziesiąta dziesiąć. Przez ogród pokojówka idzie, tacę z napojami niesie. Na stoliku stawia. Na zegarek jej spoglądam. Dobrze chodzi, też dziesiąta dziesiąć. Już goście się schodzą. Wszyscy pięknie opaleni, identycznie jak my, tylko trochę słabiej. - Hellou! - wołają i się rozsiadają. Patrzę... u nich zegarki też dobrze chodzą, na każdym dziesiąta dziesiąć.

Jeden tylko gość nie podchodzi. Stoi pod palmą, jakiś blady, wystraszony, w szarym swetrze i zegarka nie ma. I do tego okularnik. Oj, to chyba jakiś Polak.

Biorę dwie szklanki koktailu "Pomarańczowy Szantaż" i podchodzę do niego. Idę, lód w szklankach brzęczy, stukają po marmurowych płytach moje obcasy.

Dosyć młody, ale jakiś taki łysawy.

- Hałdjudu - mówię. Kurcze, co to "hałdjudu" może znaczyć? Gość bierze mnie pod ramię, w krzaki ciągnie.

- Marysiu - mówi cicho - chcę ci pomóc.

Daję mu szklankę z koktailem i zegarek.

- Witam rodaka, co tam słycać w kraju?

On koktail wypija jednym łykiem, jakby to była jakaś czysta wódka, zegarek chowa do kieszeni i mówi szybko, nerwowo, ciągle się na Majkela i gości oglądając.

- Uciekaj, Marysiu, mam rower.

Wrywam mu się.

- Majkel! - wołam. - Helpmi!

- Bądź cierpliwa, proszę cię, Marysiu - mówi okularnik i znów za rękę mnie łapie. Wołam:

- Majkel! Majkel!

Atansjon plis, już nie ma dziada. Dał nura w krzaki i uciekł.

Podchodzi Majkel, chyba nic nie widział. Może i dobrze, że nie widział.

- Kaman bejbi, syt dałn - mówi i zamek błyskawiczny uśmiechu przede mną rozsuwa. Liczę mu szybko zęby. 128, okej, żadnego nie brakuje. Wracamy do gości, siadamy. Jemy i pijemy, o pogodzie rozmawiamy...

Koktail wypity, goście pojechali, pomarańczowe słońce za białe wille się chowa. Dzieci już pokładłam, idę teraz do naszej palisandrowej sypialni. Koszulkę mam na sobie różową, błyszczącą, 35 \$. Majkel w piżamie za 30. Która to godzina? Co?... Znów dziesiąta dziesiąć? Na Majkela zegarek zerkam, zgadza się, u niego też dziesiąta dziesiąć.

Wyłączam telewizor. Obraz zgasł. Za oknem też ciemno.

Co ten dziad w okularach ode mnie chciał?

Trzeba wszystko pozamykać, bo się jeszcze w nocy wkradnie. Zaraz, jutro, złego psa kupię, na noc do ogrodu będę go wypuszczać.

Ciekawe, ile \$ taki pies może kosztować? Zamyślona do łóżka wchodzę, Majkela niechcący potrącam.

- Ajm sorry.

Ten Majkel jakiś dziwny. Książeczkę z kolorowymi obrazkami ogląda i zęby szczyrzy. Niech do mnie zęby szczyrzy, nie do książki.

- Noc jest po to, żeby spać, a nie po to, żeby czytać! - mówię

rozzłoszczona i gaszę światło. Przeciagam się rozkosznie i zasypiam.

Budzę się, lukam... przez błyszczące żaluzje słońce do naszej sypialni zagląda. W łazience Majkel zęby pucuje. Która to godzina?

Co, znów dziesiąta dziesiąć? No tak, to przecież ranek. Dzieci w piżamkach wbiegają, do mnie się przytulają ze śmiechem i piskami.

No... nabawiliśmy się, śniadanie zjedliśmy, co tu dalej robić?

Która to godzina? No nie, znów dziesiąta dziesiąć! Taki drogi zegarek, a stoi? Wołam dzieci, na ich zegarkach też dziesiąta dziesiąć. I u Majkela dziesiąta dziesiąć.

Jaki dziwny jest tajm. Raz zasuwa jak rakietą, a raz w rzeźbę zastyga. Co tam, trzeba na plażę iść, słońca pokosztować, poopalać

się i w ogóle. Co będziemy iść, lepiej autem pojechać. Jedziemy, jedziemy... i dojeżdżamy do morza. Całą rodziną po piasku idziemy i dokazujemy.

Piasek żółciutki, morze szafirowe, niebo błękitne, a mój kostium kąpielowy z lycry czerwony i tak się błyszczy, jak tylko lycra może się błyszczeć. Cudownie.

- Chyba pójde się wykapać - mówię.

- Atansjon bejbi, ajlafju - mówi Majkel i swoją książeczkę z obrazkami wyciąga.

- Jes Majkel, jes.

Całuję Majkela i dzieci. Coś na wydmie błysnęło. To okulary okularnika. Coś mnie w stopę łaskocze. Odskakuję. Pająk wielki, włochaty, w piasek się zagrzebuje...

- Zaraz wracam - mówię szybko do Majkela. - Ty pilnuj dzieci, na wydmy ich nie wypuszczaj. A jakby tu się taki w szarym swetrze kręcił, to police na help wołaj.

Chlup!!

Do morza wskoczyłam. Woda ciepłutka, pływać umiem, to sobie żabką płynę. Płynę, płynę, płynę i płynę... trochę już nudno tak płynąć.

Głowę odwracam, plaży nie widać, wszędzie morze. Oj, za daleko wypłynęłam, wracać trzeba.

Tam, na powierzchni, coś się unosi. Na pewno boja, odpocznę przy niej, bo jestem zmęczona.

Podpływam, a to nie boja, to trup straszny, wydęty i szary, a miejscami czarny. Rzucam się w tył, trup do mnie. Za nogę mnie łapie, pod wodę wciąga, obejmuje, do siebie przyciska. Oj, powietrza, bo się zaraz zachłysnę.

Szept ochrypy słyszę w uszach.

- Mary... Mary...

A może to tylko szum morza?

Trup w kleszczach mnie trzyma. Poruszają się nabrzmiałe, trochę już wyżarte usta w twarzy straszliwej, czarnej, baloniastej. Mówi coś... Zamiast słów z pyska mu rybki wyskakują malutkie. To nie rybki, to literki, to całe wyrazy. Ale nie polskie, chyba angielskie. Nic nie rozumiem, chociaż rozumiałam, kiedy Majkel do mnie gadał.

Duszę się! Powietrza!

Usta otwieram, woda do ust mi wpada, a razem z nią rybki wszystkie, wszystkie wyrazy. Do płuc się wciskają, zaraz mnie rozerwie. Trup wargami do mych warg przywiera. Wzrokiem się we mnie wwierca, a zamiast oczu ślimak i perła. Odpycham go od siebie, zrywam się z krzykiem.

Tu jestem, leżę na tapczanie.

Nade mną Ewa stoi, brwi marszczy, wpatruje się we mnie.

- Spałaś? - pyta. Dyszę ciężko, jeszcze widzę mordę trupa.

Rozglądam się po pokoju. Mówię:

- Gdzie moja teczka? Coś do pisania! Szybko!

Ewa podaje mi długopis i duży, zielony notes. Siadam, kładę notes na kolanach i piszę pospiesznie, żeby nie zapomnieć.

"Abandoned hope and love that turns to hate and self contempt bitterer to drink than blood pain whose unheeded and familiar speech is howling and keen shrieks day after day and Hell or the sharp fear of Hell"...

Skończyłam.

Ewa przez ramię mi zagląda i mówi zdziwiona:

- Ty świetnie znasz angielski.

- Tylko że nic nie rozumiem. Przeczytaj mi to, przetłumacz.

Proszę.

- Jeśli napisałaś, to przecież rozumiesz.

- Nic nie wiem, to mi się przyśniło. To były ryby, a ja je połknęłam.

- Niesamowite - śmieje się Ewa. - Nie wierzę.

- Przysięgam - mówię. - Przetłumacz mi to.

Ewa bierze notes i zaczyna wolno tłumaczyć:

- Porzucona nadzieja i miłość, która obróciła się w nienawiść... self.. pogarda do siebie bardziej gorzka do picia, niż krew. gól.. którego... coś tam, nie wiem... znajoma, zażyła mowa jest straszliwa... i przenikliwe piski dzień po dniu. I piekło, albo ostry strach piekła...

Ewa spogląda na mnie.

- Hell... piekło. To ostatnie słowo. Nie patrz tak na mnie.

- Jak? - pytam.

- Tak dziwnie... aż się ciebie boję.

- Ja też się boję - mówię. Wstaję, chodzę po pokoju. Siadam w fotelu. Piekło. Wszystko jasne. Nie ucieknę. Nikt mnie nie obroni.

Ewa podchodzi do mnie.

- Naprawdę to ci się przyśniło?

- Tak.

- To straszne... Nie rób takich oczu, proszę. Hell, piekło. Czym zawiniłam? I słyszę, jak coś we mnie szepta: "niczym". Ach, więc jeszcze niczym. Więc dopiero zawinię?

- Majka - mówi Ewa. Spoglądam na nią, uśmiecham się. Nie, nie uśmiecham się, rozciągam tylko usta w uśmiechu. Ale Ewa widzi mój uśmiech.

- Mam dla ciebie nowiny - mówi. - Byłam u ciebie w domu.

Rozmawiałam z twoją mamą.

- Rozmawiałaś z moją mamą?!

- Tak. Nabujałam, że dostałaś krwotoku u mnie w domu i że wezwaliśmy do ciebie lekarza, który orzekł po badaniu, że to na tle nerwowego rozstroju związanego z dojrzewaniem. I że musisz leżeć w spokoju, i żeby cię nie ruszać. Więc powiedziałam twojej mamie, że będziesz leżała u nas do poniedziałku.

- I co mamusia?

- No... martwiła się.

- Biedna mamusia.

- Ale ją uspokoiłam. Powiedziałam, że jesteś tu w Szczawnie pod dobrą opieką i że lekarz, który cię badał, jest naszym sąsiadem, co akurat jest prawdą. Twoja mama zrobiła mi herbaty. Rozmawialiśmy chyba ze dwadzieścia minut.

- O czym?

- O wszystkim. Także i o tobie. Nie bój się, ja mam taką metodę na ludzi, że jak zechcę, to każdy mnie polubi. Trzeba tylko mówić to, co oni chcieliby usłyszeć. Ach, i poznałam twoje siostrzyczki. Akurat się kąpały. Naopowiadałam im różnych głupot do śmiechu. Wiesz, ta twoja Zosia jest dosyć inteligentna.

- Bo Krysia jest bardziej taka skryta. A Tadzia i tatę widziałaś?

Ewa kręci głową.

- Nie miałam tej przyjemności.

- Bo tata na pewno spał, a Tadiusz jeszcze latał po dworze. Ale powiedz mi... naprawdę mamusia niczego się nie domyśliła?

- Za kogo ty mnie masz? Za idiotkę? Wszystko połknęła, herbatką popiła. A gdy się już żegnałyśmy, to nawet powiedziała, że bardzo się cieszy, że masz taką poważną koleżankę, i że może też wkrótce spoważniejesz, jak się będziesz ze mną kolegować.

Ewa ściąga usteczka w ciup, składa dłonie jak do modlitwy. Stojąc w tej nobliwej pozycji, strzela na mnie oczami i mówi z nagłą chrypą w głosie:

- Jak się kiedy wkurwię, to wstąpię do zakonu. Oczywiście, do męskiego.

Podskakuje do góry, krzyczy: - Tak się cieszę! - leci do magnetofonu, wkłada do środka kasetę, podkręca do końca gałkę potencjometru. Eksplozja metalu rzuca ją na mój fotel. Przykrywa nas dźwiękowa fala.

Ciepły, słodki wieczór dwie godziny później. Dochodzi dziesiąta dziesiąta. Siedzę na krześle, plecami do lustra. Mam na sobie śliczną sukienkę z białego jedwabiu w bordowe grochy. Obcisła,

krótką, na ramiączkach w górze. I cienkie rajstopki śliskie jak szkło, i pantofelki na bardzo wysokich obcasach, w których bardzo łatwo się przewrócić.

Ewunia siedzi okrakiem na moich kolanach i nakłada mi kolor na powieki. Szminkuje mi usta i powleka szminke specjalnym błyszczkiem.

Fuj, jakie to niedobre.

- Nie oblizuj się, bo ci wyrwę język - mówi Ewunia. Wstaje, cofa się. Taksuje mnie wzrokiem. Urywa pączek białej różyczki z wazonu i wpina mi go w gładko do tyłu zaczesane włosy.

- Skończone - mówi. - Teraz spójrz do lustra.

Podnoszę się z krzesła, odwracam do lustra.

Jakaś dziewczyna tam stoi.

To ja?

Ta piękna, poważna, dorosła dziewczyna... to ja?

W lustrze, za mną staje Ewunia. Też wystrojona i umalowana. Och, jakie my do siebie jesteśmy podobne. Jakie śliczne.

- Jesteś ode mnie piękniejsza - mówi Ewunia.

- Nie - mówię - ty jesteś piękniejsza.

- Jesteś ode mnie bardziej oryginalna - mówi ona. - Popatrz, jakie ty masz szeroko rozstawione oczy. Wylazły na wierzch, bo odsłoniłam ci czoło.

Wpatruję się w lustro.

Moje czoło... takie dziwne, takie wysokie. A oczy jeszcze dziwniejsze i takie obce. Odwracam się do Ewuni, patrzę z bliska na jej prześliczną, delikatną buzię.

- Jesteś najpiękniejszą dziewczyną na świecie - mówię.

- A właśnie że ty jesteś najpiękniejsza - mówi Ewunia. - Jesteś tak piękna, że zaraz cię zjem.

- Ja ciebie też zjem.

Zachwycone sobą, uśmiechamy się do siebie. I znowu nasze piękne oczy wędrują do lustra.

Patrzę na siebie, patrzę, i ciągle nie mogę się rozpoznać. Gdybym spotkała taką dziewczynę na ulicy, wstydziłabym się do niej odezwać. A to przecież ja. Rozchyłam usta, tamta dziewczyna też rozchyła usta, bo przecież to ja.

Ja.

Mogłabym tak tu stać i patrzeć na siebie do końca świata.

Ewunia wciąga policzki i wydyma usta. Ja robię to samo i staję się jeszcze bardziej piękna, jeszcze bardziej obca.

- I co? - pyta Ewunia. Przytulam się do niej, ale ostrożnie, uważając na makijaż.

- Kocham cię - szepczę.

- A ja ciebie, księżniczko, kocham jeszcze bardziej - szepcze

Ewunia. - Zobaczysz, podbijemy cały świat. Ale musisz mnie we wszystkim się słuchać.

- Tak - szepczę. W uszy kłują mnie delikatnie klipsy perełki.

- Nasze fotografie znajdują się na najważniejszych okładkach.

Będziemy zarabiały pół miliona dolarów rocznie. Obiecuję ci. Tylko pamiętaj, musisz ze mną trzymać.

- Tak - szepczę, drżąc gdzieś w środku. Chyba zaraz umrę, tak mi cudownie i słodko.

- Chodźmy pokazać się do ogrodu - mówi Ewunia. - Baby pękną z zazdrości.

Ściskam jej rękę.

- Nie, wstydzę się...

- Och, nie kokietuj. Chodź.

Ciągnie mnie za sobą. Trochę się opieram, ale tylko trochę.

Wychodzimy z pokoju na taras.

W głębi ogrodu jarzą się światełka żarówek. Dobiega stamtąd cicha muzyka, głosy, śmiechy. Schodzimy po schodach i, trzymając się za ręce, idziemy wśród drzew, wąską, wyłożoną płytkami ścieżką. Nogi mam jak z galarety i muszę bez przerwy uważać, żeby się nie

potknąć w moich pantofelkach. Tam, w altanie, pełno ludzi. Chyba z dziesięć osób. Panie i panowie, wszyscy tacy eleganccy. Siedzą w fotelikach przy białym stole. Rozmawiają, piją coś i śmieją się. Wchodzimy z Ewunią w krąg światła, już nas zauważono. Tatuś Ewuni gwizdże.

- O, królewny nas odwiedziły - mówi. - Prosimy, wasze wysokości.

- My jak ómy - mówi Ewunia. - Przyszliśmy opalić skrzydełka w ogniu waszych spojrzeń.

Już jesteśmy w altanie. Ewunia wita się ze wszystkimi. Całuje się z paniami, a panowie całują ją w rękę. Śmieją się i żartują.

- A to Majeczka - mówi Ewunia, wskazując na mnie. - Moja najlepsza przyjaciółeczka.

- Dobry wieczór - mówię cicho. Mało co, a bym dygnęła. Teraz wszyscy patrzą na mnie.

- Możemy z wami chwilkę posiedzieć? - pyta Ewunia.

- Nawet i poleżeć możecie z nami - mówi na to jeden z panów.

Ogólny śmiech. Ewunia siada na białej ławeczce przy balustradzie. Wskazuje mi ręką miejsce obok siebie. To siadam, składając razem kolana. Podnoszę oczy i zaraz je opuszczam, bo nikt nic nie mówi, tylko patrzą na nas.

- Co się tak gapiacie? - mówi Ewunia. - Dajcie nam po drinku, bo jesteśmy trzeźwe i się wstydzimy.

- Wlej im, Grzesiu, kropelkę dzinu do dzbanka z lodem - mówi mama Ewuni i śmieje się do nas. Wygląda ślicznie i młodziutko w białej, błyszczącej bluzce i białej, króciutkiej spódnicy. A jak się śmieje na głos, to tak fajnie się śmieje, jakby miała chrypkę.

- Jesteście naprawdę bardzo piękne - mówi do nas pani w okularach.

- Powinnyście razem wystartować w wyborach miss.

- Nie będziemy sobie robiły konkurencji - odpowiada Ewunia. Pan Grzesio, który jest całkiem siwy, ale bardzo ładny, nalewa do dwóch niskich szklanek trochę czegoś z kolorowej butelki i trochę czegoś z innej. Wrzuca tam kostki lodu i podaje nam. Spogląda na mnie z bliska. Mówię: - Dziękuję - i nie wiem, co dalej, bo spuszcza oczy. I choć jestem okropnie skrzepowana, to jakoś dziwnie mi rozkosznie.

Dobrze mi tu.

Niedługo będę już dorosła. Będę sobie rozmawiała na różne tematy z innymi dorosłymi osobami. Tak, jak moja Ewunia, która w ogóle się nie krępuje. Właśnie im coś opowiada, a oni się śmieją. To cudowne siedzieć tak z przyjaciółmi letnią wieczorem w oświetlonej altanie, i gadać, i śmiać się z nimi. Oni coś mówią, ale nie wiem co, nie słucham, bo tak mi dobrze z własnymi myślami rozmawiać.. Żeby tak Tadiusz mnie teraz zobaczył, albo Kazik Kamiński. Ale by się zdziwił. Albo, gdyby mamusia.. Zaraz by wpadła, dała mi w ucho i zaciągnęła do domu. E, nie, wstydziałaby się tu wejść.

Za trzy lata skończę osiemnaście. Będę mamusię dalej bardzo kochała, ale nie pozwolę jej się wtrącać do mojego życia. Brzęczy lód w mojej szklance.

Przezroczyste kosteczki topią się powoli. Spoglądam w bok, a Ewunia ze swojej już prawie wszystko wypija. To ja też podnoszę szklankę do ust, upijam łyk. Jakieś gorzkie, ale trochę słodkie. To jakaś wódka z czymś zmieszana. Jak był chrzest Zenusia, to tata się upił i kazał mi chlapać kieliszek wódki. Ledwo przyłożyłam usta i zaraz poleciałam wymiotować. A teraz jakoś nie chce mi się wymiotować, choć pociągnęłam taki duży łyk. W brzuszku robi mi się gorąco i przyjemnie, w głowie tak samo. Co tam, napiję się jeszcze. Hop, siup, na drugą nóżkę. Tak zawsze mówiła pani Marysia, żona pana Krzyśka, jak pili w ogródku przy siatce z tatą i panem Kamińskim. Tata mówił: "no to cyk", albo "no to chlup w ten głupi dziób". Pan Kamiński mówił: "no to abyśmy", a pan Krzysiek: "za komunę, żeby nas nie przeżyła". A potem wszyscy śpiewali chórem: "Pijmy wszyscy duszkiem, pijmy wszyscy duszkiem, z kufelczka z małym uszkiem...." Na końcu śpiewali o chacharach.

Tu, w altanie u państwa Bogdajów, też piją alkohol, ale inaczej. Każdy ma swoją szklanke i pije, kiedy chce. I nie przekrzykują się, ani nic, tylko sobie kulturalnie rozmawiają.

Ewunia łapie mnie nagle za ramię.

- Ale jestem głupia - mówi. - Przecież Grzesio może nam przetłumaczyć dokładnie.

- Co chcecie przetłumaczyć? - pyta pan Grzesio.

- Mamy taki dziwny, angielski tekst, który Majce się przyśnił.

Zaraz go przyniosę.

Ewunia wstaje.

- Nie nie - mówię. - Ja przyniosę!

- To leć.

Wychodzę z altany. Zanurzam się w mrok ogrodu. I co ja bym zrobiła, gdybym została tam sama, bez Ewuni. Ktoś by mnie o coś zapytał, a ja bym nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Miałam szczęście, że zdążyłam ją zatrzymać. Ojej, szklanke z sobą wzięłam, jeszcze tyle w niej zostało... Zatrzymuję się na ścieżce i chlup.. wszystko wypięłam. Całkiem niezłe. Postawię szklanke tutaj. Jak będę wracała, to ją z sobą wezmę. Bym się przewróciła. To te obcasy, muszę się w końcu nauczyć w nich chodzić. Ewunia włożyła tak samo wysokie, a płynię w nich, jakby była boso... Zamiast skrócić w lewo, gdzie taras i pokój Ewy... skręcam w prawo. Obejdę dom naokoło kamienną alejką, troszeczkę to chodzenie poćwiczę.

Idę i stukam.. stuk stuk stuk stuk. Trzeba malutkie kroki robić, inaczej się nie da. I jakoś dużo lepiej się idzie, gdy się pupą kręci. Racja, Ewunia przecież też kręciła. To dlatego te wszystkie modelki w telewizorze tak pupami kręcą. Zawsze myślałam, że się wygłupiają, a one po prostu muszą, żeby się nie przewrócić.

Stuk stuk stuk, już umiem.

- Cześć Maryśka!

Patrzę, za białym murem ktoś stoi, to jakiś żołnierz. Podchodzę.

- O, Kazik, dobry wieczór. Co tu robisz?

- Jestem na przepustce. A ty? Co u ciebie słychać?

- Ach, wiesz, właśnie wróciłam z Londynu. Jutro lecę do Nowego Jorku, mam tam pokaz mody.

- Kapitalnie wyglądasz. Byś się nie przeszyła ze mną trochę?

Przepustka mi się zaraz kończy...

- Och, wiesz, wybacz, goście na mnie czekają. Dobranoc.

Stuk stuk stuk stuk, odchodzę. Idę koło bramy... A któż tam za kratą stoi? Ach, to przecież mamusia i Tadius, dwa tułuby w mroku.

- Och, mamusiu, jak to dobrze, że cię widzę. Miałam już wysłać pocztą... Proszę, to czek na sto tysięcy dolarów. Profesor w Wiedniu już czeka. Mówił, że dwa tygodnie i Zenuś będzie widział. Dwadzieścia tysięcy na operację Zenusia, drugie tyle na twoje serce i żyłki. Za resztę kupcie sobie dom na wsi z ogrodem. Jak coś zostanie, będziecie mieli na drobne wydatki. I powiedz tacie, żeby nie pił wódki, to świństwo, niech dżin pije. A ty, Tadius, masz tu na lody sto dolarów. Tylko pamiętaj, podziel się z dziewczynkami. No, to pa, kochani. Podwiozłabym was do domu samochodem, ale tyle mam jeszcze spraw na głowie... Zadzwońię z Bombaju, pa.

Odpływam od nich na swoich obcasikach, stuk stuk stuk stuk.

Stuk stuk stuk, po schodach na taras wchodzę. Już nic nie stuka, bo po dywanie w pokoju idę w stronę lustra, przeginając się w biodrach. Cała w śliskich jedwabiach, lśniąca, śliczna. Dłońmi po sobie przesuwam, sznurka pereł na szyi dotykam. To wszystko ja. Ach, po notes tu przysłałam. Leży na stoliku, otwarty, tak, jak go zostawiłam. Podchodzę, biorę go i nagle moją głowę przeszywają na wylot elektryczne szpile.

Kartka z tym, co napisałam, wyrwana. Sterczą strzępy. Tylko na dole wyraz "Hell" pozostał. Czyjś wzrok na sobie czuje. Odwracam się gwałtownie. Tam, za oknem... To moje odbicie w szybie. Nie, to

przecież nie jest moje odbicie.

Kto tam stoi?!

Uciekać chcę, nie mogę. Nogi mi ugrzęzły. W uszach szum narasta blaszany, wilgotny. Brudna, buraczkowosina mgła spowiła wszystko wokół. Brnę w stronę fotela. To nie fotel, to kępa zrudziała. Kulę się tu w strachu śmiertelnym, na moich nagich ramionach wyskakują pryszczki gęziej skórki. Wszędzie woda gęsta jak zupa. Bulgot wstrętny, pękają bąble, coś się wynurza powoli. Tępo wpatrują się we mnie zapadnięte, zimne ślepia.

Suną ku mnie. Nieubłagane, nieodwołalne.

Ciemno, nic nie widzę. Coś dotyka mnie i zamyka w śluzowatych mackach, w suchych, twardych kleszczach. Weiska się we mnie aż do zgrzytu kości. Jest już we mnie. Układa swe zwoje w mym brzuchu, w mych członkach. Już tylko jestem czyimś futerałem.

Śmiechy, kroki... Jacyś ludzie weszli, jest ich dwoje. Jedno z nich coś mówi, jakaś wielka twarz przysuwa się do mnie. Znów staje się malutka. Dwa giętkie, pokryte ciałem i materiałem szkielety tańczą wokół mojej głowy. Dźwięczą w powietrzu ich słowa.

Zniknęli, już ich nie ma.

Wewnątrz jestem, czy zewnątrz...?

Poruszają się ręce. Jej ręce? Moje ręce?

Palce. Moje?

Przekreścamy peryskop. O, na brzuchu skóra gładsza, niż na rękach.

Biała, w bordowe koła.

Nogi, na nich się chodzi. Wszystko się jakoś nazywa, wszystko do czegoś służy. Fotel do siedzenia. Och, już prawie wszystko wiem.

Tylko mi jeszcze powiedz, duchu, jak się ja nazywam i do czego służyć. I komu służyć?...

Tam, za szklanymi drzwiami jest odpowiedź. Idźmy tam. Idę.

Stamtąd też ktoś do mnie idzie. Dziewczyna, jakby znajoma.

Zbliżamy się do siebie. Szukam klamki, i ona szuka klamki, ale w tych drzwiach nie ma klamki. Szklisty dotyk naszych rąk.

- Jak się nazywasz? - pytam.

- Majka - odpowiada. - A ty?

- Ja? Majka.

To jakiś rum. Rum Jamajka. Ach, więc tak się nazywam. Jamajka. To jakaś wyspa. Więc jestem wyspą i piją mnie litrami marynarze? To już wiem wszystko, duchu, dziękuję. Odklejam się od lustra, odchodzę. Odwracam się, macham jej ręką na pożegnanie. Czy się jeszcze kiedyś zobaczymy?

Wychodzę na taras.

Cichy jęk słyszę. Podchodzę do balustrady. W ciemności pod drzewem, pod księżycem, stoi Ewunia. Całuje się z panem Grzesiem, jęczy. Ręce pana Grzesia przesuwają się po jej pupci pod zadartą sukienką.

Patrzę na nich, sama niewidzialna.

To, co robią, jest trochę ohydne, a trochę śliczne. Ten jęk to jak muzyka. Odległa, nieskończenie odległa. I słodka jak śliwka.

Biała głowa sunie w dół, pan Grzesio przykleka. Całuje Ewunię po brzuszku. Ona jęczy cicho i słodko. Tak słodko, że aż bym chciała ten jej jęk polizać.

Wystarczy tego, już dosyć. Wołam:

- Ewunia!

Drgnęli. Pan Grzesio wstaje, Ewunia na mnie się ogląda. Widzę jej twarz w mroku, jakaś nieprzytomna... Śmieją się teraz oboje, pan Grzesio znika w mroku. Ewunia obciąga sukienkę i wbiega po schodkach na taras. Siada obok mnie, na balustradzie. I, machając nogami, mówi:

- Ja się z nim czasem kocham, wiesz.. To z nim straciłam cnotę.

Nauczył mnie wielu ciekawych pozycji. Jest stary, ale fajny. A ty co, upiłaś się dzinem?

Staję przed nią, blisko. Kładę ręce na jej udach. Uśmiecha się do mnie.

- Majeczko - mówi - tak się cieszę, że tu ze mną jesteś.
- Nie mów do mnie "Majeczko", mam na imię "Jamajka".
- Och, jak cudnie. To się wymawia "Dżamajka", wiesz? Jednak się upiłaś, twoje oczy cię zdradzają.
Biorę ją za ręce, cofam się. Zeskakuje z balustrady. Podąża za mną i nawet się nie domyśla, że ona, ten dom, całe miasto i wszystko istnieje tylko dzięki mnie. Gdyby mnie tu nie było...
- Nie ściskaj mnie tak - mówi Ewunia i próbuje wyszarpnąć ręce z mojego uścisku. - Zostaw, boli! Nie bądź kretynką, puszczaj!
Puszczam jej lewą rękę i swoją prawą uderzam ją w twarz.
- To za kretynkę - mówię. - Chcesz jeszcze?
Jest przerażona, chciałyby uciec, ale przecież nie może, jej obie ręce znowu uwięzione w kleszczach moich dłoni. Zaczyna płakać bezsilnie. Przytulam ją do siebie, nie puszczając wykręconych do tyłu jej rąk.
- Czego ty chcesz ode mnie? - pyta ze strachem w głosie. - Za co mnie uderzyłaś? Puść mnie, bo zawołam tatusia.
Zlizuję z jej buzi łzy. Dobrze, słone.
- Po prostu chciałam twoich łez skosztować.
- Proszę, zostaw mnie - błaga Ewunia, produkując obficie nowe łzy. Uśmiecham się, czując na wargach słoność morza. Mówię powoli: - Jak zechcę, moja ślicznotko, zmienię cię w ropuchę. Albo każę ci zniknąć i nigdzie cię nie będzie. A jak zechcę, to cały świat znik

W królestwie umarłych godzin

Księżę wykrzywia się.
- Mamo... teraz taka moda, nosi się na bakier.
- To moje urodziny, zrób przyjemność matce.
Księżę z westchnieniem przesuwa koronę na środek swej pięknie u fryzowanej główki. Po chwili to samo robią ze swoimi koronami trzy papużki księżniczki, moje córeczki. Szum po sali przeszedł. To przesunęły się na środek głów czapeczki i czepeczki dworaków mych i dworek.
Kolejne poselstwo z darami do sali się wsuwa. Kolejny grubas ambasador rozwija kolejny pergamin z kolejnymi życzeniami. I w tym momencie coś... coś... coś... mi się przy... przy co? Ach, już wiem. Przypomina. Rękę unoszę.
- Cicho! - mówię. - Nie ruszajcie się, nie gadajcie przez chwilę, bo coś mi się przy... Palec zginam, w głowę się nim stukam. Przy co? Ach, przypomina. Ale co? Coś mi się przypomniało i zaraz się zapomniało.
A co tu tak cicho, co tak nieruchawo? Przede mną stoi posąg grubasa ambasadora z pergaminem uniesionym i z rozwartą gębą, w której złoty ząb błyszczy cicho. Wokół pełno posągów dworskich dostojników. A tu posągi mych pociech sterczą jak ulane. No tak, to przecież ja im kazałam, żeby się nie ruszali, nie gadali...
Dobrze, jedno sobie przypomniałam. A tamto coś? Co to było, że już mi zniknęło?
Za okno spojieram. Tam na niebie nocnym ognie sztuczne rysują esy floresy. Stamtąd to od rana bębni muzyka. Ta korona tak mnie ciśnie, nic sobie przypomnieć mi nie pozwala. Głowę unoszę, korona na bakier mi zjeżdża, ooo, tak dużo lepiej. Pod sufitem wielkie "M" ze złota i cyfra "\$f" z brylantów. Jakaś dziwna ta cyfra, to chyba nie cyfra? Te brylanty tak błyszczą, trzeba oczy zmrużyć, żeby cyfrę odcyfrować. Dopiero teraz widać, to "50".
Racja, to moje pięćdziesiąte urodziny.
Zza okna dobiega chór cienki grubych eunuchów: - Niech nam żyje najjaśniejsza pani, oooo, niech żyje nam!!!
...Co to było, że to miałam na końcu języka... Połknęłam, czy co?

Wiem, już wiem.

- Miranda! - wołam. Patrę, najmłodsza moja córeczka podbiega, u kolan mi klęka. Nie... to nie to, to nie ona. Wiem, to Marika, tak, Mańka. - Marika!

Średnia córka obok najmłodszej już do kolan moich się pochyła. Nie nie nie, to też nie ona, to przecież była... ach tak, wiem.

- Marcelina! - wołam. Tak, to na pewno Marcelina. Nie, to też nie ona, to tylko moja najstarsza córka gnie się w wytwornym ukłonie, a za nią wszystkie dworki i wszyscy dworzanie z cicha pęk swe strojne tułuby do posadzki gną.

Nagle palcami pstrykam w grzechocie pierścieni.

Wiem, wiem, oczka miała jak węgielki.

- Marysia! - wołam z triumfem. - To Marysia!

Marysia, jasne, że Marysia. Tyle lat po głowie to imię mi chodziło, pod innymi imionami się chowało, gdy go sobie chciałam przy... przy... przypomnieć. Marysia.

Rozglądam się po sali.

- Gdzie Marysia? - pytam. - Czemu tu nie ma przy mnie mojej najdroższej Marysi?.

Nigdzie jej nie widzę... Znów mi się psotnica jedna gdzieś schowała.

- Nie widział ktoś Marysi?

Dworki i dworzanie głowami kręcą, oczy do sufitu podnoszą, ręce rozkładają. A to darmozjady. Do stołu to pierwsi, a jak się królowa o coś zapyta, to nikogo nie ma, żeby odpowiedział.

Oho, mój pierwszy minister fałdy swej złocistej szaty wokół siebie układa, do ukłonu się przygotowuje, chyba zaraz będzie gadał, gdzie widział Marysię. No, już się uklonił, już usta otwiera...

- Najjaśniejsza pani - mówi uroczyście. - Na naszym dworze, oprócz najjaśniejszych księżniczek Marceliny, Mariki i Mirandy, jest wśród dworek sześć Magdalen, jedenaście Malwin, dwie Marianny, czterdzieści siedem Matyld, dwadzieścia cztery Michaliny, trzy Moniki, jedna Maura a nawet jedna Modesta... Ale Marysi tu nie ma, żadnej Marysi my nie znamy, najjaśniejsza pani.

Skończył przemówienie, uklonił się, a teraz szaty swoje starannie wokół siebie układa.

- Jak to jest możliwe, że nie znacie mojej Marysi, mojej najukochańszej dworki, mojej przybranej siostrzyczki Marysi???

Pytam już tylko tak, retorycznie, po nic. No, to można przejść do następnego punktu tej uroczystości, ambasador z rulonem czeka na znak, by zacząć swoją recytację... Ale nie, jeszcze mu znaku nie daję, bo ochmistrzyni moja stara poruszyła się w tłumie, jakby chciała coś powiedzieć i się zawahała.

Palcem na nią kiwam.

Już do mnie biegnie z szybkością sześciu metrów na godzinę. Kupię jej wrotki na setne urodziny. Dowlokła się wreszcie i fajt, do stóp mi przypada, w czym jej schodek podestu tronowego odrobinę pomógł.

- Pani moja najjaśniejsza - występuje zdyszana - wiem, pamiętam, jakżebym miała nie pamiętać Marysi, ulubienicy najjaśniejszej pani.

- To co z nią? - pytam. - Czemu jej tu nie ma?

- A bo, najjaśniejsza pani, to było na urodziny najjaśniejszej pani, na piętnaste.

- Na piętnaste??? - Na piętnaste. Najjaśniejsza pani czegoś się na Marysię pogniewała, ale o co, jakoś nie pamiętam...

- Jak to o co?! - mówię i wszystko sobie zaraz przypominam, aż mi rumieniec na twarz wychodzi, przez puder się przebija. - Wiadomo! Bo mi ostatnią rodzynkę wyzarła z moich lodów, gdy ja akurat zdmuchiwałam piętnaście świeczek z urodzinowego tortu! Ale co potem? Pogniewałam się na nią, to fakt, przyznaję, ale gdzieś mi potem Marysia znikła...

- A... bo.. - jąka się staruszka - najjaśniejsza pani do lochu

kazała ją wtrącić, w kajdany zakuć.

- Ach, tak, no przecież - mówię, uderzając się w czoło. -

Faktycznie, kazałam, bo się okropnie zdenerwowałam. Szybko mi ją tu przyprowadzić!

Kopnęło się zaraz do lochu dwóch dworzan, podczaszy i strugczaszy.

Ja w ręce radośnie klasnęłam i tak mówię:

- Popatrzcie no, moi mili, jaka ta pamięć dziwna jest. W każde moje urodziny coś mi po głowie chodziło i chodziło, ale jakoś nigdy nie wylazło i dopiero teraz... Ach, ta Marysia, cóż to była za psotnica. We własnych lodach pełno rodzynek miała, a musiała moją ostatnią z moich lodów wyżyć! To co miałam zrobić? Musiałam ją ukarać, nastraszyć troszeczkę i pięć minutek w lochu w kajdanach potrzymać, żeby trochę spowaźniała, żeby tę rodzynekę sobie zapamiętała... Ach, moi kochani, nawet nie wiecie, jak się cieszę, że wreszcie sobie przypomniałam i zaraz moją ukochaną, najdroższą Marysię zobaczę i przytulę.

A tu jakiś straszliwy wrzask słyhać zza drzwi sali tronowej. Już dworzanie dwaj, co się do lochu kopnęli, wprowadzają wiedźmę jakąś starą, bezzębą, brudną, obszarpaną i prawie łysą.

Wiedźma szarpie się, wyje, kajdanami dzwoni.

Patrzę, a syn mój, książe, i moje córeczki księżniczki, i wszystkie dworki i wszyscy dworzanie nosy dwoma palcami zatykają. Co tu tak brzydko pachnie? Faj, to od wiedźmy smród ciągnie.

- Kogo zeście mi tu przyprowadzili? - pytam ze śmiechem. - Marysię mi przyprowadźcie. To jakaś pomyłka, Marysia na pewno w innym lochu siedzi.

- Tylko ta lokatorka w lochach siedziała - rzecze podczaszy. -

Oprócz niej ani żywej duszy w lochach, ani martwej.

- Ale to przecież nie Marysia - mówię. - Marysia oczka miała jak węgielki i buźkę prześcipną, nader śliczną. A to jakaś ropucha, wiedźma szalona, wrzucie ją do lochu z powrotem, żeby nam powietrza w królestwie nie psuła.

Wiedźma wrzask podnosi piskliwy, szpony pokrecone do mnie wyciąga, zaropiałe ślepią we mnie wbija. Podczaszy ze strugczaszym wyciągają ją z sali, ja chusteczką perfumowaną przed nosem macham... Furkot wielki się zrobił, bo już wszyscy chusteczkami machają, tworząc koktail zapachowy, wielokwiatowy.

- Popatrz miła, kogo nam tu zamiast Marysi przyprowadziły niezguły

- mówię do ochmistrzyni staruszki. Ta głową kiwa, sole wacha, oczami przewraca, cała blada, chyba zemdleje zaraz.

- Przecież pamiętasz naszą Marysię - mówię do niej cicho. - Czyż nie słodka była?

- O tak, najjaśniejsza pani, pamiętam. To było najśłodsze stworzenie na całym dworze, oprócz, rzecz jasna, najjaśniejszej pani. A taka była do najjaśniejszej pani podobna, że jak się raz najjaśniejsza pani na stroje z nią zamieniła, to nikt tego nawet nie zauważył. Pamięta najjaśniejsza pani?

- Tak? Nie pamiętam - mówię. - No, trudno, była Marysia, nie ma Marysi. Cóż, miłe są chwile wspomnień, ale obowiązki najważniejsze.

Oczy na poselstwo podnoszę.

- Nie przerywaj sobie, panie ambasadorze - mówię łaskawie. -

Czytaj naszemu majestatowi życzenia od swojego pana.

Ambasador pięknie się kłania, podbródkiem posadzkę zamiatając. W rulon zerka i głosem jak trąba oznajmia:

- W imieniu króla mojego najjaśniejszego wam, wasza najciemniejsza pani, wojnę wypowiadam!!!

Gwizdek zza pazuchy wyciąga raptownie, z całej siły weń dmucha. Na ten sygnał jacyś obcy zbrojni do sali wpadają. Wrzask i pisk wśród mego dworu się podnosi. Błyskają miecze, sztylety, kindżały. Widzę padające pod ciosami kolczastych maczug moje córeczki księżniczki. Książe, syn mój najukochańszy, po swój mieczyk sięga, już do połowy wyciągnął... i jeszcze wyciąga, choć już jego główka

najdroższa, synowska po podłodze jak piłka się toczy, we krwi własnej loki misternie fryzowane tyłając.
Do mnie sam ambasador z króciocy mierzy.
Wyciągam zza rękawa mój cienki sztylecik. Już leci, już tkwi w ambasadora oku. Z drugiego rękawa drugi mój sztylecik wyciągam i, korzystając z tego lekkiego zamieszania panującego w sali, przeciągam ostrzem, jak smyczkiem po strunach, po ochmistrzyni staruszki gardziołku tłustym, na dworskim spasionym cieście.
Jedyny świadek u mych stóp już skołał. Na astmę zgasała nieszczęsna staruszka.
Sama przez ukryte za tronem drzwiczki z tej rzeźni uciekam.
Andronami na wieżę biegnę, po mój cudowny, czarodziejski dyjament.
Brzęk za sobą słyszę, tupot. Oglądam się. Za mną bieży, kajdanami dzwoniąc, wiedźma z lochów.
Kurde mele fiks! W moim koku już ani jednej zatrutej szpilki, już dawno zużyte z mego paska z kwasem żrącym fiołki. Uciekam w górę po kręconych schodkach, gdy szarpnięcie czuję. To wiedźma za tren złapała, suknię ze mnie zdarła... Naga biegnę jak święta turecka.
Wpadam w drzwiczki żelazne na szczycie. Tu mój astrolog dziwak nad wielką balią wielką księgę jak bieliznę mokrą wykręca. I szlochając, mówi do mnie:
- Cały rękopis zapłakany. Płacę, bo sól szczypie mnie w rany.
- Mój dyjament czarodziejski! - krzyczę. - Gdzie go schowałeś?
Dawaj mi go zaraz!
- Spójrz królowo w lunetę, oddałem go niebu.
Do teleskopu przypadam. Zaglądam... nowa gwiazda na granatowym niebie mieni się tęczowo. Nagle skrzeczący chichot nad uchem słyszę. Odwracam się. Przedemną wiedźma stoi. W jej zardzewiałej twarzy może tylko błysk oczu mi znajomy...
- Przebac, najmiłościvsza pani - szepczę zdrętwiałymi z trwogi ustami. Cofam się przed Nią blada, naga, drżąca. O coś się potykam, to balia, do balii wpadam.
- To łzy moje - skrzeczy Ona - utop się w umarłych godzinach moich!
I łańcuchem kajdanów pac mnie w głowę.

Siedzimy nagie na brzegu wanny i dwiema suszarkami, różową i żółtą, suszymy sobie nawzajem włosy.
- Masz bardzo gęste włosy - mówię. - Czemu nie nosisz długich?
- Mam sobie zapuścić? - pyta Ewunia,
- Tak.
- Nie ma sprawy. Od dzisiaj nie zetnę ani o milimetr.
Wyłączam suszarkę. Patrzę na Ewunię i wyobrażam sobie, jak będzie wyglądała z długimi. Ona spuszcza oczy i mówi cicho:
- Dżamajka...
Co?
- Mam taki dziwny kaprys...
No?
- Pocałuj mnie... tam...
- Gdzie?
- W pipusię.
Pochylam się i całuję jej kręcone, mięciutkie jak puch włoski w dole brzuszka.
- A teraz ja ciebie - mówi Ewunia. Kłęk przedemną, rozchyła mi uda i całuje mnie tam. Podnosi głowę i patrzy na mnie. Wzdycha.
- Wiesz - mówi - my chyba jesteśmy jakieś lesbije..
- Co to znaczy "lesbije"?
- Nie wiesz?
- Nie.
- Lesbijki to takie dziewczyny, które się ze sobą kochają.

- Więc jesteśmy lesbijki, bo przecież się kochamy - mówię.
- Brzydziłaś się, jak mnie tam całowałaś?
- Co ty! Ani trochę. Wszędzie mogę cię całować. Jak loda mogłabym cię lizać, aż nic by z ciebie nie zostało. Tylko patyk.
- Och, jaka ty jesteś - mówi. - Nigdy nie wiem, kiedy mnie robisz w bambuko...

Kłęcząc, dotyka policzkiem mojego uda i uśmiechając się słodko, strzela na mnie oczami. Uwielbiam patrzeć, jak błyskają białka oczu w jej opalonej buzi. Na poręczy wisi biały pasek od kąpielowego szlafroka Ewuni. Biorę go, owijam wokół jej szyi. Ciągnę za końce, pasek wpija się w jej szyję. Ciągnę jeszcze mocniej. Ewunia rozchyła usta, patrzy na mnie i choć zaczyna się dusić, w jej oczach nie ma strachu. Coś innego w nich jest, coś bardzo dziwnego.

Trochę zwalniam ucisk paska.

- Co ty robisz ze mną?
- Może cię uduszę...
- Nie.

Znów ciągnę końce paska. Widzę, jak krew napływa do jej twarzy, ale się nie wrywa, tylko bez przerwy wpatruje się we mnie swoimi wielkimi oczami. Już trochę wiem, co w nich jest. Nie wiem, skąd to wiem, ale wiem. Popuszczam końce paska. Ewunia jęczy cicho.

- Bolało?

- Tak.

Obejmuje mnie. Przytula twarz do mojego brzuszka i prosi:

Nie duś mnie, bo będę brzydko wyglądać po śmierci.

- To będziesz - mówię i znów ściskam jej szyję paskiem. Ona nic, tylko przytula się coraz mocniej. Zwalniam ucisk, odwijam pasek.

Ona szepcze:

- Czemu jesteś dla mnie taka niedobra?
- Bo jestem.
- Przecież mnie kochasz.
- Kocham.
- To czemu się znęcasz?
- Bo tak.

Biorę pasek i zawiązuję go wokół jej szyi. Robię kokardkę. Ewunia podnosi się, zerka w lustro, i okręcając się w piruce, mówi zalotnie:

- Skromny, lecz bardzo twarzowy strój wieczorowy. Polecany szczególnie praktycznym paniom po sześćdziesiątce.

To ja wyciągam pasek z wiszącego na drzwiach żółtego szlafroka i zawiązuję go sobie w pasie i też robię kokardkę. Kręcąc gołą pupą, oznajmiam:

- A oto równie skromna suknia typowo balowa. Dla dziewczyn w zaawansowanej ciąży wyjątkowo zdrowa!

Ewunia kładzie dłoń na moim brzuszku.

- O, już kopie - mówi. - Który to miesiąc?

- Lepiej spytaj, która sekunda - odpowiadam. Parskamy śmiechem.

Trzymając się za ręce, skradamy się przez ciemność ogrodu w tych samych skromnych, lecz twarzowych strojach wieczorowych. To miss Ewunia wpadła na ten pomysł, ale miss Majka nie miała nic przeciwko temu. Coraz tu jaśniej. W oświetlonej altanie grają w karty. Stoimy nagie za krzewami, przyglądamy się im i ksuksamy cicho.

- Zrobimy pokaz mody?

- Ale by było...

- Gdyby tam byli sami faceci, to czemu nie.

- A ja bym się wstydziła właśnie facetów.

- Bo jeszcze nigdy z żadnym nie spałaś.

- Jak to nie spałam? Codziennie śpię z facetem w jednym łóżku.

Bujasz.

Naprawdę. Z Tadiem, moim braciszkiem.

- Braciszek się nie liczy. Powiedz, chciałaś?

Co?

- Kochać się z facetem?

- Nie wiem... chyba nie.

- Dlaczego?

- Faj, oni tym sikają...

- Głupia. My też sikamy.

A ty dużo razy się kochałaś?

- Pewno.

- I co?

- I nic. Fantastycznie. To tak, jakby się umierało, tylko że sto razy lepiej. To najcudowniejsza rzecz na świecie. Nawet lepsza od latania lotnią.

- Latałaś?

- Jasne.

- Ja też latałam, ale bez lotni.

- Eee, samolotem to każdy latał.

- Ale ja nie samolotem. Bez niczego latałam.

- Jak?

Gdy mi Kasia grała, to bardzo często latałam.

- Co ty widzisz w tej Kaśce? To przecież wariatka i mitomanka.

- Co to znaczy "mitomanka"?

- To taka idiotka, która opowiada różne zmyślane rzeczy i w dodatku sama w nie wierzy.

- Ona nic nie zmyślała. Że ma tatusia w Afryce, to na pewno prawda. Sama słyszałam, jak rozmawiała z nim przez telefon. I listy od niego widziałam.

- Co za problem mieć ojca w Afryce. Mój Tutu zakocha się w Murzynce i też będę miała tatusia w Afryce. A powiedz mi... pokazywała ci fotografię swojego ojca?

- Nie.

- On jest garbaty. Garbaty kurdupel.

- Nie wygłupiaj się! Naprawdę?

- Myślałam, że o tym wiesz.

- A ty skąd o tym wiesz?

- Mówił mi ktoś, komu pokazywała. Już nie pamiętam, kto.

- A wiesz, to może być prawda... Ona kiedyś powiedziała o sobie w żartach, że jest córką syreny i konika garbuska...

Wypiłyśmy ponad pół butelki różowego Martini i chyba jestem pijana, bo tak dziwnie kręci mi się w głowie. Światło zgaszone, już leżymy w łóżku. Słyszę w ciemności cichy szept wtulonej we mnie Ewuni.

- Zabijesz mnie?

- Tak - mówię - zabiję.

- W takim razie muszę przed śmiercią nauczyć cię całować się. Daj mi swoje usta...

Zsuwam się niżej, podaję jej usta. Całuje mnie. A może to nie ona? Może to słodka ciemność mnie całuje, i muzyka zza okna odległa i szum drzew w ogrodzie...

Płynę przez ciemność jedwabną wstążką.

Wszystko jest ciemnością i szumem drzew. Moja ciemna córeczka cysia mi cycuszka. Dotykam słodkiej ciemności jej ciała. Jęczy cicho. Chcę słyszeć jej jęk i drżenie czuć. Dotykam jej związanych z tyłu rąk. O, moje biedactwo. Jak ona to wytrzyma przez całą noc... Związałam ją, bo strasznie mnie o to prosiła. Nie chciałam, było mi jej żal. Wtedy wydała mi taki rozkaz i musiałam to zrobić, bo akurat wypadła kolej na ljej rozkazy. I choćby nie wiem jak prosiła, nie wolno mi jej rozwiązać aż do rana...

- Kiedy mnie zabijesz? - szepcze drżąca ciemność.

- Niedługo - mówię, słuchając szybkiego stukotu jej serduszka.

- Opowiem ci, jak przestałam być dziewczyną... Chcesz?

- Tak.

- To było późnym wieczorem prawie rok temu... Wracałam od Klaudii do domu, skróttem przez ogródki. Nagle ktoś mnie złapał za włosy.

Wiesz, miałam je wtedy długie, aż do pasa. Było ich trzech, byli pijani. Zaczęłam krzyczeć... zagrozili, że porzną mi twarz szczyrykiem. Tak strasznie się ich bałam. Zerwali ze mnie majtki... potem się kłócili, który pierwszy ma to ze mną zrobić. Błagałam ich na kolanach, żeby nic mi nie robili. Śmiali się tylko. Otoczyli mnie wokół, wyciągnęli te swoje... kazali, żebym je brała do buzi. Musiałam je lizać, śmierdziały sikami. Nie chciałam... szarpali mnie za włosy i bili. Robiłam to i płakałam. Wyrwali mnie sobie, musiałam to robić raz temu, raz temu... On mi nagle przycisnął głowę do siebie. Poczulałam to w gardle, zaczęłam się dusić, nie mogłam się wyrwać. Trysnęło we mnie gorąco i puścił mnie. Zwymiotowałam. Znów mnie bili. Kazali mi pić wódkę, żebym sobie usta przepłukała. Potem kazali mi się położyć i wchodzili na mnie po kolei i wbijali się we mnie. Dwóm to szybko poleciało... ale dopiero się zaczęło, jak wlaź na mnie ten trzeci, przez którego zwymiotowałam. Powiedział, że jak piętro wzgardziło, to parter nie wzgardzi. Tamci siedzieli obok, pili wódkę, śmiali się i dogadywali... a on wbijał się we mnie i wbijał i wbijał... Tamci się już znudzili i poszli... a on nie przestawał. Jęczałam z bólu i wlałam się pod nim... Nie wiem, ile to trwało. Godzinę, a może dłużej. Już mnie nawet nic nie bolało. Leżałam jakaś daleka... chyba zasnęłam. Kiedy się obudziłam, jego już nie było. Leżałam sama, chciałam wstać, nie mogłam. Nade mną wisiały chmury... Później zobaczyłam światło... i wiesz, co się stało?

Co?

- Ktoś przyszedł do mnie.

- Kto?

- Księżyc. I kochałam się z nim i było mi cudownie. Przysięgam ci, że to prawda. Nie wierzysz mi?

- Wierzę.

- Na pewno myślisz, że jestem wariatką...

- Ja też jestem wariatką - mówię. - Wszystkie jesteśmy wariatkami.

Jak cicho wszędzie. Chyba spałam. Coś mi się śniło... Już wiem.

Byłam modelką i występowałam z Ewunią w telewizji, w filmie reklamowym. Ale miałyśmy na sobie jakieś strasznie brudne, podarte szmaty. A to było w Londynie...

Jejku, jak gorąco. Ewunia śpi, wtulona we mnie. Jest cała spocona i ja też. Otworzyłabym drzwi na taras, ale nie chcę jej budzić.

Jestem szczęśliwa. Mam nareszcie kogoś bliskiego, kogoś, kto mnie

potrzebuje. Człowiek bardzo potrzebuje kogoś, kto go bardzo

potrzebuje. Och; wiem, jestem jej potrzebna po to, żeby ją zabić.

Więc cóż, trudno... zabiję moją najdroższą córeczkę. A potem

zabiję siebie i pójdziemy tam razem, trzymając się za ręce.

Jakaś dziwna poświata... To świeci zielonkawo mój szkielet pod

abazurem skóry. Mój szkielet, rusztowanie, na którym rozpięto

latawiec.

Przywiązana do kielbasy, drzę na końcu sznurka. Przyleci wicher, zerwie sznurek.

Dokąd mnie poniesie?

VI

Ale się mamusia zdziwi, jak się dowie, że nigdy nie zostanę krawcową. Będę zdawała do Liceum Ogólnokształcącego, razem z Ewą. Bardzo się bałam egzaminu, ale to nie z Ewą takie strachy. Mamy już wszystkie pytania i tematy prac pisemnych.

Skąd je wytrzasnęłyśmy?

Tajemnica Ewy.

A po maturze pójdę na filozofię. Zostanę profesorem filozofii, będę mądrzejsza nawet od Kasi Bogdańskiej. Wtedy jeszcze raz porozmawiam z nią o tych tajemnicach ludzkiego umysłu i o tych ciężarówkach z przyczepami.

Bogaci faceci to straszne snoby. Bardzo by takiemu ubliżyło, gdyby miał się ożenić ze szwaczką. Dla nich trzeba studiować jakiś egzotyczny kierunek, czym dziwniejszy i bardziej niezrozumiały, tym lepszy. A czy jest coś dziwniejszego na świecie od filozofii?

Bogaty facet to oczywiście tylko wyjście awaryjne, coś w rodzaju wyrzutni startowej. Przecież trzeba się jakoś usamodzielnąć, uwolnić od rodziny, tego biednego stadka kaczątek taplającego się w sadzawce od pierwszego do pierwszego. Muszę być chytra, żeby ich oszukać, bo wiem, że zrobią wszystko, żeby nie pozwolić mi rozwinąć skrzydeł i odfrunąć. No bo kto im poda szklanekę herbaty na starość?

Nie bójcie się, przyślę wam z daleka cały termos, i to ze złota.

Może kiedyś zrozumieją, że miałam rację. Chociaż... znając mamusię, to myślę, że nigdy mi nie wybaczy, że nie poszłam w jej ślady, że moje życie nie będzie kopią jej życia.

A takiego bogatego faceta to bardzo łatwo pozbyć się po ślubie.

Wystarczy napuścić na niego moją Ewunię i w odpowiednim momencie pstryknąć z ukrycia śliczne, kolorowe zdjęcie. Ewunia poderwie nawet kardynała po osiemdziesiątce, a co dopiero mego przyszłego, łyszego mężusia. Rozwód z jego winy, majątek pół na pół, i do widzenia, do nigdy nie zobaczenia się. Ale może wcale nie zechcę się rozwodzić...

Mama Ewy też poderwała jej tatusia dla pieniędzy, a teraz bardzo się kochają i są ze sobą szczęśliwi. Gdy się czasem spotkają przy obiedzie, to boki można zrywać ze śmiechu, tak fantastycznie ze sobą rozmawiają. Jest po prostu świetnie, gdy wszyscy siedzimy przy stole i gadamy to, co tylko ślina na język przyniesie. Zawsze myślałam, że nie umiem rozmawiać z dorosłymi. A to takie proste. Sama nie wiem, skąd mi się biorą te wszystkie słówka, które wypowiadam. Nigdy nie przypuszczałam, że jestem taka dowcipna i inteligentna. Niekiedy powiem coś takiego, że wszyscy tylko patrzą, żeby się nie udławić ze śmiechu.

Tak sobie myślę, że tajemnica poczucia humoru polega na tym, żeby niczym się nie przejmować i na wszystko patrzeć z daleka. Siedzimy w piątkę przy stole, a słówka jak iskierki latają nad nim. Nie wiedziałam, że są na świecie tak szczęśliwe i wesołe rodziny. Gdy jestem u Ewy w domu, a przebywam tu prawie bez przerwy, to czuję się tak, jakbym była z nimi od zawsze, jakbym się wśród nich urodziła. A oni traktują mnie tak, jakbym była ich córką i siostrą.

Mimi i Tutu są naprawdę cudowni. Zawsze uśmiechnięci, zawsze na luzie. Ewa, Michał i ja czujemy się z nimi tak, jakby byli naszymi rówieśnikami. A to, że obdarzamy ich szacunkiem, to nie dlatego, że są starsi, że tak trzeba... ale dlatego, że są od nas mądrzejsi i zawsze odrobinę bardziej szybcy. Chyba właśnie na tym polega autorytet. To wielkie szczęście mieć takich rodziców. Można im wszystko powiedzieć i we wszystkim się poradzić. Nie rozumiem,

dłaczego Ewa ich nie lubi. Nigdy jej nie zrozumie.

A jeśli chodzi o Michała, to oczywiście podkochuje się we mnie. On mnie też się dosyć podoba, jest taki szczupły i śliczny. I taki trochę nierealny. Ale Ewa mówi, że to fajtłapa i że nigdy nie wypłynie na szerokie wody. Więc tylko trenuję na nim podrywanie facetów, co bardzo mi się przyda na przyszłość. Gdy pomyślę, jak to na początku patrzył na mnie jak na jakąś smarkulę, to śmiać mi się chce. Ale jemu nie do śmiechu. Zrobię minę numer osiem i już cały błady. Ewa ponumerowała moje miny. Mówi, że ósemka rzuci na kolana każdego, kto by to nie był. Dałam się Michałowi pocałować tylko raz, a teraz trzymam go na leciutki dystans, więc coraz bardziej się we mnie zakochuje, i aż się boję, że potem nie będę umiała tego odkręcić, ale Ewa mówi, że każdą miłość można odkręcić. Nie chciałabym go skrzywdzić, nie chciałabym, żeby przeze mnie był smutny, bo bardzo go lubię. Na razie balansuję z nim na półtora metra od krawędzi dachu. Biedaczek.

Ale tak w ogóle to jest wesoło i wcale nie narzekam. Często bawimy się razem jego komputerem, nauczyłam się wielu fajnych gier. Kaśka też miała komputer, ale nie lubiła się z nim bawić.

Nauczyłam się też prowadzić motocykl. Nie komputerowy, prawdziwy. Yamahę Ewuni. Oczywiście nie jeżdżę na nim po szosach... ale jak tylko wjedziemy gdzieś w las, to zaraz się przesiadamy i szaleję po ścieżkach, aż Ewunia kłuje mnie brodą w plecy, żeby wolniej, żeby wolniej! A ja wtedy jeszcze szybciej, jeszcze szybciej.

To prawdziwy cud, że jeszcze żyjemy.

Tak łatwo odkręcić do końca manetkę gazu.

Bo ja to sobie myślę tak. Jak mamy żyć, to będziemy żyć, a jak się mamy rozwalić na drzewie, to się rozwalimy. Ewunia w zasadzie podziela mój pogląd na te sprawy, ale okropnie boi się oszpeceń twarzy. Wtedy ją pocieszam, że z reguły pasażer ginie na miejscu.

A Ewunia na to, że lepiej poczekać z tym koksem do trzeciego liftingu.

Świetna rzecz, ten lifting. Można mieć pięćdziesiąt kilka lat, a wyglądać jak młoda dziewczyna. Tak więc mamy przed sobą czterdzieści lat młodości. Oczywiście pod warunkiem, że się będzie miało pieniądze, dużo pieniędzy, i to nie złotych. Więc, niestety, trzeba się uczyć angielskiego, bo prawdziwie bogaci faceci nie mówią ani po polsku, ani po rosyjsku.

Ale jeśli uda nam się zostać wziętymi modelkami, to niech się te wszystkie grube ryby wypchają swoimi funtami i dolarami. Będziemy miały własne, przez nas zarobione. Wtedy będą mogli sobie nas co najwyżej polizać przez szybę telewizora, albo na okładce.

Najważniejsze, to się stąd wyrwać. I jeśli się sprzedac, to jak najdrożej. I jeśli potem uciec, to z workiem pieniędzy.

Ewunia ma świętą rację.

Pieniądze wcale nie są najważniejsze, ale pod warunkiem, że się je ma. Najcudowniejsze w tym jest to, że już teraz to wiem, w wieku piętnastu lat, bo gdybym doszła do takiego wniosku po czterdziestce, jak wiele idiotek, to mogłabym się co najwyżej ugryźć w cipkę i tak zostać, z mężem kapciem na karku i bandą dzieciaków, z których każde chce dzinsy za dwadzieścia parę dolarów, a ja tymczasem mam pięćdziesiąt tysięcy złotych do pierwszego i muszę kombinować, żebyśmy wszyscy z głodu nie zdechli.

Wystarczy popatrzeć na moją mamusię, na te sto kilo słoniny i miss żylaków. Przecież jeszcze dwadzieścia lat temu była śliczną, szczuplutką dziewczyną. Co to się z nią stało? Gdzie zniknęła tamta śliczna dziewczyna?

O nie, nie będę biegła w tej samej sztafecie, co ona. Nikt mnie do tego nie zmusi. To dzięki Ewuni wiem to wszystko, co wiem, choć mam też wrażenie, że wiedziałam o tym od zawsze. Czy to tak trudno pomyśleć, gdy jest się odrobinę inteligentną i do tego piękną? Jak ja o sobie nie pomyślę, to kto o mnie pomyśli?

Choćbym miała przepłynąć żabką wszystkie morza i wszystkie oceany... muszę dostać się na wysepkę, gdzie mieszkają bogaci. I inteligentni, bo wszyscy bogaci są inteligentni, a jeśli ktoś jest inteligentny i biedny, to widocznie wcale nie jest taki inteligentny.

To prawdziwe dla mnie szczęście, że spotkałam Ewunię i zaprzyjaźniłam się z jej rodziną, bo zrozumiałam nareszcie, jak jest na tym świecie naprawdę. Bogaci i inteligentni trzymają ze sobą i pomagają sobie, bo jest ich mało, a miliardy głupich biedaków gryzą się między sobą w kolejkach i wszędzie. Tak było zawsze, i tak zawsze będzie na tym świecie i już tylko gorzej może być, bo coraz więcej na ziemi ludzi, a coraz mniej do rozdania między nich. Więc trzeba się nachapać póki co, bo ma się tylko jedno życie. A może do tego jeszcze bardzo krótkie?

Kto wie..

Kto wie... może za pięć minut, a może zaraz skręcę kierownicę w lewo i pocałuję jakieś drzewo z szybkością stu kilometrów na godzinę? I tam, gdzie teraz ryk motoru, będzie cisza, świergot ptaszków i dwie śliczne dziewczyny w czerwonej kałuży. Nieżywe i nagie.

Bo jedziemy po lesie nago, całkiem nago.

Dwie nagie panny Twardowskie na czarnej, japońskiej miotle z zakrytą tablicą rejestracyjną przelatują teraz przez wioskę z piekielnym rykiem silnika, w kłębach kurzu i niebieskiego dymu. To niesamowite, że można być taką realistką, a jednocześnie tak bardzo szaloną. Bo Ewunia jest całkiem szalona, teraz to wiem... i żeby nie oszalała do samego końca, muszę być jeszcze bardziej szaloną, niż ona.

A może wszystkie dziewczynki w naszym wieku są szalone?

Kasia przecież też była szalona.

A Magda to nie szalona? Chodzi po kryjomu do jednego pana, który ma siedemdziesiąt sześć lat. Taki ohydny, elegancki staruch w białym garniturze, w kapeluszu i z laską. Jak mi go kiedyś Ewa pokazała na ulicy, to nie mogłam długo uwierzyć, że Magda chodzi do niego do domu, przebiera się w różową halkę i pończochy z gumkami na pasku, i daje mu się lizać po cipce.

A zaczęło się to tak, że dwa lata temu prowadziła szkolny sklepik, ale zjadła więcej czekolad, niż ich sprzedała i miała straszne manko, a wtedy jedna jej koleżanka ze starszej klasy powiedziała w tajemnicy, że jest jeden taki pan, który płaci dwa dolary, jak mu się jakaś dziewczynka da polizać. Zaprowadziła ją do niego. Magda mu się bardzo spodobała i chodziła do niego trzy razy w tygodniu.

I w ciągu miesiąca miała w sklepiku superatę. Potem ten stary zbiedniał, bo mu umarł brat z Ameryki, a żona brata już nie przysyłała mu dolarów. Więc od pół roku nie może Magdzie płacić, a ona mimo to przychodzi do niego i daje mu się lizać za darmo.

A Klaudia... czyż nie jest szalona?

No, może trochę mniej, albo po prostu inaczej, ale jest przecież starsza od nas o rok.

A Bogusia, której nie znam, bo leży w szpitalu.. ta to dopiero była szalona. Skoczyła na nartach z dużej Krokwi i może już do końca życia będzie kaleką. Była największą przyjaciółką Klaudii i to właśnie ona wymyśliła te słynne "chwile, w których dziewczynki mogą być naprawdę sobą"

Bardzo chciałam się dowiedzieć, na czym polega ta gra, więc któregoś dnia Ewa zaprowadziła mnie do domku Klaudii. Ona ma prapradziadka, który jest emerytowanym pułkownikiem. Ma dziewięćdziesiąt lat, walczył w Tobruku i pod Monte Cassino. Teraz jest ślepy i ciągle przesiaduje w fotelu na kółkach. I bardzo lubi, jak ktoś go odwiedzi w jego pokoju, bo się wtedy nie nudzi i może opowiadać o wojnie. Więc poszliśmy do niego we trzy, piłyśmy czekoladę, a on nam opowiadał bardzo ciekawe historie. Aż żałowałam, że nie przyszłam z Tadiem, bo on bardzo lubi słuchać o

różnych wojnach. Nagle, patrzę... Ewa podciąga bluzkę i zaczyna trząść gołymi cycuszkami. A prapradziadek opowiada i nic nie widzi, bo ślepy. I mówi do Klaudii, żeby przyniosła z szafy jego szablę i ordery. To Klaudia mu przynosi te ordery i szablę, ale po drodze ściąga dzinsy i majtki. Idąc, wypina do nas gołą pupę. Ta z gołą pupą... Ewka z cyckami na wierzchu.. to co miałam zrobić? Wszystko z siebie zdjęłam. Prapradziadek wymacał order po orderze i mówił, że ten dostał za to, a tamten za tamto, a ja włożyłam na głowę jego wojskową czapkę i przypasałam do boku jego szablę. Ewka z Klaudią na ten widok dostały ataku i pod jakimś pretekstem uciekły z pokoju, więc siedziałam z prapradziadkiem zupełnie goła, tylko w czapce i z szablą na rapciach u boku, a on opowiadał o tym, jak to miał trzech największych przyjaciół i wszyscy trzej zginęli tego samego dnia. Opowiadał, a spod ciemnych okularów ciekły mu łzy.

W ten sposób dowiedziałam się, co to są te "chwile, w których dziewczynki mogą być naprawdę sobą". I proszę, czyż Klaudia nie jest szalona? Tak się wyśmiewać ze starszego człowieka... i do tego z własnego prapradziadka?

Albo szalona, albo zwykła świnią.

A ja wcale nie jestem lepsza. Jestem taka sama świnią, jak ona. Niedawno wyraziłam się brzydtko o mojej mamusi do innej osoby. A było to tak.

Przyjechał do Michała kumpel. Kiedyś chodzili razem do szkoły, a potem Julek wyjechał z rodzicami do Austrii i odwiedził Polskę dopiero po siedmiu latach. Miał fantastyczny samochód i sam też był całkiem, całkiem, więc założyłyśmy się z Ewą, która szybciej go poderwie. Ale tak, żeby się na śmierć zabujał. I ja wygrałam, bo zanim Ewa zdążyła otworzyć usta, złapałam go za rękę i wyciągnęłam do ogrodu. Powiedziałam jak ostatnia chamka, że moim największym i jedynym marzeniem jest przejażdżka jego samochodem tylko we dwoje. On się od razu poczuł strasznie ważny, że tak na niego lecę i łaskawie mnie zaprosił na krótką przejażdżkę. I pojechaliśmy, chociaż Ewa i Michał byli na mnie okropnie wściekli. Julek jedną ręką prowadził, a drugą trzymał mnie za kolano i na pewno kombinował, w którym rowie po drodze mnie zaliczyć. Ale ja się wcale nie bałam, bo wiedziałam, że jestem silniejsza od wszystkich facetów na świecie i wystarczy mi tylko pstryknąć, żeby który zniknął. Powiedziałam mu, że mam ochotę na ciastko. Zatrzymaliśmy się obok najbliższej kawiarni, to już było w Wałbrzychu. Wsiadamy, a tu naraz ktoś woła:

- Marysia!

Oglądam się, a to moja mamusia z Tadzkiem idą od rynku. Bo akurat było po pierwszym i mamusia wybrała się do miasta, żeby Tadzkiowi jakie sandały kupić. Udałam, że nie słyszę, cofnęłam się do samochodu i odjechaliśmy szybko. Julek kapnął się po mojej minie, że coś było nie tak, i zapytał, co to za baba mnie wołała.

A ja wtedy powiedziałam od niechcenia: - To była nasza służąca.

Właśnie tak powiedziałam o mojej mamusi. Potem pojechaliśmy w stronę Książa i chodziliśmy po lesie. Julek bez swojego samochodu zrobił się okropnie nieśmiały. A może zrobił się taki dlatego, że ja byłam poważna, bo myślałam o mojej mamusi, i o tym, że tak o niej powiedziałam. W końcu sobie przypomniałam o zakładzie z Ewką i doprawdy, ile ja się musiałam namęczyć, żeby zdecydował mnie pocałować. A jak mnie całował, to przejechałam palcami po jego dzinsach, w tym miejscu, które każdy facet uważa za najważniejsze. Od razu zrobił się strasznie śmiały, to musiałam go ostudzić, bo w zakładzie nie chodziło o stosunek, tylko o miłość. Wystarczyło trochę ironii, jakieś cięte słówko, spojrzenie z uniesieniem brwi, i z powrotem stał się nieśmiały, niezgrabny i jakiś zły. A wtedy znowu stałam się delikatna i czuła.

- Za bardzo mi się podobasz - powiedziałam tajemniczo i odeszłam w

stronę samochodu. Gdy jechaliśmy z powrotem, byłam wesoła i straszliwie błyskotliwa, więc zanim dojechaliśmy do Szczawna, Julek poczuł się ostatnim debilem przy najinteligentniejszej dziewczynie świata. Dopiero przed willą Bogdajów dotknęłam go tam znowu i zagryzłam wargi.. i zadrżałam na całym ciele.

- Tak się ciebie boję - jęknęłam i był mój. Gdybym to z nim kontynuowała, już po tygodniu byłby wycieraczką w mojej komórce na węgiel. Wchodzimy do domu, Ewa spogląda i wie, że przegrała. Michał pije już czwartą puszkę piwa i się nie odzywa. - Nie wiem jak wy - mówię - ale jeśli chodzi o mnie, to zjadłabym całą miednicę lodów.

Na te słowa Julek kopnął się do łazienki, złapał wielką, plastikową miednicę, wskoczył z nią do samochodu i po dziesięciu minutach, ryzykując życiem na zakrętach, był z powrotem z miednicą wypełnioną po brzegi lodami z najlepszej cukierni w Wałbrzychu. Michał powitał go serdecznie, bo zdążyliśmy go z Ewunią oświecić co do istoty zakładu. Zjedliśmy trochę tych lodów, resztę wynieśliśmy psom do ogrodu, a fundatora wzięła w swoje obroty Ewunia, bo w międzyczasie założyłyśmy się znów. Tym razem o to, czy Ewuni uda się odbić go mnie. Powiedziała, że musi mu coś pokazać w swoim pokoju... On rzucił ku mnie tęskne, rozkochane spojrzenie, ale nie wypadało mu odmówić i poszedł za nią. Zdążyliśmy rozegrać z Michałem mały mecz na komputerze, gdy wrócili. O dziwo, Julek już na mnie nie patrzył, tylko wgapiał się w Ewunię gałami jak talerze oglądane przez szkło powiększające, bo zakochał się w niej na śmierć i wyjechał ze świętym postanowieniem, że za rok, gdy Ewunia skończy szesnaście lat, to przyjedzie do niego do Wiednia i wezmą ślub. Później jej przysłał ze trzy telegramy o treści: "Tylko Ty, Ty, Ty. Julek", ale Ewa nie odpowiedziała na żaden, a gdy zadzwonił, to powiedziała mu przez telefon, że to był tylko taki zakład między nami i dał jej spokój całkowicie załamany. W dodatku obraził się na Michała.

I pomyśleć, że nawet nie dała mu się pocałować. Przez pół godziny gadali o różnych straszliwych perwersjach, to znaczy Ewunia gadała, a on słuchał cały błady i spocony, jakie to dziwne rzeczy chodzą jej pod kopułą... Ewka, wiadomo. Umie mówić o tym niesłychanie konkretnie, a jednocześnie nie wiadomo, o co w ogóle chodzi. W końcu nic się nie wie, oprócz jednego, że to wszystko jest cudowne.

Takich smarkaczy nie oplaca się podrywać. Nie minie miesiąc, a już im się wydaje, że jeśli podobają się takiej ślicznej dziewczynie, to będą podobać się milionom innych, ślicznych dziewcząt, i zanim się przekonają, że nie tak łatwo o śliczną i mądrą dziewczynę, to akurat zaczynają łysieć i rośnie im brzuch. Wtedy najlepiej takiego ustrzelić i przywiązać do siebie na całe życie, czyli do rozwodu. Ene due ryke fake torba borba usme smake deus deus kosmadeus bax.

Na kogo wypadnie, tego bęc!

Nie warto być uczciwą.

Kiedyś mówiłam wszystkim o wszystkim, zeznawałam całą prawdę, jaka by ona nie była. Ale to było kiedyś, kiedyś, i już nie jestem taka głupia.

Byłam dobra i mówiłam prawdę, a mamusia nigdy nie powiedziała mi choć jednego dobrego słowa, ani razu mnie nie pochwaliła. A teraz... Teraz jest mną zachwycona, bo jestem przy niej zawsze poważna i wygłaszam życiowe maksyminy z poradnika praktycznej idiotki. Inna rzecz, że prawie mnie nie ma w domu. Wychodzę rano do szkoły, przyjeżdżam późnym wieczorem.

Podobno egzaminy do szkoły odzieżowej będą bardzo trudne, bo bardzo dużo kandydatów, a ponieważ koleżanka jest bogata i ciągle przesiaduje u niej korepetytor, to korzystam z okazji i łapię, ile się da. W związku z tym musiałam nawet zrezygnować z żalem z prób

do akademii na zakończenie roku...

No i której słabo sytuowanej mamusi nie spodobałaby się taka wypowiedź jej rozsądnej córeczki? Nie lubię przychodzić do domu. Bo jest mi ich strasznie żal. To nie jest życie, to wegetacja. Może kiedyś uda mi się ich uratować. Ale muszę być bardzo, bardzo bogata.

Kocham ich wszystkich. Zresztą... czy ja wiem? Jest miłość do własnej rodziny, i jest obowiązek kochania własnej rodziny. Jedno z drugim długo nie ma nic wspólnego, aż nagle, któregoś dnia, stają się tym samym, i już nigdy nie dowiem się, jak jest naprawdę. Więc najlepiej przyjąć to pierwsze i mieć problem z głowy.

Płynie przeze mnie podziemna rzeka. Jest perłowa i chłodna. Lśni radością, a radość jest światłem, które oświetli każdą najciemniejszą i największą jaskinię. Będę robiła tylko to, co chcę robić. Ja sama przeżyję własne życie, nie pozwolę nikomu przeżyć go moim kosztem i przybiję do brzegu w tym tylko miejscu, w którym zechcę przybić.

Kiedy człowiek rodzi się, razem z nim rodzi się świat. Świat istnieje dla niego. Tylko dla niego.

Więc muszę zmusić świat, żeby mi służył. Nie wolno dać mi się ogłupić tymi wszystkimi morałami, bo wymyślili je silni dla słabych, żeby im służyli. Muszę być silna i mądra. I niekiedy ustąpić, ale ustąpić tylko po to, żeby tym mocniej po chwili uderzyć. Nie patrzeć na nic, nie oglądać się do tyłu, tylko uderzyć ze wszystkich sił. I walczyć, dopóki nie przyjdą robaki. Zimne ostrze mojej angielskiej finki.

Dostałam ją w prezencie od Ewuni. Ja i moja finka przesuwamy się powolutku po nagim ciele mojej przyjaciółki. Tu jest jej serduszko, a tutaj jej brzuszek.

Jeździmy tam i z powrotem. Znowu jesteśmy przy sercu. Koniuszek finki zagłębia się w ciało. Wargi Ewuni drżą. Czy to już teraz?

Nie wie tego ona, ani ja nie wiem.

Tylko Pimpuś to wie.

Mój Pimpuś, który czai się we mnie, udając, że śpi. Wiem, że udaje, bo czemu czuję w sobie ciągle jego szkliste, nieruchome ślepie... Czuję je w brzuchu i wszędzie. A nieraz czuję je w oczach. Wtedy nie ja patrzę, to on, Pimpuś, przeze mnie wygląda na świat. A niekiedy czuję go w swoich myślach i już nie wiem, czy to jeszcze JA myślę, czy to już ON za mnie myśli. Lecz dopóki myślę "on" i "ja", to chyba znaczy, że to jeszcze ja... Boję się go, bo wiem, że gdy uzna za stosowne udać, że się obudził, będę musiała słuchać go we wszystkim.

Co mi rozkaże? A skąd mam to wiedzieć?

A jeszcze bardziej niż ja boi się go Ewunia. Nie zna go tak jak ja, chociaż i ja tak malutko go znam, tak malutko, że prawie wcale. Ona tylko domyśla się jego obecności, gdy tak kłęczą przede mną, zawieszona na ostrzu finki.

Pstryk!

- Zrobione! - woła Ewka i biegnie do aparatu, który sam zrobił nam zdjęcie.

Potem Michał robi z tego duże, kolorowe powiększenie.

Na pustej łące kłęczą naga dziewczyna. Nad nią stoi postać w czarnym, skórzanym kombinezonie i w czarnym kasku z przyciemnioną szybą. Łąka jest szarawa, a niebo czerwonawe, w smugach ciemnych dymów. Błyszczy ostrze finki na piersi dziewczyny.

Siedzimy i podziwiamy, że taka piękna fotografia.

- Eee, wolałbym, żeby to Majka kłęczała po nagu - mówi Michał.

A Ewa: - Nie dla psa kielbasa.

- Ona cię obraża - mówię do Michała.

- Hau, hau, nic nie szkodzi, ciebie też obrażała - mówi Michał.

Oblizuje się i patrzy na mnie, jak na kielbasę.

- Po prostu stwierdziła fakt - mówię. - Przecież jestem kielbasą.

Wałbrzyska luksusowa, trzy sześćset kilogram.

- Chętnie kupię cały krędział - mówi Michał. - Ile ważysz?

- Pięćdziesiąt kilo - mówię.

Michał łapie kalkulator i oznajmia po chwili:

- Sto osiemdziesiąt tysięcy. Kupuję.

Ewa śmieje się.

- Ale to sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów, chamie. W tym sklepie kupuje się tylko za zielone. Odejdź stąd dziadu ze swoim workiem, bo tarasujesz ladę!

- W takim razie poproszę trzy kilo tej rąbki - mówi Michał i pokazuje palcem na Ewę. Parskamy śmiechem.

- O proszę - mówi Ewa - tak to jest, jak się wpuści chama do sklepu.

- A jeśli chodzi o ścisłość - mówię - to ważę tylko czterdzieści dwa.

- Bo jesteś glista - mówi Ewa.

- A ty kapusta - mówię.

- A ja? Kim ja jestem? - pyta Michał.

- Jesteś natrętna śrubka - mówię.

- A ty nakrętka.

- A ja jestem znudzona - mówi Ewa i ostentacyjnie ziewa. -

Przecież robiłyśmy jeszcze inne zdjęcia...

- Jeszcze tylko jedno - mówi Michał - ale zrobiłem z tego pocztówkę, bo nic ciekawego.

I daje nam małą odbitkę, na której pełno dziewczynek w białych sukienkach od komunii świętej. Ewa zrobiła to zdjęcie w Świebodzicach, bo jak przejeżdżałyśmy, to natknęłyśmy się na procesję.

Akurat było Boże Ciało.

Musiałymy czekać, aż przewali się cała ludność miasteczka.

Siedziałyśmy na czarnym motorze, w czarnych skórkach, w lśniących kaskach, z twarzami ukrytymi za woalkami ciemnych szybek. Przed nami defilowały tysiące ludzi i wszyscy się na nas gapili. Na pewno myśleli o nas, że to dwa diabły, a to na diablice patrzyli.

Szli przed nami i szli. Stuknęłam kaskiem o kask Ewy i powiedziałam:

- To tchórze. Oni tak tu idą, bo boją się piekła.

Ewunia zaśmiała się cicho, odstuknęła.

- Głuptasy - powiedziała. - I tak się wszyscy w niebie nie mieszcza.

Włączyła silnik i zawróciłyśmy z warkotem.

Próbowaliśmy objechać procesję, ale procesja była szybsza i gdy dojechałyśmy do jej czoła, to właśnie szły dziewczynki i sypały płatkami kwiatków z koszyczków. Ewunia zdjęła kask i zrobiła im zdjęcie swoim Nikonem. To ja też zdjęłam kask, bo dzień był gorący, a procesja zapowiadała się na nieskończoną.

Patrzyłam na dziewczynki w długich, białych sukienkach i miałam w ustach smak tamtego dnia sprzed sześciu lat, gdy to ja tak szłam w procesji i rzucałam płatki różyczek na drogę... Słyszałam szelest mojej białej sukienki. Pamiętam, że chciałam wtedy tak iść i iść, i żeby to się nigdy nie skończyło, tylko żebym tak szła i szła w białej sukience i sypała płatki róż przez całe życie w chórach i w dźwięku dzwoneczków.

Siedziałyśmy na czarnym motorze w naszych czarnych, skórzanych kombinezonach, a wszyscy faceci gapili się na nas, ale już zupełnie inaczej się gapili, niż wtedy, gdy jeszcze nie zdjęłyśmy kasków. Pocili się w swoich garniturach, śpiewali i gapili się, a ich baby rzucały nam ponure spojrzenia spode łba. Nagle zrobiła się przerwa między grupami. Ewunia zapaliła silnik i przeleciałyśmy z rykiem na drugą stronę skrzyżowania. Po kilkunastu minutach pojawił się przed nami Wałbrzych z niebem zasnutym ciemnymi dymami, jedno z dwunastu najbrudniejszych miast świata. Jest w tej dwunastce w nie byle jakim towarzystwie. Bo

jest tu Łódź, i Warszawa i Manchester, i Detroit...

- Zapomniałaś o Zabrzu - mówi Michał. Daję mu buzi w ucho i proszę go, żeby już spływał, bo chcemy się trochę pouczyć. Musimy wkuć na pamięć nasze prace pisemne na egzamin do liceum. Z matematyki napisał nam je właśnie Michał, a z polskiego jego kumpel, studiujący filologię we Wrocławiu.

Wracam do domu dobrze po ósmej. Tadzio odwraca się od telewizora i mówi:

- List do ciebie przyszedł. Ekspres, ale miejscowy.

- Gdzie jest? - pytam. Tadzio pokazuje głową na półkę w segmencie.

Biorę list i lecę do mojego pokoiku. Na kopercie nie ma nadawcy. Rozrywam ją.. a to kulfony Kasi.

"Najdroższa, Kochana Minko. Jeśli potrafisz mi przebaczyć, to bardzo Cię proszę, przebacz mi. Nigdy za nikim nie tęskniłam tak, jak za Tobą. Błagam Cię, przyjdź do mnie, jak tylko dostaniesz ten list. Już wróciłam z Sobótki, ale Karolina nie chce mnie wypuścić z łóżka, bo jestem jeszcze chora i dlatego nie mogę sama do Ciebie przyjść. Wiem, że strasznie zawiniłam wobec Ciebie, ale proszę, nie gniewaj się. Byłam bardzo nieszczęśliwa i może dlatego tak się stało między nami. Więc przebacz mi, a jak nie możesz mi przebaczyć, to chociaż przyjdź i mi to powiedz. Tak bardzo chcę zobaczyć Twoją najdroższą buzię. Tęsknię za Tobą i czekam na Ciebie przez cały czas.

- Katarzyna

P.S. Proszę, przyjdź."

Popłakałam się i nie spałam przez ten list pół nocy.

Wzięłam go ze sobą do szkoły i przez wszystkie lekcje nosiłam w kieszeni sukienki i ciągle wsadzałam tam rękę i dotykałam koperty... ale nie poszłam do Kasi. Nie poszłam i już.

Wieczorem, wystrojone jak lalki, wzięłyśmy Michała i pojechaliśmy samochodem na dyskotekę. Wypiłyśmy po dwie lampki wina i zebrało nam się na wygłupy, aż Michał zdenerwował się na nas i poprosił do tańca jakąś ponurą, milczącą idiotkę z rozczochranymi kudłami w kolorze lilaróż. A do nas przyczepiło się dwóch dziwnych ludzi z hotelu robotniczego. Chcieli z nami tańczyć, taką śmieszną gwarą mówili... - Bardzo mię psikro - odpowiedziała Ewuńka, naśladując trochę ich wymowę - ale mię sie proteza odkręciła.

- Chooo, nie pierdziel - powiedział jeden z nich i złapał ją za rękę i zaczął ciągnąć. To wzięłam ze stołu butelkę po coca-coli i trzasnęłam go nią z całej siły w twarz. Przewrócił się i zanim się podniósł, był już przy nas Michał. Ale na sali było pełno chłopaków z hotelu i nie mogli w spokoju patrzeć, jak jakiś facet załatwia im kumpla. Więc musieliśmy się ratować ucieczką, bo nie ma takiej możliwości w przyrodzie, żeby jeden początkujący karateka poradził sobie z dziesięcioma młodymi górnikiemami.

Ewa prowadziła samochód, a my z Michałem siedzieliśmy z tyłu i ja całowałam go w podbite oko, a on trzymał mi rękę na udzie pod spódniczką i był bardzo zadowolony z całej tej afery. A ja przez cały czas myślałam o zapomnianych gestach. Nie mam najmniejszego pojęcia, dlaczego właśnie to mi się przypomniało...

Zapomniane Gesty.

Kasia kiedyś czytała o tym w jednej ze swoich mądrych książek i zaraz mi opowiedziała. To te wszystkie ludzkie czynności, które kiedyś były bardzo popularne, a teraz już nikt ich nie wykonuje.

Na przykład gest osłaniania dłonią świecy, gdy się idzie

korytarzem pełnym przeciągów... Albo gest wyciągania szpady.

Uchylenie kapelusza... Podciąganie długiej sukni przy wchodzeniu

na schody... Te wszystkie gesty towarzyszące ludziom przez setki

lat. Niektóre z nich poszły w zupełną odставку, a niektóre właśnie

tam idą. Jest ich na pewno dużo więcej, ale jakoś nie mogliśmy z

Kasią ich sobie przypomnieć, chociaż miałyśmy wrażenie, że pamięć o nich jest tuż, tuż, na końcu języka. Kasia mówiła, że to błąkają

się nam w główkach wyblakłe wspomnienia z poprzednich inkarnacji. W każdym bądź razie bardzo mi tych zapomnianych gestów żal, bo przecież one są jak kwiaty, których nikt nie podlewa, więc więdną w zapomnieniu i ciszy.

Na drugi dzień też nie poszłam do Kasi, tylko że ciągle nosiłam przy sobie jej list, aż mi go Ewka wyciągnęła z kieszeni, bo wystawał rozek.

Zaraz go przeczytała.

- Kiedy go dostałaś?

- Przedwczoraj.

- Ale nie poszłaś do niej, prawda?

- Nie.

- Co ona ci zrobiła, że tak błaga o przebaczenie?

- Nic mi nie zrobiła, Po prostu... wyprowadziła mnie na ludzi.

Razem mnie wyprowadziłyście.

- Nie rozumiem.

- Wszystkiego nie musisz rozumieć.

- Ale nie pójdziesz do niej?

- Zgłupiałas?

- Cudna jesteś.

Ewunia zaśmiała się, popatrzyła na list i zadeklamowała z uczuciem:

- "Najdroższa, kochana Minko. Jeśli potrafisz mi przebaczyć, to bardzo cię proszę, przebacz mi!!!"...

Złapała się z przesadą za serce i zawiesiła na mnie błagalne spojrzenie. Zaśmiałam się i wyrwałam jej list. I moje oczy zobaczyły, jak moje ręce drą list na drobne kawałki i wyrzucają go do kosza.

Później otworzyłam szafę i wzięłam stamtąd jakiś pasek od sukienki. Odwróciłam się do Ewy i powiedziałam rozkazująco:

- Chodź tu!

Podeszła, ociągając się.

- Nie... proszę. Nie...

- Odwróć się.

Wykręciłam do tyłu jej ręce i skrępowalam je w przegubach. Mocno, na wiele węzłów, żeby nie mogła się uwolnić. Pchnęłam ją na dywan, usiadłam okrakiem na jej brzuchu. Rozpięłam powoli guziczki jej bluzki. Patrząc na mnie nieprzytomnym wzrokiem, drżała i jęczała cicho.

- Dżamajka - szepnęła - Dżamajka...

Wtedy wyciągnęłam finkę. W jej oczy wróciła przytomność, rozszerzyła je śmiertelnym przerażeniem. Szarpnęła się pode mną.

A moje usta powiedziały:

- To stanie się teraz.

- Błagam cię, jeszcze nie! Przecież mi obiecałaś, że w tym roku jeszcze nie!

- Obiecanki, cacanki - powiedziałam ze smutnym uśmiechem. Wolną ręką pogłaskałam ją po twarzy. - Żegnaj, Ewuniu.

Zagryzła w rozpacz usta. Znieruchomiała.

- Żebyś tylko trafiła...

- Nie bój się, trafię - powiedziałam. - I zamknij oczy.

- Do zobaczenia - szepnęła i przymknęła powieki. Polizałam ostrze mojej finki i czując w ustach smak krwi z rozciętego języka, uniosłam rękę. Nagle Ewa zatrzęsa się, spojrzała na mnie i już było za późno, już nie mogłam uderzyć. Odrzuciłam finkę, pochyliłam się nad Ewunią. Krew z moich ust kapiała na jej wargi, a ona zlizywała ją i połykała.

Pocałowałam ją. Piła teraz krew wprost z moich ust, jak pisklaczek, co wydziobuje glistę z otwartego dziobka swojej mamusi.

- Stchórzyłaś - szepnęła.

- Ty też.

- Następnym razem nie stchórzę.

- Ani ja.

Całą noc bolał mnie zraniony język i jak przyszedłam do szkoły, to strasznie sepleniłam. To Ewunia, żeby mi było różniej, też zaczęła seplenić. Magda zaczęła seplenić i Klaudia. Zaraziła się od nas cała klasa, i wszyscy chodzili i seplenili. Zaraza seplenienia błyskawicznie rozeszła się po całej szkole i teraz nawet nauczyciele seplenią. To już ostatnie dni szkoły i wszędzie, w klasach i na korytarzach, pachnie wakacjami. Jest duża przerwa. Siedzę sama w klasie, czytam książkę. Słyszę, że ktoś wchodzi. Podnoszę oczy... i widzę panią Karolinę, mamusię Kasi.

Podchodzi do mnie z uśmiechem. To mówię:

- Dzień dobry pani.

- Cześć, Minka - mówi i siada w ławce, obok mnie. - Nie chciałabyś odwiedzić Katarzyny?

- Właśnie się wybierałam - mówię, a serce wali mi jak kafar.

- Nie gniewaj się na nią. Ona to strasznie przeżyła. Czekala tyle lat, żeby się z nim zobaczyć, i nie doczekała się...

- A co się stało?

- Umarł jej ojciec.

- Kiedy?

- To ty nic nie wiedziałas?

- Nie! Skąd miałam wiedzieć?

- Dowiedziałyśmy się jakieś dwa tygodnie temu - mówi pani Karolina.

Dwa tygodnie temu... To było wtedy. Wtedy, gdy szukałam jej w deszczu po całym mieście. Więc to było wtedy, gdy znalazłam ją w kościele. Boże, więc to było wtedy.

Wstaję i zaczynam pakować książki.

- Już idę - mówię.

- Nie masz już lekcji?

- Mam, ale to nie szkodzi, już nie pytają.

- W takim razie podwiozę cię.

Idziemy rozwrzeszczanym korytarzem, a ja rozglądam się, czy nie ma tu gdzieś Ewy. Nie widzę jej, to dobrze. Na pewno poszły z Klaudią palić papierosy.

Z bijącym sercem wchodzę do pokoju Kasi.

Ona śpi. Śpi w swojej czerwonej piżamce w kwiatuszki. Siadam na brzegu łóżka i patrzę na nią. Jej szczupłutka buzia cała piegowata.

Więc to jest moja Kasia. Jaka śmieszna, jaka śliczna. Jest śliczna, choć nie jest nawet ładna. Moja mała Kasienka. Słyszę, jak oddycha. Co jej się teraz może śnić? Może ja jej się śnię?

Śliczna moja, moja Kasia. Siedzę i patrzę. Tyle nocy o niej myślałam. A teraz jest tu, obok mnie, śpi, a ja w każdej chwili mogę wyciągnąć rękę i dotknąć jej.

Biedactwo, jak ona schudła.

A może była taka zawsze, tylko że ja nic nie widziałam. Nie umiałam patrzeć, chociaż patrzyłam. Co to się ze mną stało, że już nie jestem taka, jak kiedyś? Kiedyś, kiedyś, całe dwa tygodnie temu.

A więc tak wyglądasz, Kasiu, kochanie moje. Otwiera oczy, budzi się. Patrzy na mnie i widzę, że jej oczka robią się coraz bardziej mokre. I nagle krzyczy z radości, rzuca się na mnie, obejmuje mnie, spocona i gorąca. Przytulam ją mocno, och, więc tak wygląda prawdziwe szczęście. Szlochamy w swoich objęciach i nie możemy przestać, aż mija pięć minut, a może dziesięć. A może tylko minuta, a może sto lat.

Kasia ociera mi oczy brzeżkiem kołdry. Teraz ociera sobie.

Patrzymy na siebie i nie możemy się napatrzeć.

- Jaka ty jesteś piękna - mówi Kasia - jaka dziwna.

Uśmiecham się. A Kasia: - Jak ty się zmieniłaś. Przecież ty jesteś

najpiękniejszą istotą na świecie. Ja się ciebie wstydzę...

Chowa buzię w koldrę.

- Minko, to na pewno jesteś ty?

- Tak, to na pewno ja - mówię. A może już nie ja? Skąd mam to wiedzieć? Kasia przytula się do mnie.

- Przebacz mi.

- To głupstwo. Już dawno zapomniałam. To jakby dziesięć lat minęło...

- Wiesz, że on umarł?

- Wiem.

Głaszczę ją po włosach. Moja mała. Tyle lat czekała, żeby się spotkać ze swoim tatusiem i już nigdy się nie spotkają.

- On był chory już od roku, ale nie chciał mnie martwić i nic mi nie mówił, i nic nie pisał o tym. Dlatego tak bardzo chciał, żebym przyjechała.

- Kasiu, tak bardzo za tobą tęskniłam.

Spogląda na mnie oczkami jak guziczki. Są jak zawsze podkrążone. Wyciąga rękę i dotyka mojej twarzy.

- Minka - mówi. - Minka.

- Gdybym wiedziała... - mówię.

- Nie wiem, jak to się stało, że całkiem nie zwariowałam - mówi

ona. - Chyba tylko moja kompozycja mnie uratowała. Bo postanowiłam, że muszę ją skomponować, zanim na resztę życia nie pójde do szpitala.

- I skomponowałaś?

- Tak. I to sama, bez pomocy Dzigiego. Zabiłam go, zabiłam go na śmierć.

- A muzyka?

- Teraz cała muzyka jest moją własnością.

- To cudownie.

- W ogóle nie spałam przez pięć dni i pięć nocy. I poplątało mi się wszystko... sen i rzeczywistość. A ty byłaś ze mną przez cały czas...

Ja?

- Tak, Minko. Czulałam cię wokół siebie i wszędzie. To, co grałam, było tobą. Ja też byłam tobą. Patrzyłam na swoje ręce i widziałam twoje ręce. I słyszałam twój głos, choć to ja mówiłam. Przebacz mi.

Kasia przytula buzię do mojej dłoni, całuje ją.

- Co mam ci przebaczyć? Już ci wszystko przebaczyłam.

- Nie, ty nic nie wiesz - mówi szybko Kasia. - Bo widzisz, ja jestem taka zła, taka chłodna, że nawet cierpieć nie umiem. Gdy umarł tatuś, to wcale nie cierpiałam, tylko byłam zła na niego, że umarł, że już nie wysłucha mojej kompozycji. I że już nie mam dla kogo jej tworzyć. I byłam tak pusta, tak pusta... nie miałam w sobie nic, oprócz złości, bezsilnej, pustej złości. I dopiero, kiedy cię zobaczyłam, tam, przed kościołem, na ziemi, wyjąca z bólu... kiedy zrozumiałam, co ja ci zrobiłam... ta złość we mnie zniknęła. Twoje cierpienie uleczyło mnie. Uciekłam od ciebie, bo nie mogłam patrzeć na twoje łzy. Ale twój płacz gonił za mną i ciągle go słyszałam. Już nie miałam w sobie złości, twój płacz miałam w sobie. Włazłam w klawisze i zaczęłam grać, żeby to zagłuszyć... I aż się przestraszyłam, bo to, co grałam, było tak piękne, tak piękne... i tak potężne... To był początek mojej kompozycji. Zadzwoiłam po Karolinę, żeby natychmiast przyjechała i zawiozła mnie ze sprzętem do Sobótki, do babci. Potem było te pięć dni i nocy, a potem bardzo się rozchorowałam. Byłam w szpitalu, potem leżałam w domu... i cały czas bałam się o ciebie i nic nie mogłam zrobić, bo Karolina nie chciała mnie wypuścić... Kasia przerywa. Siedzi przede mną z podwinętymi nogami i kiwa się leciutko w przód i w tył. Spod jej przymkniętych powiek cieką łzy.

Patrzę na nią i czuję się tak, jakbym była jej prababcią. Patrzę,

i wszystko widzę. Widzę Kasię, ale też widzę plamkę na pościeli i wszystkie załamania kołdry. Poręcz łóżka, swoje kolana i promień słońca na dywanie. I wszystko jest takie wyraźne... kiedyś nie umiałam tak patrzeć.

- W końcu zrozumiałam - mówi Kasia - że stworzyłam tę kompozycję tylko dlatego, bo tak cię skrzywdziłam. Jak gdybym zamknęła motyla w puszcze po landrynkach i spisywała na papierze nutowym trzepot jego skrzydełek, tam, w środku, w blaszanej ciemności, aż by nie ucichł... Nie, ta kompozycja nie jest moją własnością.

Kasia otwiera zapłakane oczy. Sięga pod poduszkę i wyciąga płaskie pudełko z krążkiem taśmy w środku. Podaje mi.

- Jest twoja - mówi. - Zrób z nią, co chcesz. Możesz ją wyrzucić przez okno, możesz ją spalić. Ale wybac mi, jeżeli potrafisz.

Proszę cię.

Biorę pudełko z jej rąk i uśmiecham się.

- Nie przejmuj się - mówię - nie wyrządziłaś mi żadnej krzywdy.

Wręcz przeciwnie. Jestem ci bardzo, bardzo wdzięczna. Dzięki tobie zrozumiałam, jaka jestem naprawdę i w końcu przestałam oszukiwać samą siebie. Co oczywiście nie oznacza, że nie oszukuję innych... ale to już inna para butów. Aha... jeszcze co do tego motyla... miałaś oczywiście mnie na myśli, prawda?

Kasia kiwa głową.

- Jeśli tak, to nie martw się o niego. To tylko tobie wydawało się, że go zamknęłaś, a tak naprawdę, to wypuściłaś go na wolność. I już nie płacz, bo nie mogę patrzeć na twoje łzy. Sama mi kiedyś mówiłaś, że wszyscy artyści robią z igły widły.

Wyjmuję chusteczkę i wycieram jej dokładnie buzię. Ona przytula się do mnie. Obejmuję ją mocno.

- Minko - mówi mi do uszka - zobaczysz. Ja się zmienię. Już nigdy nie będę zła. Przysięgam ci.

- Wiem Kasiu, wiem.

Spoglądam na pudełko z taśmą, które trzymam w prawej ręce. Na przezroczystym plexiglasie napis czerwonym flamastrem: "W KRÓLESTWIE UMARŁYCH GODZIN".

- O, jaki śliczny tytuł - mówię. - Nie mogę się doczekać, kiedy mi to puścisz.

- Naprawdę podoba ci się tytuł? - pyta Kasia.

- Bardzo.

- Bo wiesz, ja nawet nie wiem, kiedy go napisałam. Musiałam mieć gorączkę...

- Moje biedactwo - mówię i dotykam jej czoła. - Jeszcze masz gorączkę.

- Ale już niedużo - mówi. - Trzydzieści osiem i jedna kreska.

- To ma być niedużo? Właż natychmiast pod kołdrę! A ja sobie puszcę twoją kompozycję.

- Ja ci puszcę!

Kasia wyskakuje z łóżka i na bosaka biegnie w stronę okna. Taka mała, rozczochrana i dziecinna.

Wysłuchałam całej kompozycji - trwała godzinę, pięć minut i dwadzieścia sekund - i musiałam wracać do szkoły, bo pani Zelenow odgrażała się ostatnim razem, że mnie zapyta o parę rzeczy, a jeśli się kogoś boję w tej szkole, to właśnie pani Zelenow. A z Kasią umówiłam się, że przyjdę po lekcjach, żeby pogadać na spokojnie o jej ślicznej kompozycji i w ogóle.

Wpadam do klasy, siadam w ławce, Ewka nadąsana.

- Byłaś u niej?

- Skąd wiesz?

- Mam swój wywiad.

- No to byłaś.

- I co?

- Jest chora, ale już jej lepiej. Po prostu była przeziębiona.

- Jesteś podła. Obiecałaś mi, że nie pójdziesz.

- Musiałam pójść.

- Bo co?
 - Jej tatuś umarł.
 - No i co z tego?
 - Jak to "co z tego?"
 - No to, że wiedziałam o tym od dawna.
 - Skąd wiedziałas?
 - Po prostu mam swój wywiad.
 - I czemu mi nie powiedziałaś?
 - A skąd miałam wiedzieć, że cię to interesuje? I co, powiedziała ci już, ile tysięcy dolarów dostała w spadku?
 - Nic mi nie mówiła, nie obchodzi mnie to.
 - Tak? A co ja mam w oku?
 - Kretynka.
 - Debilka.
 - I bardzo dobrze.
 - Po lekcjach znów do niej pójdziesz?
 - Gównu cię to obchodzi.
 - Proszę cię, powiedz.
 - Pójdę.
 - Nie idź.
 - Nie bądź zazdrosna.
 - Ja? Zazdrosna? O taką idiotkę? Wybieraj. Albo ja, albo ona.
 - Daj mi spokój.
 - Więc już mnie nie kochasz?
 - Ciszej, głupia. Kocham. Ale ona jest chora. Obiecałam, że przyjdę.
 - W takim razie z nami koniec.
- Ewa bierze swoją torbę i idzie do ławki Magdy.
Podchodzę do niej po przerwie.
- Ewka, nie wygłupiaj się.
 - Odczep się ode mnie.
 - Odczepiam się.

Ale po lekcjach czeka na mnie pod szkołą. - Wsiadaj - mówi. - Odwiozę cię do tej choleryjnej Kaśki.

Zatrzymuje motocykl dopiero w Szczawnie przed swoją willą.

- Zawiozę cię tam za godzinę. Dobrze?

- Nawet za dwie, wariatko.

Po obiedzie siedzimy w ogrodzie na huśtanej ławeczce. A Ewa:

- Powiedz, co mam zrobić, żebyś do niej nie poszła?

- To przecież nie ma dla nas znaczenia, że pójdę. Po prostu jej obiecałam, ona tam na mnie czeka.

- Rozkazuję ci. Nie wolno ci do niej pójść ani dzisiaj, ani nigdy.

To rozkaz!

- Zapomniałaś maleństwo, że teraz moja kolej na rozkazy?

- No to wydaj mi szybko jakiś rozkaz.

- Dobrze. Rozkazuję ci, żebyś mnie puściła - do Kasi i żebyś nie miała do mnie o to pretensji.

- Zobaczysz, ona cię zniszczy!

- Jak nie przestaniesz, to pójdę zaraz!

Zeskakuję z ławeczki, odchodzę. Ewa biegnie za mną. Przytula się.

- Majeczko, nie idź, bo jak pójdziesz, to zwariuję.

Wzdycham. Ewa ciągnie mnie za rękę. Mówi:

- Chodź, coś ci pokażę.

Idziemy do jej pokoju. Ewa grzebie długo w szafie. Wreszcie wyciąga stamtąd coś malutkiego. To szklana fiolka, a w środku mała tabletki.

- Wiesz, co to jest? To cjanek. Jak pójdziesz do Kaśki, to połknę to i umrę w strasznych mękach.

Siadam na tapczanie.

- Co ja ma zrobić - mówię w rozpacz. Ewa siada przy mnie.

- Po prostu nie idź do niej i już.

- Oddaj mi tę fiolkę - mówię. Pokazuje puste ręce.

- Już jej nie mam.
Kłęka i zdejmuję mi buciki.
- Przytul się do mnie...
Kładziemy się na tapczanie. Ewa zrywa się, podbiega do okna i zamyka drzwi na taras, i spuszcza rolety. Zamyka też na klucz drugie drzwi, do hallu.
- Nie - mówię.
- Nie masz nic do gadania.
Wyłania się z mroku. Kładzie się na mnie. Całuje mnie i pieści. Po brzuszku i wszędzie. Robi mi się słodko. Znikam w słonej fali.

Życie.

Można nic nie robić, nic nie mówić, nic nie myśleć... i też będzie życie. Takie samo we mnie, w mrówce, w każdej roślince.
Czymkolwiek nie będę, to zawsze będę życiem. Dopóki będę. A jak już nie będę? Czym będę, jeśli już nie będę życiem?
Powietrzem?
Bo teraz jestem ciałem.
Szkieletem ubranym w mięso, skórę i inne dodatki. Leży sobie moje ciało na tapczanie, w czerwonym półmroku, oddycha i myśli. Tu leży moje ciało, a tam ciało śpiącej Ewuni. Ona to ona, a ja to ja. Ale przecież JA... to także moje myśli. Więc czy mną jest wszystko, o czym pomyślę? I czy jestem wszędzie tam, gdzie są moje myśli?

I czy moje myśli, jeśli gdzieś powędrują, to czy zostają tam, czy zawsze do mnie wracają? Bo jeśli rozłożę w bok moje ręce, to jestem dotąd, dokąd one sięgają. A jak je złożę na piersiach, jeśli do tego podkulę nogi, to już mnie tam nie ma, tu jestem. O, ale myśli to coś zupełnie innego niż ręce i nogi.
Może byłoby lepiej, żeby ich nie było? A jeśli już miałyby być, to żeby były jak ręce i nogi, bliźniutko. Bym leżała, to i one by leżały razem ze mną i by nie skakały to tu, to tam. Bym jadła, one by jadły razem ze mną.

O, proszę, co one wyrabiają, jak uciekają od tego, co jest. Patrzę na śpiącą Ewunię i myślę o Kasi, że czeka tam na mnie cała rozpalona od gorączki i martwi się, że zrobiła ze mnie ofiarę na ołtarzu swojej kompozycji.

Wielkie mi halo, co mi to przeszkadza.

I tak żyję po nic. Przynajmniej do czegoś się przydałam. I to nie do byle czego, ale do stworzenia wielkiego arcydzieła.

A może tak zawsze musi być?

Może za każdą cudowną symfonią, za każdą piękną książką, stoi ofiara z kogoś nieznanego, kogoś takiego jak ja? Może za pięćset lat ktoś będzie słuchał kompozycji Kasi i powie: "Och, jakie to piękne!" A jeśli w tym pięknie zostanie trochę trzepotu moich skrzydeł w tym pudełku po landrynkach? Gdy mi kiedyś Kasia opowiadała o reinkarnacjach, to ja sobie marzyłam, że w następnym wcieleniu chciałabym się urodzić muzyką. I może właśnie przyszła ta chwila? Może właśnie w ten sposób staję się muzyką?

Jestem ohydna. Jak zawsze, myślę o sobie. A Kasia tam czeka i nawet nie wie, czy podobała mi się jej kompozycja.

Wyciągam rękę po telefon, leżący obok tapczanu. Naciskam klawisze.

Po chwili słyszę głos Kasi:

- Tak, słucham?

- To ja - mówię szeptem, żeby nie obudzić Ewy.

- Czekam na ciebie.

- Kasiu, twoja kompozycja jest cudowna. Naprawdę. To arcydzieło. Zobaczysz, przejdiesz do historii muzyki.

- Coś ty - śmieje się Kasia. - Za ile przyjedziesz?

- Dzisiaj nie mogę - szepczę. - Zenuś się rozchorował, muszę się nim opiekować..

Patrzę, a Ewa podnosi się na łokciu i wszystkiego słucha. I drżą jej usta i patrzy na mnie tak smutno... aż mi się serce kraje na

kawałki. A w słuchawce daleki, daleki głos Kasi:

- To może ja do ciebie przyjadę? Czuję się już lepiej.

- Nie, nie, nie przyjeżdżaj!

- Czemu?

- Bo cię okłamałam - mówię z nagłą złością. Zenuś wcale nie jest chory. Już nigdy do ciebie nie przyjdę. Zegnaj, Kasiu.

Słyszę, jak Kasia zaczyna szlochać. Ewa bierze ode mnie słuchawkę i przykłada ją sobie do ucha. Słyszając płacz Kasi, uśmiecha się do mnie.

Odkłada słuchawkę. Kładzie głowę na moim ramieniu. Wsłuchuję się w jej oddech.

- Czy jesteś ze mnie zadowolona? - pytam.

- Nigdy ci tego nie zapomnę. Jesteś słodka.

- Zrobisz mi herbaty?

- Już lecę.

Ewunia wskakuje w szlafrok, podbiega do okna, podnosi rolety i już jej w pokoju nie ma. Ubieram się szybko. Z załamania fotela wygrzebuję fiolkę z cjankiem, bo widziałam, jak ją tu chowała.

Mocuję się z zakrętką.

W tym momencie wraca Ewa.

- Nastawiłam wodę - mówi i widzi mnie z fiolką w ręce. Krzyczy: - Zostaw to!

Biegnie do mnie, za późno, już połknęłam. Patrzy na mnie, ja na nią.. nic się ze mną nie dzieje.

- Ale dałaś się nabrać, to była aspiryna.

Wkładam buciki, biorę teczkę, wychodzę. Ewa biegnie za mną.

- Nie bądź głupia! Majka!

Zamykam bramę za sobą.

Idę ulicą.

Świeci słoneczko, wieje wietrzyk... jest cudnie.

Zadzwoiłam do Kasi z pierwszej budki i bardzo ją przeprosiłam, ale ona wcale się nie gniewała, więc wskoczyłam do autobusu i już po pół godzinie byliśmy razem. Do wieczora gadałyśmy o muzyce i o filozofii. Musimy być cierpliwe. W życiu jest jeszcze tyle tajemnic, których istnienia jeszcze się nawet nie domyślałyśmy... Kiedy wróciłam do domu, tata był pijany i strasznie rozrabiał. Mamusię bolało serce, a dziewczynki płakały. I nawet Tadziu był zły, bo w tym hałasie nie mógł oglądać telewizora. Zaraz zaprowadziłam porządek. Tatusia położyłam spać na moim tapczanie razem z Tadzkiem, dziewczynkom opowiedziałam bajkę na dobranoc, a w końcu uspokoiliam i mamusię, wyciągając ją na wspomnienia z dzieciństwa.

Już wszystko dobrze w naszym domu. Śpią wszyscy, tylko ja zasnąć nie mogę, bo śpię razem z mamusią, a ona tak głośno chrapie, że aż się obraz trzęsie na ścianie. No, może trochę przesadziłam z tym obrazem, ale spać przy takim chrapaniu to się naprawdę nie da.

Wychodzę na balkon.

Jest ciepło, świecą gwiazdy.

Ziemia widziana z daleka jest taką samą gwiazdką, jak one.

Maluteńkie światelko w ciemności. Oto, czym wszyscy razem jesteśmy tu, na ziemi. Jakoś mi dobrze z tą myślą.

Już piąta rano. Trochę się zdrzemnęłam. Teraz robię tatusiowi śniadanie.

Budzę go.

Ubiera się i przychodzi do kuchni. Aż żal na niego patrzeć.

Stawiam przed nim kubek z herbatą i głaszczę go po głowie. Po raz pierwszy w moim życiu głaszczę mojego tatusia po głowie, jakby był moim małym braciszkiem, albo nawet małym synkiem.

- Narozrabiałem, co?

- Trochę tak - mówię. - Kup mamusi kwiaty, jak będziesz wracał z roboty. Nigdy jej nie kupujesz kwiatów.

- Jak to nie? A co jej przyniosłem na dzień kobiet?
- Ale kup jej dzisiaj.
- Akurat... Kupię i mi piekło zrobi, że pieniądze na duperele wydaję.
- Ale może dziś nie zrobi. Zaryzykuj.
Tata śmieje się.
- No dobra. Ryzyk fizyk, kupię.
Jest już przy drzwiach, już ma wychodzić do roboty, gdy odwraca się do mnie, mruga i mówi cicho:
- Ryzyk fizyk.
Odmrużuję mu z uśmiechem. Och, jak w tym domu potrzebna jest dorosła córka.

- Haj, Majka.

Haj.

- Słuchaj, głupia sprawa. Mimi zginął pierścionek. Ten z brylantem, wiesz, co kosztował ponad tysiąc dolarów. Chciała go wczoraj włożyć, bo szli na przyjęcie. Szukam go od rana.

Pamiętasz... bawiłyśmy się nim.

- Pamiętam. Ale przecież włożyłyśmy go z powrotem do pudełka. Razem z kolia.

- Ty ostatnia go miałaś. Może zapomniałaś zdjąć?

- Zdjęłam. Chyba nie myślisz, że ukradłam.

- Ja nic nie myślę. Ale mogłaś zapomnieć. Potem zdjęłaś go u siebie w domu, gdzieś położyłaś i zapomniałaś... To się zdarza.

- Na pewno nie, bym pamiętała. Przysięgam ci, że go nie mam.

- Zrozum. Ostatnio tylko ty do mnie przychodziłaś. Jak się nie znajdzie, będzie na ciebie.

- Ale ja go nie mam.

- Mimo to proszę, poszukaj u siebie. Musimy się upewnić. Jak znajdziesz, zaraz do mnie zadzwoń. Ja też będę jeszcze szukać.

- Mogę poszukać, ale wiem na pewno, że go u mnie nie ma.

- Ale poszukaj. Haj, wracam do domu.

I pojechała. A ja ostatni dzień lekcji mam zatruty myślą o pierścionku.

Przypominam sobie cały tamten dzień, w którym bawiłyśmy się biżuterią mamy Ewy, ale czym więcej o tym myślę, tym mniej pamiętam, co mogłam zrobić z tym pierścionkiem. Nagle przychodzi mi do głowy taka myśl, że... ten pierścionek wcale nie zginął, że to Ewa tylko tak wymyśliła, żeby mnie dręczyć, żeby się na mnie zemścić za wczorajsze.

Tak, jestem pewna, że tak właśnie jest.

Prawie pewna.

Nie, całkowicie pewna. Trochę Ewę poznałam i wiem, na co ją stać.

Nikt jej nie zna tak dobrze, jak ja. Może nawet nie chodzi jej o zemstę. Może tym pierścionkiem chce jakoś unieważnić to, co stało się między nami wczoraj. A ja przecież nie gniewam się na nią, potrafię doskonale zrozumieć jej zazdrość o Kasię. Może ja też na jej miejscu byłabym zazdrosna?

Czuję, że się jeszcze między nami wszystko ułoży. Och, jak byłoby cudownie, gdyby chciała się zaprzyjaźnić z Kasią. Wtedy miałabym je dwie. A może nawet udałoby się nam namówić Kasię na to, żeby zdawała z nami do liceum? I aż do matury byśmy były razem, we trzy.

Kasia w normalnej sukience to ktoś zupełnie inny, niż Kasia w stroju cygańskim. Dopiero teraz tak naprawdę widać, jaka jest szczuplutka i śliczna. I taka beztroska. To na pewno dlatego, że pozbyła się Dżigiego. I dobrze ci tak, kolego.

Czuje się już dobrze. Nie ma gorączki, ani nic, tylko jeszcze trochę się smarka. To przeziębienie to stąd, że jak po tych pięciu dniach i nocach komponowania wyszła do ogrodu, to położyła się w trawie i spała na ziemi chyba z pięć godzin, zanim jej babcia nie znalazła.

Nagrała swoją kompozycję na kasetę i wysłała ją do bardzo dobrego krytyka muzycznego z prośbą, żeby jej napisał, co o tym myśli, i teraz ciągle lata na dół do skrzynki, czy już nie ma listu od niego. Ale jak ma być, jeśli od wysłania kasety upłynęło dopiero kilka dni...?

Byłyśmy na długim spacerze. Kupiłyśmy na dworcu kolejowym prawie czterdzieści biletów powrotnych do Sobótki. Teraz siedzimy w domu i wkładamy je do kopert.

Bilety są na pojutrze, na każdym wypisałyśmy godzinę odjazdu.

Po co tyle biletów?

Tajemnica.

Na uroczystości wręczania świadectw ukończenia szkoły podstawowej nie ma tylko dwóch dziewcząt z naszej klasy. Kasi i Ewy. Kasia jest już w Sobótce, przygotowuje wszystko na jutro. A Ewa? Jej świadectwo bierze Magda, ja biorę Kasi. Zaglądam... zdała. Tylko że tróje od góry do dołu.

Podchodzi do mnie Magda. Pyta, czy nie znalazłam pierścionka.

Mówię, że nie i daję jej dwie koperty z biletami dla niej i Ewy.

Rozdaję je reszcie koleżanek i kolegów z klasy i uciekam z uroczystości przed końcem, bo nie chcę, żeby mnie wypytywali, o co chodzi z tymi biletami. Powinnam teraz pojechać do Ewy. Może rzeczywiście ten pierścionek zginął?

Ale nie, dzisiaj nie mam ochoty na rozmowę z nią.

Tadzio za przejście do następnej klasy dostał od taty dwie rakiety do ping-ponga i piłeczkę. Rozłożyliśmy stół w dużym pokoju, zamiast siatki ustawiliśmy książki na sztorc i gramy.

Jesteśmy w domu tylko z Tadzkiem, bo mamusia z Zenusiem i dziewczynkami poszły na słońce pod blok.

Dwa sety przegrałam do zera, ale w trzecim zaczęłam powoli kapować i prowadzę pięć do trzech.

Rozlega się dzwonek do drzwi. Tadzio leci otworzyć.

A to Ewa.

Od razu wiem, że chodzi o pierścionek. Prowadzę ją do mojego pokoju i mówię, że szukałam, ale nie znalazłam. Ewa macha ręką i uśmiecha się.

- Znalazł się? - pytam.

- Nie... Ale na pewno Mimi sama go gdzieś zarzuciła, nie przejmuj się.

Oddycham z ulgą. Ewa siada na tapczanie, wyciąga do mnie rękę.

Siadam obok niej. Ona wzdycha i mówi:

- Przyszłam, żeby cię przeprosić za wszystko. Jestem głupia, zazdrośna świnią. Ale proszę cię, nie bądź na mnie zła.

- Nie jestem.

- Od dwóch dni nie mogę sobie znaleźć miejsca. Ciągle o tobie myślę.

- A ja o tobie - mówię. - Tak się cieszę.

I rzucamy się sobie w objęcia.

- Tak bym chciała, żebyście stały się przyjaciółkami - mówię. -

Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ona bardzo się zmieniła.

Zobaczysz, że ją teraz polubisz.

- Dla ciebie mogę się ożenić nawet z hyclem.

- Nie mów tak. Kasia to nie hycel.

- Wiem, to ja jestem hycel.

- Ty też nie jesteś hycel.

- No to kto w końcu jest hyclem?

W tym momencie Tadzio wsuwa głowę w drzwi i pyta, czy oddaje partię walkowerem. Wybuchamy z Ewunią śmiechem.

Z tej radości przegrywam ostatniego seta do pięciu. Potem z

Tadzkiem gra Ewunia i też przegrywa. Tak więc Tadzio ma złoty medal, a my z Ewunią gramy o srebro.

Tadzio sędziuje.

- A co to za afera z tymi biletami do Sobótki? - pyta Ewunia serwując:

- To tajemnica - mówię i ścinam mocno. Prowadzę. - Ale tobie powiem. Kasia szykuje dla całej naszej klasy wielkie przyjęcie ogródkowe u swojej babci. Będzie na nas czekać na dworcu. Ewunia serwuje. Ścinam i prowadzę już dwoma punktami. Kolejny serw Ewuni. Długo odbijamy piłeczkę.

- Bo wiesz - mówię - ona zrozumiała, że bardzo głupio robiła, odgradzając się od swoich rówieśników. Postanowiła zostać zwykłą, normalną dziewczynką.

Piłeczka odbija się od rakiетки Ewuni i zamiast w stół, uderza w zyrandol. Jestem lepsza już o trzy punkty.

- To fajnie, że zmańdrzała - mówi Ewa. - Może my też kiedyś zmańdrzemy?

- Na pewno - mówię. Teraz ja serwuję. Ewunia odbija, ja odbijam, Ewunia odbija, ja odbijam... i wygrywam.

Tadzio wręcza medale. Sobie żółtą landrynkę, mnie migdałową, a Ewuni, w charakterze brązowego medalu, krówkę. Dochodzę do wniosku, że głupio zrobiłam wygrywając z Ewunią, bo przecież brązowy medal najsmaczniejszy.

Stacja Wałbrzych Miasto. Dochodzi godzina dziewiąta rano. Są wszyscy. Szkapa złapała Zenka pod ramiona i kręci się z nim w kółko po peronie.

- Puszczaj! - wrzeszczy Zenek, machając w powietrzu nogami.

- Kocham cię, kocham cię, kocham cię! - woła Szkapa. Woła, jakby śpiewała. Wreszcie stawia go na nogi. Zenek nie może iść, zatacza się jak pijany. Gruby Ziębiński mówi:

- Co ty, Zenek, woda od samego rana?

My w śmiech.

Nadjeżdża pociąg. Jest prawie pusty i bardzo fajny, bo piętrowy.

Chłopaki ganiają się z piętra na parter i z powrotem, a Klaudia organizuje dyskotekę, bo wzięła ze sobą magnetofon.

My z Ewunią uciekamy na drugi koniec pociągu, bo jej chce się strasznie spać. Siadam przy oknie, a ona kładzie mi głowę na kolanach. Głaszczą ją po głowie, zasypia.

Już mineliśmy Świdnicę. Wszędzie zielone i żółte pola. Daleko, daleko widać górę Ślężę. Przybliżam się do niej powolutku wraz z pociągiem. Gdzieś tam, pod Ślężą jest Kasia. Na pewno uwija się z babcią po ogrodzie, czyniąc ostatnie przygotowania.

Góra kąpie się w słońcu. Jak to dobrze, bo w Wałbrzychu zbierało się na deszcz. Obok nasypu kolejowego, na którym telepie się nasz pociąg, biegnie dróżka. Jakiś chłopak jedzie na rowerze, ścigając się z nami.

Długo się nie pościgał, już go nie widać. Przechodzi pan konduktor. Wyciągam bilet, on macha ręką.

- Do Sobótki jeszcze daleko? - pytam. - Czwarta stacja - odpowiada i znika. Budzi się Ewunia.

- Co on mówił?

- Że czwarta stacja to już Sobótki.

- Ojej - mówi Ewunia, ziewając. - Siku mi się chce, zaraz wracam.

I biegnie do ubikacji. Patrzą przez okno. Ślęża już bliźutko, można stąd zobaczyć każde drzewo na jej zboczach. Czy widać domek babci Kasi?

Już tylko trzy stacje do Sobótki.

A to już Szczepanów. Na peronie rośnie trawa i chodzą kury. I nawet kwiatki tu rosną. Mogłabym szybko wyskoczyć i trochę ich nazrywać, ale boję się, że nie zdążyłabym potem wskoczyć.

O, jaki biedny piesek się wlecze. Kulawy. Ma brudną, posklejaną sierść. Chyba jest chory. I taki smutny... A tam idzie trzech podpitych facetów. Jeden z nich kopie pieska. Piesek odskakuje ze

skowytem.
Pociąg rusza.

Sobótka Zachodnia. Co z tą Ewą? Może zasłabła? Idę do ubikacji, pukam. Cisza. Otwieram drzwi, pusto. Idę do następnej. Naciskam klamkę, zamknięte.

- Ewa!

- Czego? - odpowiada jakiś gruby głos. Biegnę przez cały pociąg.

Może poszła zobaczyć, co się dzieje z resztą klasy?

Słyszę ich głosy z piętra. Wchodzę po schodkach.

Są tam wszyscy, Ewa razem z nimi. Głośno o czymś dyskutują.

- Mogą nam nie sprzedać - mówi Florek.

- Myślisz że co, że mało razy kupowałam w sklepie wino? - mówi

Ewa. - Pójdę z Grubym, to nam sprzedadzą.

- Ale to dwadzieścia butelek, nie dacie sobie rady.

- Głupi - mówi Ewa. - Jak już nam sprzedadzą, to na was

gwizdniemy.

- Słusznie.

- Ale ja nie mam forsy - mówi Marlena.

- Ani ja...

- Przecież powiedziałam, że stawiam - mówi Ewa. - To co, okej?

- Okej!

Podchodzę do nich. Magda szturcha Ewę. Ewa odwraca się do mnie.

Bierze mnie za rękę i ciągnie z powrotem, na korytarz w dół.

- Co się dzieje? - pytam. Ewa kładzie dłonie na moich ramionach, i patrząc mi w oczy, mówi szybko:

- Posłuchaj. Postanowiliśmy wszyscy, że nie pójdziemy na to przyjęcie u Kaśki.

- Dlaczego?

- Bo nie. Ty też tam nie pójdziesz.

- Ewka, co ty chcesz zrobić?

- To moja sprawa - mówi zimno. - A teraz uważaj.. niespodzianka.

Jeżeli nie pójdziesz z nami, to ja natychmiast wracam taksówką do

Wałbrzycha i mówię mojej mamie, że to ty ukradłaś jej pierścionek.

Magda i Klaudia widziały go u ciebie na palcu.

- To nieprawda!

Ewa wbiega na schodki. Woła:

- Klaudia! Magda!

Wraca do mnie. Po chwili są przy nas Magda i Klaudia.

- Widziałyście u niej ten pierścionek?

- Widziałam - mówi Magda.

- Ja też widziałam - mówi Klaudia.

- Zeznacie to na milicji? - pyta Ewa.

- Zeznamy - mówi Klaudia. Magda kiwa głową, że też.

- Nie mogłyście widzieć! - krzyczę. - Kiedy widziałyście? Gdzie?!

- Co cię spotkałyśmy w poniedziałek na placu Grunwaldzkim - mówi

Magda. - Co już nie pamiętasz?

- Kłamiesz!

Ewa robi gest ręką, one wracają na górę.

- Jeszcze dzisiaj milicja zrobi rewizję w twoim mieszkaniu - mówi

Ewa.

- Nie rób tego - mówię w rozpacz. - Moja mamusia tego nie przeżyje. Przecież wiesz, że ona ma chore serce!

- Dobrze, ale pod jednym warunkiem - mówi Ewa. - Masz trzymać się nas i nie wolno ci się odezwać do Kaśki ani jednym słowem. A teraz wybieraj.

- Nie, ty tego nie zrobisz!

- Widocznie jeszcze mnie nie znasz, moje maleństwo. Przysięgam ci.

Jedno twoje słowo w stronę Kaśki, a ja natychmiast wsiadam w taksówkę razem z Magdą i Klaudią i jedziemy do Wałbrzycha na milicję.

- Przecież wiesz, że nie ukradłam - mówię.

Ewa uśmiecha się.

- No wiesz, trudno mi sobie ciebie wyobrazić kradnącą cokolwiek..

Ale ja cię znam, a milicja nie.

- Błagam cię - mówię - nie rób tego. Nie niszczyć Kasi, ona się załamie. Przysięgam ci, od jutra przestanę się z nią przyjaźnić, już nigdy się z nią nie spotkam... Ale dzisiaj pozwól mi być z nią. Proszę cię.

Zaczynają mi lecieć łzy. Klękam przed Ewą, obejmuję jej nogi.

- Ewuniu, błagam, nie bądź taka zła.

Ewa podnosi mnie.

- Nic z tego - mówi - już za późno. Więc zastanów się szybko. Na czym ci bardziej zależy? Na tej idiotce, czy na zdrowiu twojej mamy. I przestań się mazać. Masz być uśmiechnięta.

Wyciera łzy z mojej twarzy.

Pociąg zwalnia. Z góry zbiegają chłopcy i dziewczęta z naszej klasy. Zbliża się budynek z wielkim napisem:

"SOBÓTKA MIASTO"

A tam, na peronie, stoi Kasia.

- A to się zdziwi primadonna - śmieje się Ziębiński, otwierając drzwi. Wysypujemy się gromadą z pociągu. Ja i Ewa wysiadamy na końcu.

Idzie do nas Kasia. Jest ubrana w króciutkie spodenki i żółtą koszulkę z napisem "Glimp". Na głowie ma słomiany kapelusik.

Wygląda jak mała dziewczynka.

Uśmiecha się do nas słicznie.

- Okropnie was przepraszam, że tak was fatygowałam - mówi głośno - ale pomyślałam, że musimy jakoś wspólnie uczcić koniec szkoły podstawowej. Więc zapraszam was na wielkie przyjęcie ogródkowe.

Będzie muzyka, będą smakołyki i inne atrakcje.

- Lody będą? - pyta Ziębiński.

- A tort będzie? - pyta Kawczak.

- Będzie, wszystko będzie - śmieje się Kasia. Ziębiński robi zmartwioną minę i mówi:

- Szkoda, bo jestem na diecie.

Wysuwa się Klaudia.

- Bardzo nam przykro - mówi - ale wcale nie przyjechaliśmy do ciebie. Po prostu skorzystaliśmy z darmowych biletów.

- Co się wygłupiacie - mówi Kasia z uśmiechem.

- Zaraz się okaże, kto tu się wygłupił - mówi Ziębiński z drwiącym uśmiechem. - Chodźta chłopaki. Dziewczyny, kaman!

I wszyscy odchodzą od Kasi. Tylko ja zostałam. Kasia spogląda na mnie, a Ewa woła:

- Majka!

Przełykam ślinę i odchodzę od Kasi.

- Minka! - woła za mną. - Minka!

Nie odwracam się, odchodzę. Skończyło się. Muszę tak, nie mogę inaczej. Mamusia nie przeżyłaby rewizji w naszym domu.

Czeka na mnie Ewa. Obejmuje mnie, idziemy razem, przytulone. Już daleko za nami Kasia i budynek stacji. Wleczone się całą bandą w stronę rynku.

- Wiem, co przeżywasz - mówi Ewa - jednak najwyższy czas, żebyś stała się wreszcie dorosła. A gdy się jest dorosłym, to trzeba trzymać albo z jednymi, albo z drugimi. Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że wrogowie naszych przyjaciół są naszymi wrogami. A to przecież ja jestem twoją przyjaciółką. Kiedyś zrozumiesz, że miałam rację. Nie ma innej drogi do bogactwa i sławy oprócz tej drogi, którą idę ja. Jeśli chcesz dojść na sam szczyt, musisz być taka sama, jak ja. Może ja to wszystko wymyśliłam specjalnie dla ciebie? Żebyś sobie trochę potrenowała. Jeszcze nieraz będziesz musiała wybierać. Jeśli chcesz wyrwać z błota siebie i swoją rodzinę, musisz nauczyć się wybierać. I to mądrze wybierać. Kaśka to egoistka i wariatka. Prędzej czy później trafi do szpitala dla czubków. Kiedyś mi podziękujesz, że cię od niej uratowałam. Ona by cię tylko wyssała i rzuciła. A ja cię potrzebuję i jestem także

tobie potrzebna. Ty potrafisz być bardzo silna, wiem coś o tym.
Potrzebuję twojej siły. Ale jak się będziesz zadawać ze słabymi,
twoja siła ulotni się. Więc proszę cię, przyjmij moją pomoc teraz,
żebym ja mogła kiedyś przyjąć twoją.
- Masz rację - mówię - masz rację, masz rację! Ale już do mnie nic
nie gadaj.
Ewa uśmiecha się.
- Okej - mówi i podbiega do Klaudii.

Siedzimy na ławeczkach w rynku, wokół wielkiej, betonowej rzeźby
terenu. Ewa z Ziębińskim i chłopakami poszła po wino do sklepu.
Dziewczyny zaczynają śpiewać. To jakaś znana melodia, ale słowa
własne.

- "Strata fata parampa feita, lura kota lamento date. Trucia fucia
dakore borita, elo heto nuciamo perke. Silo heto saramo merone,
into pinto pulpecia siusia, sentrufale cloretto mamlole,
niesiorono lunapa kuka! "...
Spoglądam na zegarek. Dziesięć po dziesiątej. Nie rusza się
wskazówka sekundnika... On stanął. Dziewczyny wywrzaskują drugą
zwrotkę. Już wszystkie śpiewają, oprócz mnie.
Tak wygląda moja dorosłość. Wybrałam. Mądrze wybrałam. Nie mogłam
inaczej. I już tak przez całe życie będę wybierać. Będę sobie
patrzyła, jak źli niszczą dobrych i nawet palcem nie kiwnę.
A kiedyś będę miała własne dzieci... Gdy jest się dobrym dla
swoich dzieci, to niekiedy trzeba być złym dla obcych dzieci. Dla
wszystkich dzieci nie starczy.
Jak tak można? Być dobrym i złym jednocześnie.
Nie, to musi być osobno.
Albo być złym.
Albo dobrym.

Zrywam się z ławki, uciekam.

Biegnę na stację. Kasi już tu nie ma. Rozglądam się. Gdzie może
być dom jej babci? To na pewno tam.
Biegnę.

Tak, to ten dom. Staję bez tchu przy furtce. W ogródku przy
stołach krząta się babcia Kasi. Ale Kasi tu nie ma.
Babcia zbiera szybko ze stołu talerze. Spogląda do góry.
Patrzę. Och... jakie straszne, ciemne smoki zbierają się na
niebie, rozcapierzając tam swoje macki. One tu za nami z
Wałbrzycha przyleciały.
Babcia z talerzami wbiega do domu.
- Kasia! - krzyczę. - Kasia!
Nagle... coś mnie tknęło, oglądam się. Tam, daleko, na szosie przy
zboczu, widzę żółtą plamkę. O, znika w lesie, na dróźnie
prowadzącej na szczyt Ślęży. To Kasia w swojej żółtej koszulce.
Muszę ją dogonić, choć to tak daleko.
Biegnę na przełaj przez pola.

Przewracam się, bo mi noga wpadła w kretowisko. Podnoszę się
zaraz.
Jeśli Ewka spełni swoją groźbę, jeśli mojej mamusi coś się
stanie... wiem, co zrobię. Wezmę śrubokręt i wydłubię Ewce oczy.
Przysięgam.
Czemu od razu tak jej nie powiedziałam?
- Wydłubię ci oczy, przysięgam!
Już jestem przy szosie. Ale do dróżki w górze jeszcze ponad
kilometr. Już nie mam siły biec.
Jedzie taksówka. Nie mam pieniędzy, trudno. Macham ręką. Taksówka
zatrzymuje się. Wsiadam.

- Tam - mówię.
Zawracamy, jedziemy pod górę.
O, tu ją widziałam.
- Pan się zatrzyma - mówię. Zatrzymujemy się. Kierowca odwraca się do mnie.
- Dwie stówki - mówi. Wsadzam rękę do kieszeni.
- Ojej, nie mogę ich wyjąć. Chwileczkę...
Wysiadam, udaję, że grzebię w kieszeni... i nagle rzucam się w las, uciekam.
Słyszę za sobą trzaśnięcie drzwiczek, tupot. On mnie goni.
Złapał. Szarpiać mnie, ciągnie z powrotem.
- Czekaj, ty suczko!
Wykręca mi rękę do tyłu, prowadzi do samochodu. Zaczynam krzyczeć.
- Pokrzyczysz ty na milicji! - mówi wściekły. Kopię go i sama się przewracam. Podnosi mnie, znów wykręca rękę.
W tym momencie widzę schodzących z góry turystów.
- Ratunku! - wrzeszczę. - Gwałci mnie!
Turyści biegną do nas. Będę tak krzyczeć, że nic im nie będzie mógł wyjaśnić. Chyba się kapnął, bo puszcza mnie i ucieka do samochodu. Oni za nim.
Ja uciekam między drzewa. Biegnę do góry. Nikt mnie nie goni.
Leżę w krzakach i łapię oddech. Muszę go bardzo dużo nałapać.

Coraz bardziej ciemno, coraz bardziej stromo. słyszę tupot przed sobą. Grupka dziewcząt chłopców z plecakami zbiega kamienistą ścieżką.
- Nie widzieliście dziewczynki w żółtej bluzce?
- Wariatko - mówią - uciekaj z nami. Idzie straszna burza. W tej górze jest pełno uranu. Tu zaraz będzie piekło!
Znów jestem sama.

Pnę się do góry w gęstniejącej ciemności. Urwał mi się pasek w buciku, idę na bosaka. Tak tu ciemno, że prawie nic nie widać. Trzeszczy nade mną niebo.
Ktoś idzie za mną.
Odwracam się, nasłuchuję. Nie, nikogo tam nie ma.
Łoskot.
To z nieba.
Tu ktoś jest...
To głazy, to drzewa.
- Kasiu! - wołam. Och, jaka okropna cisza. Chyba zabłądziłam, nigdzie nie ma ścieżki.
Skąd ta mgła się wzięła?
- Kasiu! - krzyczę rozpaczliwie. - Kasiu!
Tam stoi. Widzę jej jasne włosy i coś żółtego.. to na pewno jej bluzka. Stoi nieruchomo... Patrzy na mnie?
Podchodzę powoli.
Nie, nie widzi mnie, bo jest odwrócona tyłem. Jak dziwnie się przebrała. To żółte, to wcale nie bluzka... to rajtuzy. Czerwone buty i czerwony kubraczek wyszywany złotem.
Odwraca się do mnie. To przecież nie Kasia. To chłopak. Ja go chyba znam. Te długie, złote włosy poskręcane w loki, ten kapelusz z piórami, ta szpada... jakiś przebieraniec.
- Przepraszam bardzo - mówię - nie widział pan takiej dziewczynki w żółtej bluzce? Pisała na niej "Glimp". Aha... i miała słomkowy kapelusz.
Nie usłyszał?
Jakoś tak patrzy na mnie... uśmiecha się.
- Więc doszłaś do wniosku, że zło i dobro nie mogą leżeć w tym samym pudełku?
- Szukam Kasi - mówię głośniejszym głosem. - Żółta bluzka i słomkowy kapelusik!
- A ja szukam Marysi.

- To ja, ja jestem Marysia.
- A ja myślałem, że masz na imię Minka, lub Majka.
- To też ja. Kasia i Ewa tak mnie nazywają.
- Poznajesz mnie?
- Nie - mówię. - Tak - mówię.
Nie wiem...
- Ty jesteś Pimpuś? - pytam nagle. On śmieje się.
- Pimpuś?... Nawet nie wiedziałem, że mam takie ładne imię.
Przyniosłem ci list.
- Od kogo? - pytam.
- Może od ciebie?
- Jak to... ode mnie do mnie?
- Mniejsza o to - mówi - i tak go zjadłem. Nic tak nie zaspokaja głodu jak listowy papier. Ale nie martw się, pamiętam wszystko, co tam było napisane.
- Co było?
- Gdybym chciał powtórzyć wszystko, musiałbym gadać od teraz do wczoraj. Mogę ci tylko powiedzieć, co pisało na ostatniej, niedokończonej stronie...
- Co pisało? - pytam.
- Powiedziałem "pisało"?
- Tak powiedziałeś.
- Jakaś pomyłka w druku. Powiedziałem, że była tam narysowana mapka, coś jakby labirynt...
Pimpuś rozgląda się.
- Tak - mówi - zgadza się, to chyba tutaj. Widzisz te kamienie? To resztki murów.
Oglądam się... z ziemi wystają kamienie i świecą się łagodnym blaskiem. Jak pięknie się tu zrobiło. Wszędzie ciemno, tylko koło nas jasno.
- Tak - mówi Pimpuś - bo akurat jesteśmy pośrodku. Widzisz tę ścieżkę?
Patrzę za jego palcem.
- Widzę.
- To ścieżka Majki. Jeżeli nią pójdziesz, w sople lodu z gorącą zamarniesz. Spójrz teraz tam...
- Aha - mówię - widzę.
- To jest ścieżka Minki. Tam będzie ci tak zimno, że jak ćma się spalisz. A tutaj zaczyna się ścieżka Marysi. Wije się spiralą wokół góry. To bardzo długa ścieżka, ale jeśli miałbym ci coś radzić, to powiedziałbym: idź nią, Marysiu. Tą ścieżką dojdiesz na pewno.
- Dokąd? - pytam.
- Wiadomo - Pimpuś uśmiecha się. Wszystkie górskie ścieżki prowadzą na szczyt góry. Jest jeszcze jedna...
Odwraca się i pokazuje mi czwartą ścieżkę końcem lśniącej szpady.
- Co to za ścieżka? - pytam.
- Nikt tego nie wie. Może to najdłuższa ze wszystkich ścieżek, a może najkrótsza. Może najcudowniejsza, a może najstraszniejsza. Może jest tylko cieniem ścieżki w negatywie góry? Nic więcej ci nie powiem, bo sam nie wiem...
Patrzę na czwartą ścieżkę. Niczym się od tamtych nie różni, a przecież wszystko we mnie do niej się wrywa. Robię krok w jej stronę, robię krok drugi. Przystaję.
- Jeśli pójdziesz tą ścieżką - mówi Pimpuś, stając za mną - pożyczę ci mojej szpady.
Już wyciągam rękę po szpadę, gdy słyszę jak przez watę odgłosy grzmotów.
Burza... Kasia... Gdzie jest Kasia?
Zwracam twarz do Pimpusia.
Muszę znaleźć Kasię!
Śliczna buzia Pimpusia krzywi się z niesmakiem.
- Tą ścieżką nie poszła na pewno.

- Proszę, powiedz mi, gdzie jest Kasia!
- Żeby pomagać innym - mówi Pimpus - trzeba najpierw pomóc sobie.
Cóż to za komiczny widok, gdy ślepy prowadzi ślepego. Pomyśl o sobie, Marysiu.
- Błagam, powiedz, jak odnaleźć Kasię.
- Kasia poszła swoją własną ścieżką. Więc i ty idź swoją. A ta ścieżka? Nie chcesz pójść ścieżką niespodzianek?
- Bardzo chcę - mówię - ale muszę znaleźć Kasię. Zaraz będzie burza i muszę być przy niej...
Pimpus smutnieje, chowa do pochwy lśniącą szpadę.
- Więc dobrze - mówi - nie będę ci się więcej narzucał z moją szpadą. A jeśli chodzi o burzę, to już od dawna jest burza.
W tej samej chwili otaczają mnie błyski i grzmoty. Jestem już cała mokra i trzęsę się z zimna.
- Pimpusiu! - krzyczę. - Powiedz mi, gdzie Kasia!
Z deszczu, z ciemności, wyłania się ręka.
- Tam - rozlega się głos. - Żegnaj Marysiu.

W błyskach i grzmotach piorunów biegnę w stronę, którą mi pokazał.
Wybacz mi Pimpusiu kochany, wiem, że nigdy cię już nie zobaczę.
Ale muszę uratować Kasię.

W strugach deszczu wspinam się po mokrych skałach.
Unoszę głowę do góry.
Tam, na samym szczycie Ślęży, na wierzchołku widokowej wieży, stoi malutka Kasia z rękoma uniesionymi do rozpalonego oceanu nieba.
Słyszę jej zawodzące błaganie, choć przecież jestem za daleko, żebym słyszała.
- Tatusiu! Zabierz mnie tatusiu!!!
Błysk i grzmot potworny. Zatrzęsła się góra.
Zamyka Kasię w świetlistym kokonie pajęczyna utkana z błyskawic.

Nic już więcej nie pamiętam... Jak stamtąd zeszedłam? Jak to się stało, że jestem tutaj?
To stacja kolejowa, to ciągle Sobótko. Ktoś przy mnie składa czerwony parasol. Siedzę na ławce w domku przy szynach. Ktoś na mnie patrzy, coś o mnie mówi. Dzwonki dzwonią. Megafon coś chrzypi. Siedzę mokra, przyklepiona do sukienki, do ławki.
Jakieś piski. Jacyś zmoczeni chłopcy tu wpadają, jakieś dziewczyny. To oni. Uciekam chyłkiem na peron. Może mnie nie zauważą. Przycupnę na ławce pod murem.
Skrzypnęły drzwi.
Idzie do mnie czarnooka czarnowłosa. Siada w deszczu obok mnie.
- Co, nie znalazłaś Kaśki?
- Ona już w niebie ze swoim tatusiem.
- Co ty gadasz? Co się stało?
- Zabiliśmy ją. Ty ją zabiłaś i ja ją zabiłam. Zabiliśmy ją wszyscy, cały świat ją zabił!
Łapie mnie za ramiona, potrząsa.
- Majka, co tobie!

Zniknęła.

Pociąg jedzie, a ja w pociągu. Tyłem do Wałbrzycha, a twarzą do Ślęży. Patrę, jak oddala się ode mnie. Już malutka jak kretowisko, przy którym leżał tamten martwy krecik. Już przykryła ją pierzyna deszczu.
- Czemu płaczesz, dziecińko? - pyta pani.
Przechodzą Magda z Klaudią.
- Nie widziałaś Ewki?
Przed domem spotykam tatusia.
- Połóż się szybko - mówi mamusia.
- Ale się trzęsie - mówi Tadiusz.

A Zosia:

- Wyżymałam jej sukienkę. Pięć litrów wyleciało.

Odpycham od siebie kołdrę.

A to głaz, nie mogę go odwalić. Trudno, nogi trzeba zostawić. Jak ja bez nóg pójdę? A co tam, żabką popłynę.

Płynę.

A co tu tyle krzyży? Krzyże aż po horyzont. To jakaś kolejka.

Wszędzie same krzyże, na nich ludzie. Jęczą, płaczą, jak glisty się wiją.

- A ty gdzie, cholero! - krzyczą na mnie. - Won stąd na koniec kolejki!

- No mówię pani, krew na szynkę trysła i na balerony.

- Nie pchać się, nie pchać się, mówię!

- Panie, dużo zostało?

- Ona tu nie stała!

Ach, to chyba do nieba kolejka. Nie bójcie się, kochani, nie wcisnę się, nie wcisnę, ja innej szukam kolejki. Powoli płynę na koniec. Coraz więcej tu na krzyżach dzieci. Płaczą, że serce się kraje.

O, jakiś dziadek idzie. Z laską, w świecącej się pelerynie.

Srebrną brodą zamiata po ziemi. Podpływam do niego, ręce składam.

- Pomóż im, Panie Boże, oni są przecież niewinni.

Patrzę, dziadek palec do mnie wyciąga, struga na nim marchewkę i woła cienko:

- Sra ku pierdaku!

Chichocząc, ucieka w podskokach.

- Sra ku pierdaku!... Sra ku pierdaku!...

Gubiąc po drodze bobki, chowa się za krzyże. Jakiś bulgot słyszę.

Odwracam się.

Tu, na postumencie z białego marmuru, śliczny, różowy berbec w kociołku chochlą miesza. Uśmiecha się do mnie zębami z porcelany.

- Spróbuj - ćwierka jak słowik - to bardzo DOBRAZŁA zupa.

Nabiera zupę chochelką, do ust mi podsuwa. Ja ją chlup, a ona lodowym ogniem, ognistym lodem w brzuchu mi wybucha.

Budzę się, żeby natychmiast w nowym śnie się znaleźć. Siedzę na tapczanie w niebieskiej piżamie. Pokoik malutki jak dla kanarka klatka. Ściągam szybko piżamę, ubieram sukienkę.

Wychodzę. Jakies ubrania tu wiszą. Tam, przed telewizorem, modli się rodzina. Jasno, słońce świeci, na ekraniku coś fika.

Na ulicę wybiegam.

Wysokie domy wokół wszystko zasłaniają. Coś ważnego miałam zrobić... Ach, wiem, muszę się przekonać, jak daleko ten sen do tyłu sięga.

Pięć złotych potrzebuję.

O, coś błyszczący na chodniku.

Schylam się, to pięć złotych. A tam stoi budka. Wszystko przygotowane na moje poruszenia. Niosę pięć złotych do budki.

Wrzucam monetę do szparki gadającej skarbonki. Kręcę palcem kółka.

Coś mi w uchu pika. Nagle głos słyszę:

- Słucham?

To Kasi głos. Głośny i wyraźny Kasi głos.

- Halo, słucham!

To Kasi głos. Wieszam słuchawkę. O, ja głupia. Kasia żyje, jest w domu, muszę ją zobaczyć, na własne oczy się przekonać, bo jak na razie tylko uszy przekonane.

Jedzie autobus, ja w środku.

Wszyscy się na mnie gapią.

Uśmiecham się do wszystkich. Tak mi cudnie. Ale może jestem brudna?

Spoglądam po sobie... och, mam bosa stopy. To dlatego tak się na mnie wszyscy patrzy. A co to ja na siebie włożyłam? Sukienkę do sprzątnia, całą w dziurach. To się Kasia uśmieje, jak tak do niej

przylecę.

Biegnę przez rynek.

Fontanna w słońcu kwitnie złotym blaskiem.

Przed bramą kulawego pana listonosza spotykam.

- Czy ma pan może list z Warszawy do Kasi Bogdańskiej?

Szpera w torbie i mówi:

- Jest, ekspres polecony, trzeba pokwitować. Spadłaś mi jak z nieba, musiałbym mój kulus na drugie piętro targać.

Biorę czerwony długopis, składam niebieski podpis.

Biegnę już po schodach. A jak coś złego tam w środku pisze? Bo jak coś złego, to Kasia się załamie. Patrzę... klej ledwo trzyma. Co tam, otworzę.

"Szanowna, Droga Pani, jak Pani prosiła, natychmiast odpisuję. I od razu do meritum, żeby się Pani niepotrzebnie nie denerwowała.

Nie ulega wątpliwości, że ma Pani Szanowna talent, a biorąc pod uwagę młody wiek Pani (20 lat), to chyba nawet duży. Wysłuchałem kasetki z radością. Co prawda jest tam dużo..."

To od tego krytyka, chwali ją. Cudownie. Kasia umrze z radości.

Zwilżam językiem resztę kleju, już koperta zaklejona i trzyma nawet lepiej, niż przedtem.

Podnoszę rękę do dzwonka, a drzwi się otwierają, choć jeszcze nie nacisnęłam. To mama Kasi, właśnie wychodziła. Patrzy na mnie zdziwiona.

- Dzień dobry, jest Kasia?

- Jest - mówi. - Wejdz, to od razu za tobą zamknę.

Wchodzę, trzask klucza w zamku słyszę. Podchodzę do miodowej kotary, za którą Kasia... Śmiech, śmiech słyszę. To nie Kasi śmiech.

Oko do szpary przysuwam.

Na kanapie, w świetle słońca, siedzi Ewa. Ewa Bogdaj... tutaj?

Obok, odwrócona do niej tyłem, siedzi Kasia. Widzę je z profilu, dwa profile obrysowane słońcem.

Ewa czesze szczotką włosy Kasi.

- To już chyba lekki przesadyzm - mówi Kasia.

- Wiesz przecież, że ja nigdy nie kłamię - mówi Ewa i obydwie wybuchają śmiechem.

- Ała! Szarpiesz!

- Przepraszam. Genialne masz te włosy. Chyba sobie znowu zapuszczę na długie.

- A mówiłam, żebyś sobie nie ścinała. Bardzo lubiłam cię z warkoczem.

- A już najbardziej lubiłaś go ciągnąć. Masz go jeszcze?

- Pewno, że mam. Jak chcesz, mogę ci go wypożyczyć. Dolar za godzinę. Pasuje?

- Bałam się, że go wyrzuciłaś na śmietnik - mówi Ewa. - To już przecież pół roku minęło od naszej strasznej kłótni.

- Coś ty, to było w lutym. Tylko cztery miesiące. Już nawet nie pamiętam, o co nam poszło.

- Nie pamiętasz? - dziwi się Ewa.

- Nie.

Ewa obejmuje Kasię, szepcze jej coś do ucha.

- O ty świnko! - woła Kasia. - Właśnie, że odwrotnie! Dobrze, że mi przypomniałaś. Ooo, nie podaruję ci tego.

- Ja tobie też nie podaruję!

Chichrają się. Ewa znów zaczyna ją czesać.

- A wracając - mówi - to wiesz, co myślę?

Co?

- Ona jest chyba autentycznie kopnięta. Ty wiesz... ona brała na serio każdą zabawę.

- Mnie też tak czasem się wydawało - mówi Kasia. - A na początku była taka cichutka i słodka...

- Przyczaiła się. Chciała naszym kosztem zrobić karierę.

- Nie, w to nie uwierzę.

- A ja coś o tym wiem. Ile ja jej rzeczy dałam. Chodzi w moich majtkach, w moich rajstopach, w moich stanikach, w moich sukienkach i jeszcze do tego załatwiłam jej egzamin do liceum. To mało?

- Ja też chciałam jej dać całą szafę ciuchów - mówi Kasia. - Ale było mi jakoś głupio, nie chciałam jej zawstydząć.

- Wcale nie jest taka wstydliva. Trzeba było spróbować. Zobaczyłabyś. Wyniosłaby dwie walizy, toból i by jeszcze z wózkiem wróciła po resztę.

- Faj, jesteś ohydna - mówi Kasia.

- Ty sobie bądź ta święta, ja wolę być ohydna. Każda prawda jest ohydna.

- Czulałam w niej jakąś tajemnicę - mówi Kasia. - A to po prostu była naiwność, nieśmiałość, strach. To zresztą nieważne. Żeby chociaż była dobra... Ale i to nawet nie, okropnie się na niej zawiodłam. Faj faj.

Kasia otrząsa się.

- Po prostu ma fioła i cześć - mówi Ewa.

- Tajemnica, tajemnica - mówi Kasia. - Doszłam do wniosku, że w ludziach nie ma tajemnicy.

- Nie lubię tajemnic.

- Tajemnica jest tylko w muzyce. Teraz już to wiem. Tylko w muzyce. Zobaczysz, kiedyś ją odkryję.

- W dodatku chciała mi się wżenić w rodzinę - mówi Ewa.

- Och, przestań już o niej gadać! Ona jest nikim, nie ma jej.

Ewa śmieje się.

- Ładnie to powiedziałaś, masz rację, to panna Nikt.

Cofam się od kotary. Słyszę ich głosy, ich śmiech. Panna Nikt to ja.

Trzasnęły za mną drzwi. Po schodach w dół biegnę. Śnieg na mnie pada z góry. To strzępki listu podartego przez pannę Nikt piętro wyżej.

Ach, za daleko zaleciałam. To piwnica. Ktoś tu stoi w mroku.

Błyszczą okulary.

- Marysiu, jeśli chcesz, podrę wszystko i będzie tak, jakby nigdy nic nie było.

- Odczep się, nie masz prawa, to moje!

Uciekam. Przed bramą, w słońcu stoję. Zostawiłam tam bombę, zdalnie sterowana. Zdejmuję z ręki zegarek. Uderzam nim o chodnik. Pryska szybka. Nastawiam szybko wskazówki na dziesiątą dziewięć. Tik tik tik tik.. zaraz im się dom na głowy zawali.

Huk. To już?

Nie, to samochód czarny, lśniący podjeżdża właśnie z rykiem trzystu koni. Czerwony na pysku szofer wyskakuje, drzwi przede mną otwiera.

Wsiadam.

Rękawiczka mi upadła. Już się schyla po nią młodzieniec w srebrny frak ubrany. Na kolano klęka, rękawiczkę mi podaje. Rąbek mojej sukni ze złotego jedwabiu całuje z czcią. Na szofera pstryka.

Jedziemy.

- Kim jesteś? - pytam.

- Twym paziem i sekretarzem osobistym, o pani - rzecze młodzieniec, srebrno-błękitne oczy ku mnie unosząc. - Tak długo królowa kazała nam na siebie czekać, że już prawie straciliśmy nadzieję. Ale wytrwałość popłaca. O, utęskniona nasza królowo, najukochańsza pani...

Jakiś szmer z tyłu słyszę, oglądam się.

Samochód wielki w środku jak sala balowa i jak sala balowa piękny, z fontanną pośrodku. Grupa młodzieńców i świetnych panien uklon mi składa. Wszyscy śliczni i fantastycznie poubierani, pałacowo,

dyskotekowo.

- Jesteśmy, o pani nasza najukochańsza, gotowi spełnić każde twoje życzenie - mówi paż mój słodki.

- O wszystko mogę poprosić?

- Rozkazać, pani. Jesteś naszą niezawisłą władczynią.

- Więc zróbcie tak - mówię - żeby wszyscy krytycy wyśmiali kompozycję Bogdańskiej Kaśki, a ten krytyk, co chwalił, niech ogłuchnie. Niech Kaśka już nigdy nic nie stworzy i niech strasznie cierpi, że nikt nie docenił jej kompozycji. Niech żyje długo i niech się nie doczeka uznania aż do śmierci, a razem z nią, gdy umrze, niech przypadnie jej kompozycja.

- Och, pani, to drobiazg - rzecze paż, uśmiechając się porcelanowo. - W tym celu nie muszę nawet kiwnąć palcem w bucie. Tak wiele pięknych dzieł przypadło w historii razem z ich twórcami i nie upomniał się o nie nawet szczur z wiejskiego kościółka. Więc to już załatwione. Następne życzenie? Mam dziwne przeczucie, że i pannę Bogdaj Ewę spotka w życiu niespodzianka...

- O tak - mówię. - Niech Ewka będzie tłustą, postarzałą przedwcześnie maciorą z siedmiorgiem dzieci i mężem pijakiem na karku.

- To trochę bardziej skomplikowane - mówi paż mój słodki i ogląda się na me dworki i mych dworzan.

- Ja! Ja się tego chętnie podejmę - zgłasza się ślicznotka w mini tiurniurze, z żywym pawiem w koafiurze. - Wytnę jej sztuczki z hormonami i przemianą materii. Czy sto dziesięć kilo wagi i słoniowate nogi odpowiadają najukochańszej pani?

- Jasne - mówię i wybucham śmiechem perlistym. Razem ze mną bucha śmiechem dwór mój perlisty.

- I niech będzie biedna - mówię - niech targa wiadra z węglem aż na poddasze, gdzie będą mieszkać jako dzicy lokatorzy. I niech na tydzień przed pierwszym nie będzie miała co włożyć do pyska swoim brzydkim, debilnym bachorom.

- Mam świetny pomysł - mówi na to bikiniarz nad wyraz elegancki, w wężowych spodenkach, w czapce z poślaczanego koguta. - Dobierzemy się do interesu jej tatki. Nie ma takiego interesu, gdzie nie znalazłoby się trochę wstydliwych kwitków. Załatwię dla rodzinki wielkie grzywny i wypadek mienia. Czy wystarczy?

- Myślę, że to będzie akurat - mówię i klaszczę w upierścienione dłonie, a razem ze mną klaszcze moja dworska, dyskotekowa gromadka. Na lustrzaną posadzkę sypią się pierścienie.

- Następne życzenie? - pyta paż.

- A ile ich jeszcze mogę wyrazić? - pytam, nagle strwożona.

- Ile tylko zapragniesz, najszłodsza pani. Sto, tysiąc, milion, miliard...

- Biliardy, gryliardy...! - wołają jeden przez drugiego dworzanie. Oddycham z ulgą, prostuję się dumnie.

- Więc niech będę bogata i sławna. I żeby mi wszyscy zazdrościli. Niech widzą mnie w gazetach, na plakatach, w kinie i w telewizorze. Niech gadają o mnie w autobusach, w pociągach i w tramwajach. A szczególnie niech mi zazdroszczą Ewka z Kaśką.

- Zrobione! - woła paż z zachwytem. - Co jeszcze?

Co jeszcze? Potem się zastanowię... A na razie...

- Na razie niech będę po prostu szczęśliwa - mówię.

- Och, jak pięknie to królewna wyraziła. Po prostu szczęśliwa. -

Paż do dworu się zwraca.

- Słyszeliście, kochani?

- O, tak, słyszeliśmy! - wołają dworki i dworzanie. - Przecudnie to nasza pani ujęła! Po prostu szczęśliwa!

- Zwróćcie uwagę na to, jakie to głębokie - mówi młodzian z kokiem i diamentowym okiem.

- A przy tym niewypowiedzianie szerokie! - To chórek dwóch ślicznych Murzynek w akompaniamencie słodkich minek. Ach, cóż za świetny dwór ten mój dwór, cały układa się w rymy.

- Brawo! - woła paż.
- Brawo! - woła dwór cały.
- Brawo dla królowny!
- Brawo! Brawo!!!

Klaszczą i klaszczą, a co zaklaszczą, sypią się perły i brylanty, na lustrzanej posadzce dźwięcznie dzwonią.

- O, tak, doprawdy, nigdy do końca nie wyklaskane brawo - paż mój mówi, rękę do serca przykładając. - Oto co się zowie królewskie życzenie. Po prostu szczęśliwa. Detal bilonem brzęczy, hurt gwiazdami się jarzy, z hurtem królownie do twarzy.

- Oooo, dzięki ci, gwiazdka nasza pani!!! - wołają chórem dworzanie.

- Za co mi dziękują? - pytam zdziwiona.

- Za zaufanie dziękują ci, pani - wyjaśnia paż mój słodki i sekretarz osobisty. - Bo przy hurtowym życzeniu na nas spada odpowiedzialność detaliczna, bimetaliczna. A samodzielność najbardziej ze wszystkiego uwielbiamy, nie licząc oczywiście najjaśniejszej pani, którą ponad wszystko uwielbiamy.

Paż na kolana osuwa się z szykiem, złote me pantofelki całuje.

Nagle zgrzyt.

Hamulców pisk.

- Jak jedziesz, chamie! - krzyczy na szofera paż.

- A dyć, wielmożny panie, już nie jade, ino stoje - rzecze szofer, swój lokajski kark czerwony ku nam gnąc. - Ciut, a człeka by się stukło..

Patrzę... starzec jakiś, zaśliniony i bezzębny, liszajowatą, pomarszczoną fizyz do szyby samochodu od mojej strony przyciska.

Palce zgrzybiałe, pokrzywione w szparę nad szybą wczepia.

Wgapia się we mnie i woła cicho, mamlając.

- Mamusiu, mamusiu...

- A to co? - pytam.

- To Pawełek - mówi paż.

- Jaki Pawełek? - mówię. - Nie znam żadnego Pawełka.

- Synek twój, Pawełek.

- Jak to? Mój synek? Mój mały, ukochany, przyszły synek taki???

- Przykro mi królowno, ale to ten właśnie. Tyle tylko, że za lat osiemdziesiąt.

- Ach, tak, za osiemdziesiąt lat... Ruszaj - mówię do szofera, a do pazia: - Papierosa, szybko!

Samochód do przodu skoczył, staruch do tyłu i na bruk pac! Słyszę jeszcze przez chwilę, jak to swoje: - Mamusiu, mamusiu - mamle.

Paż strzela złotą cygarniczką, błyska złotą zapalniczką. Pałę papierosa w złotej lufce, złocistym cocktailem popijam każdy dymu kłęb złotawy. Paż mój słodki z zamyślenia mnie wyrwa.

- A tam, królowno, racz zwrócić swą dostojną główkę, Zuzanna leży, twoja córeczka.

Patrzę w bok, cmentarz widzę. Tam, na cmentarzu... moja Zuzia?

- Jak to tak? Jeszcze jej nie urodziłam, a już ziemię gryzie?

- Cóż, niestety - mówi paż i smutnieje. Swe srebnobłękitne oczy rzesami w zakłopotaniu wachluje. - I cukierek ssać można tylko dopóty, dopóki się go nie wysie. A jak się go już w buzi wysie, to, choćby nie wiem jak był słodki, w inne rejony on, w inne wonności ulata, jak mawiała cioteczka ma Eufemia. To Czas swoje złośliwe oblicze ukazuje ci, o pani nasza naj, naj. On silniejszy od nas.

- No to weźcie, coś wykombinujcie - mówię, do całego dworu się zwracam. Ale gdzie tam, nie słyszą. Jadą za nami luksusowym sznurem limuzyn.

- Niestety - mówi paż. - My tylko w Czasie pracujemy. Bez Czasu nie ma nas, ani naszej pracy. Ten idiotyczny, przeklęty Czas!... - I ząbkami jak z porcelany zgrzyta mój sekretarz, a co zazgrzyta, sypią się perełki.

- Więc co będzie z moim szczęściem? - pytam. Pytanie łykiem cocktailu popijam.

- Och! - wykrzykuje paż i uśmiech na jego bladej twarzyczce wykwita. - Gdy się zje jednego cukierka, można zabrać się do następnego. Nie zabraknie ci królowo cukierków w złotych papierkach.

- Moje dzieci nie cukierki - mówię. - Nie chcę ich ssać ani zjadać. Chcę je mieć i żeby mi nigdy nie umarły. Chcę mieć tylko dwoje tych samych dzieci, a nie ciągle nowe dzieci! Jakoś musicie w swoich łepetynach wykombinować, żeby było tak, jak chcę. Rozkazuję wam!

Paż płaczu bliski.

- Niestety, o pani. Jeśli dzieci, to tylko w Czasie. Nic innego w tej materii wykombinować się nie da.

- W takim razie zwalniam cię! - krzyczę. - Fora ze dwora. Ciach, trach! Zniknął mój słodki sekretarz i paż. Już na jego miejscu następny paż i sekretarz mój osobisty wdzięki swe lokuje. Równie jak tamten śliczny, a może nawet ślicniejszy.

- Co rozkażesz, pani?

- Masz wymyśleć coś takiego, żeby mi się Czas do szczęścia nie wtrącał.

- Niestety, pan mmm... - jąka się paż. Wskazuję mu palcem drzwi. Już go nie ma, już inny na jego miejscu siedzi. Niby inny, a jednak taki sam, jak tamci dwaj.

- Co rozkażesz, pani?

- Widzę, że z dzieci nici - mówię. - To chociaż mężusia ukochanego szybko mi tu dawać. Znać moje gusta?

- Znamy, pani - rzecze do mnie paż, a do szofera: - Stawaj, chamie!

Stajemy, wysiadamy.

Na polnej drodze cała kawalkada dworskich limuzyn. Wyskakują dworki i dworzanie. Zaroilo się, zajaśniało od jedwabi i brylantów.

Jest, jest mój chłopiec.

O tam, przy drodze siedzi i patrzy zdumiony, i oczy aż mu się jarzą na widok mojej królewskiej piękności.

Śliczny jest, cudny, tak, to na pewno on, takim go widziałam, jak sobie małżeństwo planowałam. Podchodzę, patrzę... a tu na jego kolanach głowę złożyło jakieś posmarkane dziewczuszyko i gapi się przerażone na królewską moją jasność. A on, mój ukochany, przyszył małżonek i kochanek, po włosach mysich ją głaszcze.

O, niedoczekanie!

- Jak to tak? - pytam i odwracam się do mego sekretarza, do mego dworu na polnej drodze rozbłyśniętego.

Oni ręce rozkładają, spojrzzeniami na boki uciekają. Jedna ślicznotka przyklekła i na niby bucik poprawia. Znów inny drugiemu innemu kołnierz strzepuje, że niby z pyłu... Paż wzdycha, oczy w zażenowaniu opuszcza.

- A co ta dziewczucha przy nim robi?! - mówię wściekła. - Zabrać mi ją stąd!

Kupa dworzan zaraz podbiega, dwóch dziewczynę łapie.. ale co to? Mój ukochany jej nie puszcza. Podoba mi się, nie ma co, silny jest.

Albo to moi tacy słabi.

No, oderwali ich od siebie wreszcie. Dwóch ją trzyma, sześciu jego. Do niej najpierw podchodzę. Cóż on w niej widział? Może nawet i ładna, może nawet i bardzo ładna, może nawet i do mnie podobna, może nawet tak do mnie podobna, jak moje w lustrze odbicie...

Ale to przecież nie ja, to ona. Może kiedyś, zanim na tron nie wstąpiłam, też taka śmieszna byłam i głupia...

Stoimy naprzeciw siebie. Z niej lży kapią, ze mnie perły, brylanty. Ona głowinę spuszcza, nie patrzy na mnie. Boi się, czy

co? Biorę ją pod brodę i siłą pyszczek jej mysi ku sobie unoszę.

- Co, mała - mówię dobrotliwie - jak masz na imię?

Milezy, oczkami w dół ucieka, chlipie.

- Głupio ci, co? - mówię. - Nie wiesz, co powiedzieć, co? W głowince ci szumi, co?... To dopiero ci zaszumi.

I pac ją w głacę, pac drugi raz. Nie krzyczy, nie zasłania się, tylko łyzy połyka w milczeniu.

- Powieście ją na tej wierzbie - mówię - w gruszkę zamieńcie. Jak dojrzeje, spadnie.

- Ha ha ha! - śmieją się dworki i dworzanie, w dłonie klaszczą, sypią się w kurz drogi perły i diamenty.

I ksuksają między sobą:

- Och, ach, jaka ta nasza królowna dowcipna!

- Ach, och, a jaka błyskotliwa!

- Och, ach, próżno by szukać na innych dworach takiej jak nasza pani.

Ach, och, och, ach!...

Podchodzę do lubego.

- Puście go - mówię. Puszczają.

Cudny jest. Włosy ma takie, jakie mieć powinien, i oczy też takie, i ręce takie, i cały jest taki, akurat taki, dokładnie właśnie taki.

- Mój najdroższy - szepczę czule. Przytulam się do niego, on też mnie obejmuje. Ale jakoś słabo mnie trzyma. Czeka chłopcze, już ja cię rozpalę. Unoszę mą różaną twarzyczkę i dotykam ustami mego najdroższego ust. Drząc cała, oddech mój wonny z jego oddechem łączę, już nasze usta jednym ust koralem.

Języczkiem swoim język jego wabię.

- Ach, och, patrzcie, jak nasza królowna po mistrzowsku całuje!

Złoty medal! Brawo!!!

To prawda, dobrze gadają.

Nie ma ode mnie lepszej w konkurencji całowania. A mój luby, owszem, pocałunek mi oddaje, ale tak mi go oddaje, jakby mi go tylko oddawał. Pręży się na mym brzuszku wąż jego czarodziejski, ale pręży się tak, jakby nie dla mnie się prężył, tak tylko się pręży, w ogóle się pręży.

- Och, tak - szepczę, w oczy mu zaglądam - kocham cię, kocham, kocham cię nad życie. A ty, czy mię kochasz?

- Kocham cię - mówi - kocham cię nad życie - dodaje.

Już było mi słodko, po co to dodawał?

To jakaś papuga.

- On wcale mnie nie kocha - mówię do dwerek.

- Kocha, kocha, słyszeliśmy wszyscy, najukochańsza pani! Mówił, że kocha, że kocha nad życie!

Odchodzę trzy kroki.

- Może i mówił, ale nie kocha.

Po papierosa dwa palce wyciągam. Trzask-błysk złoty, pałę.

- Chce, żeby mnie kochał - mówię. - Rozkazuję wam! Ma mnie kochać!

Musi mnie tak kochać, żebym uwierzyła!

Tu szofer wtrąca się nieproszony:

- Może go wałnąć bez łeb ni z gruchy, ni z pietruchy? Sam wim, zmientknie zara.

- Zamilcz chamie! Ja miłości chcę, a nie posłuszeństwa!

No cóż to z mego lubego za głupek!

W gruszkę na wierzbie wpatruje się tęsknie, a ma przed sobą ze złota ananas.

- No i co? - mówię do dworu. - Co z waszymi obiecankami cacankami?

Wtem jedna z dwerek, ta w sukience ze skóry lamparta, w peruce z posrebrzanych pijawek, dyga pięknie przede mną i szczebiocze:

- Czy możemy ci, pani, zaśpiewać starą, ludową, chińską piosneczkę?

- A wypchaj mi się z ludowymi piosneczkami! - krzyczę rozwścieczona. - Macie coś zrobić, żeby mnie kochał!

Paź do ucha mi się pochyla i szepcze:

- Pozwól im, o pani. Jeszcze dla ciebie nie śpiewali. A chór to przedni, królewski. Wygrał wszystkie dworskie festiwale.

- No dobra, zaśpiewajcie - zezwalam łaskawie. - Ale szybko, rach ciach, po łebkach, bo nie mam czasu, do szczęścia mi się spieszy. I zaraz dwór nad rowem w cztery ustawia się szeregi. Paź gałązkę z ziemi podnosi, będzie dyrygował. Zaczynają basy, i zaraz się włączają tenory, a potem soprały i altys.

Czy to się nazywa kanon?

- Lali lo lali lo lali lo hajda ho

hajda ho lali lo lali lo lali lo

lali lo lali lo lali lo hajda ho

hajda ho lali lo lali lo lali lo...!!!

- Do rzeczy! - wołam - Szybciej!

To oni szybciej, ale to samo, w kółko. I znów to samo, ale jeszcze szybciej i coraz szybciej.

Piszczą tak szybko, jakby ktoś taśmę przewijał z wyjściem na głośnik.

- Co tak szybko?! - wołam.

Zwalniają. Tak wolno teraz śpiewają, że nawet nie widać, żeby im się usta poruszały. No, znów się zaczynają rozpędzać.

Trudno.

Rozśpiewali się, nic im nie przerwie. Wołam szofera.

- Krzesło!

On na czworaki pada, grzbiet wypina, siadam. Trochę się to krzesło pode mna trzęsie, bo też hajda ho spod tyłeczka mi loluje, tak się chamstwo w państwa śpiewy wczuło. Tylko ten kretyn, ten debil, ten chłopak mój kochany, ani nie śpiewa, ani nie chodzi, ani nic, Stoi i w gruszkę się wgapia.

Poczekam, może się zmęczy, zanim dwór skończy śpiewać. Co, już skończył? Nie. To jedna z dworek, ta w pończoszkach w artystycznie wyszywane złotem dziury, przed chór wyskakuje i sopranikiem pieje tak słodko, że można by tym osłodzić herbatę dla całego miasta.

- Tako jako czasu nazad nie zawrócisz, tako też miłości królewno nie kupisz!!!

I znów chór to swoje lali lo, hajda ho... Cóż to za banda wymoczków. Po co ja ich trzymam? Nareszcie cisza. Mucha tylko jakaś bez pozwolenia brzęczy. Dwór mój smutny, błady i wymięty, choć jeszcze trochę błyszczący.

Eee, taka piosenka - mówię z pogardą. - Każda glista potrafi tak naćwierkać. A czy to ja chcę kupować miłość tego farfocla?! Po prostu chcę, żeby mnie kochał. Po prostu chcę być szczęśliwa.

Dwór nic, lśni milczeniem przy drodze.

Ryzyk-fizyk. Po raz ostatni zaryzykuję królewski mój autorytet.

Podchodzę do bęcwała i mówię:

- Kochasz mnie? Ale powiedz szczerze, bo jak skłamiesz, jak ci nie uwierzę, to tak cię palnę, że zapamiętasz, gdzie krety zimują!

- Kocham cię - odpowiada drżącym głosem. No, ma szczęście, że prawdę powiedział.

Macham ręką na dworzan.

- Zabierzcie mi z oczu tę męską prostytutkę - mówię. - Na drugi koniec świata z nim, zamieńcie go tam w pietruszkę.

Już go zabrali, już zdążyli wrócić.

Tu już tylko gruszka na wierzbie.

- Dobrze im tak - mówię. - Jedno tu gruszką, drugie tam pietruszką. Niech się teraz kochają.

I zanoszę się od śmiechu, a razem ze mną zanosi się cały mój dwór.

Nagle śmiać się przestają. Dwór umilkł w tej samej sekundzie.

Dobry dwór, ćwiczony. Podchodzę do szofera, dosiadam go okrakiem, klepię w dupę i wołam:

- Wio, do samochodu!

Puszcza się galopem poczciwe szoferzysko i rżąc ze śmiechu, wykrzykuje:

- He he he, ni z gruchy, ni z pietruchy!
- Ho ho ho - śmieją się dworzanie.
- Hi hi hi - to dworki.
Rach, ciach! Rusza limuzyn kawalkada. Ja na przodzie.

- Nie ma co - mówię do pazia. - Ładne mi wyszykowaliście hurtowe szczęście.
Paź rzęsy trwożliwie unosi, przypochlebny wbija we mnie ślip. Całą mnie swoim ślipiem oblepia.
A ja nagle pac szofera po czerwonym karku.
- Won mi stąd! Sama poprowadzę.
Siadam za kierownicą, tu gaz, tu hamulec.
Wciskam gaz do dechy.
Dworki wrzaskliwe piski wydają ze strachu, piskliwe wrzaski dworzanie. Co mi tam, niech piszczą, niech się boją.
Zakręt. Dobrze. Zobaczycie tchórze, jak królowna zakręt w pełnym gazie ścina. Aj! Oj! Już mnie kierownica nie słucha. Przez pola lecimy, przez lasy. Patrzę... samochód w pędzie szalonym wali bokiem w jakieś baraki blachą falistą, smolistą kryte. W budynek odrapany z krzywym kominem. Jeszcze tylko szyld widzę, poharatany przez wiatr i deszcz, w słońcu wyblakły.
DEUS KOSMADEUS BAX SPÓŁKA Z O.O.

TraCH!!!
Oślepiający blask.
Wbijam się w gęstniejącą ciemność...
Wstać chcę, nie mogę. Ach, to Tadzio przez sen pierzyną mnie przywalił.
Wstaję. Przedemną drogą ślini się ślisko w poświacie księżycy.
Pójdę nią. Już tam na mnie czekają z widłami.
O, tu tatuś śpi, a tu mamusia. Chrapia.
Nie gniewajcie się na mnie, nie płaczcie. Nie ma po kim. Po co wam w domu taka hydra parszywa z pomarszczonym mózgiem.
Cicho Zenusiu, cicho. Chodź, maleńki, bez ciebie mnie tam nie wypuszczą. Przysięgam na twoje życie, że nie znienawidzę. Tutaj nigdy byś nic nie widział, a w niebie zobaczysz gwiazdeczki, słoneczko i wszystko. Tylko kawałek mnie odprowadzisz, zaraz mi cię aniołki zabiorą. Złap mnie mocno za szyję. Jak tu na balkonie ciepłutko, jak pięknie. Widzisz? Już nogi przełożyłam przez poręcz. Ach, ty przecież nie widzisz. Zaraz wszystko zobaczysz. Zaraz tam pofruniesz.
Lecimy.
Zenuś coraz lżejszy, i ja coraz lżejsza.
Już nie ma przy mnie Zenusia.

A ja... ciągle mnie ubywa. Jestem coraz lżejsza, już od powietrza lżejsza. A jednak coraz bardziej ciężka. Czym bardziej tam mnie nie ma, tym bardziej tu jestem.
Frunę przez czarną pustkę kulista i ciężka, ciężarna żarem, co w środku mi wzbiera. Zaciskam łono, by się krzyk płodu ze mnie nie wydostał. Cóż to za poród, co na tym polega, by nigdy nie urodzić, choć ciągle rodzić i rodzić, walczyć wiecznie z żarem, co wzbiera. W blasku Ojca, w kręgu Ojca, krążę posłuszną gwiazdką wśród gwiazd tańczących, sióstr moich. Pełna zuchwałej pokory, w radosnym cierpieniu, spokojnie drżąca, milczę